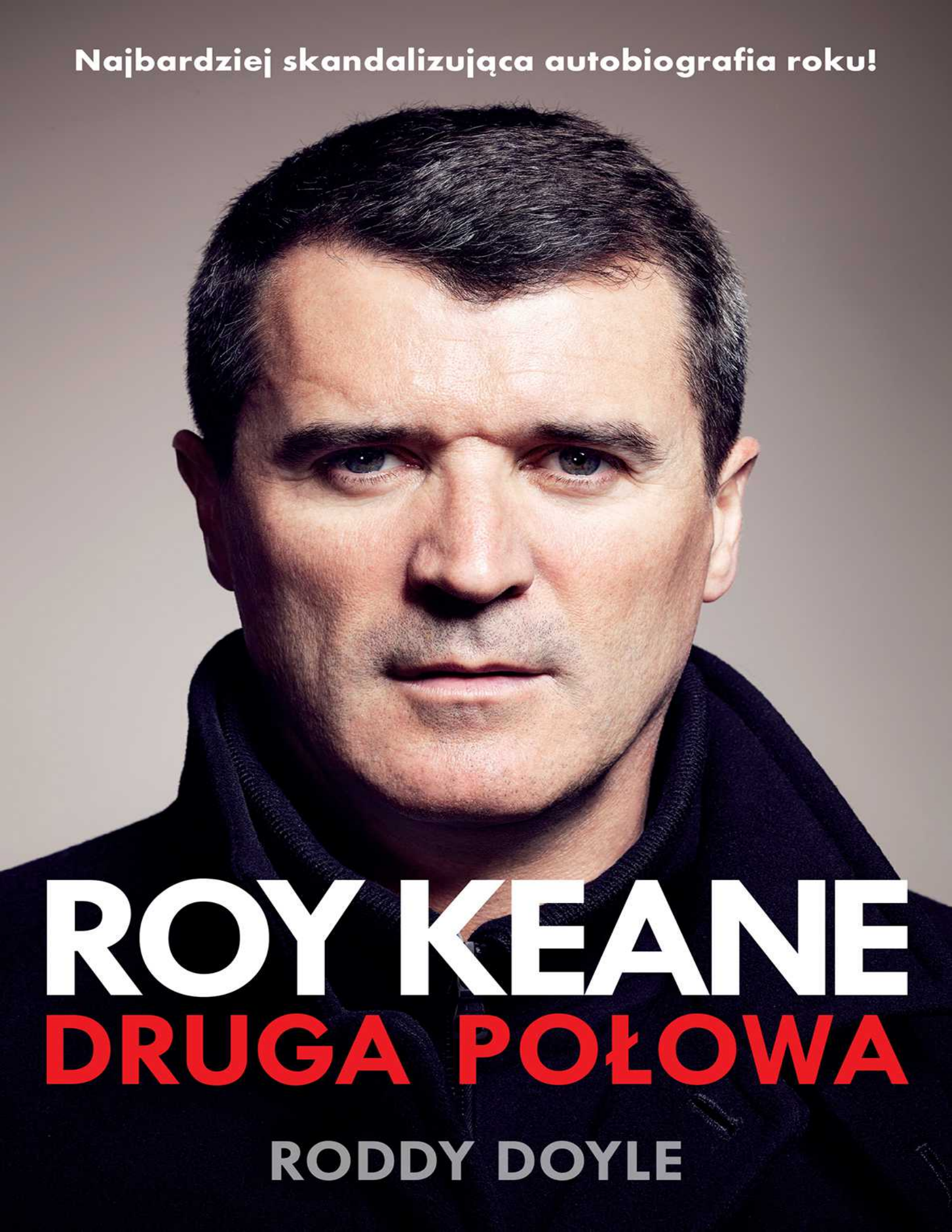
Najbardziej skandalizująca autobiografia roku!



ROY KEANE

DRUGA POŁOWA

RODDY DOYLE

DRUGA POŁOWA

ROY KEANE, RODDY DOYLE

Tłumaczenie: Anna Wajs-Magierska

Tytuł oryginału: *The Second Half*

Copyright © Roy Keane and Roddy Doyle 2014
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal sp. z o.o., Warszawa 2015
First published in Great Britain in 2014 by Weidenfeld & Nicolson
All rights reserved

Zdjęcie na okładce: Hamish Brown

Tłumaczenie: Anna Wajs-Magierska
Redaktor inicjujący: Arkadiusz Seidler
Redakcja: EUROGRAF Marzena Baranowska
Korekta: EUROGRAF Marzena Baranowska

Skład i łamanie: INSATSU Michał Żelezniakowicz

Wydawca:
Grupa Wydawnicza Foksal sp. z o.o.
ul. Foksal 17, 00-372 Warszawa
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
e-mail:biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN: 978-83-280-1779-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Marcin Kapusta / Virtualo Sp. z o.o.



Spis treści

Motto

Raz

Dwa

Trzy

Cztery

Pięć

Sześć

Siedem

Osiem

Dziewięć

Dziesięć

Jedenaście

Dwanaście

Zdjęcia

Przypisy

Kiedy ciało wysiada, rozum rozpoczyna własną grę. Nie możesz dorwać się do piłki, ale powtarzasz sobie, nawet jeśli to nieprawda, że 10 lat temu nie byłby to żaden problem. Z fizycznym bólem można żyć, chodzi jednak o to, co dzieje się w twojej głowie. Wciąż myślę o przeszłości i zastanawiam się, czy mógłbym pograć jeszcze z rok albo dwa… Czy podjąłem właściwą decyzję…

Wtedy żona przypomina mi, że nie byłem nawet w stanie wysiąść z samochodu.

Oczywiście dałbym radę jeszcze grać, ale to byłyby tortury. Nawet z łóżka wstawałem z trudem. Ale tak kochałem grać, że zapominałem o bólu. Zawsze przed oczyma dyndała mi marchewka – pograć jeszcze z rok, zarobić jeszcze trochę grosza.

Raz

Powiedział, że naprawdę mnie podziwia. Jak każdy świetny prawnik był zabójczo uprzejmy. Pomyślałem, że jest miły, więc potraktuje mnie łagodnie.

Wiele osób uważa, że sam zerwałem sobie więzadło stawu kolanowego, kiedy próbowałem zablokować Alfiego Hålanda. Håland powiedział, żebym się podniósł i przestał udawać. Więc kiedy znów spotkaliśmy się na boisku, zrobiłem mu to samo i zakończyłem jego karierę.

Ale to nie było tak.

Moja książka *Keane* ukazała się we wrześniu 2002, zaledwie kilka miesięcy po Mistrzostwach Świata i incydencie w Saipan. Fragmenty publikowane były w „News of the World". Oto jeden z nich:

Kolejny gówniany mecz. Im się chciało. Nam nie. City mogło prowadzić, kiedy Teddy strzelił karniaka 20 minut przed końcem. Howey zremisował 15 minut później. Czekałem na Alfiego 180 minut, dla mnie to były niemal trzy lata. A teraz był przy piłce po drugiej stronie boiska. Facet robił sobie jaja, a ja miałem dość czekania. Walnąłem go naprawdę porządnie. Piłka chyba wciąż tam była. Masz za swoje, ty fiucie. I nie próbuj więcej pieprzyć mi o udawaniu. I powiedz swojemu kumplowi, Wetherallowi, że z nim też się policzę. Nie czekałem, aż sędzia Elleray pokaże mi czerwoną kartkę. Odwróciłem się i zszedłem z boiska.

Gazety oszalały, ludzie mówili tylko o tym. Poniekąd to nawet dobrze. Wydawnictwo Penquin nie było specjalnie zmartwione, cieszyli się też księgarze. To jasne, że jeśli wydaje się książkę, coś się sprzedaje – sprzedaje się część siebie. Ale ja nie oczekiwałem aż takiego rozgłosu. Zupełnie, jakbym kogoś zabił. To był koszmar.

Datę wydania książki ustalono rok wcześniej. Miałem ją skończyć po Mistrzostwach Świata. Książka miała być bardzo entuzjastyczna, bo wyszliśmy z diabelnie silnej grupy i świetnie zagraliśmy

w Japonii. I taka chyba właśnie była, tylko że ja nie wystąpiłem na Mistrzostwach Świata i byłem śledzony nawet wtedy, kiedy wychodziłem na spacer z moim biednym psem. Rozgłos trwał jakiś miesiąc albo dwa, w końcu ucichło. A teraz wybuchł skandal z faulem na Hålandzie. Media rzuciły się na tę historię, widowisko trwało w najlepsze, wszyscy domagali się dalszego ciągu. No cóż, szczerze mówiąc sam dostarczyłem im wody na młyn.

Presja na Angielską Federację Piłkarską (FA), by coś z tym zrobić, była naprawdę duża. No to zrobili. Oskarżyli mnie, że poprzez rozmyślną napaść na Hålanda i czerpanie korzyści z rozgłosu doprowadziłem do kompromitacji rozgrywek. Bardzo mnie te oskarżenia ubodły, zwłaszcza drugie – sugerowało bowiem, że celowo doprowadziłem innego gracza do kontuzji, by sprzedać więcej książek.

Czułem się fizycznie zmęczony. Nie mogłem spać, nie mogłem jeść. Ciągle trenowałem, miałem jednak problemy z biodrem. Emocjonalnie też byłem wykończony, zwłaszcza że konflikt w Saipan wydarzył się całkiem niedawno. Moim najbliższym – rodzinie, również było bardzo ciężko. Byłem piłkarzem, a musiałem tracić czas z prawnikami.

Przesłuchanie odbyło się na terenie stadionu Reebok w Bolton. To nie był sąd, ale tak się tam czułem. Źle to wyglądało. Chociaż sprawa dotyczyła piłki, nie była tak traktowana. Pozwała mnie FA, musiałem zabrać z Manchesteru radcę prawnego i adwokata. To nie było w porządku. Podczas jazdy nie odzywaliśmy się do siebie, bo właściwie ich nie znałem. Nie wyczuwałem jednak u nich pozytywnego nastawienia, nie byli chyba przekonani, że damy sobie radę. Chodziło raczej o ograniczenie szkód do minimum. Dla nich to był zwykły dzień pracy, dla mnie – znacznie więcej. Wiedziałem, że przegram, jednak kiedy wieczorem wróciłem do domu, cieszyłem się, że to się wreszcie skończyło.

Jadąc tamtego dnia do Bolton, miałem mordercze myśli.

Dziś żałuję, że nie pojechałem tam sam i nie umówiłem się z prawnikiem na miejscu. Właściwie żałuję, że w ogóle miałem prawnika. Powinienem był po prostu pojechać, żeby poddać się karze. Federacja mnie oskarżyła i wydała wyrok. Sędzia i ława

przysięgłych w jednym. Do tego jeszcze presja ze strony mediów. Musieli zrobić to, co było najlepsze dla piłki. Nieraz już byłem w sytuacjach, kiedy maglowano mnie ze wszystkich stron, zawsze jednak słuchano tego, co miałem do powiedzenia. Tym razem nikogo nie obchodziła moja wersja. Właściwie od razu pomyślałem: „Dobra, jaka ma być kara?".

Prawnikiem FA była gruba ryba z Londynu, prawdziwy rekin – Jim Sturman. Rzeczywiście był świetny. Miał mnie na widelcu. Kiedy przed przesłuchaniem spotkaliśmy się w toalecie, powiedział mi, że jest wielkim fanem Spursów. Staliśmy obok siebie i rozmawialiśmy, jak to faceci przy pisuarach.

Powiedział, że uważa mnie za jednego z najlepszych piłkarzy i naprawdę mnie podziwia. Jak każdy świetny prawnik był zabójczo uprzejmy. Sądziłem, że skoro jest miły, potraktuje mnie łagodnie.

Skurwiel rozniósł mnie na strzępy. Jasne, z tego żyje – z roznoszenia na strzępy. Cały czas myślałem, że byłoby dobrze mieć go po swojej stronie.

Maglował mnie prawie godzinę. W ręku trzymał książkę, tak żebym cały czas ją widział.

– To pan jest na okładce. To pańska książka, prawda?

– Taaa – przytaknąłem.

– To pańska książka, prawda?

– Taaa – powiedziałem znowu.

– Potwierdza pan wszystko, co tu jest napisane?

– Taaa.

– A więc wszystko, co pan tam napisał…

– Taa, ale nie pisałem jej sam.

– To jest pańska książka.

Cały czas trzymał ją przede mną.

– To podobno szczera książka i pańskie słowa.

– Nie do końca o to mi chodziło, nie do końca tak mówiłem. Nie jestem pewien, czy dokładnie tych słów użyłem. Pomagał mi redaktor.

Moje odpowiedzi były szczere, ale i tak wiedziałem, że przegram tę walkę. Nie można jednak od razu się poddać. Zupełnie jak

w ringu. Przegrywasz, ale co masz robić? Nie opuścisz przecież rąk. Musisz walczyć dalej.

On naprawdę był dobry. Cały czas myślałem: „Ty skurwielu”.

Miał za zadanie przedstawić mnie jako bandytę, który ma problemy z głową; faceta, który wychodzi z domu i tłucze współpracowników. I tak właśnie zrobił. Udało mu się.

Pomogło mu nagranie meczu.

– Czy możemy obejrzeć ten faul?

Owszem, mieli ten fragment. W zwolnionym tempie – mój Boże. Jeśli ogląda się cokolwiek w zwolnionym tempie, wygląda to o wiele gorzej. Nawet wydmuchiwanie nosa wygląda koszmarnie w zwolnionym tempie. Faul, pokazywany z każdej strony w zwolnionym tempie, też nie wyglądał najlepiej. Miałem ochotę powiedzieć, żeby zatrzymali ten cholerny film, ukarali mnie i pójdziemy dalej.

Dla Jima Sturmana to był przyjemny dzień. Myślę, że jako kibic Tottenhamu dobrze się bawił. Skurwiel.

Pomyślałem, że mam przesrane.

Usiadłem.

Przyszła kolej na Eamona Dunphy’ego. Pisał moją książkę i specjalnie przyleciał z Irlandii, żeby być świadkiem na tym przesłuchaniu. Mówił już wcześniej, że użył własnych słów, opisując faul. Zanim przyjechał, mówiłem mu, że jeśli spytają, czy umyślnie kontuzjowałem Hålanda, powinien powiedzieć, że nie.

Ale zmieniłem zdanie. Nie będę go pakować w tak głupie sytuacje.

Sturman zapytał go, czy uważa, że celowo kontuzjowałem innego zawodnika, pana Hålanda.

A Eamon wypowiedział dwa słowa: „Bez wątpienia”.

I tak wyglądała moja obrona. No, to po zawodach. Eamon napisał książkę, był moim świadkiem. Sądzę, że czuł się tak, jakby to on był sądzony, w dodatku w sprawie kryminalnej. Widziałem, że chce się od tego odciąć. Skończył książkę. Zrobił swoje. W porządku. Byłem zdany na siebie – to moja książka, na okładce jest moje nazwisko. Przypuszczam, że mógł myśleć, iż osądzano jego wkład w książkę.

Chciał już po prostu mieć to z głowy i wyjść stamtąd. Spieszył się na powrotny lot do Dublina.

Spojrzałem na niego i pomyślałem, że teraz mam już całkiem przesrane.

Nie powiedział „tak mi się wydaje" albo „może". Mógł powiedzieć „prawdopodobnie" albo że trudno mu na to pytanie odpowiedzieć. Nie.

Powiedział: „Bez wątpienia".

Sądzę, że osoba, która napisała moją książkę, powinna być po mojej stronie. Nie, nie winię go. Ale wcale mi nie pomógł.

„Bez wątpienia".

Używając określenia Jima Sturmana, on sam pewnie pomyślał: „O, jak miło".

To była akcja, to był futbol. Tam się idzie po trupach. Zdarzało mi się kopnąć innego piłkarza i wiem, jaka jest różnica między sprawieniem komuś bólu a spowodowaniem poważnego urazu. Nie zamierzałem kontuzjować Hålanda. Każdy, kto uprawia sport, wie, jak spowodować uraz. To dlatego często można zobaczyć na boisku zawodników podłamanych po faulu – bo oni wiedzą, jaki stał za daną akcją zamysł. Nie sądzę, by jakikolwiek z moich przeciwników, z którymi stoczyłem walkę na boisku – Patrick Vieira, piłkarze Arsenalu czy chłopaki z Chelsea – powiedział na mój temat coś naprawdę złego.

Pewnie by mówili, że jestem wredny i lubię ostre konfrontacje, ale nie wydaje mi się, by mogli powiedzieć, że jestem podły. Oczywiście, że mogę się mylić. Możliwe, że wielu z nich uważa mnie za skurwiela. Owszem, zdarzyło mi się kopnąć jakiegoś piłkarza, ale nie zdarzyło się, żebym musiał obserwować, jak mój przeciwnik opuszcza boisko na noszach. Nie twierdzę, że to jakieś wielkie osiągnięcie, ale każdy z nich zawsze podnosił się o własnych siłach i grał dalej.

Nie zrobiłem tego rozmyślnie. Moja linia obrony była prosta – pomiędzy meczem z Leeds w 1997, kiedy zerwałem więzadło, a meczem, kiedy go zablokowałem, w 2001 (wtedy był graczem Manchesteru City), grałem przeciwko drużynie Hålanda trzy albo cztery razy. W tamtym sezonie grałem przeciw niemu jeszcze

wcześniej, kiedy odpuścił Paulowi Scholesowi. Gdybym był furiatem ogarniętym żądzą zemsty, dlaczego miałbym czekać tyle lat, żeby go kontuzjować? Przecież kolejna szansa mogłaby się nigdy nie nadarzyć. Piłkarze pojawiają się i odchodzą. Moja teza była taka, że po prostu grałem w przeciwnej drużynie.

Oglądałem poprzednie mecze, podczas których Håland próbował mnie kopnąć. Grało się z nim jak ze skończonym kutasem, podstępnym i wkurzającym. Grałem przeciw niemu, kiedy był jeszcze zawodnikiem Leeds. Rywalizacja między United i Leeds była wtedy bardzo ostra. Zablokowałem go podczas meczu z City. Czy ja przez tyle lat myślałem tylko o tym, jak go dorwać? Pewnie, że nie.

Czy cały czas siedział mi w głowie?

Jasne, że tak. Podobnie jak Rob Lee, David Batty, Alan Shearer, Dennis Wise czy Patrick Vieira. Oni wszyscy siedzieli w mojej głowie. „Jeśli tylko będę miał szansę ci przypierdolić, zrobię to". Oczywiście. Taka jest piłka. Byłem środkowym pomocnikiem. Nie grałem ani trochę po prawej, ani trochę po lewej stronie, żeby móc prześlizgnąć się przez całą karierę, unikając fauli. Nie byłem robiącym uniki skrzydłowym, który nigdy nie doznaje kontuzji. Grałem w samym środku boiska.

Istnieje różnica między kopnięciem kogoś a kontuzjowaniem go. Każdy doświadczony zawodnik ci to powie.

Cztery dni po tym meczu Håland grał dla Norwegii. Kilka lat później próbował dowieść, że musiał zakończyć karierę przez ten faul. Zamierzał mnie pozwać. Owszem, wyglądało to naprawdę źle, ale przecież cztery dni później był w stanie grać.

* * *

„Piłka chyba wciąż tam była".

Jestem pewien, że pogrążyło mnie jedno słowo. Tym słowem jest „chyba", zostawia bowiem pole do interpretacji, że ruszyłem na niego i nie obchodziło mnie, czy była tam piłka. Że przez tyle lat

tylko czekałem, żeby dorwać Alfiego Hålanda. Ja wiem, że piłka tam była. Ale on dobiegł do niej przede mną.

To jedno słowo kosztowało mnie czterysta tysiaków.

To był długi dzień.

Wyrok zapadł tego samego popołudnia. Mój adwokat, Michael Kennedy, próbował mnie bronić, ale użył też słowa „zamknąć". „Musimy zamknąć tę sprawę". Trudno znaleźć lepsze słowo – też chciałem to zamknąć. Zapłacić grzywnę i koszty prawne. Ukarali mnie kwotą 150 tysięcy funtów. Koszty prawne wyniosły ponad 50 tysięcy. Ale to tylko wierzchołek. Mój klub, United, ukarał mnie za ten faul równowartością dwutygodniowego wynagrodzenia i zakazem gry w czterech meczach. A teraz FA żądała jeszcze zakazu gry w pięciu meczach. Podwójny nelson. Musiałem sprzedać dużo książek. Ale byłem zadowolony, że mam to za sobą. Wszyscy byliśmy wykończeni – i ja i moja rodzina.

Powinienem był pojechać na to przesłuchanie bez prawnika i po prostu poddać się karze. Oni zawsze uważali, że jestem winny. Przed głównym wejściem kłębił się tłum dziennikarzy. Nigdy nie zamierzałem wyjść i powiedzieć, że się dogadaliśmy.

Czy żałuję, że to wszystko znalazło się w książce? Pewnie nie, skoro wszystko zaakceptowałem przed publikacją. Czy analizowałem każde słowo? Oczywiście, że nie, bowiem nie sądzę, że użyłbym słowa „chyba". Czy próbowałem kontuzjować Hålanda? Absolutnie nie. Ale naprawdę chciałem go dorwać i uzmysłowić mu, co jest grane. Chciałem sprawić mu ból i powiedzieć „Masz za swoje, fiucie". Wcale tego nie żałuję. Ale nie chciałem go kontuzjować.

Tak, chciałem go dopaść. Jak wielu innych. A inni chcieli dopaść mnie. Taka jest piłka. Zdarzają się piękne gole, piękne obrony, dramatyczne rozgrywki. Ale są też chwile, które nie należą do naszych ulubionych – wślizgi, kiwanie, niebezpieczne faule. Są częścią gry. Piłkarze chcą ich unikać, udawać, że się nie zdarzają. Dziś jest wielu graczy, którzy chcą dorwać innych. Seamus McDonagh, trener bramkarzy, daje swoim podopiecznym taką radę:

„Jeśli dążysz do konfrontacji, używaj przemocy”. Nikt się oficjalnie do tego nie przyzna. Futbol to nie gra w warcaby.

Håland wkurzył mnie swoim pieprzeniem. Próbował kilka razy mnie podejść, kiedy grał dla Leeds. Podbiegał bardzo blisko i lubił zostawiać ślady na moich łydkach. Owszem, kilku rzeczy w życiu żałuję, ale on nie jest jedną z nich. Jest tą stroną futbolu, której nie lubię.

Kiedy teraz o tym myślę, przyznaję, że zaskoczyła mnie postawa pozostałych zawodników Manchesteru City. Nie palili się, by bronić piłkarza ze swojej drużyny. Gdyby coś takiego przydarzyło się innemu zawodnikowi United, starałbym się mu pomóc. Pewnie oni też myśleli, że Håland jest fiutem.

Każdy mówił mi, żeby iść dalej, i tak zrobiłem. To były bardzo trudne miesiące. Byłem całkowicie oddany piłce, a w tej sprawie nie było nic z odkupienia. Michael powiedział, że musimy jakoś zamknąć tę sprawę i ja się z tym zgodziłem. Uważam, że jeśli zrobi się coś złego, trzeba ponieść konsekwencje. Nigdy nie czułem się jak niewinna ofiara. Nie powinienem był wydawać pieniędzy na prawników. Powinienem był po prostu powiedzieć: „Oto, co się stało. Nie chciałem, żeby tak to wyglądało. Ale tak jest napisane w książce”.

Myślałem, że zredukowanie strat do minimum to gra o przetrwanie. Nawet przez chwilę zastanawiałem się, skąd się tam wziąłem i po co mi prawnik. Tu nie chodziło o zwycięstwo czy porażkę, o to, kto ma rację, albo czy jestem winien bądź nie. Chodziło o maksymalne zredukowanie strat. Może czułbym się lepiej, gdyby kara była mniej dotkliwa. Ale jej wysokość wcale mnie nie zaskoczyła, bowiem presja, by mnie ukarać, była bardzo duża. Żadne argumenty, ani prawne, ani logiczne, nie miały tu zastosowania. Eamon napisał moją książkę, posługując się własnym stylem, i to były jego słowa. Ponadto zostałem już ukarany, no i przysługuje mi prawo do wolności słowa.

Kiedy wspomniałem o wolności słowa, Sturman tylko się zaśmiał.

– Czy to znaczy, że można wyjść na ulicę i kogoś obrazić? Mamy przecież wolność słowa!

Powiedział to, zanim jeszcze zaczęło się przesłuchanie.

– Jeśli będziesz próbował bronić się w ten sposób, uważam, że to nonsens – dodał.

Pomyślałem, że nie mamy nic innego.

Był fantastyczny. Dla niego to była łatwa sprawa. No i jako dowód miał nagranie. To były chyba najłatwiej zarobione funciaki w jego karierze. Bułka z masłem.

Dwa

Piłkarze nie są głupi. W szatni zachowują się po cichu, o upadku imperium ani słychu.

Właśnie wróciliśmy z zachodniego wybrzeża USA, chyba z Seattle, i kilku z nas zostało wyłączonych z drużyny. Lubię grać w każdym meczu, tym razem jednak byłem zadowolony, że nasz menedżer wyłączył mnie z tej rozgrywki. Byłem naprawdę wykończony, poza tym wszystkich męczyła zmiana czasu. Siedziałem na ławce rezerwowych obok Ryana Giggsa i śmialiśmy się z chłopaków, którzy byli na boisku.

W ramach treningu przed sezonem graliśmy mecz ze Sportingiem Lizbona, inaugurujący otwarcie ich nowego stadionu. Obserwowałem Ronaldo – był naprawdę dobry. Był wtedy zawodnikiem Sportingu i grał przeciwko Johnowi O'Shea. Sheasy w przerwie meczu wylądował u lekarza – miał zawroty głowy, bo Ronaldo niemal przenicował go na lewą stronę.

Ludzie z Manchesteru United obserwowali go i myślę, że to po tym meczu zamknęli negocjacje. Śmialiśmy się z Sheasym, że to on przypieczętował kontrakt, grając przeciwko Ronaldo jak kompletna łajza. Uczciwie trzeba jednak przyznać, że Sheasy'ego męczyła zmiana czasu, jak nas wszystkich.

Ronaldo dołączył do nas na początku sezonu 2003/2004. Od razu go polubiłem. Nieźle się prezentował i miał dobre podejście. Największe wrażenie zrobiło jednak na mnie to, że zaproponowano mu, by został w Lizbonie jeszcze rok – na zasadzie wypożyczania zawodnika. Odmówił i od razu przyjechał do Manchesteru. Pomyślałem, że to była dobra i odważna decyzja – Ronaldo miał wtedy raptem 17 lat. Przez kilka pierwszych dni obserwowałem go, jak trenuje, i już wtedy pomyślałem, że będzie jednym z najlepszych zawodników świata. Nie mówiłem tego głośno, zawsze bowiem

uważam, aby nikogo zbyt wcześnie nie wprawiać w samozachwyt albo odwrotnie – deprymować.

Wyglądał jak piłkarz, a to ważne. Zidane wygląda jak piłkarz i Ronaldo wygląda jak piłkarz. Sylwetka, mowa ciała – wszystko jest na swoim miejscu. Był trochę arogancki, ale miał niezwykły urok i dał się lubić. Nie zapominajmy, że był bardzo krytykowany, kiedy się pojawił. Po faulach zbyt szybko się przewracał, cała jego gra pozostawiała wiele do życzenia. Ale był przecież jeszcze dzieciakiem, miał dopiero 17 lat. Ja w tym wieku grałem w młodzieżowej drużynie Rockmount, w Cork. On był naprawdę niesamowity. Od razu stał się jednym z najciężej pracujących zawodników United. Większość znanych mi piłkarzy ciężko pracowała, ale Ronaldo oprócz pracowitości miał jeszcze talent.

Był przystojny i wiedział o tym, dlatego był trochę próżny. Naprawdę był fantastycznym facetem, świetnym zawodnikiem. Dlatego kiedy spoglądał w lustro, myślałem: „Świetnie, brachu". Patrząc na innych chłopaków przeglądających się w lustrze, pomyślałbym: „ty pieprzony kretynie". Ale Ronaldo miał taki niewinny urok i delikatność. Nie sądzę, by kiedykolwiek się obijał albo żeby wygląd był dla niego ważniejszy niż piłka. Zawsze miałem wrażenie, że futbol to jego miłość. Wciąż jest krytykowany za zbyt szybkie schodzenie po faulu, dostał też baty za mrugnięcie okiem po usunięciu z boiska Wayne'a Rooneya podczas meczu Anglii z Portugalią w trakcie Mistrzostw Świata w 2006. Ale taka jest ta gra i on jest jej częścią. W stylu gry zagranicznych piłkarzy bardzo głęboko siedzi przekonanie, że trzeba doprowadzić do rzutu wolnego albo usunięcia kogoś z drużyny przeciwnika z boiska. Dla nich to normalne. Jeśli ktoś zablokuje ich w pobliżu pola karnego, będą się przewracać.

Wszyscy uwielbiają historie Gazzy, te jego dramaty. To niesamowite obserwować, kiedy zawodnik wykorzystuje swój potencjał. Ronaldo miał wielu krytyków, jednak sądzę, że ludzie w końcu byli zmęczeni ciągłą dezaprobatą i zaczęli przyznawać mu kredyt zaufania. Trochę nieszczęśliwie się złożyło, że zaczynał w tym samym czasie co Messi, ale dzięki temu miał cel – stać się lepszym od niego.

Młodzi zawodnicy wnoszą nową energię, nie ma w nich lęku, wszystkiego chcą próbować. Na początku sezonu 2003/2004 miałem 32 lata, a to nie to samo co 38. Nie czułem, że jestem spychany na boczny tor. Niemniej wiedziałem, że klub jest jak maszyna – przyjdą tacy jak Ronaldo i Rooney. Kiedy sam byłem młodym zawodnikiem, widziałem, jak odchodzą Bryan Robson i Steve Bruce. Kiedy osiągnie się wiek, w jakim ja wtedy byłem, zaczyna się spoglądać w kierunku wyjścia. Nie martwiło mnie to ani nie napawało lękiem. Doskonale rozumiałem, że na tym polega ta gra. Masz 32 lata i zbliżasz się do krawędzi klifu. Psycholog sportowy, który kiedyś do nas przyjechał, powiedział, że odchodzenie może być stopniowe albo przypominać skok ze skarpy. Każdy ma jednak nadzieję, że będzie stopniowe.

Moja kariera w United dobiegała końca miło i spokojnie. Wciąż grałem i dobrze mi się wiodło, niczym nie musiałem się martwić. Ale nie prowadziłem już meczów, jak kiedyś. Jeśli pojawiają się w klubie najlepsi zawodnicy, chcesz im zaimponować. Ich zadaniem jest zaimponowanie tobie, ale to ty chcesz zaimponować im. Dlatego każdy wtedy dostaje kopa: „Do diabła, nie chcę, aby sądził, że jestem złomem. Nie może pomyśleć, że jestem na wylocie".

Dynamika klubu ulegała ciągłym zmianom. Odchodzili wielcy gracze. Bardzo trudno było zastąpić Petera Schmeichela, który odszedł w 1999 r. Grali u nas Fabien Barthez, Mark Bosnich, Taibi, Roy Carrol… Dziś mamy Tima Howarda. A Schmeichela udało się tak naprawdę zastąpić dopiero w 2005 roku, kiedy dołączył do nas Edwin van der Sar.

W 1998, podczas przedsezonowych rozgrywek w Azji, chyba w Hongkongu, miałem z Peterem ostre spięcie. Wróciłem po kontuzji więzadła. Byłem po kilku głębszych.

Około drugiej w nocy wróciliśmy z Nickiem Buttem z rajdu po knajpach i wpadliśmy na Petera przy recepcji hotelowej. Podroczyliśmy się trochę i wymieniliśmy kilka złośliwości. Poszedłem do pokoju Nicka, bo byłem głodny. Zjadłem kanapkę i chciałem wrócić do siebie, ale pod drzwiami czekał na mnie Peter.

Faktycznie przez ostatnich kilka lat, z powodów zawodowych, narastało między nami napięcie. Peter lubił pokrzykiwać na innych

graczy, czasem miałem wrażenie, że robi to pod publiczkę. Być może potrzebował tego, by samemu utrzymać najwyższy poziom koncentracji, niemniej wydawało mi się, że robi to za często, jakby mówił kibicom: „Patrzcie, z kim muszę grać". Nie powiedziałbym, że się nie lubiliśmy, ale że przepadaliśmy za sobą – też nie.

– Mam cię dość, Roy. Czas najwyższy, byśmy wszystko sobie wyjaśnili – powiedział.

– W porządku – odparłem.

Zaczęliśmy się bić. Trwało to jakieś dziesięć minut. Robiliśmy bardzo dużo hałasu, bo Peter to kawał chłopa.

Kiedy obudziłem się rano, niewiele pamiętałem. Mieszkałem z Denisem Irwinem i byliśmy już spóźnieni na autobus na lotnisko. Zadzwonił nasz fizjoterapeuta z pytaniem, gdzie się podziewamy. Denis to jeden z najlepszych speców od PR, więc spóźnienie na autobus rzutowało na jego reputację. Wyglądał, jakby złapano go z narkotykami albo coś w tym stylu. Niemal wypchnął mnie z pokoju.

Powiedziałem mu, że w nocy chyba z kimś się biłem.

Miałem bardzo obolałą rękę i wybity palec.

Kiedy wsiadaliśmy do autobusu, nasz menedżer nie powiedział ani słowa, ale wszyscy w środku gadali tylko o nocnej bójce w hotelu. Wreszcie zacząłem sobie przypominać, że pobiłem się z Peterem.

Przez cały lot Peter nie zdejmował okularów przeciwsłonecznych, chociaż wcale nie było bardzo jasno.

Nie pamiętam już, gdzie wylądowaliśmy na następny mecz. Dwóch zawodników drużyny musiało wystąpić na konferencji prasowej. Akurat tym razem trafiło właśnie na Petera i na mnie.

Wcześniej Nicky Butt dokładnie opowiedział mi, co się stało zeszłej nocy. Zrelacjonował całą walkę. W związku z tym zyskał nawet nową ksywkę – Mills Lane (słynny sędzia bokserski). Było tak – Peter mnie złapał, a ja przywaliłem mu z główki, potem tłukliśmy się dłuższą chwilę.

Na konferencji Peter zdjął okulary. Miał podbite oko. Dziennikarze rzucili się na niego.

– Peter, co się stało z twoim okiem?

– Wczoraj wieczorem oberwałem łokciem na treningu – powiedział.

Na tym się skończyło. Wróciliśmy do domu osiem lub dziewięć dni później. Nikt nic nie mówił – nikt z piłkarzy, nikt z obsługi. Mój palec wrócił na miejsce, limo Petera zniknęło, ale pierwszego dnia, kiedy wróciliśmy na swoje boisko, menedżer zawołał mnie i Petera do siebie.

– Biliście się – powiedział.

Znał wszystkie szczegóły – chyba nawet wspomniał, że to było 27. piętro. Powiedział, że przynieśliśmy klubowi wstyd i obudziliśmy Bobby'ego Charltona, który wyszedł z pokoju i widział zajście.

– Macie coś do powiedzenia?

Peter podniósł rękę.

– Gaffer, chciałbym przeprosić. To wszystko moja wina. Czekałem na Roya na korytarzu. Biorę za to odpowiedzialność.

– Cholerne błazny – mruknął menedżer i wykopał nas za drzwi.

To miłe, że Peter wziął na siebie całą odpowiedzialność. Podziwiam go za to. Niemniej drogi pan Bobby mógłby choć spróbować nas rozdzielić.

Kiedy myślę o kamieniach milowych w mojej karierze, pamiętam dokładnie wiele wydarzeń, ale czasem trudno mi powiedzieć, w jakich latach wygrywaliśmy ligę. Wiem jednak, że w sezonie 2002/2003 gwizdnęliśmy wygraną sprzed nosa Arsenalowi.

Którejś niedzieli pod koniec kwietnia graliśmy z Tottenhamem na ich boisku, a w kolejnym tygodniu z Charlton u siebie. W przeddzień meczu dojechaliśmy autobusem do stacji Stockport, a stamtąd pociągiem do Londynu. Tego popołudnia Arsenal grał w Bolton, a nam potrzebna była ich przegrana w tym meczu. Jechałem do hotelu Four Seasons w Manchesterze, gdzie zostawialiśmy samochody, żeby przesiąść się do autobusu.

Ta przejażdżka na dworzec kolejowy w Stockport stała się jedną z najważniejszych chwil w mojej karierze. Kiedy wsiadaliśmy do autobusu, Arsenal prowadził dwoma punktami i wyprzedzał nas w tabeli. Niebawem dotarła do nas wiadomość, że Djorkaeff,

zawodnik Bolton, strzelił bramkę, było więc 2:1. A kiedy dojechaliśmy na dworzec, był już remis 2:2.

Mieliśmy przed sobą jeszcze wiele przegranych i wygranych meczów, ale już wtedy, tego dnia, w tym autobusie, wiedzieliśmy, że tytuł jest nasz i nie była to zbytnia pewność siebie. Skakaliśmy wokół jak banda dzieciaków, ściskając się nawzajem. Ktoś, kto mijał nas wtedy na stacji Stockport, musiał widzieć autobus pełen podskakujących facetów. Znów mieliśmy tytuł w ręku i nie zamierzaliśmy go wypuścić.

Dojście do finału nigdy nie było proste. O Liverpoolu w latach 80. mówiono, że klub ma szufladę pełną medali, a ich trener, Ronnie Moran, mawiał: „Weź jeden z nich, jeśli uważasz, że na niego zasłużyłeś". Oczywiście wyglądało to tak, jakby zdobywanie trofeów nie było dla Liverpoolu trudne, ale ja jestem pewien, że było inaczej. Oglądałem ich grę jako dzieciak, zawsze wygrywali. Kiedy sam zacząłem grać, szybko zrozumiałem, że zdobywanie tytułów ligowych nie jest łatwe. O sukces trzeba walczyć. Byliśmy żądni sukcesu. Nie sądzę też, żebyśmy kiedykolwiek mieli nonszalancki stosunek do naszych poprzednich osiągnięć.

Nigdy też nie myślałem, by żyć wyłącznie przeszłością czy wyłączyć się z rywalizacji na rok lub dwa.

Najlepsi sportowcy nie zadowalają się pojedynczym zwycięstwem, czy triumfem. Właśnie takimi zawodnikami byłem otoczony. Wszyscy motywowaliśmy się nawzajem. A i przesłanie od menedżera i kibiców było zawsze jasne: „Nie spoczywajcie na laurach". Więc wygrywasz, myślisz „to już przeszłość" i idziesz dalej. Może to nie jest dobrze, że nie cieszę się z każdego zwycięstwa, ale chęć osiągania kolejnych sukcesów jest zakodowana w moim DNA.

Arsenal był naprawdę dobry. Wyglądało na to, że Arsène Wenger próbował na nowo wymyślić futbol. Byli świetni w kontrataku. Pod rządami George'a Grahama i Bruce'a Riocha Arsenal sztywno przestrzegał ustawienia 4-4-2. Zawodnicy zawsze trzymali się swoich pozycji, można było wręcz przewidzieć, gdzie który z nich się znajdzie. A teraz, pod Wengerem, mieli lepsze tempo, lepszą dynamikę, zmieniali pozycje i współpracowali ze sobą. W składzie

mieli takich piłkarzy, jak Overmars, Bergkamp, Henry. Odświeżyli nie tylko grę Arsenalu, ale całej Premiership. Tempo, gracze zmieniający pozycje, błyskotliwie kontratakujący; z dala od reguły 4-4-2. O wiele trudniej było z nimi grać. Znacznie szybciej mogli teraz kogoś kontuzjować. Myślę, że Arsenal wyniósł kontratak na nowy poziom. Nie tylko poza własnym boiskiem, u siebie także. Drużynę tworzyły wyraziste charaktery, wielkie osobowości: Vieira, Keown, Campbell, Adams, Henry. Możliwe, że byli od nas lepsi tylko o włos. Dla nas to dobrze, bo musieliśmy podnieść poziom naszej gry.

Ja i Vieira byliśmy na froncie rywalizacji naszych drużyn. Żaden z nas nie zrezygnował z zostania symbolem tamtych czasów. W pewnym sensie pozycja w drużynie decyduje o tym, kim jesteś i jaką rolę odgrywasz w klubie. Pracowałem z Lee Dixonem, który grał kiedyś dla Arsenalu, i w United – z Denisem Irwinem. Wiadomo było, że są obrońcami, wspaniałymi obrońcami. Ale obrońcy rzadko przewodzą zespołom. Jak sądzę, fakt, iż ja i Patrick graliśmy na środku boiska, sprawił, że byliśmy w centrum wydarzeń. Trafiliśmy poza tym w świetny czas. Nasze drużyny były u szczytu swoich możliwości, obydwaj lubiliśmy faule, nasza gra była bardzo kontaktowa. W tamtym czasie trochę mnie irytował i pewnie ja trochę irytowałem jego. A może mnie uwielbiał? Nie wiem. Ja go nie lubiłem. Wiedziałem, że robił wszystko co najlepsze dla swojej drużyny, podobnie jak ja. Nie lubiłem go, ale nie mogłem się doczekać, kiedy znów stanę naprzeciw niego na boisku. Często też myślałem, że nie miałbym nic przeciw temu, żeby był w mojej drużynie. Dzięki napięciu i urozmaiconej grze świetnie wypadaliśmy w telewizji.

Kiedy Arsenal rósł w siłę, my lecieliśmy w dół.

Na początku sezonu nie było tego widać. Wygraliśmy cztery z naszych pierwszych pięciu meczów. To nie żadna arogancja – byliśmy w formie, jakiej oczekiwaliśmy. Przegraliśmy jednak z Southampton. Tim Howard świetnie bronił bramki, ale w końcu właśnie po to przywiózł ze sobą rękawice. Bramkę strzelił Kevin Beattie, piłkę z narożnika podał mu główką Graeme Le Saux.

Z Arsenalem zremisowaliśmy 0:0. Ruud van Nistelrooy strzelał karniaka, ale trafił w poprzeczkę. Vieira został usunięty z boiska, po czym chłopcy z Arsenalu zaczęli się z nami kłócić, winili bowiem Ruuda za usunięcie Patricka – uważali, że przesadził. Odciągnąłem Ruuda, a za dyskredytację gry obwiniono Giggsiego, Ronaldo i kilku chłopaków z Arsenalu.

Po jakimś czasie zawsze śmialiśmy się z oskarżeń i kar – „mam nadzieję, że cię zabolała ta sumka?".

Giggy musiał zapłacić karę, a my wiedzieliśmy, że lubił swoje pieniążki.

Jednak kiedy wróciłem z przesłuchania w sprawie Hålanda, nikt w szatni się nie śmiał.

– Kurwa, ale ci przywalili. Jak dasz sobie z tym radę?

Przerżnęliśmy mecz z Arsenalem. Remis byłby w porządku, gdyby nie to, że spudłowaliśmy rzut karny. Gdybyśmy wygrali, nabralibyśmy rozpędu. Ponieważ Ruud van Nistelrooy był fantastyczny, w życiu bym się nie spodziewał, że popsuje rzut karny.

W poprzednim sezonie Ligi Mistrzów graliśmy z Bayernem Monachium i oko w oko z bramkarzem stanął Danny Welbeck. Nie trafił. Ruud van Nistelrooy na pewno by nie spudłował. Ruud był najlepszym sępem pola karnego, zwłaszcza w sytuacjach jeden na jednego, kiedy trzeba było pokonać tylko bramkarza. Kiedy Ruud stawał do karnego, nigdy w niego nie wątpiłem. Większość graczy próbuje zazwyczaj cholernego sposobu „walnij mocno i nisko" albo „cichacza", ale kiedy przy piłce był Ruud, bramkarza mogłoby nawet nie być.

Ruud miał dość specyficzny charakter. W przeciwieństwie do mnie miewał huśtawki nastroju, ale był w porządku. Nie zagrał w półfinale Pucharu – chyba w 2004, w meczu z Arsenalem na Villa Park. Rano w dzień meczu powiedział, że nie może grać, bo boli go kolano.

– Co z tobą? – zapytałem. Sam miałem wtedy obolałe ścięgno przy udzie.

Odpowiedział, że to kolano dokuczało mu przez całą noc.

– Do kurwy nędzy – odparłem – to półfinał Pucharu!

– Mam tylko jedno zdrowie, muszę o nie dbać – odpowiedział.

Myślałem wtedy, że jest kretynem. Dziś sądzę, że to ja nim byłem. Zagrałem w tym meczu, choć to ścięgno kurewsko mnie bolało. Myślę, że tak naprawdę było naderwane. Ruud zakończył karierę w wieku 39 lat, grając w Hiszpanii. Wciąż wygląda, jakby miał 21 lat. A ja myślałem wtedy, że jest idiotą.

Dobrze mi się układało z Ruudem. Właściwie ze wszystkimi chłopakami z zagranicy układało mi się dobrze, bardzo lubiłem ciągnąć ich za język. Żałuję, że nie byłem trochę jak oni – wyluzowany jak Dwight Yorke albo mądrzejszy jak Duńczycy, którzy potrafili o siebie zadbać. Nie byłem zazdrosny – intrygowali mnie, byłem po prostu ich ciekaw. Nie grać, jeśli masz kontuzję – to było bardzo rozsądne. Ja jednak byłem przekonany, że przerwa w grze z powodu nie najlepszej formy to oznaka słabości, bo trzeba być silnym i grać nawet z urazem. Ale mądrzy faceci nie będą w wieku 45 lat utykać ani wstawiać sobie protez stawów biodrowych. Moja mentalność była jednak inna – nie należy okazywać bólu, tylko go znosić. Nie wolno być słabym i trzeba grać nawet z kontuzją. Brian Clough nie tolerował sytuacji, kiedy któryś z graczy doznał urazu. Jeśli poruszał się o kulach, zabraniał mu wstępu na boisko. To, co kiedyś wydawało mi się bohaterstwem, było właśnie słabością.

– To jak, zawalczysz o nas?

Brałem środki przeciwbólowe i grałem. Nikt nie przystawiał mi lufy do głowy. Chciałbym mieć tę siłę charakteru, jaką mają moi zagraniczni koledzy, nawet w kwestii zmiany barw klubowych. Pod koniec ostatniego sezonu Nemanja Vidić oznajmił nam, że odchodzi z United. Nie zadręczał się pytaniami w rodzaju „co inni o mnie pomyślą". Po prostu powiedział, że odchodzi. W United przez cały sezon grał bardzo dobrze. Zagraniczni gracze nie boją się zadbać o siebie.

– Grałem w klubie dwa lata, to wystarczy.

Kończą karierę, mając wiele doświadczeń z wielu różnych krajów.

* * *

Strzeliłem gola w meczu z Leicester, który wygraliśmy 4:1.

Nie strzelałem już tylu goli co kiedyś. Zmieniała się moja rola w drużynie. Teraz częściej grałem w środku pola. Myślę, że nasz menedżer i jego pomocnik, Carlos Queiroz, mogli mieć wątpliwości, czy jestem na tyle zdyscyplinowany, by wytrzymać na tej pozycji. Przywykłem, by zawsze przeć do przodu. Ale czułem się tam dobrze – mogłem się oszczędzać i korzystać ze swojego doświadczenia. Zmiana nadeszła w samą porę i bardzo mi odpowiadała. Wciąż lubiłem rzadkie teraz szanse znalezienia się w polu karnym. Nigdy nie byłbym typowym defensywnym pomocnikiem jak Claude Makélélé – on by się nie ruszył. Kiedy graliśmy z Leicester, nie musiałem pilnować dwóch środkowych połówek. We właściwym czasie mogłem pobiec w kierunku bramki. Jeśli zobaczyłem miejsce albo lukę, mogłem włączyć się do gry. I taka szansa się wtedy pojawiła – pobiegłem za obrońcami, a bramkarz, Ian Walker, wyszedł za daleko. Okrążyłem go i wbiłem piłkę do bramki.

Na początku 2004 znajdowaliśmy się na szczycie tabeli. Byliśmy jednak do tego przyzwyczajeni. Wygraliśmy 15 meczów, przegraliśmy 3 – z Chelsea, Southampton i Fulham. Jeden mecz zakończył się remisem.

Niektórzy z nowych zawodników próbowali jakoś się urządzić. Nie miał szczęścia Kléberson. Kiedy tylko przyjechał, doznał poważnego urazu. Przywiózł do Anglii swoją dziewczynę, bardzo młodą, w zaawansowanej ciąży. Trudno było mu się przystosować i poświęcić grze na tyle, by mieć na swoim koncie kilka dobrych wystąpień, kilka dobrych meczów i nabrać pewności siebie. Nie było też łatwo Ericowi Djemba-Djemba (naprawdę fajny gość) – trudno mu było wstrzelić się w dobrą serię meczów. David Bellion trafił do nas z Sunderland. Kolejny miły facet, ale według mnie nasz klub to była dla niego za wysoka poprzeczka. Kiedy grałem w United jako młody chłopak, w drużynie pojawili się jeszcze Nicky Butt i Paul Scholes. Teraz odchodzili gracze podobni Beckhamowi i Jaapowi Stamowi, a ja przyglądałem się nowym i myślałem, że nie wypełnią luki. Niektórzy z nich mierzyli po prostu za wysoko.

Zawsze mieliśmy świetną atmosferę w szatni, co jest niezwykle ważne. Pamiętam, kiedy dołączył do nas Diego Forlán. Dla niego nie było to jakieś specjalne wydarzenie. Jeśli zawodnik naprawdę się

starał, my też próbowaliśmy pociągnąć go za sobą i mu pomóc. Chwaliliśmy go na treningach i meczach, nie wchodziliśmy mu na ambicję. Diego był uczciwy, więc jeśli coś mu się nie powiodło na treningu, mówiliśmy, że następnym razem będzie lepiej. Nikt nie rzucał: „Tylko na tyle cię, kurwa, stać?".

Ciekaw jestem, jaka dzisiaj jest atmosfera w naszej szatni. Kiedy odchodzi taki menedżer jak Alex Ferguson, jego następca potrzebuje pomocy, by wszystko ogarnąć. Czy to znaczy, że każdy zawodnik musi polubić nowego menedżera i jego zespół trenerów? Czy drużynie musi podobać się nowy sposób prowadzenia treningów? Nie. Patrzę na obecnych zawodników i myślę, że mogliby grać znacznie lepiej. Oczywiście, można wysuwać argument, że motywowanie drużyny jest zadaniem menedżera, ale brak sympatii dla trenera, bez względu na to, czym spowodowany, nie może być usprawiedliwieniem dla zawodników, którzy wychodzą na boisko i nie dają z siebie wszystkiego. Kiedy patrzę na to, co stało się z Davidem Moyesem, myślę, że nie miał silnego wsparcia w szatni. Jeśli niektórzy zawodnicy nie byli w stu procentach za swoim menedżerem, to wszyscy wrzucali na luz. Mogą zdarzać się konflikty osobowości, spadek formy, można mieć kryzys związany z kontuzją, klub może przechodzić restrukturyzację – ale zawsze rolą piłkarza jest wybiec na boisko i dać z siebie wszystko. Nie wydaje mi się, że wszyscy zawodnicy United o tym pamiętają. Na pewno nie, inaczej nie zakończyliby sezonu tak daleko od szczytu tabeli. Zawsze obserwując ich, myślałem: „Możecie grać lepiej".

Kiedy Diego odchodził, chciał się z nami pożegnać. Zazwyczaj zawodnicy po prostu wyjeżdżają – do innego klubu, innego kraju. Ale Diego pożegnał się.

– Wyjeżdżam, Roy.

Uścisnął mi dłoń.

– Gdzie jedziesz?

– Do Villarreal.

O Villarreal właśnie zaczęło być głośno w Hiszpanii.

– A gdzie to jest? – zapytałem.

– Dwadzieścia minut od plaży.

Zaczęliśmy się śmiać.

– O tym marzyłeś – powiedziałem.

Diego zdecydował się na ten ruch, żeby rozwijać świetnie zapowiadającą się karierę. Nie byłem zaskoczony. W United po prostu mu nie wyszło.

Zadzwoniłem do niego, kiedy prowadziłem drużynę Sunderland. Właśnie awansowaliśmy. Był w Hiszpanii. Zapytałem, czy byłby zainteresowany przejściem do Sunderland.

– Jasne – powiedział – ale mam w kontrakcie klauzulę odejścia.

– Jaką?

– Trzydzieści osiem milionów euro albo coś koło tego.

– Zadzwonię jeszcze – powiedziałem.

Ale już nie zadzwoniłem.

Nie przypominam sobie w szatni United żadnych kiepskich gości – marne podejście, słaby czas. Można zapytać, czy niepunktualność czyni kogoś złym? Owszem, w szatni pełnej zawodników głodnych zwycięstw. Jeśli trening zaczyna się o 10.30, a zawodnik przyjdzie o 10.20, uważam, że jest to spóźnienie. Oficjalnie – o czasie, ale jednak za późno. Jeśli nie przyjdziesz o 10.00, żeby pogadać trochę z chłopakami, rozgrzać mięśnie i pójść na masaż, jesteś spóźniony. Przygotowanie do treningu to połowa treningu.

Spodziewałem się więcej po Verónie. Byłem zadowolony, kiedy dołączył do nas w 2001. Grał na mojej pozycji, ale konkurencja dobrze robiła zarówno klubowi, jak i mnie. To mnie utrzymywało w nieustannym napięciu. Nigdy nie czułem się urażony, że przyjechał ktoś nowy, nawet jeśli grał na tej samej pozycji co ja. Nie do końca dotyczyło to Verón, ale technicznie był naprawdę dobry. Może z powodu boisk, pogody nie odpowiadała mu gra w angielskich klubach… Czasem naprawdę trudno dociec, o co może chodzić.

W przypadku wielu zagranicznych graczy – dziś chyba rozumiem ich lepiej niż wtedy, kiedy byłem młodym zawodnikiem – główną rolę grała kultura albo pogoda – całe otoczenie. Wszystko, co mnie samemu wydawało się oczywiste.

– Ale o co chodzi z tą pogodą?

Często rozmawiałem z Ronaldo i Mikaëlem Silvestre, skarżyli mi się wtedy właśnie na pogodę.

– Przecież podpisując kontrakt, wiedzieliście, że w Manchesterze kurewsko często leje deszcz.

– Wiedzieliśmy, ale nie sądziliśmy, że aż tak!

Wiedząc, że zawodnik z zagranicy dostaje tygodniowo 50 albo 60 tysięcy, trudno mieć cierpliwość i czekać, aż przyzwyczai się do nowego środowiska. Jeśli o wpół do jedenastej lubi wyskoczyć gdzieś na cappuccino albo wieczorem posiedzieć na balkonie, a tu nagle o wpół do piątej robi się ciemno i jest zimno jak cholera, na pewno go to zmieni. Wszyscy mi to mówili. Fabien Barthez i Laurent Blanc lubili w przerwie meczu palić razem w toalecie; są Francuzami, więc palą. Gdyby byli Irlandczykami, wywaliłbym ich stamtąd i zwyzywał od gówniarzy.

Kiedy dołączyłem do United, miałem szczęście, ponieważ pomogło mi wiele osób, nawet ludzie z obsługi, ale przede wszystkim inni zawodnicy. Wystarczy mały gest, aby poczuć się mile widzianym. Zwykły drobiazg – nie potrzebowałem przecież wielkiej zachęty. Nie wiem, czy ma to miejsce teraz w przypadku zagranicznych zawodników; nie wolno jednak zapominać, jakie to istotne.

Straciliśmy Beckhama. Przykro było patrzeć, jak odchodzi, ale to musiało nastąpić. Stało się oczywiste, kiedy Becks i nasz menedżer doszli do wniosku, że razem im już nie po drodze. Pewne decyzje odpowiadają wszystkim i ta była jedną z nich.

Między nim a menedżerem wciąż rosło napięcie. W poprzednim sezonie, po meczu piątej rundy Pucharu FA miał miejsce pewien incydent. Arsenal pobił nas wtedy na naszym boisku 2:0. Ferguson kopnął leżący przed nim na ziemi but i trafił Beckhama w łuk brwiowy. Więc kiedy Becks odszedł do Realu Madryt, nikt nie spadł z krzesła. To się zdarza. Gracze odchodzą w różnych okolicznościach. Nie pamiętam, czy Becks się pożegnał. Pod tym względem futbol jest okropny. Jaap Stam odszedł – po prostu zniknął! Znikają żony, znikają dzieci. Ludzie nie odchodzą do klubu po drugiej stronie ulicy – wyjeżdżają do innego kraju. Myślisz wtedy – taka jest ta gra. Tylko później dziwnie wszystko wygląda. Ale taka jest ta robota. Takie życie.

Jako zawodnik przypuszczam też, że trzeba patrzeć na to również przez pryzmat własnej kariery. Kiedy inni przychodzą i odchodzą, trzeba choć trochę o siebie zadbać. Becks był fantastycznym podającym i nikt go nie wyganiał z drużyny. Tu po prostu chodzi o interesy, takie, które odpowiadają wszystkim – zawodnikowi, drużynie, którą opuszcza, i klubowi, do którego się przenosi. To taka maszynka – jedni odchodzą, kolejni przychodzą. Wiedziałem, że dziś Becks, a jutro może ja.

Kiedy Ferguson kopnął ten but, byłem w szatni. To nawet było śmieszne, chociaż może nie w tamtej chwili. Wciąż byliśmy podłamani po przegranej z Arsenalem na Old Trafford. Wykopali nas z rozgrywek pucharowych na oczach naszych własnych fanów. Później wszyscy byli przekonani, że Ferguson celował tym butem w Beckhama, ale to był zupełny nonsens. Kopnął ten but, bo tak codziennie robi każdy menedżer. To, że oberwał Becks, to był czysty przypadek. Mógł trafić każdego albo nikogo, a trafił właśnie w niego. Zranił go tuż nad okiem. Menedżerowi nie wolno uderzyć zawodnika, nawet go dotknąć. Ale fakt, że oberwał właśnie Becks, był niemal komiczny. Menedżer naprawdę tego nie chciał; nawet gdyby próbował miliony razy, na pewno by się nie udało. To był wypadek.

Nie podobała mi się wrzawa medialna wokół tego zajścia, a atmosfera sensacji na pewno nie pomogła klubowi.

Inna sprawa. Któregoś dnia nasz lekarz, Mike Stone, przyszedł do szatni po treningu i powiedział Rio, by poszedł do gabinetu na testy antydopingowe. Czekała tam na niego specjalna ekipa, która mogła pojawić się w każdej chwili.

Rio zapomniał o tym. Po prostu wyleciało mu to z głowy, zapłacił jednak za to wysoką cenę. Został zawieszony na osiem miesięcy. Wątpliwości nie zostały zinterpretowane na jego korzyść, co było dość surowe. Dlaczego nie pojechali tego popołudnia do jego domu? Cały ten system mógłby być trochę bardziej elastyczny. Wygląda na to, że niepoddanie się testom jest równoznaczne z ich dodatnim wynikiem.

Nie tylko on na tym ucierpiał – ucierpiała również drużyna. Gdyby chodziło o mnie, gdyby to mnie lekarz wysłał na testy, poszedłbym. O czymś takim się nie zapomina. Tu nie chodzi o odebranie listu czy nowych butów. Z jednej strony nie zdarza się codziennie, by lekarz mówił ci, że masz iść na testy. Ale z drugiej strony ludzi z kiepską pamięcią też jest całkiem sporo.

Chodziło o Manchester United, więc sprawa stała się głośna. Wciąż jednak zastanawiałem się, dlaczego ekipa antydopingowa nie pojechała wtedy do domu Rio. Ale z punktu widzenia lekarza jesteśmy dorośli i tak należy nas traktować. Mówisz komuś, że ma iść na badania, i oczekujesz, że on to zrobi. Tak by się stało w każdej firmie. A może dać piłkarzom prawo interpretowania wątpliwości na ich korzyść? Żyją przecież w oderwaniu od rzeczywistości, niczym w bańce mydlanej… Czasem jednak, do kurwy nędzy, my też coś musimy – na przykład po prostu zrobić test.

Nie byłem wtedy zły, inni zawodnicy raczej też nie. Niestety, drużyna ucierpiała. Nie patrzyłem na Rio z myślą, że zrobił to celowo albo że był w tym jakiś ukryty zamysł. Myślę, że on rzeczywiście zapomniał. Wszyscy jednak za to zapłaciliśmy. Był świetnym graczem i brakowało nam go, zwłaszcza w drugiej połowie sezonu, kiedy mieliśmy rozegrać decydujące mecze.

Sam wielokrotnie poddawany byłem testom, zazwyczaj po meczach i chyba dwa razy podczas treningu. To było strasznie upierdliwe, zwłaszcza że nigdy nie miałem do nich wrogiego nastawienia. Każdy robi to, co do niego należy. Jeśli mecz jest wygrany, chcesz świętować z drużyną; jeśli przegrany – chciałbyś coś zjeść. Po meczu wszyscy są odwodnieni. Podczas Mistrzostw Świata w 1994 poddano mnie testom po meczu z Holandią, graliśmy w Orlando na Florydzie. Trzymali mnie tam prawie trzy godziny i to zaraz po tym, jak zostaliśmy wykopani przez Holendrów z turnieju. Gdybyśmy wygrali, pewnie szybciej nasikałbym im do tych pojemniczków.

W pierwszej połowie sezonu tylko jeden mecz zakończył się remisem, ale w drugiej – już kilka. Zremisowaliśmy z Newcastle, Leeds, Fulham, Arsenalem i Chelsea. Remisy w Premiership to jeszcze nie koniec świata, ale jeśli jest ich zbyt dużo, to może to mieć negatywny wpływ na taką drużynę jak Manchester United. Są dobre remisy – poza własnym boiskiem z Chelsea i Arsenalem – oraz złe remisy – na własnym boisku z Newcastle i poza nim z Fulham. Jeśli jednak jest ich zbyt wiele, dobrych czy złych, nie dają zwycięstwa. Pokonaliśmy Bolton i Southampton, a zwycięstwo na wyjeździe z Evertonem było fantastyczne. Louis Saha i Ruud strzelili po dwie bramki. Jeden z goli Ruuda był jego setnym w barwach United. Po pierwszej połowie prowadziliśmy 3:0, potem Everton doprowadził do wyrównania. Drugi, zwycięski gol Ruuda, z główki, padł pod sam koniec meczu. Potem przegraliśmy z Wolves i Middlesbrough.

Scholesy regularnie strzelał dla nas bramki. Był najlepszy z najlepszych. Ale ja nie wierzę w jego wizerunek pokornego „chłopaka z sąsiedztwa", on zna swoją przewagę. Wszyscy myślą, że mieszka w wynajętej kanciapce. Klasa 92' – sami dobrzy zawodnicy, ale ich rola w klubie była zbyt wyeksponowana. Klasa 92' wyrosła na klub w klubie, stała się marką. Zachowywali się jak niezależna drużyna i nie ukrywali tego. Ale wciąż wszyscy mieliśmy te same cele i ten sam głód zwycięstwa.

Wiedzieliśmy, że przechodzimy trudny okres. Nie było jednej głównej przyczyny, jak zawieszenie Rio albo odejście Beckhama czy sprawa, jaką wytoczył w sądzie nasz menedżer irlandzkim akcjonariuszom o to, kto jest właścicielem konia wyścigowego Rock of Gibraltar. Ale wszystko to razem wzięte na pewno nie pomogło i tworzyło wokół klubu złą atmosferę.

Spadek nie jest do końca normalny, ale może zdarzyć się każdemu klubowi. Ostatnio przydarzyło się to Barcelonie; a po tym, jak w poprzednim sezonie Ligi Mistrzów Real Madryt pokonał Bayern Monachium 4:0, zaczęto kwestionować strategię klubu, mówiąc, że Guardiola wszystko źle zaplanował. Naprawdę trudno utrzymać się na szczycie. Jedni zawodnicy odchodzą, inni próbują się zaaklimatyzować, niektórym się to nie udaje. W przypadku United

różnica jest taka, że poświęca się temu zbyt wiele uwagi i wyolbrzymia problem. Musieliśmy się nauczyć, jak sobie z tym radzić – to była integralna cecha klubu. Nie będzie arogancją stwierdzenie, że gra w Manchester United naprawdę wiąże się z dodatkowym obciążeniem. Naprawdę tak jest.

Zostaliśmy pokonani przez Liverpool na własnym boisku, z nimi zawsze gra się trudno. Na wyjeździe przegraliśmy z City 4:1, choć wtedy nie była to taka drużyna jak dziś. Nie mieli wówczas ani takich pieniędzy, ani zawodników. Nie grałem w tamtym meczu – ja nigdy nie przegrałem z Manchesterem City.

W czasie styczniowego okna transferowego dołączyło do nas kilku nowych zawodników. Louis Saha był dobrym graczem, kiedy był w Fulham, świetnie grał zwłaszcza przeciwko United, dlatego nasz menedżer widział go zawsze w najlepszej formie. Był miłym facetem, miał jednak dużo drobnych urazów. Myślę, że w jego przypadku mogło pojawić się pytanie o gotowość do gry w przypadku nawracającego bólu. Zawsze trzymał personel medyczny w pogotowiu – nie mieli chwili wytchnienia.

Nie przejmowałem się nigdy przegranymi meczami dopóty, dopóki mieliśmy jakieś cholerne szanse. Jestem również na tyle inteligentny, by rozumieć, że byliśmy w trakcie procesu zmian. To zawsze jest bardzo trudne i uciążliwe. I nie Norwich nas podgryzało, tylko Arsenal i Chelsea (jeszcze zanim dostali kasę i Mourinho), choć ledwo im się to udało, skończyli na drugim i trzecim miejscu.

Oczywiście nie siedzieliśmy bezczynnie, zastanawiając się, co jest grane. Musieliśmy znów ruszyć do przodu. Zarówno nas, jak i naszych kibiców ogarniała frustracja. Wiedzieliśmy jednak, że od sukcesu wcale nie dzielą nas lata świetlne. Mieliśmy Ronaldo, a w następnym roku miał dołączyć do nas Rooney. Obydwaj byli znakomici. Patrząc na nich, każdy myślał, że damy radę.

Piłkarze nie są głupi. W szatni zachowują się po cichu, o upadku imperium ani słychu. Zawodnicy wiedzieli, że nowi wkrótce się zadomowią, a Ronaldo miał raptem 17 lat. Wiedzieliśmy, że z czasem uda nam się rozwiązać nasze problemy.

Teraz drużyny Arsenalu i Chelsea były czarnymi końmi. Ale do odstrzału – jak swego czasu my.

W Lidze Mistrzów najpierw trzeba było przedrzeć się przez fazę grupową. Graliśmy z Rangersami, to był wspaniały mecz. Po raz pierwszy grałem na stadionie Ibrox. Byłem tam wcześniej jako kibic – kibic Celticu. Trenowaliśmy na tym boisku w wieczór poprzedzający mecz. Taki trening to wydarzenie raczej bez znaczenia, właściwie rozgrzewka. Ale kiedy wysiedliśmy z autobusu, zostałem „bardzo miło" powitany: „Ty draniu fenianie"[1]. Spodziewałbym się takich okrzyków przed meczem, ale nie przed treningiem. To raczej nie był facet przy bramie, ale ktoś na boisku.

Wygraliśmy 1:0. Gola strzelił Phil Neville. To była pamiętna chwila – nie dlatego, że nazwano mnie fenianem, ale dlatego, że Phil strzelił gola. Może niewiele. Potem zmiażdżyliśmy Rangersów na Old Trafford. Diego Forlán zagrał wtedy wielki mecz. Mając 15 punktów, wysunęliśmy się na czoło grupy. Zremisowaliśmy z Porto w fazie pucharowej. Zostałem usunięty z boiska w pierwszym meczu z Porto. Prowadziliśmy 1:0. Quinton Fortune kontynuował akcję po tym, jak ich bramkarz, Baía, upuścił piłkę po rzucie wolnym Scholesy'ego. A potem przegrywaliśmy 2:1. Benni McCarthy strzelił tego wieczoru dwa niemal niemożliwe gole. Jeden z nich to była nieprawdopodobna główka, był chyba wtedy na granicy pola karnego. Zaczęliśmy od świetnego wyniku 1:0 dla nas poza własnym boiskiem, a skończyliśmy na 2:1 dla przeciwnika – byłem przygnębiony. Przegrywaliśmy i tyle. Stałem na miejscu bramkarza, Baíi. On wysunął się do przodu, więc ja posunąłem się dalej. Nie nadepnąłem na niego, ale siedziałem mu na plecach. Użyłem jego pleców jako podpórki. Odwrócił się, jakby ktoś go postrzelił. Wszystko, co mogę powiedzieć, to to, że przegrywaliśmy 2:1, co wtedy mnie podłamało. Dziś rozumiem, że w Lidze Mistrzów, w meczu wyjazdowym, to przyzwoity wynik. Wtedy myślałem, że powinniśmy wygrywać każdy mecz.

Później, w szatni, czułem wstyd i byłem przybity. Menedżer nawet na mnie nie krzyczał. Po prostu wszedł i powiedział:

„Do kurwy nędzy, Roy”. Ani on, ani żaden z zawodników nie próbowali mnie opieprzyć za to, że dostałem czerwoną kartkę. Nie musieli. Sam czułem się wystarczająco paskudnie. Wiedziałem, że ich zawiodłem, że zawiodłem moją drużynę. Na nic by się zdały tłumaczenia. Gdyby inni zawodnicy próbowali coś powiedzieć, naskoczyłbym na nich. Zniósłbym atak menedżera, ale nie zawodników. Wiedziałem, że ich zawiodłem.

Musiałem oglądać drugą połowę z trybuny, z loży dyrektorskiej. To była męczarnia. Scholesy’emu nie uznano prawidłowego gola, podobno był na spalonym. Cholerny sędzia liniowy, ot i wszystko. Prowadzilibyśmy 2:0. W ostatniej chwili Phil wykonał rzut wolny, Tim Howard popełnił błąd – i było po nas. Mourinho przeskoczył linię boczną. A ja mogłem tylko na to patrzeć, to było okropne. Gdybym grał, wynik mógłby być inny. Każdy zawodnik powinien tak myśleć. Musisz zdawać sobie sprawę, że możesz wpłynąć na grę.

To było w 2004, drużyna Porto sięgnęła po zwycięstwo Ligi Mistrzów, po wygranym meczu z Monaco. Wcześniej Monaco pokonało w półfinale Chelsea. Monaco to przeciętna drużyna, Chelsea powinna była z nimi wygrać. Spieprzyli to.

Dzięki tym dwóm meczom z Porto wiedzieliśmy już, jak prowadzi grę Mourinho. Nie sądziłem, że nie był w pełni sprawny, kiedy biegał wzdłuż linii bocznej. Chodziło o Porto – wykopać Manchester to było coś. On chyba wiedział, że to była decydująca chwila w jego karierze. Ale nie jestem pewien, czy chciałbym dla niego grać. Za dużo zadaje się z mediami. Rozumiem, że ma taką potrzebę. Przychodzi jednak taki moment, kiedy masz dość tych wszystkich manipulacji. A już na pewno nie walnąłbym w oko trenera Barcelony. Lubię myśleć, że mógłbym pracować z Pepem Guardiolą. Podobają mi się jego styl, osobowość i sposób bycia.

Bardzo trudno było nam przejść do finału Pucharu Anglii. Każdy lubi cieplutkie remisy na własnym boisku, ale ja nigdy nie przejmowałem się trudnymi meczami. Zawsze kiedyś się kończą, a gdybyśmy zostali pokonani, nikt nie napisze, że to było potknięcie. Musieliśmy przejść cztery drużyny z Premiership: Aston Villę,

Manchester City, Fulham, a później, w półfinale – Arsenal. Atmosfera podczas meczu na stadionie Villa Park była wspaniała, ponieważ ten mecz był tak naprawdę finałem Pucharu. Tak właśnie do niego podeszliśmy i zdaje się, że Arsenal zrobił podobnie. Tego dnia na Villa Park został rozegrany finałowy mecz Pucharu Anglii. Wygraliśmy 1:0.

Są takie mecze, kiedy wiesz, że jeśli dasz z siebie wszystko – wygrasz. To wspaniałe uczucie i najlepszy sposób, by dojść do finału. Moglibyśmy dać z siebie wszystko w starciu z Arsenalem i Chelsea, a mimo to przegrać. Niemniej – o ile nie zrobilibyśmy nic głupiego – zamierzaliśmy pokonać Millwall.

Przygotowania do tego meczu były najgorsze, jakie kiedykolwiek przeżyłem. Nie czułem się najlepiej. Pojechaliśmy do Cardiff dwa dni przed finałem. Finałowe rozgrywki Pucharu odbywały się na Millennium Stadium w Cardiff, ponieważ Wembley był w remoncie. Każdy był zadowolony, bo Millennium był lepszy niż staruszek Wembley.

We czwartek zjedliśmy kolację w restauracji rybnej. Miałem trochę świra na puncie samopoczucia i zjadłem kilka małż. Właściwie nie wiem, dlaczego je wtedy zjadłem, bo nie przepadam za owocami morza. Dobra, wyglądały na zdrowe, przypominały ryby, a byłem blisko morza, no to je zjadłem. I to chyba przez te małże nie czułem się wtedy dobrze, choć i wcześniej nie czułem się najlepiej. Bałem się, że nie zagram w tym meczu, więc nikomu nic nie mówiłem. Nie chciałem narażać drużyny. Wiedziałem, że jestem na tyle sprawny i doświadczony, by jakoś przejść przez ten mecz.

W piątek zjadłem bardzo mało, a w dzień meczu nie jadłem nic. Myślałem wtedy, że skoro gramy z Millwall, to nawet jeśli tylko w dziesięciu procentach mam rację, damy radę.

Czułem się koszmarnie.

Jakieś dziesięć minut przed rozpoczęciem meczu, po rozgrzewce, wciąż byłem słaby. Poszedłem do kibla w szatni i rzuciłem pawia. Wreszcie poczułem się lepiej. Wypiłem bardzo dużo napojów energetycznych, Lucozade albo Red Bulla, i bez trudu zagrałem

w tym meczu. Byliśmy o wiele lepsi, więc gra nie kosztowała mnie zbyt wiele wysiłku.

Jednym z największych atutów Fergusona była umiejętność wyczucia grupy. Kiedy trzeba było rozmawiać z zawodnikami, zawsze wiedział, jakich użyć argumentów. Budując naszą motywację przed Millwall, rozmawiał z nami cały tydzień, co było podyktowane zdrowym rozsądkiem. Ale rano, w dzień finału, zebrał nas wszystkich w hotelu i mówił o nas – zawodnikach United: skąd jesteśmy, o mozaice narodowościowej w naszej drużynie. O każdym powiedział coś innego. Było to po prostu fantastyczne. Właśnie tego potrzebowaliśmy – poczucia dumy i wspólnoty. Trudno doszukiwać się w tym logiki – to było właściwe postępowanie we właściwym czasie. Od kiedy sam motywuję moją drużynę, często się zastanawiam, skąd biorą się moje słowa. Nie wiem, ale to właśnie one powinny paść w danej chwili. A tamtego ranka w Cardiff najważniejsza była właśnie duma. Wszyscy graliśmy w finale Pucharu. „Jestem z Mayfield i gram z Ruudem van Nistelrooyem i z wszystkimi tymi chłopakami – na przykład z Ronaldo z Portugalii. To niesamowite, że jesteśmy wszyscy razem". Tu nie chodziło o mecz z Millwall i nawet z finałem miało to niewiele wspólnego. Tu chodziło o nas jako drużynę. Ferguson zawsze trafiał w dziesiątkę. Tego dnia nie potrzebowaliśmy instrukcji taktycznych – żeby uważać na obrońców i środkowych pomocników przeciwnika, na Dennisa Wise'a, bo będzie podbierał piłki albo nas osaczał – żadnej z tych bzdur. Nasze podejście było, mówiąc oględnie, takie: „Pieprzyć Millwall, jesteśmy ludźmi United, zrobimy to, co dla nas właściwe, to nasz wspólny cel; to cudowne, że pochodzimy z różnych krajów, są tutaj nasze rodziny, zamierzamy wygrać ten mecz".

To był jedyny raz, kiedy grając w finale Pucharu Anglii, wiedziałem, że zwyciężymy. To nie była buta, ale przekonanie, pewność. Mieliśmy lepszych zawodników i nasze podejście było właściwe. Przez cały tydzień w prasie ukazywały się informacje o rozgrywkach Pucharu Anglii – Southampton przeciwko United w 1976, Sunderland wygrał z Leeds w 1973. Ale ja wiedziałem, że my nie przegramy. Byliśmy zbyt silni, żeby przegrać.

Zwyciężyliśmy 3:0.

Kiedy odbieraliśmy puchar i medale, mieliśmy na sobie repliki koszulki Jimmy'ego Davisa – z napisem „Davis" i jego numerem – 36. To był mój pomysł. Jimmy był świetnym młodym zawodnikiem. Wypożyczyliśmy go i grał chwilowo w Watford. Na początku sezonu, w sierpniu 2003, o piątej nad ranem wjechał w tył ciężarówki. Wszyscy byliśmy na jego pogrzebie. To była bardzo bolesna strata.

Tak oto zakończyliśmy sezon, zdobywając Puchar Anglii. Arsenal z kolei wygrał Premiership, ale od tamtej pory już mu się to nie udało. Stracili kilka silnych osobowości, niektórych nie udało się zastąpić. Osobowość jest równie ważna jak umiejętności.

Trzy

Tunel Highbury jest nietypowy, jak bardzo wąska alejka. Trudno tam uniknąć kontaktu cielesnego z innymi, nawet jeśli usilnie się próbuje.

Nasza rywalizacja z Arsenalem sprawiła, że wstąpił w nas nowy duch, poczuliśmy prawdziwą pasję. To było wspaniałe. Nienawidziłem ich. Oczywiście byłem też zazdrosny, bo wiedziałem, że są cholernie dobrą drużyną. Ale – było nie było – dzięki nim ja sam stałem się lepszym graczem. Musiałem być w jak najlepszej formie. Petit i Vieira na środku boiska, więc nie mogłem pozwolić sobie nawet na chwilę słabości. Kiedy przegrywaliśmy z nimi mecz, jako pierwszy musiałem uścisnąć im dłoń.

Drużyna Chelsea niosła nowe wyzwanie. Ale Arsenal był porażający. I ten tłum… Ich stare boisko, Highbury, to stadion w dawnym stylu. Niektórzy mówili, że ich boisko jest małe, ono jest jednak tej samej wielkości co wszystkie inne. Wydawało nam się też, że mieliśmy za mało czasu, żeby dobrze poznać Arsenal, natomiast ich fani wiedzieli o nas niemal wszystko. To stwarzało niesamowitą atmosferę.

Nigdy wcześniej nie spotkaliśmy się z tak zawziętą rywalizacją. W dzisiejszym futbolu kontakt fizyczny między zawodnikami nie jest już tak powszechny. Kluby kupują zawodników innego typu – świetnych technicznie, ale nie wojowników. Chociaż może to był po prostu taki czas. Nie chodziło tylko o mnie i Patricka – na murawie było wielu więcej rywali. Dzisiaj zawodnicy, wychodząc przez tunel na boisko, obejmują się przed meczem. Myślę, że wszyscy zawodnicy United zgodziliby się ze mną – my nienawidziliśmy Arsenalu. A chłopaki z Arsenalu nienawidzili nas.

Która drużyna była lepsza? Naprawdę trudno powiedzieć. Byliśmy jak dwóch zawodników wagi ciężkiej, którzy znęcają się nad sobą

nawzajem. Patrick był nowy. Jest młodszy ode mnie o jakieś pięć, sześć lat, ale tego nie widać. Był zawodnikiem siłowym. Bardzo ważnym dla swojej drużyny, podobnie jak ja dla United. Zawsze między nami iskrzyło. Nasz styl gry nigdy nie był przyjazny. To byłoby niemożliwe. I nie było tak, że skoro obydwaj byliśmy prawoskrzydłowymi, nie powinniśmy wchodzić w bezpośredni kontakt. Przeciwnie. Byliśmy na środku boiska i potrącaliśmy się w szybkich akcjach. To musiało prowadzić do konfrontacji. Przyznam, że jestem porywczy, ale nasza gra nie miała nic wspólnego z temperamentem. Obydwaj próbowaliśmy przejąć kontrolę nad boiskiem i grą. Byliśmy liderami, a jeśli lider dąży do ostrej konfrontacji, pozostali zawodnicy będą zachowywać się podobnie. To normalne. Patrick ma ponad 193 cm wzrostu. Naprawdę wielkie chłopisko. Niemniej zawsze starałem się patrzeć na jego wzrost jak na jego problem. Kiedy przyszło do podkręcanych piłek, ja byłem szybszy. Lepiej rozumiałem, co się wokół dzieje. Lepiej potrafiłem przewidywać i miałem lepszy kontakt z piłką. Ale w biegu on był szybszy. Powinien też być lepszy w podaniach główką, jednak ja miałem lepszy wyskok. Staczałem już wcześniej takie bitwy z Arsenalem, zanim zjawił się Vieira, kiedy grałem w Forest. Ścierałem się z Rayem Parlourem i Martinem Keownem. Grali też Paul Davis, John Jensen i David Rocastle. Wszyscy byli solistami.

Pierwszy mecz w nowym sezonie przegraliśmy na stadionie Stamford Bridge z Chelsea 1:0. Każdy chce mieć na koncie kilka zwycięstw, żeby jak najwcześniej nabrać rozpędu. Teraz, na gorąco, musieliśmy nadrobić zaległości. Grałem tego dnia w środku pola, co również nie zwiastowało dobrego początku sezonu. Gdyby to był luty albo marzec, nie byłoby jeszcze źle – można byłoby rozbudować zespół. Ale gra poniżej poziomu w pierwszy dzień sezonu – to nie wróżyło dobrze. Świadczyło o braku siły w zespole.

To był pierwszy mecz Mourinho w Anglii. Pamiętam tego gola – jak bardzo był ważny. Dzięki niemu wygrali z nami, a Mourinho od razu stał się kimś wyjątkowym. Dało im to pewność siebie i ten początkowy rozpęd. Trzeba pamiętać, że poprzedni sezon, jeszcze zanim pojawił się Mourinho, zakończyli z drugą lokatą. Jeśli chodzi

o gola – to ja chyba mogłem zagrać lepiej. Kiedy Guðjohnsen biegł, żeby wykończyć akcję, mogłem chyba przejąć jego główkę. Może…

Chelsea była tego dnia silniejsza, a my mieliśmy pecha. W tym meczu można było zobaczyć cały sezon, który dopiero się zaczynał. Prawie nam się udało, nie byliśmy tacy źli. Ale zawsze pozostawaliśmy w tyle. Chelsea wydała fortunę. Mieli Carvalho, Drogbę i Makélélé, a my byliśmy krok za nimi. Jednak zawsze podejmujemy walkę. Wygrali tylko 1:0, a to dużo znaczy. Grali pewnie, trudno byłoby ich pokonać. Miałem również wrażenie, że Mourinho nie zostanie z nimi długo. Nie sądziłem, że będzie kolejnym Fergusonem czy Wengerem, że zbuduje własną dynastię.

Drużyna Chelsea była bardzo silna, ale ja wiedziałem, że Rooney i Ronaldo będą lepsi za rok lub dwa. Panika nie miała sensu, zawsze wiedziałem, że się odbijemy, jak tylko dostaniemy jednego lub dwóch nowych graczy. Młodzi zawodnicy przychodzili przez akademię – Darren Fletcher, John O'Shea, Wes Brown.

Znaleźliśmy się w okresie przejściowym. Byłem doświadczonym zawodnikiem, więc zdawałem sobie z tego sprawę. Oczywiście menedżer nic takiego nam nie powiedział, mnie też nie. Ale grałem w United ponad dziesięć lat, dlatego rozumiałem, że wiele rzeczy musi się zmienić. „Poczekamy, zobaczymy". Nie mogło to jednak trwać zbyt długo, bo przecież każdy chciał wygrywać. To nie było tak, że w szatni mówiliśmy sobie: „Spoko, jesteśmy w trakcie zmian, przegrajmy z Fulham". Zawsze była przecież potrzeba wygrywania. Kibice nie chcą czekać do następnego sezonu, a my wciąż byliśmy dobrą drużyną.

Fani zawsze dostają kopa, kiedy w drużynie pojawia się superkontrakt. Gracze podobnie. Kiedy Wayne Rooney wchodzi do szatni, wszyscy czują się lepiej. Dołączył do nas na początku sezonu 2004/2005. I natychmiast został najlepszym z najlepszych. Już po pierwszym treningu wiedziałem, że tak będzie. Graliśmy przeciw niemu, niezwykle łatwo przychodziło mu znalezienie sobie na boisku wolnej przestrzeni. Przed grą z Rooneyem nie rozgrzałem się tak bardzo jak przed grą z Ronaldo. Wayne był trochę bardziej

wyluzowany, jest w końcu z Liverpoolu. Dowcipny i złośliwy. Ronaldo był trochę bardziej niewinny, zachowywał się jak siedemnastolatek, Wayne wydawał się dojrzalszy. Tylko raz zdarzył mi się zgrzyt z Wayne'em i nie miało to nic wspólnego z podaniem, jakiego spodziewałem się od niego, czy zwrotem taktycznym.

Piątkowy wieczór przed meczem. Byliśmy w hotelu, nie pamiętam gdzie. Cała drużyna zazwyczaj razem jadła kolację, około 7.00 wieczorem. W sali był duży telewizor. Chciałem oglądać ligę rugby, akurat transmitowano ważny mecz. Poszedłem do toalety, a kiedy wróciłem, okazało się, że ktoś zmienił kanał na jakiś głupi program. Nie pamiętam, co to było. Siedziało tam kilku chłopaków, wszyscy chichotali.

– Gdzie jest mecz rugby? – zapytałem.

Wiedziałem, że Wayne miał z tym coś wspólnego, widziałem to po jego minie.

– Gdzie pilot?

– Nie wiem – odpowiedział.

– Właśnie, że, kurwa, wiesz – rzuciłem.

Nie wyskoczyłem stamtąd, bo nie mogę przecież wkurzać się brakiem pilota. Zdecydowałem, że resztę meczu obejrzę w pokoju.

Następnego ranka, przed meczem, zszedłem na śniadanie. Szybko zapominam o takich rzeczach. Jednak Wayne był na tyle odważny, że podszedł do mnie i zapytał, czy znalazłem pilota. Chyba mu powiedziałem, żeby poszedł się walić.

To był jedyny raz, kiedy się poprztykaliśmy. Zdaje się, że później, w jednej ze swoich książek (ma kontrakt na dziesięć) napisał, że wysłałem do jego pokoju ochroniarza, żeby przyniósł pilota. Ale to bzdura.

Alan Smith przyjechał z Leeds i zaczął naprawdę dobrze. Miałem z nim dobry kontakt. Jedyna rzecz, która mnie powaliła, to to, że nigdy nie pił. Dlatego trochę odstawał. Wychodził z nami wieczorami, wygłupiał się i nabijał z każdego, siedział do bolesnego końca. Wtedy już raczej nie piłem, więc kończyliśmy wieczór na gadaniu. Wtedy już tylko my dwaj byliśmy w stanie cokolwiek powiedzieć.

Z pozycji napastnika przeniósł się na pozycję pomocnika. Myślę, że mógł mieć problem z wywalczeniem sobie wyjściowej pozycji w charakterze napastnika. Być może menedżer myślał o nim jako o zastępstwie dla mnie, ale ja nigdy nie czułem, by mi zagrażał. Grałem przeciwko niemu na kilku treningach i myślałem, że faktycznie ma szansę. Ale nigdy tak naprawdę nie zaczął. Nie chodziło o to, że nie wykorzystał w pełni swoich możliwości. Nie dostał po prostu odpowiedniej szansy. Te, które miał, to takie, których nikt nie chce. Kończą się kontuzjami.

Innym dobrym zawodnikiem był Gabriel Heinze. Był wrednym skurwielem – wrednym na treningach. Pewnego dnia doznałem urazu. W większości to była moja wina. To był piątek. Następnego dnia mieliśmy grać na naszym boisku ze Spursami. Zawsze dzień przed meczem na własnym boisku mamy lekki trening. Ale ten trening okazał się dość paskudny. Skończył się tym, że miałem z Gabbym kilka fauli. Przywalił mi kolanem w nogę, a ja – bohater – nic nie powiedziałem, bo nie chciałem iść do lekarza, chociaż umierałem z bólu.

Następnego dnia wyszedłem z domu, kulejąc.

Powiedziałem żonie, że nie będę w stanie grać, pojadę tylko, żeby im to powiedzieć.

Dojechałem do Old Trafford i utykając, wszedłem do szatni. Wziąłem środki przeciwbólowe i zagrałem. Moja żona powiedziała, że najśmieszniej było usłyszeć w radiu moje nazwisko po tym, jak rano ledwo wyszedłem z domu.

Ale lubiłem Heinzego. On sam później doznał poważnej kontuzji – więzadła krzyżowego. Wielu chłopaków, którzy dołączyli wtedy do klubu – Smudge, Gabby, Louis Saha – miało prawdziwego pecha do kontuzji.

Szatnia się zmieniała. Młodzi zawodnicy wnoszą nową energię. Mogą być niedoświadczeni, ale nie ma w nich strachu. Starszy gracz, przegrywając w półfinale, jest zdruzgotany; młody myśli, że będzie grał w finałach przez następne 30 bądź 40 lat. Wnoszą do szatni tę swoją arogancję. Im byłem starszy, tym bardziej im tego zazdrościłem. Im dłużej jesteś na boisku, tym mniejsze masz szanse, by cokolwiek wygrać. Tym mniejsze są szanse, że twój kontrakt

zostanie przedłużony. Coraz większe, że doznasz kontuzji. Młodzi gracze nie miewają takich myśli.

Przyjechało jeszcze więcej zawodników. Gerard Piqué był świetnym facetem i dobrym graczem. Ale nie zagrał w serii meczów i chciał wracać do Barcelony. Świetnie tam sobie radził! Nikt chyba nie przewidział, że tak dużo tam osiągnie. I te opinie, że nie jest dobrym obrońcą – jest jednym z najlepszych. Naprawdę wie, jak to się robi.

Naprawdę dobrym zawodnikiem był Giuseppe Rossi. Ale w United nie było mu łatwo. Grał w ataku, trudno jednak było mu się dostać do podstawowej jedenastki. Giuseppe ma włosko-amerykańskie korzenie i podczas jednego z pierwszych treningów z pierwszą drużyną dostał ode mnie opierdziel – chyba dlatego, że nie podał do mnie piłki, choć byłem na lepszej pozycji. Spojrzał tylko na mnie i nic nie powiedział. Ale wiem, co myślał: „A może byś się tak odpierdolił?".

Odwróciłem się i pomyślałem, że podoba mi się to.

Gdyby coś powiedział, naskoczyłbym na niego. Ale on od razu na mnie spojrzał, a wyraz jego twarzy mówił wszystko. Prawie uścisnąłem mu rękę. Polubiłem go już pierwszego dnia.

Próbowałem go zaangażować, kiedy byłem menedżerem Sunderland. Bardzo żałuję, że mi się to nie udało. Byłem w trakcie zdobywania licencji menedżerskiej UEFA, kiedy dostaliśmy od United pozwolenie, by rozmawiać z Giuseppe. Miałem tego wieczoru wykład i poprosiłem o pozwolenie, by pojechać do Altrincham, w Manchesterze, żeby spotkać się z Giuseppe. Umówiliśmy się we włoskiej restauracji. Pojawił się w asyście ośmiu agentów. Trzej z nich to byli Włosi. Przyszedł również jego ojciec. To było zupełnie jak scena z *Chłopców z ferajny*. Stwierdzam to bez żadnej złośliwości.

Siedziałem u szczytu stołu, próbując przekonać Giuseppe, by podpisał z nami kontrakt.

A oni na to: „Sprzedaj nam Sunderland".

Zasunąłem mu zatem mały bajer, który mógł potraktować jak kiepski żart, ale równie dobrze mogło mu się to spodobać. Powiedziałem, że właśnie awansowaliśmy i zapłacimy mu 8 albo 8,5

miliona, co jest naprawdę dużą kwotą dla kogoś, kto niewiele jeszcze osiągnął.

– Giuseppe – powiedziałem – mam w Sunderland dobrą orkiestrę. Ale potrzebny mi dyrygent. I ty byłbyś świetnym kandydatem.

Zaczęli coś szeptać między sobą, a ja myślałem, że albo idzie mi rzeczywiście dobrze, albo nic z tego.

Zakończyliśmy spotkanie. Byłem naprawdę zadowolony.

Giuseppe powiedział, że musi jeszcze sprawdzić, jakie ma jeszcze opcje do wyboru.

Kilka dni później podpisał kontrakt z Villarreal.

Zadzwonił do mnie i podziękował za wszystko.

Villarreal czy Sunderland? Rozumiem jego decyzję. Wokół Villarreal było wtedy głośno. Poza tym, jak powiedział mi wcześniej Diego Forlán, było stamtąd 20 minut do plaży.

Zremisowaliśmy trzy z pierwszych pięciu meczów i nie były to dobre remisy – z Blackburn, Evertonem, Bolton. Wygraliśmy z Liverpoolem i Tottenhamem, potem dwa kolejne remisy, z Middlesbrough i Birmingham. To nie najlepsza zapowiedź, bo nie tak wygląda forma drużyny wygrywającej ligę. Zawsze można mieć powolny start, ale nie byliśmy przyzwyczajeni do remisów. Remis z Chelsea byłby jeszcze do przyjęcia, ale było już ich zbyt wiele. W tym wszystkim chodzi przecież o wygrywanie.

Na naszym boisku pokonaliśmy Arsenal 2:0 i zakończyliśmy ich rundę 49 wygranych meczów. Nie grałem wtedy.

Tego lata pojechałem na detoks do kliniki w Mediolanie. Pojechał też Ryan Giggs i kilku jego kumpli. Był chyba z nami również David Bellion. Miejsce polecili nam zawodnicy z Francji. Reżim był bardzo ostry. Nic nie jedliśmy przez trzy albo cztery dni i słuchaliśmy wykładów na temat diety. Ja i tak byłem już na jakiejś swojej cudacznej diecie. Giggsy był już tam wcześniej i ostrzegł mnie, że nie będziemy nic jeść. Nie chciało mi się w to wierzyć, myślałem, że jednak coś nam dadzą. Zapłaciłem kupę forsy, więc nie mogłem, do kurwy nędzy, głodować cztery dni. Nigdy nie było tak, żebym nic nie jadł. Chciałem wyjechać już pierwszego wieczoru, ale zostałem.

Drugiego albo trzeciego wieczoru dali dam trochę soku marchewkowego. Dietetyk uznał, że jem za dużo czerwonego mięsa, więc powinienem je ograniczyć i jeść więcej owoców i warzyw.

Wróciłem do domu i przeszedłem na nową dietę. Miałem nie mieszać węglowodanów i białek. Ale – co dla mnie typowe – lubię ekstrema i przesadziłem. W ogóle nie jadłem czerwonego mięsa. Doprowadziło to niemal do mojego rozwodu, bo nie chciałem jeść tego co wszyscy w domu. Jadłem tylko zdrowe rzeczy, nie tykałem przekąsek. Żona gotowała dla piątki dzieci, a ja marudziłem, że chcę rybę i sałatkę. A jak wspomniałem wcześniej – nie przepadam za rybami, co znaczy, że próbowałem jeść to, czego właśnie nie lubię. Raz nawet, kiedy żona podała mi deser, poprosiłem, żeby zdjęła z niego śmietanę. Moja tkanka tłuszczowa została zredukowana do 3 albo 4 procent, byłem zbyt chudy.

Na kilka dni przed meczem z Arsenalem nie mogłem wstać z łóżka, a przecież nigdy nie chorowałem. Przyjechał do mnie nasz lekarz, Mike Stone. Niemal nie mogłem się ruszyć, nie miałem siły. Wiedziałem, że do meczu nie będzie poprawy, ale to bardzo źle, jeśli nie zagram, zwłaszcza z Arsenalem. Mike zapytał, co takiego robiłem przez ostatnich kilka miesięcy. Powiedziałem mu więc o detoksie w Mediolanie. Sam podjąłem decyzję, żeby tam pojechać. To było lato, więc nikt w klubie o tym nie wiedział, łącznie z naszym lekarzem.

Mike zapytał, jaką dietę stosowałem.

Powiedziałem, że kazali mi ograniczyć czerwone mięso.

– I co zrobiłeś?

– Całkiem je odstawiłem.

Mike pobrał mi krew. Nie zagrałem z Arsenalem. Leżałem przez trzy albo cztery dni. Przyszły wyniki. Nie miałem żelaza we krwi. Mike powiedział, że powinienem jeść czerwone mięso i wszystko, co lubię.

Próbowałem jeść i żyć jak francuski czy włoski zawodnik. Ale ja jestem Irlandczykiem. Tydzień lub dwa później przyjechała moja mama i zajęła się mną, jak należy. Tylko matki to potrafią. Mam kilka zdjęć z tamtego okresu. Chudzielec. Ciągle było mi zimno, nie byłem sobą. Przesadziłem. Poziom mojej tkanki tłuszczowej był taki

jak u maratończyka. Ale ja przecież byłem pomocnikiem, grałem kontaktowo, więc potrzebowałem ochrony.

Byłem zniesmaczony, że nie zagrałem w tym meczu, a po nim nie wziąłem udziału w walce w tunelu stadionu. Wiedziałem, że nie dałbym rady. W tym tunelu rzucali nawet pizzą, ale ja bym jej nie spróbował; nie była wystarczająco zdrowa.

Czułem się na tyle dobrze, żeby zostać rezerwowym w następnym meczu ligowym, z Portsmouth na stadionie Fratton Park. Phil Neville zastępował mnie, kiedy nie mogłem grać. Menedżer powiedział mi, że sadza mnie na ławce rezerwowych, bo Phil bardzo dobrze sobie radził w kilku ostatnich meczach.

– Ja radziłem sobie dobrze w ostatnich czterystu i kilku innych – odparłem.

Wiedziałem jednak, o co mu chodzi. Nie byłem zły. Siedziałem na ławce, kiedy przegraliśmy 2:0 i myślałem: „Powinienem grać". Jednak nie marudziłem. Trafiło do mnie, co mówił menedżer. Ale kiedy ja gram w United, to drużyna jest lepsza. Tak właśnie trzeba myśleć.

Pod koniec października zajmowaliśmy 17. miejsce w tabeli. To była prawdziwa obraza.

Zawsze wiedziałem, że urazy to część gry. Każdy pomocnik musi zdawać sobie z tego sprawę. Ale to, że nie zagrałem wtedy z Arsenalem przez moją dietę, to była wpadka.

Miałem dwie operacje na przepuklinę, operację stawu kolanowego, być może nieprawidłowo wyćwiczonego w młodości. Miewałem połamane żebra, poranioną głowę – to przecież normalne obrażenia pomocnika. No i, oczywiście, więzadło kolana. Długo nie grałem, osiem, dziewięć miesięcy. Dzięki temu trochę dojrzałem. Dużo wtedy piłem. Miałem 26, 27 lat, może byłem nieco młodszy.

Zatrzymała mnie kontuzja – biodro. Poprzedniego wieczoru byłem w Dublinie. To było chyba w 2001, odwalałem jakąś chałturę dla Diadory. Było naprawdę późno, sporo wypiłem, jak to w czasie takich sesji. Następnego dnia byłem z powrotem na treningu w Manchesterze. To nie był ciężki trening, trochę pobiegałem

i poczułem coś w biodrze. Nie jakiś rozdzierający ból, ale coś dziwnego.

Później grałem jeszcze przez kilka miesięcy, w końcu jednak musiałem się tym zająć. Pojechałem do Richarda Villara, specjalisty z Cambridge. Sprawa była tajemnicza, bowiem rzadko w futbolu zdarzają się urazy biodra. Zazwyczaj to przepuklina, połamane nogi, kolana, skręcone kostki, więzadła… Ale biodro – to coś niepokojącego. To taki rodzaj operacji, na który raczej nikt nie ma ochoty się wybrać. Zresztą to temat tabu – problemy z biodrami przypisuje się raczej ludziom starszym. Ale ten ból był nienaturalny. Musiałem brać dużo środków przeciwbólowych, żeby grać.

Prawdopodobnie chodziło o wieloletnie uprawianie sportu, a zwłaszcza o siłowy sposób, w jaki grałem – zwroty, skręty… Popijawa w Dublinie też mi nie pomogła. Może następnego ranka biegałem w inny sposób, poza tym byłem niewyspany.

W końcu zrobili mi operację. Okazało się, że od stawu oddzielił mi się kawałek chrząstki, który trzeba było usunąć. Chirurg powiedział mi później, że nie był pewien, czy będę jeszcze grać, ponieważ chrząstka jest zniszczona. Powiedział, że kiedy wsunął skalpel pod chrząstkę, ta oddzieliła się jak cerata od stołu. Pokazał mi zdjęcia – chrząstka rzeczywiście wyglądała jak cerata. Wróciłem do gry, ale wciąż czułem ból. Wiedziałem, że nie wszystko jest tam w porządku.

Kiedy wracasz po wyleczeniu poważnej kontuzji, wiesz, że z medycznego punktu widzenia wszystko jest w porządku. Ciągle jednak musisz się zmagać z tym, co siedzi w twojej głowie. Chirurg zasiał we mnie kilka wątpliwości. Jakie jeszcze zniszczenia sport poczynił w moim organizmie, zwłaszcza w chrząstkach? Na co powinienem uważać? Parę lat później miałem jeszcze kilka operacji, zmieniłem jednak podejście. Zdecydowałem, że jest, kurna, jak jest, ale spróbuję iść dalej.

Żeby było śmieszniej, to zesztywnienie mi odpowiadało. Miałem bardzo mocne ścięgna kolanowe, od zawsze. Poczucie „usztywnienia” pasowało do mojej osobowości. Nie sądzę, bym miał być zbyt elastyczny. Zagraniczni gracze ciągle się rozciągali, dotykając palców u nóg. Mikaël Silvestre umiał nawet głową

dotknąć stóp. Ścięgna bolały mnie od samego patrzenia. Ja bym tak nie potrafił. Zbliżając się do końca kariery, zacząłem trochę bawić się w jogę, ale od początku wiedziałem, że to na nic. Wmawiałem sobie, że jestem giętki. Choć znałem swoje ograniczenia, zdawało mi się, że mogę uprawiać gimnastykę. Tak samo było z jedzeniem – próbowałem być kimś, kim nie jestem. I ciągle doznawałem urazów. Biodro przeszkadzało mi w codziennym życiu – w prostych czynnościach, jak podnoszenie dzieci czy wysiadanie z samochodu. Kiedy wróciłem po urazie więzadła, wszyscy pytali, jak tam moje kolano. Ale ja już o tym nie myślałem. Problem z biodrem był jedynym, który odczuwałem tak długo.

Kiedy jest zimno albo gdy kopię piłkę z synem, rzeczywiście je czuję. Czasem też, kiedy źle usiądę w samochodzie albo samolocie, zaraz sztywnieję. Możliwe, że za jakiś czas będę potrzebował wymiany stawu biodrowego, ale póki będę o siebie dbał, mogę to odsunąć w czasie. Wszystkie ćwiczenia, jakie robię, muszę wykonywać w pozycji wyprostowanej – pływanie, jazda na rowerze, spacery. Żadnych zwrotów ani skrętów.

Wygraliśmy cztery mecze z rzędu – z Newcastle, Charlton, West Brom i Southampton. Wiedziałem, że wygramy te mecze, no ale trzeba wyjść na boisko, żeby to zrobić. Newcastle zawsze wzbudzało we mnie niepokój. Dwa razy na ich boisku dostałem czerwoną kartkę. Miewałem starcia z Shearerem i Robem Lee. Zawsze myślałem, że to banda arogantów, chociaż, kurwa, wszystko wygrywali. My zawsze uzyskiwaliśmy przyzwoite wyniki na stadionie St. James Park. To całkiem fajne miejsce do gry. Ale ich kibice – Toon Army, wszyscy lokalsi i cała ta wroga otoczka powitalna – trudno zakochać się w takim gównie.

Poza naszym terenem zremisowaliśmy z Fulham, ale potem mieliśmy kolejną rundę zwycięstw w grudniu i w czasie świąt. Pokonaliśmy Crystal Palace, Bolton, Villa i Middlesbrough. W Nowy Rok zajmowaliśmy trzecie miejsce w tabeli, po Chelsea i Arsenalu.

Spotkałem się z Brianem Kerrem, nowym menedżerem drużyny Irlandii w 2003, zaraz po tym, jak objął stanowisko. Rozmawialiśmy

o możliwości ponownego zaangażowania mnie w reprezentacji Irlandii. Zostało jeszcze sześć meczów kwalifikacyjnych do Euro. W końcu jednak odmówiłem, bo i tak już za dużo miałem na głowie, a chciałem wrócić do pełni sił. To było niedługo po operacji biodra.

Jakiś czas później znów się z nim spotkałem, w hotelu Alderley Edge, w Manchesterze. Pracowałem przy promocji Irish Guide Dogs i myślałem, że męczy mnie jedna niedokończona sprawa. Czułem się już lepiej i byłem silniejszy. Sugestia spotkania wyszła chyba od mojego prawnika, Michaela Kennedy'ego. Zastanawialiśmy się, czy powinienem wrócić na eliminacje Mistrzostw Świata 2006. Wiedziałem, że United będzie temu przeciwny i będą z ich strony naciski, żebym tego nie robił. Byłem już w takim wieku, że każdy menedżer miał prawo myśleć, iż moim priorytetem powinien być klub – zwłaszcza z powodu historii moich kontuzji. Poza tym gra w reprezentacji Irlandii to będą dodatkowe mecze i po tym wszystkim, co stało się po Saipan, całej tej awanturze i złej prasie, poddany będę dodatkowej presji. Zresztą to United wypłacał mi pensję, więc musiałem wziąć pod uwagę ich opinię.

Moja decyzja płynęła z głębi duszy. Podjąłem ją pod wpływem emocji. Po prostu miałem poczucie, że coś jeszcze muszę załatwić. Myślałem o rodzinie. Napawa mnie dumą, że jestem Irlandczykiem i pochodzę z Cork. Uczucie to nasilało się u mnie z wiekiem. Jeśli się wyjedzie i zamieszka w innym kraju, chociaż Anglia jest tylko o rzut beretem, można stracić poczucie, skąd się pochodzi. To normalne – człowiek się adaptuje i integruje. Zmienia się sposób działania i myślenia. Moje dzieci urodziły się i dorastały w Anglii. Często drażnią się ze mną, że kibicują Anglii. Ale kiedy się starzejesz, przychodzi taka chwila – może uczucie – kiedy myślisz, że nie wolno zapominać, o co tu idzie i skąd się pochodzi. Nie chciałem zawieść rodziny.

Gdybym spojrzał wtedy na to chłodnym okiem, nie wróciłbym do reprezentacji. Chodziło głównie o mój wiek – miałem 33 lata. Fizycznie i psychicznie było to kolejne obciążenie. Gra w środku pola i ogromne wymagania. Wszyscy oczekują cudów. Wiedziałem, że konsekwencje w United będę spore, że trzeba będzie zapłacić

za tę decyzję odpowiednią cenę. Menedżer nie będzie ze mną rozmawiał. Ale ani on, ani nikt inny nie mógł mnie powstrzymać.

Kiedy wróciłem na boisko, nie było żadnych problemów. Nawet powieka mi nie drgnęła. Nie było żadnych nieporozumień z innymi zawodnikami.

Lubię Briana i jedyna rzecz, jaka wydała mi się dziwna, to fakt, że nie zostałem kapitanem. Byłem nim wcześniej i odnosiliśmy sukcesy – doszliśmy do finału Mistrzostw Świata w Japonii i Korei. Poza tym byłem też kapitanem drużyny United.

Jednak kapitanem Irlandii był Kenny Cunningham. Grywałem z nim wiele razy na przestrzeni lat. Cieszył się w drużynie dużą sympatią. Organizował wycieczki szkolne, konkursy i zrzutki dla kierowcy naszego autobusu albo pani, która podawała nam herbatę. Większość chłopaków go lubiła.

Zawsze dość nonszalancko podchodziłem do roli kapitana drużyny. Często mówiłem, że chodzi tu głównie o to, by cię podrzucano. Nigdy nie podkreślałem, jak ważna jest pozycja kapitana, ani swojej roli w tym charakterze. Ale z wiekiem coraz bardziej zdawałem sobie sprawę, że jest wręcz niezbędna. I to nie tylko tradycja brytyjska. Wystarczy popatrzeć na wspaniałych kapitanów włoskich i hiszpańskich drużyn – Maldiniego, Dino Zoffa, Zanettiego, Raúla, Puyola. To inspirujący przywódcy. Kiedy na przykład kapitan Barcelony schodzi z boiska przed końcem meczu, przekazuje swoją opaskę zawodnikowi, który ma przejąć jego rolę do końca gry. Podczas ostatnich Mistrzostw Świata duński kapitan, van Persie, sam założył swoją opaskę na ramię Arjena Robbena, który go zastąpił.

Bryan Robson, Steve Bruce, Cantona – to wspaniali kapitanowie, z którymi grałem. Przewodzili w różny sposób. Robbo dawał przykład poprzez swoje podejście do treningu – sam od siebie wymagał wielkiego wysiłku. Był naprawdę fajnym gościem i lubił się napić. Bruce był bardzo przyjacielski, miał świetny kontakt z rodzinami zawodników. Miał niezwykle dużo uroku, zawsze znalazł dla każdego czas. Załatwiał bilety, jeśli ktoś potrzebował więcej dla rodziny czy przyjaciół. Zachowywał się niemal jak polityk. Świetnie dawał sobie z tym radę i wprowadził te metody

do sposobu zarządzania. Cantona przewodził samą swoją obecnością, miał bowiem niesamowitą charyzmę. Kapitan nie musi krzyczeć. Zdarzało się, że Éric w ogóle nic nie mówił.

Kiedy zaczynałem pracę w United, w każdym sezonie organizowane było losowanie. Pod koniec sezonu każdy z nas dostawał jakieś 800 funtów za pracę przy fantach, gazetkach klubowych albo naszych filmach. Tak było, zanim jeszcze wszystkie tego typu sprawy zostały ujęte w naszych kontraktach. Zarabialiśmy wtedy przyzwoite pieniądze i osiemset funciaków ani nas ziębiło, ani grzało. Więc któregoś razu w szatni zdecydowaliśmy wrzucić wszystkie czeki do kapelusza. Zawodnik, którego czek zostanie wyciągnięty jako ostatni, zgarnie wszystkie. Żeby zachować twarz, wszyscy wrzuciliśmy czeki do kapelusza. Wyłamało się tylko kilku młodych – chyba Becks, Gary i Phil – byli w klubie od niedawna i nie mieli za wiele pieniędzy. Ale Scholesy i Nicky Butt swoje wrzucili. Ostatnie wyjęte nazwisko zgarnia pulę – niezły szatniany numer. Wszyscy aż się spocili. Ja też. Myślałem, ile piw mógłbym sobie za to kupić. Mój czek był trzeci od końca, więc pożegnałem się ze swoją forsą. Ostatni był czek Érica Cantony. Wygrał jakieś 16 tysiaków.

Kiedy przyszedł następnego dnia, wszyscy mu dogadywali.

– Éric, ty cholerny farciarzu.

– Pieniążek, kurwa, do pieniążka, co?

Cantona znalazł kogoś w klubie, kto spieniężył czeki. Podzielił gotówkę na dwie kupki. Jedną dostał Paul Scholes, a drugą Nicky Butt. Éric powiedział, że ci dwaj mieli jaja, żeby przyłączyć się do zabawy, chociaż ich na to nie stać. Każdy z nich wrócił do domu z ośmioma tysiącami w kieszeni, co podłamało mnie jeszcze bardziej.

Myślałem jednak, że to wspaniały gest i nikt inny nie zrobiłby czegoś takiego.

Kiedy grałem w Forest, kapitanem był Stuart Pearce. Niezwykle błyskotliwy kapitan. Wspaniały zawodnik i trener, w tym czasie był również kapitanem brytyjskiej drużyny narodowej. Miałem szczęście do liderów dających przykład innym. Stuart kilka razy mnie obronił. Raz, kiedy miałem problem z moim kontraktem z Forest i byłem

krytykowany ze wszystkich stron. Brian Clough twierdził, że jestem chciwy. Próbował wywierać na mnie presję za pośrednictwem mediów – chciał, żebym podpisał nowy kontrakt. W szatni też pojawiały się różne komentarze, i nie były to żarty.

I wtedy wtrącił się Pearce.

– Dobra, chłopaki, a wy jesteście zadowoleni ze swoich kontraktów?

– No, jesteśmy.

– To zostawcie go, kurwa, w spokoju.

Kiedy zostałem kapitanem United, wiedziałem, że jeśli mi się nie powiedzie, winny będę tylko ja. Nauczyłem się dużo od Cantony, Stuarta Pearce'a, Robbo, Bruce'a. Wiedziałem, że muszę zająć się tymi wszystkimi upierdliwymi rzeczami spoza boiska – biletami, pomocą w załatwianiu żłobka czy przedszkola, przyjęciami świątecznymi. Ale trzeba o to zadbać – bo wszyscy tego oczekują. Któregoś razu zaprosiłem na przyjęcie gwiazdkowe Mikołaja i dopiero na zdjęciach, kiedy było już za późno, zauważyłem, że ten mój Mikołaj miał na palcach tatuaże… No, nie był to najlepszy pomysł.

Rola kapitana jest ważna, ale numery drużynowe też mają swoje znaczenie. W United „7" to numer ikona. Kiedy odszedł Éric Cantona, zastanawialiśmy się, kto będzie przewodził drużynie. Podchodziłem do tego na luzie. Ale była też kwestia jego numeru – „7". Przed Cantoną nosił go Bryan Robson, i oczywiście kiedyś należał do George'a Besta. Nasz menedżer wciągnął mnie do swojego gabinetu i powiedział, że to ja powinienem nosić numer „7".

Odparłem, że nie zależy mi na tym. Menedżer powiedział, że Becks będzie na pewno chciał ten pierdolony numer, a on nie chce mu go dać.

Takie tam przepychanki – kto jest silniejszy.

Nosiłem „16", od kiedy podpisałem kontrakt z klubem, i dobrze mi z tym było. Pewnie właśnie to trzymało mnie w stanie najwyższej gotowości, bo mój numer nie był pomiędzy 1 a 11. Nigdy nie czułem się „siódemką".

Powiedziałem, żeby dał ją Becksowi.

Dostał ten numer i dobrze się z nim czuł, podobnie jak Cantona. Później dostał go Ronaldo.

Tytuł kapitana znanej drużyny to niemal marka. Marka w obrębie innej marki. Kiedy skończyłem karierę, zauważyłem, że bardziej szanowany jestem za to, iż byłem kapitanem United, niż za to, że grałem w tej drużynie 13 lat.

Kapitan jest przywódcą. Myślę, że potrzebny jest ktoś, kto poprowadzi resztę, kto będzie stał na czele kolumny, za kim pójdzie każdy, kto będzie inspirował resztę. Sądzę, że powinienem być kapitanem drużyny Irlandii, nie chciałem jednak obciążać tym Briana. Nie chciałem, żeby wyglądało na to, że wrócę wyłącznie wtedy, jeśli zostanę kapitanem. Powinienem był jednak poruszyć to w rozmowie.

Myślę, że Kenny'emu podobał się rozgłos. Po meczu wszyscy wracaliśmy do szatni, a on przychodził ostatni, bo rozmawiał z reporterami telewizyjnymi. Trochę mnie to wkurzało, bo nie należy zapominać, gdzie jest twoje miejsce – najważniejsza jest drużyna.

Mój pierwszy mecz po powrocie do reprezentacji to był towarzyski mecz z Rumunią na Lansdowne Road[2]. Wygraliśmy 1:0, gola strzelił Matt Holland. Wspaniale być z powrotem – co za emocje! Zawsze uwielbiałem przejazd autobusem na mecz – dzieci z flagami, syreny policyjne – naprawdę to wszystko kochałem. Lubiłem też rewolucyjne piosenki w autobusie – taka tradycja. Jechaliśmy na stadion Lansdowne. Niedaleko hotelu utknęliśmy na chwilę w korku. Siedziałem przy oknie. Na zewnątrz stał dzieciak i patrzył na mnie.

– Witaj z powrotem – zawołał.

Wyglądał, jakby wrósł w ten chodnik.

– Dobrze być z powrotem – powiedziałem do siebie.

Sam mecz i hymn to już wielkie emocji. Nigdy nie lubiłem tego jeżdżenia w kółko, wszystkich tych podróży. Ale i autobus i mecz tak, nawet gdyby chodziło tylko o te dwie rzeczy i tak byłoby doskonale.

Naprawdę byłem zadowolony, że wróciłem, jednak konsekwencje mojej decyzji nieźle jeszcze miały dać mi w dupę. Zrobiłem wszystko, żeby zagrać ze Szwajcarią na wyjeździe we wrześniu 2004. To był drugi mecz fazy kwalifikacyjnej. Miałem wtedy popękane żebra. Doszło do tego kilka tygodni wcześniej, w meczu kwalifikacyjnym do Ligi Mistrzów, z Dynamo Bukareszt. Grałem co prawda w następnym meczu Premiership, z Norwich, ale żebra nie dawały mi żyć. Powinienem być wykluczony przez cztery albo pięć tygodni, ale po dwóch, trzech poczułem się lepiej. Nasz lekarz powiedział, że wszystko wygląda dobrze. Jednak nie grałem. Zadzwoniłem więc do Alexa Fergusona i powiedziałem, że chyba będę w wystarczająco dobrej formie, żeby zagrać ze Szwajcarią.

A on się naprawdę wkurwił.

– Twoja forma nie jest na tyle dobra, żeby z nami grać!

Mimo wszystko pojechałem i zagrałem. Zremisowaliśmy 1:1.

To był drugi mecz kwalifikacyjny. W pierwszym spotkaliśmy się z Cyprem na Lansdowne. Wygraliśmy 3:0, chociaż ja nie wystąpiłem z powodu połamanych żeber. Nie chciałem ryzykować w meczu, który był do wygrania. Próbowałem też trochę udobruchać United, nie grając w mało ważnym meczu. W Paryżu zremisowaliśmy z Francją 0:0. To nie była już ta stara francuska drużyna. Wielu zawodników, którzy wygrali Mistrzostwa Świata w 1998, przeszło na emeryturę. Powinniśmy byli wygrać w Paryżu. Mieliśmy pecha. Wygrywaliśmy z Izraelem 1:0 na ich stadionie, ale oni wyrównali w dogrywce. W meczu rewanżowym, na Lansdowne, prowadziliśmy 2:0, skończyło się jednak na remisie 2:2. Wiem – każdy sam odpowiada za własne szczęście. Niemniej czasem trzeba zrobić sobie przerwę, a Brian Kerr nie miał żadnych.

Graliśmy z drużyną Wysp Owczych kilka tygodni po finałowym meczu Pucharu Anglii United–Arsenal. Na początku tego meczu doznałem urazu i skończyłem z zerwaną pachwiną. Dostałem durną, żółtą kartkę w meczu z Wyspami Owczymi, chyba za kłótnię. Nie powinienem był grać, ponieważ byłem kontuzjowany. Zostałem zawieszony na następny mecz z Izraelem, który graliśmy na własnym stadionie. Oglądałem go z trybuny. Nie jestem hazardzistą, ale wykupiłem zakład, że pierwszego gola strzeli Ian

Harte, i tak się stało. Postawiłem jakieś 20 funciaków, a wygrałem kilka stówek. Mecz skończył się remisem 2:2. Podoba mi się myśl, że gdybym grał, zwyciężylibyśmy. Mogłem mieć taki wpływ na mecz.

Zremisowaliśmy z Francją w Paryżu, ale do ich przyjazdu do Dublina wielu ich najlepszych zawodników wróciło z emerytury.

Rozmawiałem o tym przed meczem z Mikaëlem Silvestre.

– Nie mogę uwierzyć, że oni wszyscy wrócili.

– Myślę, że dostali zachętę finansową – odpowiedział Mikaël.

Pobili nas 1:0.

Irlandia nie wyszła z grupy, ale podobała mi się gra pod wodzą Briana. Powinien był dostać więcej czasu. To był kolejny problem przy kwalifikacjach na Euro. Byliśmy tak blisko – ale wykończyły nas te dwa remisy z Izraelem.

Grałem w sześciu z dziesięciu meczów kwalifikacyjnych. W przypadku pozostałych czterech – albo byłem kontuzjowany, albo zawieszony. Cieszyłem się z powrotu, choć czułem się zawiedziony brakiem awansu. Wiedziałem, że nie wezmę już udziału w kolejnych rozgrywkach.

Na początku nowego roku wciąż byliśmy w niezłej formie. Pobiliśmy Liverpool i Villę, zremisowaliśmy ze Spursami i wciąż byliśmy na trzeciej pozycji, kiedy pojechaliśmy grać z Arsenalem.

Nie myślałem wtedy, że to będzie ważny mecz. Takie tam przepychanki. Znaczenia tej rozgrywce dodały okoliczności i rywalizacja. I kamery w tunelu na boisko – dzisiaj to standard, ale wtedy to była nowość. Później mi powiedziano, że kibice na zewnątrz oglądali wszystko na wielkich ekranach. Nie wiedziałem o tym, ale była to część budowania rozgłosu i całej historii.

Ale to, co najgorsze w tej całej aferze z tunelem, to fakt, że ja nie miałem z tym nic wspólnego.

Gary Neville przyszedł zobaczyć się ze mną zaraz po rozgrzewce. To był wieczorny mecz. Właśnie wróciliśmy do szatni. Gary powiedział, że niektórzy zawodnicy Arsenalu mówili mu w tunelu, że nie zamierzają tolerować naszego zachowania i będą na niego

czekać. Powiedzieli, że nie będzie już takich szopek jak we wcześniejszym meczu tego sezonu na Old Trafford. Dużo było tam wtedy kopniaków i przepychanek, w trakcie meczu i po nim. Zastępował mnie wtedy Phil. Biegał po boisku jak jakiś kamikadze i wpadał na każdego. Pewnie Gary ponosił teraz konsekwencje jego akcji.

Ale ja nie zwracałem specjalnie uwagi na słowa Gary'ego.

– E tam, Gary – powiedziałem.

Próbowałem się skoncentrować, skupiłem się na swoich zadaniach, chciałem być gotów do wyjścia na murawę. Nie przyłączyłem się do gniewnych wrzasków i porykiwań w szatni. Przygotowywałem się w ciszy i skupieniu. Ostatnie, czego było mi wtedy trzeba, to skargi Gary'ego na groźby w tunelu.

Miałem to w dupie. Przecież nie wszyscy go straszyli.

Ale tym ostrzeżeniem zasiał coś w mojej głowie.

Zawsze wchodziłem pierwszy do tunelu. Jako kapitan prowadziłem drużynę. Tunel Highbury jest nietypowy, jak bardzo wąska alejka. Trudno tam uniknąć kontaktu cielesnego z innymi, nawet jeśli usilnie się próbuje. Zawsze było tam napięcie. A nocne mecze jeszcze je potęgują.

Zapomniałem założyć swojej opaski kapitana, tak po prostu. Dlatego odwróciłem się, żeby wrócić po nią do szatni.

– Idźcie, chłopaki, za chwilę do was dołączę. Zapomniałem opaski.

Wróciłem, mijając swoich zawodników. Albert, nasz zaopatrzeniowiec, miał opaskę i założył mi ją na rękę.

– Powodzenia, Roy.

Kiedy wszedłem do tunelu, usłyszałem, że coś się dzieje na jego końcu. Zauważyłem kilka palców wycelowanych w Gary'ego.

Wkurzyłem się.

Jeszcze pięć sekund wcześniej, w szatni, byłem całkiem spokojny, gotów na mecz. Ale po tym, co Gary mi powiedział, pomyślałem, że fiuty rzeczywiście na niego czekają.

Mogliby kopać go na boisku, ale w tunelu? „Skurwiele" – myślałem. Próbowali go terroryzować. Byli dużą drużyną, a w tunelu nawet większą.

– No dobra, idziemy – powiedziałem do siebie.

Poszedłem w kierunku wyjścia. Wkurzyłem się, ale nie zapominałem o meczu, nie straciłem koncentracji.

– Zobaczymy się na zewnątrz – mruknąłem.

Czułem po prostu, że terroryzują Gary'ego. Nie sądzę, że to było zwykłe zastraszanie, oni go terroryzowali, a to różnica. Gdyby Patrick Vieira podszedł do mnie i powiedział, że mnie dopadnie, to byłoby zastraszanie. To byłby konflikt pomiędzy dwiema równie silnymi osobowościami. Ale Gary był cichy. Wydaje mi się, że chodziło im o jednego ze słabszych zawodników. Mówiąc „słabszych", nie mam na myśli dosłownego znaczenia – Gary to zawodnik o międzynarodowej pozycji, występował w 16 albo 17 drużynach, grał w Mistrzostwach Świata, wygrywał Ligę Mistrzów i zdobywał ligowe tytuły, ale nie miał odpowiednio silnej osobowości. Gdyby uwzięli się na takiego zawodnika jak Nicky Butt albo Wes Brown, nic bym nie mówił. W piłce nożnej zastraszanie jest legalne, ale terroryzowanie – nie. Nigdy nie szukałbym zwady z obrońcą, który nic by mi nie zrobił. Szukałbym ludzi z moją pozycją albo takich, którzy byli fizycznym wsparciem dla swojej drużyny. Zawsze myślałem, że mogą mi oddać. Nigdy nie natarłbym na chytrusa skrzydłowego albo drobnego obrońcę.

– Zobaczymy się na boisku.

O to mi chodziło. Uwielbiam piłkę nożną. Załatwimy wszystko na boisku, nie gdzieś po kątach.

W programie meczu przeczytałem, że Patrick wspiera działalność charytatywną w Senegalu, gdzie się urodził. Wspomniał, że bardzo chciałby tam wrócić.

– Jeśli tak bardzo kochasz Senegal, to czemu, kurwa, nie grasz w ich drużynie? – zapytałem.

Odpowiedział chyba jakąś błyskotliwą uwagą na temat Irlandii i Mistrzostw Świata. Pierdolenie dwóch dorosłych facetów.

– Dajcie spokój, dajcie spokój… – łagodził sędzia Graham Poll.

– Dam, kurwa, tylko nas wypuść.

Co ważne, to nie przeszkadzało mi w grze i nie sądzę, że wpłynęło na mecz. Myślę, że oni byli bardziej zaskoczeni. Wyszliśmy i zagraliśmy jak Brazylia. Wygraliśmy 4:2. Ale to, co się stało

w tunelu, było częścią szopki w telewizji, chociaż nie wiedziałem, że tam są kamery. Wszyscy mieli radochę. Byłem tam po to, żeby zrobić swoje. Wygrać mecz – wejść i wyjść. Ale to było trochę jak z tworzeniem atmosfery przed walką bokserską – ważenie, konferencja prasowa. Dzięki temu ludzie zapominają, że to będzie walka.

Wciąż mam jednak poczucie, że broniłem jednego z moich zawodników. Wiem, co jest właściwe, a co nie, a ich postępowanie tamtego wieczoru było niewłaściwe. Chociaż gdybyśmy zaczęli się bić, Patrick pewnie by mnie zabił. Ale nie mogłem tego tak zostawić.

Myślę, że dziś futbol nie ma już tej energii, nie ma w nim takich napięć. To było fantastyczne. Niemniej po upływie tylu lat wszyscy wciąż pamiętają historię z tunelu, a meczu – raczej nie.

Po tym meczu awansowaliśmy na drugie miejsce, za Chelsea.

Strzeliłem gola w następnym meczu, który wygraliśmy z Birmingham. To był mój pięćdziesiąty gol w lidze. Strzelić gola, i to gola jubileuszowego, to najlepsze uczucie na świecie. Miło pamiętać, gdzie był tył siatki. Wygraliśmy z City i Portsmouth. Wciąż byliśmy na drugim miejscu.

Musieliśmy zakwalifikować się do fazy grupowej Ligi Mistrzów, ponieważ w poprzednim sezonie zakończyliśmy Premiership na trzeciej pozycji. Przeskoczyliśmy Dynamo Bukareszt – w tym meczu połamałem żebra. Zremisowaliśmy ze Spartą Praga, Fenerbahçe i Lyonem. Nie grałem w żadnym meczu z Fenerbahçe. Dzięki temu najpewniej pogodziłem się z faktem, że nie w każdym meczu będę grał. Byłem częścią systemu rotacyjnego drużyny i minęło trochę czasu, zanim się do tego przyzwyczaiłem. Nie miałem problemu z opuszczaniem niektórych meczów, ale w najważniejszych chciałem grać. Zdobyliśmy drugą lokatę, po Lyonie, mimo że zremisowaliśmy z nimi na wyjeździe, a u nas wygraliśmy. Ale w ostatnim meczu przegraliśmy 0:3 z Fenerbahçe, więc w następnej rundzie mieliśmy o dwa punkty mniej niż Lyon, zrównaliśmy się z Milanem.

Dwa razy wygrali z nami 1:0. W meczu na naszym stadionie Roy Carroll nie był w stanie obronić wszystkich strzałów. To nie był jakiś wielki błąd, ale wykorzystał to Hernán Crespo, jak każdy dobry strzelec natychmiast zwąchał szansę. W kolejnej rundzie znów strzelił gola. Milan był wówczas najlepszą drużyną. To żaden wstyd przegrać z drużyną, która ma w składzie takich zawodników jak Nesta, Maldini, Pirlo i Kaká.

Nie dotarliśmy tam, gdzie chcieliśmy, ale mieliśmy tylko mały poślizg. Panika ogarnęłaby nas wtedy, gdyby to Fenerbahçe wykopał nas z rozgrywek, nie Milan.

Bill Beswick ujął to tak: „Sport to jedno wielkie rozczarowanie". Z każdym rozczarowaniem trzeba jakoś się pogodzić. Sport to nie tylko wzloty, nie ma ich wiele, to także porażki i kontuzje. Wielkie kariery okupione są wielkimi rozczarowaniami. Chodzi o to, jak sobie z nimi radzić. Trzeba patrzeć w przyszłość i skupiać się na pozytywach. W każdej negatywnej sytuacji można dostrzec pozytywy. Myśleć już o następnym meczu.

Ale to nie jest łatwe. To była jedna z moich największych słabości. Pogodzić się z rozczarowaniem. Nie czuć do siebie złości. Nigdy nie było mi łatwo się z tego otrząsnąć. Nie umiałem. Nie jestem pewien, czy najlepszy sportowy psycholog na świecie byłby w stanie mi pomóc, pracując ze mną nawet 24 godziny na dobę.

Ale jestem otwarty na psychologów w sporcie. Kiedy byłem menedżerem w Sunderland, mieliśmy Billa. To nigdy nie było obowiązkowe. Myślę jednak, że to bardzo ważne. Czy chodzi o jogę czy o dietę – to nie powinno być jak szkółka. W United wiedzieliśmy, że Bill jest pod ręką, jeśli będziemy go potrzebować.

Zawsze rozmawiałem z nim o czerwonych kartkach i napadach wściekłości, a on powtarzał, że moim głównym celem jest utrzymanie się na boisku przez 90 minut. Zdrowy rozsądek i bardzo cenna rada; jedna z najcenniejszych, jakie kiedykolwiek usłyszałem. Wcześniej radzono mi, żebym liczył do dziesięciu. Ale to nie dla mnie. „Chwila, jestem zły, raz, dwa, trzy…". Zatem rada Billa była naprawdę dobra i bardzo praktyczna. Aż do końca mojej kariery podrzucał mi takie cenne pomysły.

W 2005 roku oglądałem finał Ligi Mistrzów w Dubaju, o jakiejś drugiej w nocy. To był wariacki mecz. AC Milan kontra Liverpool. Nie czułem nigdy nienawiści do Liverpoolu, ale żebym skakał z radości, kiedy wygrali, to nie powiem. A o chłopakach z Milanu myślałem, że są pierdolonymi kretynami, skoro to przerżnęli.

Zaliczyliśmy w lidze spadek formy – dwa remisy, dwa mecze przegrane, dwa wygrane. Jeśli wiadomo już, że nie wygrasz ligi, tracisz pewność siebie, poczucie przewagi. Tak się stało w trakcie pierwszego meczu w sezonie, kiedy pokonała nas drużyna Chelsea. Oni byli coraz lepsi, a my wciąż o krok za nimi. Zakończyliśmy rozgrywki z trzecią lokatą, za Arsenalem. Chelsea zdobyła rekordową liczbę punktów. Kiedy pojawili się na Old Trafford, tytuł mieli już w kieszeni. Musieliśmy oklaskiwać ich na boisku. Wcale mi się to nie podobało. Nie lubię tego zwyczaju, nawet jeśli inne drużyny oklaskują nas. Ten aplauz zawsze jest nieszczery, nikt nie chce tego robić. Przeklinałem ich w myślach i miałem nadzieję, że moi chłopcy robią to samo. „Fiuty, cioty". Gdyby sytuacja się odwróciła, gdyby to oni oklaskiwali nas, wcale nie myślałbym inaczej o facetach z Chelsea.

W ostatnim meczu sezonu na St Mary's pokonaliśmy Southampton 2:1. Po tej przegranej drużyna Southampton wypadła z ligi. Awansowała drużyna West Brom – ich menedżerem był Bryan Robson, mój dawny kapitan. Nie grałem wtedy, siedziałem na ławce. Po meczu wdałem się w małą awanturę. Kiedy kończy się mecz, rezerwowi zawodnicy ćwiczą i biegają po boisku, jak tylko gracze przejdą do szatni. Rozciągaliśmy mięśnie na murawie, ale w pobliżu kręciło się kilku fanów Southampton i wyczuwało się napięcie. Wykrzykiwali do mnie: „Ty irlandzki skurwielu!" albo coś w tym stylu.

Odwróciłem się i powiedziałem coś w rodzaju: „Cóż, i tak idziecie na dno".

Było ich tylko kilku, ale zaczęli się awanturować. Wyglądało na to, że oni mogą mnie obrażać, ale ja im nic nie mogę powiedzieć. Pojawili się ochroniarze. Poprosili nas, żebyśmy zeszli z boiska.

Właściwie nas wyprowadzili. To znaczyło, że sobie nie pobiegamy. Niektórzy byli nawet z tego zadowoleni. Nie zdążyłem zastanowić się nad wypadnięciem Southampton z ligi, chociaż sam tego doświadczyłem, kiedy na początku kariery grałem w Forest. To bratobójcza wojna.

Mniej więcej w tym czasie Manchester United został kupiony przez Glazerów, co spotkało się z dużą wrogością fanów. Dla zawodników nie miało to większego znaczenia. Miałem kilka akcji klubu w kontrakcie, więc pojawienie się Glazerów to była dla mnie kwestia kilku funtów.

W finale Pucharu Anglii graliśmy z Arsenalem. Daliśmy im wtedy niezłego łupnia. Rooney i Ronaldo byli niesamowici. Powinniśmy byli wygrać. Ale Arsenal się nie poddał – to wspaniała cecha. Podziwiam ich za to. Mieliśmy tyle szans. Pod koniec drugiej połowy mój strzał zablokował Patrick Vieira. Po dogrywce wciąż było 0:0. Strzeliłem swojego gola z karnego, ale Paul Scholes spudłował. A Vieira trafił. To był jego ostatni mecz z Arsenalem. Latem przeniósł się do Juventusu.

Zaraz po rozpoczęciu meczu bardzo mocno oberwałem w klejnoty. Jakoś dawałem radę, ale dwa tygodnie później, po meczu z drużyną Wysp Owczych w reprezentacji Irlandii, musiałem zrobić tomografię. Miałem rozerwaną pachwinę. Nigdy wcześniej nie miałem takiego urazu. Próbowałem zablokować Patricka, a on przywalił mi kolanem dokładnie tam. Byłem ugotowany.

Było tak źle, że straciliśmy mecz finałowy, oprócz tego ja sam zdychałem. Tego wieczoru nie mogłem nawet usiąść na kiblu. Położyłem się około 22.00. Byłem bardzo spokojny. Wiedziałem, że graliśmy dobrze, że byliśmy wspaniali. To ten cholerny Arsenal. Daliśmy im łupnia, ale oni wygrali karniaki.

Rozumiem sport. Nawet jeśli dobrze się gra, zawsze można przegrać. Spójrz na tego kolesia w lustrze – to żaden wstyd przegrać, jeśli dało się z siebie wszystko. Garth Crooks z BBC chciał przeprowadzić ze mną wywiad – z kapitanem pokonanej drużyny.

Powiedziałem mu, że kiedy indziej, choć powinienem był się zgodzić. Ronaldo i Rooney byli najlepszymi zawodnikami na boisku. Powinienem był powiedzieć: „Zobacz, jak ci chłopcy grają. Chociaż Arsenal zdobył Puchar Anglii, wolę być tu, gdzie jestem". Arsenal też był wspaniały. Minęło dziewięć lat, zanim znów sięgnęli po pucharowe zwycięstwo. Nie chcę być jednak złośliwy. Wciąż podziwiam zarówno Arsenal, jak i Wengera.

Myślę, że nasz menedżer mógł być odważniejszy. Zamiast Roya Carrolla mógł postawić w bramce Tima Howarda. Skorzystaliśmy tylko z dwóch rezerwowych zawodników. Gdyby zrobił coś nieprzewidywalnego, zmieniając bramkarzy, nasi przeciwnicy mogliby pomyśleć, że Tim jest zajebiście dobry w obronie karniaków. Takie gierki psychologiczne. Nie twierdzę, że Tim byłby lepszy niż Roy. Nigdy też chyba w ten sposób nie wymieniano bramkarza, ale słyszałem, że inni menedżerowie rozważali taką możliwość w uzasadnionych okolicznościach. Martin O'Neill mówił mi, że był bliski takiego posunięcia w meczu play-off, kiedy był menedżerem Leicester, ale udało im się strzelić gola w dogrywce, więc nie musiał tego robić. A potem, oczywiście, Louis van Gaal postawił w bramce Tima Krula do rzutów karnych, kiedy Holandia grała z Kostaryką w ćwierćfinale Mistrzostw Świata. Myślę, że jednak taki ruch przyszedł naszemu menedżerowi do głowy, bo widziałem, że Tim Howard rozgrzewał się, a potem się zastanawiał się, czy jednak gra nie byłaby warta świeczki. Ale po fakcie można sobie tylko gdybać.

Nasza przyszłość nieźle się zapowiadała. Powinienem był to wtedy głośno powiedzieć. Jednak zawodnik nie potrafi patrzeć w przyszłość w dłuższej perspektywie, zwłaszcza po przegranym dwugodzinnym meczu. Niemniej gdyby tego dnia przyjrzeć się grze obydwu drużyn i zapytać, która z nich zdobędzie więcej pucharów, odpowiedź brzmiałaby: „United".

Cztery

No to idę. Wszyscy idziemy. Jak kupa dzieciaków wezwanych na dywanik przez dyrektora szkoły. To część naszego programu treningowego. Wchodzę i myślę: „Będzie, co będzie”.

Pierwsze pogłoski o tym, że jest źle, pojawiły się w 2005, kiedy przed sezonem wróciłem na trening. Dzisiaj to brzmi trywialnie, ale poszło o wakacje w Portugalii. Kłótnia była dość gwałtowna.

Mieliśmy tygodniowy trening przed sezonem w Vale do Lobo, w Algarve. Były z nami nasze rodziny. Nigdy wcześniej ich nie zabieraliśmy. To było wręcz nie do pomyślenia. Przyjechałem do Algarve z rodziną tydzień wcześniej, zatrzymaliśmy się w pobliżu obozu szkoleniowego. Reszta drużyny miała przylecieć w niedzielę, trening zaczynał się w poniedziałek. W sobotę więc pojechaliśmy do ośrodka.

Menedżerka ośrodka pokazała nam dom, gdzie miałem zatrzymać się z rodziną. Rozejrzałem się i powiedziałem jej, że dom jest za mały, bo ja mam piątkę dzieci.

Były tam trzy sypialnie i głęboki basen, co było niebezpieczne dla dzieci – najstarsze miało wtedy 10 lat. Nie czułbym się tam dobrze.

Menedżerka powiedziała, że nikt nie uprzedził jej, iż mam tak dużą rodzinę. Ale sądzę, że wiedziała, o co mi chodzi, bo mówiła, że to rzeczywiście nie jest dom dla rodziny z dziećmi. Wspomniała nawet o szklanych stołach i ostrych krawędziach. Pewnie robią takie analizy na potrzeby ubezpieczenia. To miejsce po prostu nie było dla nas odpowiednie. Nawet moja żona, która jest bardzo ugodowa, powiedziała, że nie możemy tam zostać, bo to nie jest miejsce dla dzieci.

Menedżerka zabrała mnie, żeby pokazać mi inny dom, a moja żona z dziećmi czekała w tym pierwszym. Drugi wyglądał sympatycznie, ale ja w międzyczasie zadzwoniłem do właściciela

willi, w której mieszkaliśmy w ubiegłym tygodniu, i zapytałem, czy możemy zostać tam tydzień dłużej. Willa znajdowała się dosłownie dwie ulice dalej, pięć minut jazdy samochodem.

Carlos Queiroz, asystent menedżera United, przyjechał, kiedy oglądałem drugi dom. Carlos jest Portugalczykiem – chyba urodził się w Mozambiku – i był w jakiś sposób związany z ludźmi z tego ośrodka – to on nam go wynajął na obóz szkoleniowy.

Przyjechał i powiedział, że drugi dom jest OK.

Odparłem, że właśnie rozmawiałem z właścicielem willi, w której mieszkaliśmy poprzedni tydzień, i możemy tam zostać. Sam za nią zapłacę, ponieważ chciałbym, żeby moja rodzina czuła się komfortowo, kiedy ja będę na treningu.

Nie zgadzał się ze mną, ale to nie była kłótnia. Wiem, że miałem tam odbyć szkolenie przed sezonem, niemniej dla mojej żony i dzieci to były wakacje. Carlos jednak mógł czuć się trochę postawiony pod ścianą, nie był zadowolony. Wiedziałem też, że włączy się w to nasz menedżer.

Tak czy owak wróciliśmy do domu, w którym spędziliśmy ubiegły tydzień. Pozostali zawodnicy i menedżer przylecieli następnego dnia. Menedżer zrobił mi straszną awanturę w związku z tym, co się stało. Pieklił się i wrzeszczał na mnie w szatni, zaraz po pierwszym treningu. Byliśmy tam tylko my, ale pozostali zawodnicy stali tuż za wejściem, więc mogli wszystko słyszeć.

Pomyślałem, że przesadził, dlatego zapytałem, w czym problem, dom był przecież dwie ulice dalej.

Na terenie ośrodka była restauracja, gdzie wszyscy jedliśmy obiad, a wieczorem mogliśmy przyjść na kolację ze swoimi rodzinami. Jak na ironię – tylko ja przychodziłem z rodziną. Nie izolowaliśmy się przecież od innych. Zresztą to był duży ośrodek, wszyscy byli rozsiani po całym terenie.

Ale coś było na rzeczy. Co się stało, co Carlos powiedział – nie mam pojęcia. Może czuł się niezręcznie, bo w końcu on zorganizował ten obóz. Może uważał, że uraziłem w jakiś sposób właściciela? Nie wiem.

Cały czas trenowałem – wszyscy trenowaliśmy przez cały tydzień. To było fantastyczne – połączenie treningu i czasu spędzanego

popołudniami z rodziną. Takie obozy przed sezonem mają na celu trening, regenerację i budowanie więzi w drużynie. Regeneracja oznacza po prostu relaks po treningu. Można posiedzieć, pooglądać telewizję, a jeśli jest się w takim miejscu jak Algarve, posiedzieć przy basenie. To nazywa się odpoczynek – w czym, zdaje się, nie jestem najlepszy. Dlatego to cudowne, że była ze mną rodzina. Wyposażenie ośrodka było fantastyczne.

Któregoś dnia przyszedł na boisko nasz menedżer i powiedział, że wieczorem będzie potrzebował jednego z bardziej doświadczonych graczy. To był jego sposób na to, żeby udawać, że nie mówi do mnie. Zawsze tak robił, kiedy grałem z Irlandią jakiś mecz towarzyski albo za wcześnie wróciłem po przebytej kontuzji. Nie odzywał się do mnie przez tydzień albo dwa. To była dziecinada, ale ja chyba byłem podobny – też wściekałem się na zawodników, którzy ryzykowali swoim zdrowiem. On nie odzywał się do mnie, więc ja nie odzywałem się do niego. Obydwaj zachowywaliśmy się jak dzieci. W każdym razie chciał, by kilku zawodników poszło na kolację z właścicielem ośrodka albo coś w tym stylu. Byliśmy tam wszyscy, rozciągaliśmy się akurat, a on wskazywał palcem zawodników – „Giggsy i…”, mnie ignorował. Byłem kapitanem, wszyscy więc patrzyli na mnie i śmiali się. Siedziałem dokładnie na wprost niego. Dziecinada. W końcu poszedł z nim chyba Giggsy i Gary Neville.

Sezon jeszcze się nie zaczął, kiedy wróciliśmy do Manchesteru, a ja podczas treningu nadwerężyłem ścięgno kolanowe. Nie robiłem niczego forsownego, po prostu się rozciągaliśmy, a ja poczułem pieczenie. Zerwane ścięgno to okropny ból, moje było tylko naciągnięte. Opuściłem kilka meczów i przedsezonowe tournée po Azji.

Kiedy zawodnik podstawowego składu wraca po kontuzji, najpierw trenuje z młodszymi, rezerwowymi. To najłatwiejszy sposób, żeby wrócić do formy. Rezerwowi zawodnicy nie grają na takim poziomie jak skład podstawowy, zatem nie jest konieczny zbyt duży wysiłek, by z nimi trenować. Nie ma tej samej intensywności, można popełniać błędy i zapomnieć o rutynowych praktykach. Kiedy jednak wraca się do podstawowego składu, nie

ma już taryfy ulgowej, nie sposób się obijać. Trzeba myśleć o meczu, powiedzmy, o tym za kilka tygodni, należy uzgodnić z personelem medycznym plan powrotu – cel i harmonogram. Jako doświadczony zawodnik znałem swoje ciało i byłem gotów wrócić w ciągu tygodnia, ale powiedziano mi, że to za wcześnie. Z jakiegoś powodu głównie Carlos opierał się mojemu powrotowi do podstawowego składu. A kiedy wreszcie się zgodził, bardzo źle mnie traktował.

Często pod koniec treningu organizowaliśmy małe mecze, dziesięciu na dziesięciu albo ośmiu na ośmiu. Tym razem ja zostałem jako ostatni, żeby Carlos mnie wybrał. Spojrzał na mnie, a ja zapytałem, o co chodzi.

Trzymał w ręku znacznik zakładany na koszulkę – zawsze będę to pamiętać, jakby to było wczoraj, bo sam jestem zaskoczony, że go wtedy nie wykopałem. Po prostu cisnął nim we mnie. Inni gracze patrzyli na mnie, a on rzucił: „No dobra, stań z przodu". Byłem środkowym pomocnikiem, nie grałem z przodu boiska. Zabrzmiało to zatem tak, jakby chciał powiedzieć, że jeśli będę właśnie tam, nie narobię kłopotów.

Cholernie mnie to wkurzyło. No, ale trudno. Nie jestem z tych, którzy kłócą się z personelem podczas treningu, takie sytuacje mogę policzyć na palcach jednej ręki. Jednak zastanawiałem się, czy przypadkiem coś mi nie umknęło i doszedłem do wniosku, że chyba tak. Ale nie przyszła mi wtedy do głowy sprawa z domem w Portugalii.

Kilka dni później rozmawiałem z naszym menedżerem i powiedziałem mu, że Carlos dziwnie się zachowuje, że nie chce przywrócić mnie do drużyny.

Menedżer odpowiedział, że Carlos zachowuje się czasem jak stary sukinsyn i żeby zostawić tę sprawę jemu.

Sezon rozpoczął się dobrze. Wygraliśmy trzy pierwsze mecze, przeciwko Evertonowi, Villi i Newcastle, zremisowaliśmy też na swoim boisku z Manchesterem City, co uważam za zły wynik, bo u siebie zawsze powinniśmy wygrywać z City. Potem, w meczu z Liverpoolem, doznałem urazu stopy. Steven Gerrard nadepnął na nią podczas faulu. Grał wtedy w tych nowych butach z metalowymi korkami i jestem przekonany, że to przez nie

popękały mi kości. Grałem dalej, ale to było bolesne, kurewsko bolesne. Później znów zostałem sfaulowany, przez Luisa Garcíę. Wtedy zasłabłem, dlatego wiele osób myśli, że to García spowodował moją kontuzję. Ale to był Gerrard i jego korki.

Zszedłem z boiska na kilka minut przed końcem. Liverpool ma na stadionie rentgen, zaraz obok szatni, więc od razu prześwietlono mi stopę i stwierdzono złamanie w pięciu lub sześciu miejscach. I znów z powodu kontuzji nie mogłem grać. Pamiętam, że wtedy, w tej szatni myślałem, iż zdarzyło się to w najgorszym możliwym momencie, z różnych względów.

Problem z kontuzją stopy polega na tym, że wychodzi się z niej bardzo długo. Noga jest w bucie ortopedycznym, krew krąży bardzo wolno. Nie można zbyt wiele zrobić. Trzeba uzbroić się w cierpliwość. To może trwać od czterech do sześciu tygodni, bez względu na to, w jakiej jesteś formie. Byłem kontuzjowany, mój kontrakt wygasał za rok, do tego problemy z Carlosem – nad moją głową zaczęły zbierać się chmury.

Kontrakt z United zobowiązuje nas do nagrywania komentarzy dotyczących ostatniego meczu dla MUTV, kanału telewizyjnego Manchesteru United. Zawodnicy robili to rotacyjnie, moja kolej przypadała dwa lub trzy razy w sezonie. Jakiś miesiąc po kontuzji graliśmy, chyba u nas, ze Spurs i miałem omówić ten mecz dla MUTV. Ale nasz menedżer dał mi kilka dni wolnego, sugerując, żebym pojechał gdzieś złapać trochę słońca.

Nie chodziłem już o kulach, specjalny but odciążający stopę też już mogłem zdjąć. Mogłem zatem normalnie się poruszać. Akurat w tym czasie moja rodzina miała zarezerwowane wakacje w Dubaju (wykupione jeszcze przed moją kontuzją). Pomyślałem więc, że to się doskonale składa, bo mogę do nich dołączyć. Polecieli kilka dni przede mną, wróciliśmy razem.

Chyba Gary Neville zastąpił mnie w roli komentatora meczu ze Spurs. Zamiana się udała. Producenci poprosili jednak, żebym po powrocie z wakacji skomentował mecz wyjazdowy z Middlesbrough.

Byłem w Dubaju, wygrzewałem się na słońcu i moczyłem stopę w słonej wodzie. Pewnie mogłem to robić w Irlandii, w Youghal. No

ale byłem w Dubaju, tam jest bardziej romantycznie. Wiedziałem, że mecz z Middlesbrough będzie transmitowany w telewizji. Pomyślałem, że tak czy owak chcę go obejrzeć, a nad analizą zastanowię się, kiedy wrócę do Manchesteru. Mecz obejrzałem w hotelowym barze.

Przegraliśmy 1:4. Katastrofa. Drużyna United była beznadziejna. I to właśnie ja, do kurwy nędzy, mam to skomentować!

Potem nie mogłem opędzić się od myśli w rodzaju: „Gdybym komentował mecz ze Spurs…", „Gdybym nie doznał kontuzji stopy…", „Gdybym nie pojechał do Dubaju…", „Gdyby moja drużyna pokonała Middlesbrough… ".

Gdyby, gdyby… Gdyby ciotka miała wąsy, byłaby wujaszkiem.

Wróciłem do Manchesteru i od razu zgłosili się do mnie ludzie z MUTV. Nie mogłem odmówić, chociaż drużyna grała źle, a ja byłem bardzo rozczarowany zawodnikami. MUTV to nasz firmowy kanał, klubowa propaganda. Najlepsze kluby mają taką telewizję. Jeśli dzieje się źle, właśnie tam można szukać dobrych wiadomości. Zapomnijmy o tym wyniku, jest bowiem młody gracz, który choć wypożyczony do innego klubu świetnie sobie radzi. Gdybyśmy zostali wykopani z rozgrywek pucharowych, następnego dnia usłyszelibyśmy, że jakiś gracz podpisał nowy kontrakt albo że cena akcji poszła w górę. O to w tym chodzi, to część gry (taka „gra o grę"). No to udzieliłem tego wywiadu. „Nie radził sobie najlepiej", „słabo bronił", „musi bardziej się postarać". Byłem zmartwiony, ale nie byłem zły. Nie poszedłem do studia, żeby się wściekać i narzekać, wszystko przemyślałem. Chciałem tylko przekazać, że nie jesteśmy wystarczająco dobrzy i możemy być lepsi.

Chyba następnego dnia dowiedziałem się, że moja wypowiedź nie trafi do emisji, bo nikt nie mógł uwierzyć w to, co powiedziałem.

Uważałem, że moja wypowiedź wcale nie była zła.

Przegraliśmy 1:4, nie mogłem więc powiedzieć, że graliśmy dobrze. Jeśli wcześniej dostawaliśmy łupnia, zazwyczaj mówiłem, że nie byliśmy dziś najlepsi. A teraz wyglądało na to, że już nie należy tak mówić. Niby taka dyplomacja. Ktoś tu chyba po prostu przesadzał.

Ale wiadomość dotarła już do mediów i wiedziałem, że nie wygląda to za dobrze. Zaczęło się już gadanie, że moją wypowiedź musieli wycofać z emisji.

Jestem pewien, że przeciek miał źródło w United. Obraziłem drużynę, byłem nielojalny. Miałem być tym ptakiem, co to własne gniazdo kala, każdego obgaduje. Krzyczały o tym tytuły na sportowych stronach każdej gazety. W Manchesterze United wszystko musi być ekstremalne. Wygrywasz – jesteś najlepszy z najlepszych. Przegrywasz – najgorszy z najgorszych. Ale to nie była prawda. Patrzyłem na to i zastanawiałem się, o co tu chodzi.

W Manchesterze, gdzie mieszkam, było jeszcze gorzej, bo chodziło przecież o Manchester United. Nie mogłem pozbyć się myśli, że to skończy się katastrofą. Jeśli wcześniej nadepnąłem komuś na odcisk, specjaliści od PR zawsze potrafili temu zaradzić. Tym razem nikt nie próbował mi pomóc.

Nie martwiłem się o nastroje w szatni, zawodnicy znali mój charakter. Ale wszystkie te plotki, na przykład że rozmawiam na temat zarobków zawodników, czego nigdy bym nie zrobił… Zazwyczaj, jeśli cokolwiek pojawiało się w mediach na temat zawodników albo kogoś z obsługi, dławiliśmy to w zarodku, wiedząc, że skoro jesteśmy zawodnikami United, wszystko na nasz temat będzie wyolbrzymione. Tego się można spodziewać. Tym razem było to już naprawdę głupie, tym bardziej że United właśnie przegrał z Lille w Lidze Mistrzów, co na pewno nie poprawiło ani atmosfery, ani humoru menedżera.

W końcu zebrałem wszystkich w szatni i powiedziałem, że chciałbym to z siebie wyrzucić. Widzieli w mediach wszystkie te bzdury, a ja ich zapewniłem, że to naprawdę pierdolone bzdury. Nigdy nie rozmawiałbym o zarobkach zawodników ani też nie mówiłbym, że ktoś nie może być lepszy. Powiedziałbym co najwyżej, że w tym meczu źle mu poszło.

Zawodnicy tylko mi przytakiwali i żaden z nich nie miał do mnie pretensji. Żaden.

Ale gdzieś z tyłu głowy siedziało mi pytanie, co takiego powiedziałem w tym nagraniu. Może rzeczywiście to było coś tak okropnego, że musieli je wycofać. Nawet dzisiaj niektórzy wciąż

twierdzą, że to nagranie trzeba było zniszczyć, tak jakby to była bomba atomowa albo coś w ten deseń. A może ktoś pojechał za miasto i zakopał taśmę w jakimś pierdolonym lesie? Może wezwał saperów, żeby zdetonować bombę? Musiała być zniszczona!

No nic, teraz rozmawialiśmy o jakości naszej gry i o tym, jak to się mogło stać, że na chwilę straciliśmy z oczu piłkę. Mieliśmy jeden albo dwa naprawdę złe wyniki. Gadaliśmy chyba z godzinę. Zamiast iść na trening, dyskutowaliśmy. Każdy był naprawdę zaangażowany. Zresztą, z kilkoma zawodnikami omówiłem wszystko już wcześniej. Ole Gunnar Solskjær, którego bardzo szanuję, wciąż pamięta rozmowę, którą rozpocząłem tamtego ranka – co powinniśmy zrobić, żeby na powrót skupić się na grze. Nie powinny rozpraszać nas sprawy, które nie dotyczą boiska – sponsorzy butów, wywiady, wszelkie kontakty z mediami. Ole wspomina, że właśnie to było nam wtedy potrzebne, a nie kłótnie, obwinianie kogokolwiek – nic z tych rzeczy. Rozmawialiśmy również o treningach – że musimy się spiąć, pamiętać, po co tu jesteśmy. Przecież chodzi o piłkę, o wygrywanie meczów.

Rozmawialiśmy dość długo, chyba godzinę, poszedłem zatem do menedżera powiedzieć mu, dlaczego nie trenujemy.

– Dobra, to idę do was – powiedział.

Po jego minie widziałem, że nie był zadowolony.

Wszedłem przed nim do szatni i powiedziałem chłopakom, że nie jestem pewien, czy to był dobry pomysł.

Wpadł jak burza i zapytał, o co tu chodzi. Zapytał też mnie, czy zamierzam przeprosić.

Odparłem, że nie bardzo wiem za co.

– Za to nagranie.

– Nagranie nie jest złe.

– Wiecie co? – powiedział. – Już, kurwa, ze mną na górę, do mojego biura! Wszyscy. Obejrzymy sobie to pierdolone nagranie.

No to idę. Wszyscy idziemy. Jak kupa dzieciaków wezwanych na dywanik przez dyrektora szkoły. To część naszego programu treningowego. Wchodzę i myślę: „Będzie, co będzie”. Bo nie do końca jestem pewien, co powiedziałem.

Obejrzeliśmy nagranie. Jedni siedzieli, inni stali, ponad dwudziestu znanych na całym świecie piłkarzy w ogromnym biurze. To było raptem kilka lat po Saipan. Coś jakby *déjà vu*. Już to przerabiałem. Przyzwyczaiłem się.

Kiedy oglądaliśmy ten nieszczęsny wywiad, myślałem tylko o tym, że jestem do odstrzału: „No tak, zapomniałem powiedzieć o tym chłopakom".

Nagranie się skończyło. Ulżyło mi, bowiem pokrywało się z tym, co mówiłem drużynie. Żadnych zaskoczeń ani protestów. Bogu dzięki!

Zapytałem zatem, czy któryś z chłopaków widzi w tym jakiś problem.

Wszyscy zaprzeczyli.

– Fletch? – zwróciłem się do Darrena Fletchera, bo powiedziałem mu kiedyś, przy jednym ze straconych goli, że nawet moja żona byłaby lepsza w blokadach. Ale wiem, że nie miał problemu z tym nagraniem, widziałem to na jego twarzy. Znał moje zdanie. Atmosfera między mną a drużyną wciąż była dobra.

Tymczasem menedżerowi i Carlosowi para szła już uszami.

– Chłopaki – powtórzyłem – powiedziałem wam, co mówiłem. Sami wiecie, pokonali nas cztery do jednego.

Każdy z piłkarzy mówił, że nie ma z tym problemu.

Ale menedżer powiedział, że to nagranie to hańba dla zespołu.

Odpowiedziałem mu na to, że przecież żaden z zawodników się nie skarżył.

A wtedy van der Sar, który kilka miesięcy wcześniej dołączył do klubu, podniósł rękę i powiedział:

– Roy, może nie powinieneś się unosić?

Edwin, międzynarodowy Holender za 6 milionów funtów.

– Edwin, a może byś tak się, kurwa, zamknął? – odparowałem. – Jesteś w tym klubie dwie minuty, a wystąpiłeś już w telewizji więcej razy niż ja w ciągu 12 lat. W dodatku ja musiałem, bo to MUTV.

Przyjął to do wiadomości.

Wtedy zwrócił się do mnie Carlos:

– Okazałeś brak lojalności wobec swojej drużyny.

Siedział po mojej prawej stronie. Znów się zastanawiam, czemu mu nie przypierdoliłem. Dom w Portugalii, złe traktowanie podczas treningu, a teraz jeszcze używa w stosunku do mnie słowa „lojalność”.

– Nie pierdol mi tu o lojalności, Carlos – odparłem. – Zostawiłeś ten klub po dwunastu miesiącach, żeby pracować dla Realu Madryt. Nie waż się kwestionować mojej lojalności. Miałem propozycje od Juventusu i Bayernu Monachium, więc nie pytaj mnie o lojalność. A skoro już przy tym jesteśmy, na dole rozmawialiśmy o treningach. Mówiliśmy, że pewne rzeczy podczas treningów trzeba zmienić.

– Nie, Roy – odpowiedział. – Potrzebujemy powtórki. Właśnie tego – powtórki.

– Carlos, czy ty zawsze kochasz się ze swoją żoną w tej samej pozycji? – zapytałem.

– Co? Do czego zmierzasz?

– Zmieniasz pozycje, prawda? – spytałem. – Czasem trening trzeba trochę zmienić. Tylko to chciałem powiedzieć. To nic osobistego.

Do dziś nie mam pojęcia, dlaczego to powiedziałem.

– Wystarczy – powiedział nasz menedżer. – Mam tego dość.

– Do ciebie też mówię, staruszku. Mógłbyś, kurwa, zrobić dla nas trochę więcej – powiedziałem.

Wspomniałem o zakupie konia. Nie jestem dumny ze wszystkiego, co powiedziałem tamtego ranka, ale naprawdę byłem wkurzony. Nasz menedżer kilka lat wcześniej chciał wciągnąć nas do spółki, żebyśmy razem z nim kupili konia. Zabrał nas do jakiejś stajni, chyba po drodze do Catterick. Każdy z nas miał się zrzucić – kasa miała pochodzić z naszej wspólnej puli. Jeśli zarobiliśmy jakieś dodatkowe pieniądze – na przykład za występy w MUTV czy innych mediach – dorzucaliśmy je do specjalnego funduszu, z którego finansowaliśmy imprezy gwiazdkowe, wyjazdy na wyścigi itd. Koń to miała być niby taka maskotka, tylko trochę większa od kota… Strasznie mnie to wtedy wkurzyło, bo mieliśmy się dorzucić, a do podziału mielibyśmy tylko jedną szesnastą zysku, więc nie zamierzaliśmy się w to bawić.

Wypomniałem zatem staruszkowi, że chciał nas w to wciągnąć, a w zamian oferował jedną szesnastą zysku. I o co niby miało w tym chodzić?

Kiedy tak wybucham, kiedy sobie odpuszczam, zupełnie odpływam, jakbym był kimś innym. To była niemal ulga – wolność. Konsekwencje to ostatnia rzecz, jaka przyszłaby mi wtedy do głowy. W tym momencie nie byłem piłkarzem Manchesteru United, nie byłem profesjonalnym zawodnikiem, tylko człowiekiem, który bronił swojej pozycji. Nikt z drużyny się nie odezwał, nikt nie próbował załagodzić sytuacji. Może dlatego, że pamiętali, co odpowiedziałem Edwinowi. Byli chyba w lekkim szoku i pewnie chcieli stamtąd jak najszybciej wyjść. Wyglądali, jakby obserwowali przez płot kłótnię swoich sąsiadów i mówili: „A ci znowu swoje". To nie było budujące.

– Potrzebujemy więcej, staruszku – powtórzyłem. – Jesteśmy daleko w tyle.

– Mam dość – powtórzył. Powiedział chyba jeszcze, żebym się zamknął.

– Tak czy siak, mam dość tego spotkania. Spierdalam. Idę trenować – odpowiedziałem i wyszedłem z biura. Zszedłem na boisko, rozejrzałem się i zobaczyłem Mikaëla Silvestre. On też wyszedł, ale nie podszedł do mnie. Ole jakiś czas później powiedział mi, że kiedy wyszedłem z biura, menedżer zapytał wszystkich, co o tym sądzą.

Według Ole Rio zgadzał się ze mną, że drużyna źle grała z Middlesbrough. Wszyscy zaczęli mówić, a Ole i Paul Scholes powiedzieli, że wychodzą, bo nie chcą rozmawiać o mnie pod moją nieobecność. Bardzo mi się to podoba – choć trochę lojalności. Kiedy Ole wstał, menedżer powiedział mu, żeby nie szedł za mną. Oczywiście bez zobowiązań.

Ole mówił, że następnego dnia Carlos wezwał go do swojego biura, żeby przeprosił menedżera za swoje wyjście, albo będzie wylany.

Poszedłem na trening i w końcu wszyscy zeszli na boisko.

To był drugi Saipan. Gorąca dyskusja, nic niezwykłego w sporcie. Ale spod kontroli wymknęło się to, co należało załatwić w cztery

oczy. Odwrotu nie było.

Już czułem się jak skazaniec.

Trenowałem przez kilka dni, ale ani menedżer, ani Carlos nie gadali ze mną. W ramach powrotu po kontuzji miałem jeszcze zagrać w meczu rezerwowym z West Brom. Przygotowywałem się do tego.

Tymczasem dostałem list, informujący, że mam zapłacić karę 5 tysięcy funtów za moją wypowiedź dla MUTV. Zakwestionowałem to. Skontaktowałem się z moim prawnikiem Michaelem Kennedym i poprosiłem, by się odwołał. Byłem już karany, ale nigdy się nie odwoływałem. Tym razem to było niesprawiedliwe. Zdaje się, że to wkurzyło menedżera. Chyba myślał, że zapłacę te pięć patyków i pogodzę się z sytuacją.

Ukazała się lista zawodników wyznaczonych na mecz z West Brom. Nie było na niej mojego nazwiska. Rozmawiałem z Robertem Swire'em, szefem fizjoterapeutów, i zapytałem go, dlaczego, do cholery, nie ma mnie na liście?

– Wiesz, menedżer nie chce, żebyś grał – powiedział Robert.

– Dobra – odparłem.

Poszedłem do jego biura i zacząłem walić w drzwi.

– Wejść – usłyszałem.

Menedżer wiedział, że najbardziej na świecie kocham grać w piłkę. Nie pozwalając mi wystąpić w meczu, blokował mój powrót do formy. Atmosfera w biurze nie była najlepsza.

– Mam grać w rezerwowych meczach, wiesz przecież, że chodzi o mój powrót do formy.

– Nie. Lepiej porozmawiaj z Michaelem Kennedym – rzucił.

To Dave O'Leary skontaktował mnie z Michaelem, kiedy wybierałem się do United w 1993. Michael zajął się moim pierwszym kontraktem z United i od 15 lat dba o wszystkie moje kwestie prawne, związane i niezwiązane z futbolem.

– Aha – powiedziałem. – Dobra.

Poszedłem do samochodu i zadzwoniłem do Michaela.

– Tak, właśnie do mnie dzwonili – powiedział. – Chcą, żebym pojawił się w piątek.

Powiedziałem, że będą próbowali się mnie pozbyć.

– Ale…

– Próbują mnie ukarać.

– Tak, ale to nie jest podstawa do wylania zawodnika.

– Wszystko jedno… Zobaczymy.

Spotkałem się z Michaelem na lotnisku w Manchesterze w piątek rano. To był 18 listopada.

– O co tu chodzi, Roy? – zapytał Michael.

Po prostu wiedziałem, co mi zamierzają powiedzieć – że pora odejść. Byłem na to gotowy, ale nie – przygotowany.

Pojechaliśmy na spotkanie na stadionie treningowym. Dojechaliśmy około 9.00. Menedżer czekał w swoim gabinecie. był też David Gill, naczelny dyrektor. Nie spodziewałem się go.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Słuchaj, Roy – powiedział menedżer – myślę, że dobrnęliśmy do końca.

Tak po prostu.

– Słucham? – zapytał Michael. – Co to znaczy? Myślałem, że chodzi tylko o karę!

Michael jest świetnym mediatorem i negocjatorem, to jego atuty. Negocjował z najlepszymi drużynami z Włoch i z Realem Madryt. Ma ogromne doświadczenie. Gdybym naprawdę nabroił, ukaraliby mnie równowartością dwutygodniowej gaży, albo nawet by mnie wylali. Ale kara 5 tysięcy funtów to w większej skali naprawdę nic, tak że od tej kary do tego, co właśnie powiedział menedżer, daleka droga. Dlatego Michael omal nie spadł z krzesła.

Ale ja powiedziałem, że w porządku, że zgadzam się z nimi.

– Skoro już przy tym jesteśmy – powiedział David Gill – przygotowaliśmy oświadczenie.

Wszystko mieli gotowe. Kolejny granacik, którym we mnie rzucili. Nie godzinę albo dwie później, nie po negocjacjach dotyczących odprawy. Już mieli to napisane.

W normalnej sytuacji, tak sądzę, zawodnik z moją pozycją zostałby „poproszony”, by odejść i czekałby na propozycję odprawy. Oczywiście, zamierzałem walczyć o pieniądze, ale nie o tym wtedy myślałem. Mogłem powiedzieć Michaelowi, że jeśli już dziś chcą mnie wylać, muszą mi, kurwa, zapłacić. Moja reputacja była

zrujnowana, właściwie w strzępach. Ale nie myślałem wtedy o reputacji ani o kwestiach wizerunkowych. Myślałem tylko, że dyrektor ma rację. To koniec.

David Gill miał kopię oświadczenia, Michael wychylił się i wziął ją od niego. Czytaliśmy ją obydwaj, kiedy David powiedział, że poza tym jestem kontuzjowany.

– David – odparłem – mam uraz stopy. Połamałem kości grając dla Manchesteru United.

Myślę, że chcieli pozbyć się mnie najszybciej, jak tylko się da, żeby nie przeciągać sprawy o kolejny tydzień. Oto Manchester United. Jedna z największych firm medialnych na świecie. Wydali fortunę na kwestie wizerunkowe. Czytam zatem: „Dziękujemy Royowi za 11 i pół roku spędzonych w klubie".

Grałem dla nich dwanaście i pół roku. Teraz myślałem, że skoro gra skończona, to trudno, ale niech to przynajmniej zrobią dobrze.

– Tu jest napisane jedenaście i pół roku – powiedziałem.

Menedżer i David spojrzeli na siebie.

– Grałem w klubie dwanaście i pół roku.

– Naprawdę, Roy? dwanaście i pół? Nie byłem pewien. Czyli dołączyłeś do nas w dziewięćdziesiątym trzecim? Nie pamiętam dokładnie.

– No – powiedziałem – w pierwszym roku wygraliśmy ligę i zdobyliśmy Puchar Anglii

– Dobrze, poprawimy to – stwierdził David Gill.

– Muszę to przedyskutować z klientem – powiedział Michael.

– Wystarczy wam pięć minut? – zapytał David.

Potwierdziliśmy.

Menedżer i David wyszli, zostawiając nas samych.

– Daj spokój, Michael – powiedziałem. – Mam ich dość. Pierdolić ich. Straciliśmy do siebie szacunek.

– O czym ty mówisz? – zapytał Michael. – Nie mogę w to uwierzyć. Przecież kontrakt, twoja rodzina…

Podchodził do tego bardzo emocjonalnie, był naprawdę przybity. Poza tym byłem jego klientem, więc myślał zapewne, że tak się nie robi, że to nie w porządku.

Kiedy wrócili, David zapytał, czy nie potrzebujemy więcej czasu.

– Nie – odpowiedziałem. – Myślę, że macie rację. Dobrnęliśmy do końca. Nie jestem pewien, co mówi mój kontrakt na temat gry w innym zespole. Mogę zacząć od razu?

Właśnie to miałem na myśli, mówiąc, że byłem na to gotów, ale nie byłem przygotowany. To było najgorsze, co zrobiłem – albo – czego nie zrobiłem. Od kilku dni wiedziałem, że będą próbowali się mnie pozbyć. Mogłem zadzwonić do Stowarzyszenia Zawodowych Piłkarzy[3] i poprosić o poradę prawną. Spytać, jakie będą konsekwencje, jeśli mój kontrakt zostanie zerwany? W styczniu otwierało się okno transferowe, był listopad. Czy będę mógł od razu podpisać umowę z inną drużyną, poza oknem transferowym? A jeśli podpiszę, czy od razu będę mógł grać? Przy całym swoim doświadczeniu i po latach udzielania dobrych rad innym nie potrafiłem zatroszczyć się o siebie.

Zapytałem zatem Fergusona, czy mogę grać dla innej drużyny.

Odpowiedział, że tak, ponieważ zamierza podrzeć mój kontrakt.

Sekretariat był po drugiej stronie korytarza. Pomyślałem przez sekundę, że zanim uściśniemy sobie dłonie albo zanim wyjdę bądź wyskoczę stąd, pójdę i sprawdzę, co mówi mój kontrakt.

Ale to zaszło już za daleko. Tak w głębi duszy miałem to w dupie.

Pomyślałem zatem, że powinienem się zgodzić.

Wiedziałem, że niejeden klub będzie chciał mnie u siebie, jak tylko wieści się rozejdą.

Powiedziałem zatem, że tak, że doszliśmy do finału.

Michael wciąż nie mógł w to uwierzyć.

A ja pomyślałem:

„Pierdolone fiuty… Tak, już mnie tu nie ma”.

Wstałem i wyszedłem

Zostawiłem z tym Michaela. Wszedłem do biura około 9.00. W samochodzie byłem chyba 9.45. Może w ten sposób próbowałem sobie z tym poradzić – wyjść najszybciej, jak się da. Może to dziecinada. Może wolałem wyjść stamtąd, zanim bym kogoś zajebał? Nie wiem. Nie chciałem spotkać się z zawodnikami, wszyscy powinni pojawić się przed 10.00. Nie chciałem się z nimi żegnać.

Więc może to był mój niedojrzały albo dojrzały sposób, żeby dać sobie z tym radę.

Wsiadłem do samochodu i odjechałem kawałek od boiska treningowego. Po prostu nie chciałem tam być. Płakałem przez kilka minut i myślałem, że to koniec.

Pojechałem do domu.

Myślałem przez cały czas, że na pewno można to było załatwić inaczej. Wszystkie te bzdury można było lepiej przeprowadzić. Nie tylko mnie to dotyczyło, ale też menedżera i klubu. Powstał taki obrazek, że mam jakiś problem z głową. Patrząc na wszystko z zewnątrz, rzeczywiście można odnieść takie wrażenie. Najpierw Saipan, a teraz United – facet ma coś z głową.

Myślałem o swojej rodzinie w Irlandii. Wiem, jak jest w Cork. Dziennikarze pojawią się w dziesięć minut, będą biegać wokół całego domu. Moja rodzina w Cork to zapaleni kibice United. Na pewno bardzo przeżyją to, co się stało. Można pomyśleć, że po Saipan powinni się przyzwyczaić. A moi rodzice? Dla nich to będzie męczarnia. Znowu wszędzie dziennikarze, wokół mojego domu i domu moich rodziców. Wszyscy będą gadać, że wyleciałem z kolejnej drużyny. Pamiętam, że jadąc do domu, myślałem, że będę musiał oddać samochód, bo on też należy do klubu.

To było Audi A8, naprawdę je lubiłem. I powtarzałem sobie, że muszę je, kurwa, oddać.

Gdybym wtedy wiedział więcej o konsekwencjach, gdybym wiedział, że zagram dopiero w styczniu, zostałbym. Pytałem menedżera, czy mogę grać dla innego klubu. Pracowałem dla tego faceta 12 i pół roku. Chciałbym myśleć, że wie, co robi, i wiedzieć, że odpowiada za to, co stanie się ze mną. Mógł chociaż powiedzieć, że nie jest do końca pewien, że zanim wyjdę, może powinienem zadzwonić do Stowarzyszenia Piłkarzy. Ale on powiedział, że podarli mój kontrakt.

Kiedy dojechałem do domu, zadzwoniłem do Stowarzyszenia. Powiedzieli, że się rozejrzą i dadzą mi znać po niedzieli. Wkurzyło mnie to, moja głowa buzowała.

„Do kurwy nędzy, Roy – myślałem. – To kolejna świetna decyzja – wyjść bez wyjaśnienia własnej sytuacji". Chociaż nie zmieniłoby

to mojego postanowienia, na pewno bym przy nim pozostał.

Powinienem był powiedzieć, że idę trenować, a Michael będzie z nimi negocjował i zobaczymy, co z tego wyniknie. A tymczasem należało zadzwonić do Stowarzyszenia.

Zachowałbym się jak profesjonalista, nie byłbym wtedy tak niewygodny. Powinienem był pójść na trening. Ale myślałem, że przecież menedżer mnie zna. Mógł powiedzieć Davidowi Gillowi, żeby pokazał mi oświadczenie i poczekał na moją odpowiedź. Znał mój charakter lepiej niż ktokolwiek inny.

Mijały godziny. Byłem w domu. Zadzwonił Michael i powiedział, że ostro tam walczą, że klub ma problem z płynnością finansową.

Ferguson mówił, że uszanują postanowienia kontraktu. Tak się nie stało. W tamtym dniu straciłem mnóstwo pieniędzy. Gdybym zagrał w połowie meczów sezonu, dostałbym premię w wysokości miliona funtów. Teraz jej nie dostanę. Powiedzieli, że zgadzają się na premię uznaniową. Wszystko było uzgodnione wiele miesięcy wcześniej, również oświadczenie o zachowaniu poufności, ale za nie też nie zamierzali mi zapłacić żadnego wynagrodzenia. Moje milczenie nic ich nie kosztowało. Zamierzali dawać mi pensję, ale nie chcieli zapłacić z góry, jednorazowo, tylko normalnie. Wolałbym z góry dostać kasę, która mi się należała, zamiast do końca sezonu figurować na ich liście płac. Zerwać wszystkie powiązania – to byłoby najlepsze. Michael mówił o problemach z płynnością finansową, więc wiedziałem już, że to się nie uda.

Pamiętam, że powiedziałem Michaelowi:

– Michael, nie interesuje mnie, kurwa, kwestia finansów.

Pojawił się w moim domu kilka godzin później, po południu. Był blady jak ściana. Wciąż nie mógł w to uwierzyć.

Powiedziałem mu, że tak będzie lepiej.

– Cóż, Roy, wierzę ci.

Musiałem udawać bohatera przed Michaelem, moją żoną i resztą rodziny. Byłem twardzielem, musiałem grać tę rolę, chociaż kilka godzin wcześniej płakałem w samochodzie. Próbowałem ukryć swój ból przed żoną, ale ona zbyt dobrze mnie zna.

Był w tym jednak również element ulgi. Prawie się skończyło.

– Tak będzie lepiej – powtórzyłem.

I rzeczywiście było lepiej. Bez względu na to, co później zostałoby powiedziane czy zrobione, to był odpowiedni czas. Doszliśmy do finału.

Wciąż dokładnie nie wiem, dlaczego tak się stało. Gdyby menedżer uważał, że przesadziłem w kwestii domu w Portugalii albo wywiadu, mógł cicho mi powiedzieć, żebym uważał, bo przegiąłem, że powinienem być grzecznym chłopcem. Wcześniej tak robił – kiedy piłem, kiedy zostałem aresztowany albo kiedy niewłaściwie kogoś zablokowałem, kiedy ganiałem po boisku sędziego Andy'ego D'Urso. Zdarzało się, że brał mnie na bok i mówił:

– Chłopie, przegiąłeś teraz pałę.

Potem mi wybaczał. Byłem jego kapitanem.

Kiedy myślę o Portugalii, zastanawiam się, o co tam mogło chodzić. To wszystko mogło się wydawać trochę niezręczne, ale chodziło mi przecież o moją rodzinę. Dom, w którym mieliśmy się zatrzymać, to nie był żaden wielki problem. Jako kapitan zawsze dbałem o ducha zespołowego w drużynie. Spotkania rodzinne, imprezy gwiazdkowe, bilety na mecze dla rodzin – o wszystkim pamiętałem. I ja i moja żona zrezygnowalibyśmy nawet z naszych przywilejów na rzecz innych, zwłaszcza zagranicznych zawodników.

A potem, przed sezonem, Carlos nie chciał, żebym wrócił na boisko po kontuzji i rzucił we mnie znacznikiem. Czy coś mi umknęło? Czy Carlos uznał, że mu zagrażam? A jeśli tak, czy menedżer uważał, że musi go wesprzeć? Carlos przez rok pracował dla Realu Madryt, a potem wrócił. Mógł się obawiać, że mam w szatni więcej do powiedzenia. Nie zależało mi na tym – to przychodzi samo – po meczach, udanych akcjach, trofeach. Po prostu przychodzi. Ale kiedy Carlos wrócił, mógł się zastanawiać, o co mi chodzi, co prawda pracowałem z nim wcześniej i dobrze nam się układało. Jestem jednak na tyle inteligentny, by zdawać sobie sprawę, że jeśli menedżer widział narastający między mną a Carlosem konflikt, trzymał stronę swojego zastępcy.

Kiedy zacząłem kłócić się z Carlosem i zapytałem, czy zawsze kocha się z żoną w tej samej pozycji, wiedziałem, że mu się to nie podoba. Szczerze mówiąc, nie użyłem słów „kochać się". Chyba

powiedziałem: „Kiedy bzykasz się ze swoją panią, zmieniasz pozycje?”. Kilku chłopaków zaczęło się wtedy głośno zastanawiać, skąd się urwałem. Ale podczas gwałtownej kłótni myślisz tylko, jak dowalić skurwielowi, i mówisz rzeczy, jakich normalnie byś nie powiedział. A dlaczego wygarnąłem menedżerowi kupno konia? Sam chciałbym wiedzieć. Nie chciałem siedzieć cicho. Wiadomo – trzeba bronić swojego poletka.

Od tamtej pory myślę też, że powinienem był nalegać, by pokazali moje nagranie w MUTV. Powinienem był sprawdzić, jakie są możliwości prawne, żeby ich do tego zmusić. „Pokażcie nagranie, bo psujecie mi reputację, twierdząc, że powiedziałem coś naprawdę złego. A nie powiedziałem”.

Owszem, stwierdziłem, że Kieran Richardson był w tym meczu słabym obrońcą. Ale on na co dzień nie jest obrońcą. Niektórzy zawodnicy, grając na nieswojej pozycji, słabo bronią, nie wracają wystarczająco szybko. Mój komentarz był wyrwany z kontekstu. Zresztą później, kiedy byłem menedżerem Sunderland, zatrudniłem Kierana. Podobno krytykowałem Darrena Fletchera. A ja tylko zastanawiałem się, dlaczego Szkoci przyjmują go tak entuzjastycznie.

Rzeczywiście mogłem coś takiego powiedzieć, pół żartem. Czasem wyżej ceni się zawodnika w jego własnym kraju niż gdzie indziej. Doceniałem Darrena i dopingowałem go. Krytykowałem tylko tych chłopaków, których doceniałem. Zawsze jednak robiłem to w sposób pozytywny, poprzez komplement. Mówiłem, że jeśli się postarają, mogą być w czołówce graczy. Zaniepokojeni powinni być ci gracze, o których nic nie mówiłem. Pojechałem niedawno na Old Trafford, United grał z Liverpoolem. Pierwszym zawodnikiem, który podszedł, żeby się ze mną przywitać był Darren Fletcher. Darren wiedział, że zawsze będę go wspierał.

Przez wiele lat musiałem bronić stwierdzeń, których nie byłem autorem. Podobno do Rio Ferdinanda powiedziałem coś takiego: „To, że płacą ci 100 tysięcy funtów tygodniowo i że dobrze grasz w reprezentacji Anglii, nie znaczy jeszcze, że jesteś jednym z najlepszych zawodników”. Nie sądzę, żebym coś takiego powiedział. Nigdy w żadnym z wywiadów nie poruszałem tematu

wynagrodzeń piłkarzy. I znów – kiedy rozmawialiśmy na ten temat w szatni, byli tam i Rio i Fletch, bo to niby im przywaliłem. Fletch uważał, że mnie zna. Naprawdę chciałem dobrze. Trzeba pamiętać, że to wszystko było nagrywane. Nie można było po prostu wyciąć tego, co się komuś nie spodobało? Jeśli sądzili, że było aż tak złe, że trzeba to zniszczyć, dlaczego nie ukarali mnie potrąceniem tygodniowej gaży za psucie reputacji klubu, tylko nałożyli akurat karę 5 tysięcy funtów? Mogli też po prostu powiedzieć mi, że nie zamierzają tego puścić. Myślę, że ten wywiad to był tylko pretekst.

Powiedziano mi, że w tym samym czasie, kiedy oglądaliśmy nagranie w jego biurze, wspomniałem o sprawie Rock of Gibraltar i prawnym sporze menedżera ze szpanerami od koni – Magnierem i McManusem. Nie zrobiłem tego. Rozmawiałem z nim na ten temat w cztery oczy kilka miesięcy wcześniej. Jakiś człowiek w Irlandii powiedział mi, żeby mu przekazać, iż tego nie wygra. Wspomniałem mu o tym. Powiedziałem, że spór menedżera z właścicielami akcji nie jest dobry dla klubu. Uważam, że miałem prawo to powiedzieć. Oni się nim po prostu bawili. Fajnie tak przechadzać się z koniem i pokazać wszystkim, ile się znaczy. Ale on nie był nawet właścicielem konia.

Udzieliłem MUTV wywiadu na początku sezonu i wspomniałem tam, że może z końcem tego sezonu przyjdzie czas, bym odszedł. To było zaraz po aferze w Portugalii. Mogło to wkurzyć menedżera. Sam jednak wcześniej mówił, że kiedy piłkarze mają 32, 33 lata, rozmawia z nimi o kontraktach pod koniec sezonu. Powiedział to w wywiadzie radiowym, słuchałem go, jadąc samochodem. Trochę mnie to wkurzyło, bo starsi gracze podpisali kontrakty na kolejne lata na długo przed końcem sezonu. Poczułem się jak człowiek na wylocie.

A pomysł, że chciałem zostać menedżerem? Co za bzdura. Znam swoje ograniczenia. Codziennie przychodziłem do pracy i dawałem z siebie wszystko, łącznie z dopingowaniem zawodników, chwaleniem ich. To było moje zadanie. Przewodzić, dając przykład – to moja silna strona. Byłem kapitanem. Zarządzałem szatnią. To też była moja praca. Kiedy zostaje się menedżerem i rozmawia z innymi menedżerami, na początku zawsze skarżą się na brak przywództwa

w drużynie, na to, że nikt nie chce zostać liderem. Chcą, żeby menedżer albo trener wzięli tę rolę na siebie. Moje podejście było inne. Mieliśmy dobrą atmosferę w szatni, tam rozwiązywaliśmy problemy. Chcieliśmy ulżyć menedżerowi. Pracowałem z najlepszymi zawodnikami – Ronaldo, Scholesem, Laurentem Blankiem. Wiedziałem, jak ich traktować, jak rozmawiać z facetem takim jak Laurent Blanc, dla którego mam megaszacunek, z Darrenem Fletcherem – szkockim młodziakiem, czy Johnem O'Shea, szczylem z Irlandii. Wiedziałem, jak rozmawiać z różnymi ludźmi. Chłopaki z Holandii zawsze byli aroganccy. Z nimi też dawałem sobie radę. I wygrywaliśmy. W tej drużynie były świetne charaktery, a Ferguson był na tyle bystry, by rozumieć, że nawet jeśli mnie nie ma, ma na tyle dobrych graczy i liderów, że nic się nie rozleci.

Drużyna Chelsea była wtedy silna. W sezonie 2004/2005 wygrali Premiership, szli jak burza, byli coraz lepsi. Ferguson pewnie patrzył na nich i myślał, że potrzebuje dużej zmiany. Próbował odpowiedzieć na wyzwanie Mourinho. Jednak jeśli jesteś zawodnikiem i na scenie pojawia się taka drużyna jak Chelsea, a ty masz 33 albo 34 lata, zaczynasz myśleć, że to już nie dla ciebie, że nie grasz tak jak kiedyś. Taki jest mój punkt widzenia. Ale Ferguson nie był starzejącym się zawodnikiem. Dla niego to było po prostu wyzwanie.

Wiele się zmieniło. Do klubu dołączyli Rio, Ronaldo i Rooney – przyzwoite chłopaki, najlepsi gracze. Ale i sama gra się zmieniła. Ja zwróciłbym uwagę zawodnikom gadającym przez telefon albo bawiącym się konsolami PlayStation w szatni. Albo może już taki stary wapniak ze mnie? Byli ode mnie młodsi. Wiedziałem, że nie będę jakoś bardzo tęsknić za drużyną. Owszem, brakowało mi ich, ale nie było tam nikogo, o kim mógłbym powiedzieć, że był jednym z moich najlepszych kumpli. Potem i oni odeszli. Tak jest w każdym klubie. Przychodzą i odchodzą różne charaktery.

Kiedy dziś na to patrzę, moje odejście wyszło Manchesterowi United na dobre. Jeśli menedżer i Carlos uważali, że zamierzam zrobić coś, o co mnie podejrzewali, jeżeli byłem dla nich niewygodny – dobrze się stało, że odszedłem. Nawet jeśli musiałem

ponieść konsekwencje, jeśli płakałem później w samochodzie – skoro stało się to z korzyścią dla Manchester United, niech tak będzie. Wszystkim wyszło to na dobre i nie z uwagi na kwestie gry – bo wciąż jeszcze mogłem przysłużyć się drużynie. Mogłem zadbać o swoje zdrowie. Oni znali moje ciało jak nikt, inaczej pewnie nie zagrałbym w tak wielu meczach. Z punktu widzenia klubu – jeśli sądzili, że przekroczyłem jakąś granicę (ja tak nie uważam) – dobrze się stało. Chrzanić forsę i oświadczenia.

Kiedy załatwiliśmy wszystkie formalności, trzy miesiące po ostatnim spotkaniu oddałem samochód, więc jeszcze trochę sobie pojeździłem (każde zwycięstwo się liczy, nawet malutkie). Pojechałem, żeby spotkać się z menedżerem i Carlosem i ich przeprosić.

Teraz tego żałuję.

Czasem czujesz uzasadniony gniew, a czasem, że coś złego zrobiłeś. Przeprosiłem. Potem myślałem, że właściwie nie jestem, kurwa, pewien, dlaczego przeprosiłem. Może po prostu chciałem zrobić coś, co należało zrobić. Przeprosiłem za to, co się stało, za to, że się stało. Nie za swoje zachowanie albo stanowisko, a to różnica. Ja nie miałem za co przepraszać.

Pewnie nie ma dobrego sposobu na odejście z klubu. Ale czy to zawsze jest wina zawodnika? Niemożliwe. Wielu piłkarzy, dobrych piłkarzy, opuściło klub na niekorzystnych warunkach – Beckham, van Nistelrooy i inni. W głębi duszy podejrzewałem, że to się źle skończy. Nie ma znaczenia, czy chodziło o nagranie, czy o to, że do końca sezonu nie zdobyliśmy żadnego pucharu, czy nawet o to, że nie odnowili mi kontraktu. Wszystko zmierzało do zakończenia współpracy. Starzałem się. Najlepszym sposobem, w jaki menedżer mógł sobie z tym poradzić, byłaby rozmowa o przyszłości. Korzystając ze swojego doświadczenia i umiejętności zarządzania ludźmi, mógłby wziąć mnie na stronę i powiedzieć, że mają co do mnie wątpliwości, więc mam siedzieć cicho, zagrać jeszcze w kilku meczach, a pod koniec sezonu pożegnamy się, bo tak będzie dla mnie najlepiej. Rozstaliśmy się w połowie listopada, kiedy byłem kontuzjowany i nie mogłem grać gdzie indziej aż

do stycznia. Oczywiście, że nie byłoby wylewnych pożegnań, ale przynajmniej pokazaliby klasę. Jednak nie pokazali.

W United uwielbiałem wszystko od dnia, kiedy podpisałem kontrakt. Ten klub pasował do mojej osobowości. Uwielbiałem drużynę, nasz sposób gry. Lubiłem chłopaków, treningi, nasze podróże. Podobała mi się presja, lubiłem też naszych kibiców. Byli całkiem dobrze ułożeni. Kiedy przegrywaliśmy, wściekali się, ale w ładnym stylu. Lubiłem wyzwania. Nasze stroje. Emblematy. Historię. Dobrze czułem się, mieszkając w Manchesterze. Dobrze układało mi się z menedżerem. W klubie było zaufanie – to bardzo dużo znaczy w futbolu. Lubiłem naszą obsługę – każdego, kto pracował przy treningach, ludzi od boiska, trenerów – było ich kilku przez tych parę lat: Brian Kidd, Jim Ryan, Steve McClaren, Walter Smith, Carlos Queiroz, Mike Phelan. No i oczywiście wygrywanie – to dopiero radocha.

Wciąż mam słabość do United, i Bogu dzięki. W 2013 zabrałem syna na finałowy mecz Ligi Mistrzów na Wembley. Grał Bayern z Borussią Dortmund. Ale mój syn ciągle mówił o innych drużynach. Zapytałem, której drużynie kibicuje.

Odpowiedział, że United.

Wiedział, że wciąż mam do nich sentyment.

Zapytałem zatem, dlaczego im kibicuje.

Wyjaśnił, że urodził się w Manchesterze, a przecież nie będzie kibicował City.

– To dobrze – stwierdziłem.

To był wystarczająco dobry powód. Pomyślałem, żeby kupić bilety na cały sezon.

Niedawno poszliśmy ich oglądać, a ja krzyczałem: „Dawajcie!”.

Kurwa. Dawajcie.

Wciąż chciałem, żeby wygrywali.

Kiedy przeniosłem się do Celticu, wczesnym rankiem latałem do Edynburga albo Glasgow, wynajmowałem samochód i jechałem na boisko treningowe. Spędzałem tam zazwyczaj kilka dni. Któregoś dnia wsiadłem o 6.00 rano do taksówki, żeby pojechać na lotnisko.

Samolot miałem o 7.00. Był środek zimy. Taksówkarz zapytał mnie, czy brakuje mi gry w United.

Była szósta rano, kurewsko zimno, na zewnątrz ciemno. Spojrzałem na niego i zapytałem:

– Jak sądzisz?

Zaczęliśmy się śmiać.

Pięć

Położyłem się. A moje biodro – nigdy w życiu nie doświadczyłem takiego bólu. Tak mnie napierdalało, że chciało mi się wrzeszczeć.

Jeździłem rowerem po okolicy, gdzie mieszkam, żeby utrzymać formę. Nie było nikogo, z kim mógłbym trenować. A po kontuzji trzeba trenować – kopanie, skręty, zwroty. Kopałem piłkę nawet w drzwi garażu. A w garażu, w środku, rzucałem w drzwi. Czułem się znów jak dzieciak, kiedy w Mayfield kopałem piłkę o ścianę. Miałem też w garażu worek treningowy i skakankę, więc jeszcze skakałem. Robiłem pompki. Taki podstawowy trening bokserski. Robiłem wszystko, żeby tylko poczuć się trochę lepiej.

Zaczął wydzwaniać do mnie Michael Kennedy, ponieważ kilka klubów chciało podjąć rozmowy. Miałem zatem różne możliwości. Jednak zamiast się cieszyć, myślałem tylko, że znowu jestem w punkcie wyjścia i wszystko zaczynam od nowa.

Ale myślałem też o nowej szatni i o tym, że nauczę się czegoś nowego.

Wolałbym jednak cały czas grać, bo miałem już pięć albo sześć tygodni przerwy, a zagrać znowu mogłem dopiero w styczniu. To nie była korzystna sytuacja. Przez to, co stało się w United, ludzie mogli myśleć, że podpisują kontrakt z jakimś pierdolonym Maradoną.

Real Madryt proponował mi półtoraroczny kontrakt. Chcieli mnie także w Evertonie, rzut beretem ode mnie. Spotkałem się z ich menedżerem, Davidem Moyesem, w jego domu. Naprawdę byłem pod wrażeniem jego słów. Bolton to klub w pobliżu, spotkałem się tam z Samem Allardyce'em. Wybrałem jednak Celtic, za 15 tysięcy podstawy tygodniowo. Wiem, że to spora kwota, ale zarabiałem o wiele więcej. To był znaczący spadek wynagrodzenia.

Jeśli klub interesuje się zawodnikiem, menedżer zazwyczaj mówi mu, że bardzo chętnie widzieliby go u siebie. Z menedżerem Celticu, Gordonem Strachanem, spotkałem się w Londynie, w domu ich większościowego udziałowca, Dermota Desmonda. Gordon powiedział, że jest mu wszystko jedno, czy podpiszę ten kontrakt, czy nie, bo poradzą sobie beze mnie.

Pomyślałem więc, że go pierdolę, podpisuję.

To chyba był jeden z powodów, dla których podpisałem z nimi kontrakt – chciałem udowodnić Gordonowi, że nie ma racji. Żeby jednak oddać mu sprawiedliwość, rzeczywiście dobrze radzili sobie w lidze, mieli już grających na mojej pozycji Neila Lennona i Stilijana Petrowa. Gordon miał dobrą drużynę. Nie czekałem zatem na słowa zachęty. Pomyślałem, że niech mu będzie, taka jest gra. Chciał dać mi do zrozumienia, że wcale im na mnie nie zależy. Nie był też specjalnie rozmowny, ale to nie problem. Próbowałem go trochę prowokować, mówiąc, że nawet jeśli w tej chwili mają już 15 punktów, kiedy do nich dołączę, mogą zdobyć nawet 20. Mogą mnie też potrzebować w przyszłym roku, w Europie.

Michael był w Madrycie i w moim imieniu negocjował z Realem. Ja też z nimi rozmawiałem. Zadzwonił do mnie Butragueño. Emilio Butragueño – cóż to był za piłkarz! Michael uprzedził mnie, że Butragueño będzie do mnie dzwonił, więc wszędzie nosiłem ze sobą komórkę. I – to się nazywa szczęście – zadzwonił, kiedy siedziałem w toalecie. Powiedział, że z przyjemnością przyjęliby mnie do drużyny. Jeszcze tylko zarząd klubu musi wyrazić zgodę, ale to standardowa procedura.

Choć mówiłem OK, wciąż się wahałem.

Michael pytał mnie, co ja wyprawiam.

Potem Real potrzebował jeszcze trochę czasu na sformalizowanie kontraktu, to było kilka tygodni przed Gwiazdką, ale ja już straciłem cierpliwość.

Powinienem był poświęcić więcej uwagi ofercie Realu, to było dla mnie prawdziwe wyzwanie, ale ja go nie podjąłem. Już po fakcie myślałem, że powinienem był jechać do Hiszpanii. Pomieszkać tam te półtora roku, nauczyć się nowego języka, poznać kulturę. Może spodobałoby mi się na tyle, że zostałbym tam.

Zamiast dać sobie tę szansę, podszedłem do oferty sceptycznie. A to przecież mogłoby być fantastyczne również dla moich dzieci. Pogoda i treningi mogłyby być nowym rozdziałem mojego życia, kolejne dwa lata gry, mógłbym nauczyć się nowych technik rozciągania. Zamiast tego – jak zwykle – zastanawiałem się, co może pójść źle. Spóźniony refleks – co za piękne, kurwa, określenie. Jednak wtedy myślałem, że podjąłem właściwą decyzję.

Nie chciałem przeprowadzać się do Hiszpanii. Przeważył lęk przed nieznanym. Wynajdywałem sobie zatem różne usprawiedliwienia – a to rodzina, a to język, a to nauka dzieci. Wyobrażałem sobie, że jadę do Madrytu, wchodzę do szatni i zaczynam wszystko od nowa, a na to nie miałem ochoty. Moja kariera była dość bolesna, wciąż miałem problemy po urazach.

Nie wystarczy po prostu grać w klubie, grać na jego konto, chodzi o to, żeby mieć wpływ na grę i na klub, przynosić mu korzyści. Również i to martwiło mnie, kiedy odchodziłem z United.

Miałem 34 lata, byłem doświadczonym zawodnikiem. Możliwe, że Real Madryt potrzebował kogoś, kto będzie po prostu grał i kręcił się po boisku przez kilka meczów. Ale ja chciałem mieć prawdziwy wpływ na drużynę. Owszem, to Real Madryt, ale dla mnie futbol to futbol, nie ma znaczenia na jakim poziomie. Czy w następnym tygodniu wrócę do Cobh Ramblers? Nie, ponieważ nie będę mieć na tę drużynę wpływu. Często słyszę, jak ktoś mówi, że grał w United albo w Sheffield. Ale czy wniósł coś do klubu? Tu chodzi o wpływ na jego historię, wyniki. To potrafią ci najlepsi – Rooney, Ronaldo, Messi, Cantona, Forest, Stuart Pearce – każdy z nich na swój sposób wpłynął na losy swojego klubu. Ja również rozpoczynając grę, mogłem wpływać na mecz, dając z siebie wszystko. Mogłem wpływać na wynik meczu nawet w tunelu, zanim wyszliśmy na boisko. Ale miałem już 34 lata i grałem ostro, siłowo. Widziałem już starszych zawodników, którzy przenosili się do nowych drużyn. To się nie sprawdzało.

Tak naprawdę nie chodziło wcale o to, w którym klubie wyląduję. Zapomnijmy o Madrycie, Evertonie, Celticu, Barcelonie, Interze Mediolan i powodach, dla których miałem bądź nie miałem w nich grać. Prawda jest taka, że tego ranka, kiedy odszedłem z United,

moja miłość do futbolu trochę osłabła. Każda drużyna na świecie mogłaby zapraszać mnie do współpracy, ale ta radocha, ta satysfakcja, to przekonanie, że wygramy, już nie wróci.

Myślałem, że na Celtic mogę mieć większy wpływ niż na Everton czy Madryt. Szczerze mówiąc, myślałem też, że w Celticu będzie trochę lżej. Wiedziałem, że w wielu meczach będą górą. Myślałem, że pogram z nimi rok, półtora.

Ale kiedy tam przyjechałem, wciąż czułem się, jakbym zaczynał od nowa. Próbując udowodnić wszystkim, że się mylą.

Kontrakt z Celtikiem podpisałem 15 grudnia, choć zagrać mogłem dopiero w styczniu. Konferencja prasowa z tej okazji była chaotyczna, czułem się, jakbym ciągle musiał się tłumaczyć. „Chłopaki, mam 34 lata, dokucza mi biodro".

Przed stadionem sesja zdjęciowa, na głowie zawiązałem sobie klubowy szalik. Na schodach stadionu setki fanów. Byli dla mnie naprawdę mili. Zawodnicy powitali mnie bardzo serdecznie. Miło było założyć klubowy strój. Naprawdę byłem zadowolony, że tam jestem. Pozwolili mi grać w moim własnym stylu. Gordon Strachan i jego zespół – Garry Pendrey i oczywiście Tommy Burns – tworzyli wspaniałą atmosferę, z poczuciem humoru. Tommy był wspaniałym facetem, niech spoczywa w pokoju. Nie spotkałbym go, gdybym pojechał do Madrytu. John Clark, człowiek odpowiadający za wyposażenie, grał kiedyś w drużynie Lisbon Lions, zdobył z nimi Puchar Europy w 1967. Ktoś taki jest bardzo ważny, jest niemal centrum wszystkiego, łącznikiem wszystkich ze wszystkimi. Zawsze musi być w dobrym nastroju i pełen energii. Spotkanie z nim rano od razu wprowadza w dobry nastrój. W pewnym sensie jego nastrój jest odbiciem nastroju panującego w klubie. Clark chyba najbardziej ze wszystkich cieszył się z mojego przyjścia do klubu, doceniał bowiem mój wkład w futbol. Zawsze robił dla mnie bardzo dużo.

W Celticu spotkałem wspaniałych ludzi.

Ich sposób treningu, zwłaszcza na rozgrzewkach, polegał głównie na ruchach bioder. Przede wszystkim oczywiście chodziło o piłkę. Jeśli było nas szesnastu, ośmiu podawało piłkę pozostałej ósemce

w środku boiska. Zawsze pracuje się z piłką, a podania są najlepsze w dochodzeniu do formy po urazie. Kopanie do kogoś w środku. Błyskawiczne odbieranie piłki zewnętrzną krawędzią stopy i podbiciem. Obroty. Dla mnie najbardziej stresujące było odbieranie piłki. A to była tylko rozgrzewka. Trochę się też nabijaliśmy, bo nie wszyscy potrafili to robić.

Po rozgrzewkach czułem, że mogę już zacząć grać. Myślałem też o tym, że mam dość i muszę walczyć. Podobało mi się to, znów czułem piłkę. Naprawdę się cieszyłem, ale moje biodro wciąż mi dokuczało. Nie trenowałem należycie przez ponad dwa miesiące, nie miałem do dyspozycji innych graczy, tego nie zastąpi kopanie piłki w drzwi garażu. Trenowaliśmy przez godzinę albo godzinę i piętnaście minut, może półtorej godziny. Zaraz po treningu nie czułem się wcale źle, bo wszystko było nowe, dostawałem też zastrzyk energii.

Wróciłem do hotelu w Edynburgu. Doradzono mi, by zatrzymać się w Edynburgu, z dala od całego zgiełku, gdzie byli fani Rangersów i fani Celticu. To miało sens – miałem trochę prywatności. Ale, tak naprawdę, powinienem był zatrzymać się w Glasgow (później wynająłem małe mieszkanie w Glasgow, w dzielnicy West End, było całkiem w porządku). W każdym razie wróciłem do hotelu, to jakaś godzina jazdy samochodem z Glasgow. Hotel był przyjemny, apartament ładny.

Położyłem się. A moje biodro – nigdy w życiu nie doświadczyłem takiego bólu. Tak mnie napierdalało, że chciałem wrzeszczeć. I to tylko po rozgrzewce, po treningu. Wszystko przez ten ruch – nie ruszałem się odpowiednio przez miesiące. Nie ćwiczyłem obrotów, trzymania graczy na dystans. Nie mogłem pomóc sobie żadnymi ćwiczeniami. Miałem wrócić na boisko za dwa tygodnie, rzucić się w wir prawdziwej gry.

Leżałem tam i myślałem, że nie chcę wracać, ale powinienem. Muszę. Byłem doświadczonym profesjonalistą, zagrałem w ponad 600 meczach, ze wszystkim dam sobie radę.

A moje biodro wrzeszczało. Nie bolało, wrzeszczało: „Coś ty mi zrobił?”.

Nie mogłem się ruszyć. Pomyślałem jeszcze, że powinienem iść na emeryturę. Po prostu spakować majdan.

Ale nie mogłem przecież zrezygnować po pierwszym dniu. Jakby to wyglądało? Fani Celticu w swoich strojach i szalikach. Nie, nie, muszę iść do pracy. Czy mogę tam pójść i powiedzieć im, że wysiadło mi biodro? A może jutro będzie lepiej? Przede mną jeszcze 45 minut, może godzina jazdy samochodem na trening. Lepiej wyjadę wcześniej, bo pewnie trudno mi będzie prowadzić.

To tylko moja wina. Nikt nie kazał mi zatrzymać się w Edynburgu.

Ale to biodro – do kurwy nędzy. Powinienem był się spakować. Powinienem mieć więcej odwagi, bo czasem trzeba odwagi, żeby powiedzieć „nie". Jeden z moich kolegów z Irlandii powiedział mi kiedyś: „Dołóż po prostu »nie« do swojego zdania". We wczesnych latach mojej kariery jedną z moich mocnych stron była umiejętność odmawiania. Jasno stawiałem granice, znałem ograniczenia swojego zawodu.

Był jeszcze wstyd. Podpisałem kontrakt. Ludzie kupili koszulki z moim nazwiskiem. Nie chciałem nikogo zawieść. I to uczucie – że może nawet nie będę w stanie zagrać. A przecież nie tak dawno – niecały rok wcześniej – byłem w tunelu Highbury, nadając kierunek meczowi, zanim jeszcze się zaczął. Teraz leżałem w łóżku hotelowym, zastanawiając się, czy jestem w stanie wytrzymać trening.

Następnego dnia musiałem się jednak ruszyć. To moja praca. Muszę trenować. Za kilka tygodni mam mecz.

Przez całą karierę uważałem, że należy trenować tak, jak się gra. Powinienem się przyzwyczaić. Nie przejmować się. Po wtorkowym treningu nie spodziewam się aplauzu, pojawi się, jeśli dobrze zagram w sobotę. Nie czułem się stary w kategoriach piłkarskich, ale fizycznie chyba taki byłem. Moje ciało było stare. Byłem jednak nowy w szatni i chciałem zrobić jak najlepsze wrażenie. Taki mus. Codzienna praca piłkarza podczas treningów to imponowanie menedżerowi i ekipie trenerskiej. Gordon nie widział mnie, jak trenuję, podobnie Tommy Burns. Widzieli, jak gram, ale nie widzieli, jak trenuję.

Treningi były trudne. Zanim Gordon zaczął pracę dla Celticu, drużyny, z którymi pracował wcześniej, były dla niego niezłym wyzwaniem. Southampton, Coventry wiecznie walczyły o przetrwanie, tam zawodnicy zawsze ciężko pracowali i pod tym kątem opracowany był jego program treningowy. To mi się podobało. Chciałbym tylko lepiej sobie z nim radzić.

Trzeba było przebrać się na Celtic Park, a dopiero potem dojechać kawałek dalej na boisko treningowe. Teraz jest inaczej, ale tak było wtedy. Wielkim wyzwaniem była decyzja, czyj samochód bierzemy tym razem. Czyja dzisiaj kolej?

Po treningu trzeba było zawieźć wszystkich z powrotem, a w dziewięciu przypadkach na dziesięć strasznie lało, więc do samochodu pakowała się banda ubłoconych facetów.

Lubiłem to, bo było nawet zabawne.

„Ej, panowie, jeżdżę bentleyem, nikt nie wsiądzie do niego w zabłoconych buciorach".

Poznałem lepiej chłopaków, z którymi jeździłem: Diona Dublina, Petrowa. Jechaliśmy razem tylko pięć minut, ale zawsze zdążyliśmy się powygłupiać. Przez pierwsze tygodnie miałem jeszcze samochód United, więc zapraszałem wszystkich, zwłaszcza w zabłoconych buciorach.

W końcu wynająłem golfa – raz, żeby nie brudzić swojego samochodu, a dwa, żeby nikt w Glasgow mnie nie poznał.

Mniej więcej w tym czasie ktoś z zarządu Celticu zapytał mnie, czy nie mam nic przeciw temu, żeby dostawać pensję od końca stycznia, bo dopiero w styczniu zacznę grać.

Powiedziałem, że przecież podpisałem kontrakt, trenuję, a klub sprzedaje koszulki z moim nazwiskiem. Zatem bardzo proszę, by płacono mi od daty podpisania kontraktu.

Oto całe piękno tego układu, całe pierdolone piękno.

Michael błagał mnie, żebym nie szedł do Celticu. Nie był zadowolony z negocjacji, nie podobało mu się też ich podejście – że nie zależało im, czy podpiszę, czy nie. Ale wciąż jestem przekonany, że zawsze bym żałował, gdybym się nie zdecydował, chociaż zaproponowali mi najniższą stawkę ze wszystkich. Przeczytałem gdzieś, że poszedłem do nich za 40 albo 50 tysięcy tygodniowo, ale

oni naprawdę zaproponowali mi 15 tysięcy podstawy tygodniowo. Nie motywowały mnie jedynie pieniądze. Może czułem się trochę winny, że w United zarabiałem takie wielkie pieniądze za coś, co i tak kochałem robić.

Na przestrzeni lat raz lub dwa wspomniałem, że któregoś dnia chciałbym zagrać dla Celticu. Powiedziałem to przypadkiem, ale teraz nie mogłem cofnąć słowa. No i chciałem stanąć naprzeciwko Rangersów, w meczu Old Firm, dla atmosfery, dla tego energetycznego kopa, dla doświadczenia. Grałem już z nimi jako zawodnik United, i to było niesamowite. Myślałem wtedy, że jeśli gra Rangersów z United była tak fascynująca, to co dopiero będzie się działo w meczu z Celtikiem? Byłem na kilku meczach Celticu z Rangersami, również na stadionie Ibrox. To były wielkie mecze. W maju Celtic miał grać z United, w meczu na moją cześć. Termin został uzgodniony, zanim odszedłem z United. Dlatego zastanawiałem się, czy nie będzie to dla wszystkich kłopotliwe, jeśli podpiszę kontrakt Celtikiem. Ale ponad wszystkimi wątpliwościami górowało uczucie, że zamierzam wreszcie sobie poużywać. Idę tam, gdzie chcę być, i pierdolić forsę. Może nie było to moje marzenie, ale zawsze lubiłem Celtic. Miałem również w pamięci ich powiązania z Irlandią, więc czułem się trochę zobowiązany. Zazwyczaj kiedy podejmuje się decyzje dotyczące kariery, bierze się pod uwagę wszystko: wyzwania, rodzinę, miejsce. Ale moja decyzja była czysto egoistyczna. Po prostu chciałem grać w Celticu Glasgow. Celtic to wyjątkowy klub.

Pierwszy mecz grałem z Clyde, na ich stadionie, w trzeciej rundzie Pucharu Szkocji. Wygrali 2:1. To był koszmar. Nie byłem z siebie zadowolony. Grałem dobrze, ale to nie wystarczy. Wielkie rozczarowanie. Zdejmując koszulkę, zauważyłem, że jest na niej jeszcze naszywka Nike. Kiedy wszedłem do autobusu, John Hartson, naprawdę fajny facet, już tam siedział i wcinał jakieś chrupki, popijając gazowanym napojem. „Witaj w piekle” – pomyślałem.

Wróciliśmy na Celtic Park. Czekała na nas spora grupa fanów, gotowa zaatakować Gordona i kilku graczy, kiedy tylko

wysiądziemy z autobusu. To był kompletny szok – Clyde wykopał nas z pucharowych rozgrywek. Ale Tommy Burns (czapki z głów) stanął na schodach stadionu i wziął kibiców na klatę – kilku z nich było już gotowych na nas ruszyć.

– Nie jesteście fanami Celticu – powiedział. – Więc musicie iść za nami.

„Dobry początek" – pomyślałem.

Mój pierwszy mecz – mamy już na głowie wkurzonych kibiców, a jeden z trenerów na schodach Celtic Park musi bronić menedżera. Miłe delikatne wprowadzenie.

Z kolei pierwszy mecz Old Firm graliśmy na stadionie Ibrox. Zwyciężyliśmy 1:0. Było wspaniale. Odżyły wszystkie moje oczekiwania, pewnie dlatego, że wygraliśmy. Gola strzelił Magic Żurawski, gość z Polski. Początek mojej kariery w Celticu nie był najlepszy – przegrana z Clyde i wściekli kibice, ale niedługo później zwycięstwo z Rangersami, a ja myślałem, że właśnie o to chodzi.

Atmosfera była rewelacyjna, wręcz elektryzująca. Podobała mi się nawet nienawiść na boisku. Dostałem żółtą kartkę za faul na Pršo, a oni wyli, że ma być czerwona. Fizycznie czułem się dobrze. Zostałem Piłkarzem Meczu i to była chwila satysfakcji, kolejne drobne zwycięstwo. W szatni po meczu też było rewelacyjnie. Właśnie – o to chodzi w futbolu.

Ale na tym etapie przed każdym meczem brałem środki przeciwbólowe. Zastrzyk w zadek – diklofenak albo voltarol. Przyczyną bólu było naderwanie obrąbka stawowego biodra. Dotarło do mnie, że jeśli będę dalej grał, będzie coraz gorzej. Brałem zastrzyk przed meczem, a kolejny w przerwie, żeby przetrwać, i jakoś dawałem radę. Ale konsekwencje odczuwałem przez dwa kolejne dni. Byłem w strzępach. Zresztą i tak bym był, mecz z Rangersami był fizycznie bardzo trudny.

Wątpię, czy zastrzyki przeciwbólowe podawane są dziś zawodnikom tak często jak kiedyś. Medycyna sportowa zrobiła duże postępy i zawodnicy już by ich chyba nie chcieli.

Środki tylko tłumią ból i w końcu przestają działać. Więc zło jest podwójne – cierpieć będę i tak, a biodra nie wyleczę. Mogłem usprawiedliwiać się przed meczem z Rangersami, bo wiedziałem, że

będzie trudny, ale w końcu kiedy zacząłem je brać przed każdym meczem, wiedziałem już, że nie jest dobrze.

Brałem je już w Anglii, ale tylko przed bardzo ważnymi meczami – z Arsenalem albo z City, kiedy wiedziałem, że czeka mnie ogromny wysiłek fizyczny. Teraz zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że moje dni są policzone.

Kilka tygodni później graliśmy z Hibernian, na stadionie Easter Road, a ja sam zapędziłem się w kozi róg. Zrobiłem swoje na meczu z Rangersami, ale o Hibsach wiedziałem niewiele. Myślałem, że to będzie kurewsko trudne. Na środku boiska mieli dwóch dobrych chłopaków. Obydwaj byli fantastyczni. Jednym z nich był Kevin Thomson, który grał później w Rangersach i Middlesbrough. Wygraliśmy, ale to był lekki szok. Myślałem, że bez trudu dam radę tej dwójce i całej reszcie ich drużyny, ale byłem w błędzie. Mieli świetnych zawodników.

W marcu pokonaliśmy Dunfermline i wygraliśmy Puchar Ligi. Biegałem jak wariat i tak ostro wystrzeliłem do przodu, że naderwałem ścięgno udowe. Z powodu urazu musiałem zejść z boiska. Wygraliśmy, ale nie brałem udziału w fetowaniu, było mi wstyd.

W półfinale wszedłem jako rezerwowy pod koniec drugiej połowy. Grałem może 90 sekund. Niemiłe doświadczenie, ale to był powrót po kolejnej kontuzji. Wtedy też doszło do jedynego nieporozumienia z Gordonem Strachanem. Po większości meczów Gordon pozwalał mi wracać do Manchesteru, żebym odpoczął. Ale po tym meczu zaplanował mecz treningowy na następny dzień. Ja wciąż wracałem do formy, chyba Stilijan Petrow był również po urazie, dlatego Gordon zorganizował mecz jedenastu na jedenastu.

Powiedziałem mu, że zazwyczaj po meczu jadę prosto do domu, a on na to, że chce, abym zagrał.

Domyślałem się dlaczego. W końcu sam powiedział, że chce sprawdzić, na co może liczyć z mojej strony.

– A nie oglądałeś moich sześciuset meczów w Anglii? – zapytałem.

– Nie o to chodzi – odpowiedział. – Chcę zobaczyć ciebie.

Zostałem i zagrałem w tym meczu. Nawet mi się podobało. Ale moja kariera… Grałem teraz w meczach treningowych, żeby pokazać menedżerowi, na co mnie stać.

Z początkiem kwietnia pokonaliśmy Hearts na Celtic Park i zdobyliśmy tytuł mistrza. Znów doznałem urazu. Trudno mi było przyłączyć się do świętowania w szatni, bo nie ugrałem zbyt wiele.

Wraz z Celtikiem wygrałem ligę szkocką i zdobyłem Puchar Ligi, ale nigdy tak naprawdę nie przyłożyłem się do tych zwycięstw. Owszem, Celtic wygrał ligę, ale mieli już przewagę 15 punktów, kiedy do nich dołączyłem. W meczu z Rangersami okrzyknięto mnie Piłkarzem Meczu, co trochę mnie podniosło na duchu.

Wspominając moją współpracę z Celtikiem, czuję się trochę zażenowany. Nie grałem zbyt wiele. Dwanaście, może trzynaście meczów. Cztery albo pięć razy siedziałem na ławce, dwa razy naderwałem ścięgno udowe. Powodem częstych kontuzji był brak formy. Moje biodro. Moje biegi. Za bardzo próbowałem na wszystkich zrobić wrażenie. Próbowałem grać jak dwudziestolatek i pokazać im, z jakim graczem podpisali kontrakt. Marzenia ściętej głowy.

Pewnie gdybym wciąż grał w United, byłbym mądrzejszy. Miałem tam już wyrobioną pozycję i nie musiałbym wygłupiać się jak nastolatek. Ale tu, w Celticu, myślałem, że skoro podpisali ze mną kontrakt, kibice sądzą, że mają czołowego zawodnika.

Tak, byłem czołowym zawodnikiem, ale od lat nie musiałem się spinać. W United od razu wiedziałem, o co chodzi, i natychmiast grałem tam, gdzie trzeba. W Celticu natomiast myślałem tylko, jak strzelić gola, żeby im zaimponować. Głupia dziecinada.

A czemu nie poszedłem do Evertonu? Żałowałbym, że to nie Celtic, a przecież nie mogłem być i tu i tu. Ale i Everton byłby dobry. Rozmawiałem z Philem Neville'em, który już wcześniej się do nich przeniósł. Wiem, że było tam kilku ludzi, którzy pomogliby mi odzyskać formę. Lubiłem ich menedżera, Davida Moyesa. Ich prezes, Bill Kenwright, bardzo dobrze negocjował z Michaelem. Ich oferta była znacznie lepsza niż propozycja Celticu. Ale byłoby mi chyba trudno grać w innej angielskiej drużynie. To głupie,

bo to w końcu biznes. Chociaż nigdy nie nazwałbym lat spędzonych w United biznesem.

W Everton mógłbym poprawić swoją sytuację, mógłbym pograć tam jeszcze dwa albo trzy lata. Pasował mi ich styl gry. Byłbym odpowiednim defensywnym pomocnikiem.

Ale nie miałem z tego powodu nocnych koszmarów.

Nie narzekam jednak na Celtic. To świetny klub. Niczego nie żałuję, chociaż nie wyszło. Często tam jeżdżę i bardzo to lubię. Zupełnie, jakbym miał tam rodzinę. „Jeśli z nami grasz, jesteś jednym z nas". Bywa to krępujące, bo kopałem dla nich piłkę raptem kilka razy. Miałem szczęście, że grałem dla Celticu.

A może po prostu odkładałem nieuchronną decyzję. Bałem się przyznać, że powinienem już iść na emeryturę.

Mecz na moją cześć miał miejsce 9 maja 2006. Na takim meczu można bardzo dużo zarobić. Ale myślę, że to tradycja czyni ten dzień tak wyjątkowym. Ty dziękujesz kibicom, a oni dziękują tobie. A dla mnie była to szansa, by pożegnać się z fanami United. To było dla mnie bardzo ważne.

Nie czułem się najlepiej, jadąc na Old Trafford z drużyną Celticu. Grałem z nimi przecież od niedawna.

Bardzo ważną częścią tej uroczystości są prezenty dla obydwu drużyn. Chłopaki z Celticu byli ze mną, musiałem więc kupić im coś wyjątkowego. Jeśli zawodnik, któremu poświęcony jest mecz, nie kupi obydwu drużynom przyzwoitych prezentów, będzie krytykowany do końca życia. Tak więc pod koniec sezonu zastanawiałem się nad swoją karierą i przyszłością. Ale prawdziwą presję odczuwałem ze strony chłopaków z Celticu, dlatego że musiałem kupić im prezent. W końcu kupiłem 50 zegarków Omega, po 25 dla każdej z szatni. To były dobre zegarki, więc miałem nadzieję, że nie będą marudzić.

Piłkarze Celticu uwielbiają jeździć do United. Lubią grać z angielskimi drużynami. Kibice Celticu też to kochają. Ale mecz komuś poświęcony to mecz towarzyski, to uroczystość, choć oczywiście każdy chce wygrać.

Atmosfera tego wieczoru była fantastyczna, zupełnie wyjątkowa, towarzyszyła mi rodzina. Miło było być z powrotem.

Umowa była taka, że z każdą drużyną będę grać jedną połowę. Pierwszą grałem z Celtikiem. W przerwie poszedłem do nich i powiedziałem, że drugą gram z United.

Zaczęliśmy się wygłupiać. Zawsze lubiłem żartować z chłopakami w szatni Celticu. Stilijan Petrow to fajny facet, Neil Lennon i John Hartson – bardzo przyzwoici goście, tak jak Dion Dublin. Często wychodziliśmy coś zjeść i zazwyczaj to ja płaciłem. Wynagrodzenie za ten mecz pewnie ledwo pokryje te wydatki.

Wróciłem zatem do szatni United. Był tam facet od wyposażenia, Albert. Zapytał, czy wszystko w porządku. Chłopaki zaczęli się nabijać. Założyłem strój United, jakbym założył swój stary sweter. To był mój strój. Poczułem się, jakbym miał trzy metry wzrostu. Nie chciałem tego uczucia. Walczyłem z nim. Nic jednak nie mogłem na nie poradzić. Myślałem wtedy, że lepiej, abyśmy wygrali. Znów byłem zawodnikiem United.

Wygraliśmy 1:0. Gola strzelił Ronaldo, a ja myślałem, że teraz muszę wrócić do szatni Celticu i mocniej się z nimi związać.

To było cholernie frustrujące.

Zastanawiałem się, dlaczego wszystko poszło tak źle.

Znowu te autodestrukcyjne myśli.

Gniew zawsze był częścią mojej osobowości. Nie postrzegam tego jednak jako czegoś złego, to nie jest złe uczucie. Moja reputacja zresztą zawsze była taka – ciągle się wściekam i wiecznie marudzę. Pewnie dlatego zawsze rozrabiałem, kiedy byłem zawodnikiem. Ale wiele moich czerwonych kartek nie było spowodowanych złością, tylko frustracją. A to wielka różnica. Nie przypominam sobie, bym musiał schodzić z boiska, kiedy wygrywaliśmy 3:0.

Wściekam się zazwyczaj wtedy, kiedy muszę się bronić. Zdaje się, że ten Gość z góry takim mnie stworzył – dał mi siłę, by się bronić. Czasem staram się opanować złość, ale kiedy to robię i staję się bardziej wycofany, zazwyczaj mści się to na mnie. Dlatego postrzegam swój gniew jako użyteczne narzędzie. Kiedy go okazuję

– oczywiście nie co chwilę – coś z siebie wyrzucam. Dziś potrafię to lepiej kontrolować niż kiedyś.

To rodzinne – bez wątpienia mam to po ojcu. Brak cierpliwości, niski próg tolerancji. To jedna z tkwiących we mnie sprzeczności – nie wściekam się aż tak bardzo, jak wszystkim mogłoby się wydawać. To jednak pomaga – jak tylko wchodzę do pokoju, widzę, że wszyscy robią się niespokojni. Spodziewają się pewnie jakiegoś łysego chuligana. Więc mogę ich rozczarować. Wydaje mi się, że dobrze wszystkich traktuję. Mam przyjaciół, których znam od 30 lat. Gdybym był niecierpliwym łobuzem, pewnie trzymaliby się ode mnie z daleka.

Przyglądałem się temu, żeby się przekonać, czy coś za tym nie stoi. Ale nie. To tylko gniew. Nie będę się w związku z tym biczował. Gniew jest energią i jeśli dużo się jej straci – jak po meczu, czujesz się wypompowany, nie masz siły. Kiedy jeszcze piłem, jakiś były zawodnik powiedział mi, że wychodzenie ze mną to jak wychodzenie z bombą zegarową. Pewnie moja reputacja trzyma ludzi z dala ode mnie. Często mi to pasuje, choć nie twierdzę, że to dobra rzecz.

Zatem gniew to dobra cecha. Ale kiedy jestem stawiany pod ścianą, kiedy zdarzają się takie sytuacje, osobiste czy zawodowe, że tracę poczucie humoru, nawet jeśli mam rację – to nie ma znaczenia, wiem – gdzieś w głębi czuję, że przegram. Saipan i Mistrzostwa Świata przegrałem z kretesem. Odejście z United. Mogłem zostać tam dłużej, gdyby sprawa została załatwiona inaczej. I to ja przegrałem, dobrze o tym wiem. To ta szalona część mojego charakteru. Kiedy tracę nad sobą panowanie, nawet mając rację, jakiś głos w środku mówi mi, że za to zapłacę.

To jest ten autodestrukcyjny mechanizm. Może wynika z niskiej samooceny? Nawet jeśli wszystko idzie naprawdę dobrze, ja nie do końca w to wierzę. Myślę, że pewnie nie potrwa to długo albo zastanawiam się, dlaczego wszystko idzie tak dobrze. A może jak troszkę to spierdolę, to poczuję się lepiej? Nawet kiedy kupuję nowy samochód, zastanawiam się, kim niby jestem, że kupuję nowy samochód? I wszystko potrafię spierdolić. Wszystko wokół siebie ciągnę w dół, a potem muszę zaczynać od nowa. Kiedy wracam

na szczyt, widzę, że wiele rzeczy, z których nie byłem zadowolony, można było załatwić inaczej.

Ten autodestrukcyjny element z całą pewnością jest częścią mnie. I dużo tracę z jego powodu. Kiedy piłem, znikałem na kilka dni. To pewnie był mój sposób na to, żeby się wyłączyć, bez względu na konsekwencje. Czas dla mnie. I autodestrukcja. Potrafię to dostrzec, ale wciąż mnie do tego ciągnie. Nie do picia, ale żeby oddać się wariactwu, nieodpowiedzialności. Na przykład siedzieć w domu, niczym najbardziej zadowolony człowiek na świecie. A godzinę później myślę, że to taka ciężka praca. Kiedy wracam do Cork, wpadam w tę starą rutynę i znowu się wściekam. Ale mnie to nie niepokoi. Wściekam się, rozglądam, wzdycham i uspokajam. Czasem jednak sam nie wiem, co jest dla mnie najlepsze. Dlatego jestem głęboko wierzący. Wierzę, że ten Gość, tam wysoko, czuwa nade mną. Muszę tylko trochę bardziej Mu ufać. Nauczyłem się szybko przepraszać, jeśli uznaję, że źle się zachowałem. A czasem po prostu przepraszam, żeby iść dalej.

Może „autodestrukcja" to za mocne słowo. Może sam ze sobą prowadzę grę. Mam bardzo ustabilizowane życie. I to mnie niepokoi. Z jednej strony bardzo cenię wygody mojego domu, a potem znów potrzebuję awantur. Z drugiej strony – chcę codziennie rano mieć śniadanie na stole, chcę mieć obok żonę i dzieci. Zanurzałem się już w szaleństwie i aż tak bardzo mi się to nie podoba. Lubię wychodzić rano z psami. A może wcale nie jestem inny niż reszta świata? Nie wiem, ale chcę od życia trochę więcej niż proponuje przeciętna oferta. Mój kryzys wieku średniego trwał kilka lat.

Nie pozwoliłem sobie nigdy na całkowitą destrukcję, potrzebna mi moja duma i podoba mi się wszystko, co w moim życiu dobre. Nie chcę być kolejną upadłą gwiazdą. Jestem całkiem dobry w codziennym życiu. Uspokaja mnie to, że mogę dobrze spać w nocy i mieć wokół siebie ludzi, których kocham.

Różnica między gniewem a furią jest spora. Kiedy się złoszczę albo wściekam, ktoś, kto jest ze mną, może mnie uspokoić, mogę to zrobić również sam. Zawsze jest powrót, bo gniew można powściągnąć. Ale furia… Przez to też przeszedłem. To idzie dalej niż

gniew. Rzadko mi się taki napad zdarza, zwłaszcza teraz, kiedy już nie gram. Nie zdarzył się raczej nigdy na boisku; jeśli dostawałem czerwoną kartkę, to z powodu frustracji albo kontrolowanego gniewu. Nad furią nie ma kontroli, a następstwa mogą być naprawdę koszmarne. I bardzo trudno się uspokoić. Potem można wręcz przeżyć szok, łapiąc doła i czując zażenowanie własnym zachowaniem. Nawet jeśli miało się rację. Dzięki Bogu dawno już nie wpadłem w furię.

* * *

Byłem z rodziną na Barbados, kiedy podjąłem decyzję, że odejdę z Celticu. To było kilka tygodni po zakończeniu sezonu. Po prostu pomyślałem, że nie mogę wrócić z powodu biodra. Pod koniec sezonu widziałem się ze specjalistą, Richardem Villarem. To była wizyta kontrolna. Powiedział, że im więcej będę grał, tym gorzej będzie z moim biodrem.

Po spotkaniu napisał list:

Pańskie biodro, z medycznego punktu widzenia, jest w trochę gorszym stanie niż podczas pierwszej wizyty. Wynik rezonansu magnetycznego ukazuje drobne uszkodzenie krawędzi stawu (chrząstki biodra), a także wczesną degenerację chrząstki stawowej biodra. Reasumując, są to wczesne objawy choroby zwyrodnieniowej stawów.

W normalnych okolicznościach taki stan stawu nie powinien zanadto wpływać na jakość życia. Niemniej to oczywiste, że w sytuacji, kiedy tak bardzo obciąża się prawy staw, wspomniane wyżej zmiany stają się istotne. W odniesieniu do tego rodzaju schorzenia biodra rokowania są niepewne.

Niemniej jest bardzo prawdopodobne, że stopień pogarszania się stanu Pańskiego biodra będzie proporcjonalny do jego obciążeń. Należy jednak pamiętać, że uszkodzone stawy nie powinny być całkowicie unieruchomione; jest im bardzo potrzebna odpowiednia ilość ruchu.

Zdaję sobie sprawę, że musi Pan podjąć niezwykle trudną decyzję, i nie zazdroszczę Panu sytuacji, w jakiej się Pan znalazł.

Mam jednak nadzieję, że zarówno nasza rozmowa w klinice, jak i niniejszy list pomogą Panu dojść do odpowiednich wniosków. Jak zapewne Pan wie, jestem do Pańskiej dyspozycji, jeśli tylko będzie Pan potrzebował dalszej pomocy.

To było krępujące, że musiałem podjąć decyzję o emeryturze. Przecież dopiero co dołączyłem do Celticu. Ale nawet jeśli nadal byłbym w United, czułbym się podobnie, gdybym przyszedł do pracy i powiedział, że jestem kontuzjowany. Wstyd.

Najtrudniejsze było podjęcie decyzji – po prostu. Dojście do odpowiednich wniosków. Rozmawiałem o tym z żoną i dziećmi, kiedy się bawiły. To nie była żadna narada rodzinna. Zdecydowałem.

Zadzwoniłem do Gordona Strachana.

– Gordon, chodzi o mój powrót. Moje biodro daje mi się we znaki i zdaje się, że nadszedł ten dzień…

– W porządku – powiedział. – Dobra, tak chyba będzie najlepiej.

A ja myślałem, że mógłby chociaż, kurwa, próbować przekonać mnie do zmiany zdania. Nawet poudawać…

Ale ulżyło mi.

Tak, chodziło o podjęcie decyzji. Wiele rzeczy mogę odwlekać, ale jeśli już się zdecyduję, nie wycofuję się.

Chyba nie chciałem pogodzić się z tym, że idę na emeryturę. Może dlatego nie podobało mi się na Barbados. Po rozmowie z Gordonem, kiedy podjąłem już decyzję, wciąż czułem się niepewnie, ale to była podniecająca niepewność. Co będzie dalej?

Teraz zaczyna się życie.

Sześć

Miał w Sydney Harbour apartament, lamborghini, wszystkie kobiety. Ciężki żywot. Ale wiedziałem, że kocha futbol. Kochał grać i lubił wyzwania. Zapytałem, czy szarpnie się na powrót do Sunderland.

Trudno oceniać siebie po karierze zawodnika. Traci się tożsamość. Traci się cel. Przez lata starasz się być graczem, w końcu zostajesz nim, w każdą sobotę, jak aktor. A potem to się kończy.

Czujesz się, jakbyś wszystko zaczynał od nowa. To żadna niespodzianka, bo przecież kiedy zaczynasz karierę, wiesz, że skończysz ją w wieku 34 czy 35 lat. Wiesz, że tak jest. Ale nie jestem pewien, czy każdy jest na to gotów emocjonalnie. W głowie kłębią się kłamstwa i pojawia się lęk przed akceptacją tego faktu.

Wtedy trzeba odpowiedzieć sobie na pytanie co dalej. Miałem w banku trochę grosza, ale moje życie na niezłym poziomie nie było tanie. Futbol był genialny, fantastyczny, rachunki jednak płacić trzeba. Chciałem jeździć na fajne wakacje, no i miałem rodzinę na utrzymaniu.

Byłem podekscytowany oczekiwaniem, co przyniesie przyszłość. Ale wiedziałem też, że cokolwiek to będzie, nigdy nie będzie tak dobre jak gra w piłkę. Nigdy.

Kiedy byłem zawodnikiem, robiłem dokładnie to, co chciałem. Ale to się skończyło. Byłem piłkarzem, a potem ekspiłkarzem, cokolwiek to „eks” miałoby znaczyć. Kochałem wszystko, co robiłem w United – zwycięstwa, grę, urazy i czerwone kartki. Myślę nawet, że nie powinienem kochać tego wszystkiego aż tak bardzo.

Robiłem to, co kochałem. Futbol był dla mnie wszystkim. Można powiedzieć – po prostu praca. Rozumiem, co znaczy klub piłkarski dla sponsorów, ludzi, którzy jeżdżą po całym kraju, płacą wielkie pieniądze i są często sfrustrowani. Ja też tak się czułem się w United – podzielałem ich przygnębienie. Czasem niemal mówiłem do siebie:

„Do kurwy nędzy, nie mogę w to uwierzyć. Zaraz zorientują się, że jestem do bani i ktoś mnie opieprzy”.

Strach, że ktoś się zorientuje, że dostaję taką kasę za coś, co tak bardzo kocham robić, pomagał mi w karierze. A także świadomość, gdzieś w głębi, że to się już nie powtórzy.

To smutna strona piłki.

Kiedy odszedłem z United, powinienem był porzucić karierę zawodnika, bo wiedziałem, że już nigdy, nigdy nie będzie tak samo. Dlatego tak trudno było odejść. Dlatego byłem przybity.

I nieważne, co będę robił przez resztę mojego życia. Nic tego nie zastąpi.

To wielki szok.

Świadomość, że w wykonywanym przez ciebie zawodzie, przez resztę twojego życia, wszystko będzie rozczarowaniem. Nic nie zbliży się nawet do futbolu.

Miałem 34 lata.

Wyzwanie – nie eksplodować.

Pytanie – co będzie mnie cieszyć?

Nie obawiałem się statusu byłego piłkarza, gdzie wszystko kojarzy się z przeszłością, bo ja nie chcę żyć przeszłością. To miłe widzieć, że ludzie mnie szanują, ale nie chcę żyć tylko w ich wspomnieniach.

– Pamiętasz tego gola, którego przywaliłeś Arsenalowi?

– Noo, pamiętam…

Zawsze mówię wszystkim, że trzeba iść naprzód, a nie wspominać tego, co było 20 lat temu…

To jak z tożsamością.

Ten gość grał w Man United…

United zawsze będzie częścią mnie, bez względu na to, czy mi się to podoba, czy nie. Gdziekolwiek na świecie bym się nie pojawił, słyszę: „Keane, Keane, facet z Man United”. Nawet w Chinach.

Właściwie mógłbym zostać chodzącym muzeum, ale nie miałem na to ochoty.

Nie tęskniłem za treningami. Trochę brakowało mi kolegów, wygłupów. Urazy fizyczne zostaną mi na zawsze. Biodro dokuczało mi od pewnego czasu, więc tych kilka ostatnich lat postrzegam jako bonus. Każdy mecz, każdy trening był fantastyczny.

Najbardziej cierpieli ludzie wokół. Moja rodzina – rodzice i bracia, siostra, wujkowie i ciotki. Przez lata przyjeżdżali z Irlandii, żeby spotkać się ze mną i zobaczyć mecz. I to się skończyło. Było mi przykro, że nie mogą już brać udziału w tej zabawie, jaką zapewniała im moja kariera w futbolu.

Moja żona i dzieci radzili sobie dobrze, nigdy zresztą nie uczestniczyli w publicznej części mojej kariery. Zawsze zdawali sobie sprawę, bardziej niż ja, że to nie będzie trwało wiecznie.

Tęskni się za forsą. Żyłem na bardzo wysokim poziomie – a teraz nie wpływały już na moje konto te setki tysięcy miesięcznie.

Trzeba się przyzwyczaić. W pewnym sensie dorosnąć i zaakceptować nową sytuację. Kiedy jest się częścią gwiazdorskiego klubu, wszystko ktoś robi za ciebie. Żyje się pod kloszem. Gdziekolwiek się nie ruszyć, wszyscy o ciebie dbają, wszędzie są pakiety VIP, wszystko na najwyższym poziomie. I nagle to wszystko się kończy. Były dni, kiedy użalałem się nad sobą, a jak kopniaki powracały pytania: „Dlaczego ja?", „Czemu jestem taki biedny?". Wciąż słyszę swoje żale, kiedy skończyłem karierę w United. Ale stało się. Boże, błogosław to, co mam! Należy dorosnąć i – jak większość mężczyzn na tym świecie, którzy tracą pracę albo pracują 25 lat i dostają na koniec tani zegarek – wziąć odpowiedzialność za plany na przyszłość. Większość mężczyzn.

Odpowiedź na pytanie: „I co, Boże, dla mnie zrobisz?" powinna zaczynać się od słów: „Zrób to sam". Pewnie jestem arogancki, bowiem futbol był dla mnie bardzo łaskawy finansowo. Ale w którymś momencie trzeba wziąć za siebie odpowiedzialność. Znaleźć pracę i zmienić tryb życia. Znaleźć mniejszy dom. Rzadziej jeździć na wakacje. Nie zmieniać co dwa lata samochodu. Tu chodzi o codzienność, o styl życia.

Zebrałem dzieci i powiedziałem im, jakie zmiany się szykują. Nic radykalnego. Będzie mniej wakacji itd. To się skończyło. Chciałem przerzucić część swoich lęków na dzieci, ale one przyjęły wszystko do wiadomości i popatrzyły na mnie, mówiąc, żebym skończył już gadać, bo chcą oglądać telewizję.

Zrozumiałem, jak bardzo lubiłem luksusy. Zwłaszcza wakacje lubiłem bardziej niż ktokolwiek inny. Kilka miesięcy później

powiedzieliśmy dzieciom, że nie pojedziemy nigdzie na ferie. Sam nawet pytałem żonę, dlaczego zdecydowałem się na oszczędności, skoro to ja chciałem jechać na wakacje. Próbowałem zrzucić wszystko na dzieciaki. Nawet to, co mogło być, a czego nie ma – no bo przecież nie zdecydowałem się na Real z ich powodu… Wtedy wszystkie wstały i wyszły. Bardzo łatwo zrobić z dzieci kozły ofiarne.

– Hej, dzieciaki, dotyczy to nas wszystkich.

– No nie, znowu wykład pana Keane'a.

Ale ja zacząłem się już przygotowywać. Zacząłem przygotowywać się do roli trenera.

Potrzebny jest do tego wielostopniowy certyfikat UEFA. Dostałem UEFA B Award w 2004. To jak z wykształceniem – zaczyna się od zera. Na kursie typu B trzeba wykazać się podstawowymi umiejętnościami organizacyjnymi – np. przeprowadzić trening z czterema lub pięcioma zawodnikami, oznakować boisko, ustalić numerację zawodników itd. Chociaż to podstawy, wcale nie jest łatwo. Grałem jako zawodowy piłkarz, a teraz muszę pracować z dziećmi albo chłopakami, którzy rzadko grają w piłkę. Wielu graczy, którzy przez 10 lub 15 lat próbowali dostać się na szczyt, ma z tym duży problem. I ja go miałem. To niemal tak, jakbym znowu musiał zdać egzamin na prawo jazdy. Potrafię prowadzić samochód, ale trudno byłoby mi objaśniać zasady ruchu drogowego.

Kiedy skończyłem grać, latem 2006, rozpocząłem kurs na poziom UEFA A. To już poziom wyżej. Organizuje się pełne sesje szkoleniowe, jedenastu na jedenastu. Wprowadza się też elementy taktyki, na przykład jak przygotować mecz przeciwko drużynie, która gra ustawieniem 4-3-3. Wyższy poziom był dla mnie łatwiejszy, lepiej się na tym znałem. Niemniej w dalszym ciągu teraz ja byłem na cenzurowanym, nie byłem już częścią gry. Nie byłem już piłkarzem.

Następny krok to Pro Licence, niezbędny wymóg, by zarządzać najlepszymi drużynami z ligi. Sporo trzeba za to zapłacić – sześć albo siedem tysiaków. Ten kurs ma swój regulamin – i dobrze. Spotyka się najlepszych ludzi. Bywa też nerwowo. Pracuje się na najwyższym poziomie i nie chodzi już tylko o treningi. Trzeba

rozmawiać z zarządami i prezesami klubów, zająć się budżetem i mediami. Organizowane są próbne konferencje prasowe, stawiają cię przed konkretnymi wyzwaniami i doradzają, jak odpowiadać na różne pytania.

Trzeba sporządzać plany sesji treningowych, trzeba też je rejestrować. To bywa dużym problemem dla wielu zawodników, bo napisanie kilku zdań to prawdziwa męka. Wielu nie radziło sobie z tym w szkole – sam miałem z tym problemy. Jako zawodnik brałem udział w tysiącach treningów, z różnymi trenerami. Ale teraz ja sam musiałem zostać nauczycielem. To było trudne. No i trzeba stanąć naprzeciwko grupy. Dla mnie nie było to najtrudniejsze, bo byłem kapitanem drużyny, miałem więc jakieś doświadczenie i trochę zdolności przywódczych.

Numerowanie zawodników to też ciężka praca, ale i dużo satysfakcji, kiedy się uda. Te wszystkie kursy chciałem zacząć, kiedy jeszcze grałem. Pierwszy kurs, UEFA B, rozpocząłem w wieku 31, 32 lat. Wielu byłych piłkarzy robi błąd, czekając z kursami do wieku 34, 35 lat. Zazwyczaj dlatego, że wciąż jeszcze grają i musieliby wykorzystywać na szkolenie wolne dni, a kursy są bardzo czasochłonne. Poza tym wydatek jest koszmarny, zwłaszcza jeśli chce się dojść do poziomu Pro Level, chociaż Stowarzyszenie pokrywa połowę kosztów.

Podczas kursów poznaje się mnóstwo wspaniałych osób. Sam pracowałem później z ludźmi, których poznałem podczas szkoleń – z Ianem McParlandem i Garym Ablettem pracowałem w Ipswich. Gary skontaktował mnie z Antonio Gomezem, który został moim trenerem kondycyjnym w Sunderland. Spotyka się zatem ludzi, z którymi będzie się pracować albo którzy będą pracować dla przeciwnych drużyn.

Wiedziałem, że muszę być gotów. W pewnym sensie byłem gotów już jako dzieciak. Miałem szczęście, ale też temu szczęściu pomogłem. Grałem w lidze irlandzkiej, robiłem kurs FÁS. Nikt nie zapraszał mnie do Anglii. I choć w niektórych sprawach brakuje mi pewności siebie, w innych potrafiłem działać. Napisałem do kilku angielskich klubów, szukając swojej szansy. Deklarowałem się nawet, że sam pokryję część kosztów, choć byłem bez grosza.

W końcu dostałem list z Forest. Napisali, że jeśli jestem wystarczająco dobry, mogą mnie obejrzeć.

Obejrzeli. Kiedy pojechałem tam na próbę, wiedziałem, że nie wrócę już do Cork. Tam nie było dla mnie szans. Przez pierwszy tydzień w Forest byłem z dzieciakami, nikt mnie nie obejrzał. Miałem 18 albo 19 lat. Przeprosili mnie i obiecali, że zorganizują „dorosły" mecz. Właśnie tego chciałem – nie biegania wokół słupków. Mecz. Powiedzieli, że będzie mecz na City Ground i będzie tam Brian Clough, więc pomyślałem, że to super. Nie krzyknąłem: „Naprawdę? O kurwa!". Powiedziałem: „Wspaniale". Kiedy mecz się skończył, a oni oznajmili, że podpiszą ze mną kontrakt, nie byłem aż tak hardy, żeby powiedzieć: „Wiedziałem". Ale tak myślałem. Na to właśnie czekałem, od kiedy byłem dzieciakiem, od kiedy skończyłem osiem lat, kiedy jeszcze mieszkałem w Rockmount. Nawet wtedy grałem dla Rockmount, a nie dla Mayfield, mojego lokalnego klubu, bo w Rockmount byli lepsi zawodnicy. Wiedziałem to, mając osiem czy dziewięć lat. Mayfield byłby „wygodny", ale to znaczyło również „nudny", a ja potrzebowałem wyzwań. Dobrzy gracze, dobrzy zawodnicy wokół, wszyscy nawzajem się dopingują. Kiedy miałem 13 albo 14 lat, Eric Hogan, przyzwoity facet (wciąż gra w Cork w drużynie powyżej 35 lat), nie przyszedł któregoś dnia na trening, bo dostał nową deskorolkę. Pokłóciliśmy się, bo nie chciał trenować i nie rozmawialiśmy ze sobą przez rok. „Pojeździj na desce". Zawsze miałem ten napęd. Kiedy dorosłem, a sytuacje stały się o wiele poważniejsze, wciąż wracałem do tamtego dnia i powtarzałem: „Weź swoją pierdoloną deskorolkę!".

Sunderland powinien być koszmarem. Był własnością siedmiu albo ośmiu Irlandczyków! Wszyscy powinni mi przeszkadzać, bo każdy uważał klub za swoją własność. I z każdym powinienem dyskutować.

Ale było odwrotnie. Ponieważ było ich siedmiu albo ośmiu, więc nikt tak do końca nie czuł się odpowiedzialny. Twarzą zespołu był Niall Quinn. Fani Sunderland kochali go, on również rozmawiał z właścicielami. Okazało się, że to dobrze, że są Irlandczykami.

Można było z nimi pożartować. Ufali mi i Niallowi – my byliśmy piłkarzami.

Sunderlad w poprzednim sezonie, 2005/2006, został zdegradowany. Niall stworzył później konsorcjum Drumaville, złożone głównie z irlandzkich deweloperów, wciągnął również Charliego Hawke'a, właściciela pubu z Dublina. W lipcu przejęli kontrolę nad klubem. Potem rozpoczęli rozgrywki przedsezonowe i sezon bez menedżera. Czasowo zastępował go Niall, a oni szukali odpowiedniej osoby. Stracili cztery pierwsze mecze ligowe.

Spotkali się ze mną wczesnym latem, jak tylko przestałem grać. Niall skontaktował się z Michaelem Kennedym. Nie byłem *zbytnio* zaskoczony. Futbol to mały światek i oni na pewno wiedzieli, że już nie gram i uczestniczę w kursach trenerskich. A co do moich stosunków z Niallem – robił, co uważał, że będzie dobre dla klubu. Był za dobry, żeby stanąć mi potem na drodze.

Wysłali po mnie helikopter, żeby zabrał mnie z Manchesteru do Dublina. Oczywiście chcieli zrobić na mnie wrażenie. Lecieliśmy nad Morzem Irlandzkim, a ja zastanawiałem się, po co tam lecę.

Nie pamiętam, gdzie odbyło się spotkanie, w jakiejś rezydencji po Dublinem. Byli tam wszyscy z konsorcjum Drumaville, no i Niall. Kiedy helikopter usiadł, zauważyłem go, stojącego w pobliżu lądowiska z resztą ludzi. Wysiadłem, ucałowałem ziemię i pobłogosławiłem wszystkich.

– Papież przyleciał.

Pewnie, że tak nie zrobiłem.

Wysiadłem, podszedłem do Nialla i podałem mu rękę.

Zapytał, czy potrzebujemy kilku minut, żeby się ogarnąć.

Rozmawiałem z nim po raz pierwszy od Mistrzostw Świata. Pewnie byśmy się nie spotkali, gdyby Niall nie był w konsorcjum. Mieliśmy zatem możliwość zapomnieć o wszystkich urazach.

Weszliśmy razem do pokoju, a ja wspomniałem o Saipan. Powiedziałem, że teraz z Sunderland wszystko zaczynamy od nowa.

Zgodził się ze mną.

I po kłopocie.

Spotkałem się z tymi facetami. Wszystko było nieoficjalne. Miałem na sobie garnitur, ale nie czułem się jak podczas rozmowy

o pracę, nie byłem też zestresowany.

Zapytali, czy jestem zainteresowany pracą dla nich.

Odpowiedziałem, że nie jestem jeszcze pewien, co zamierzam robić, że muszę o tym pomyśleć.

Mówili o kontraktach i zarobkach różnych zawodników, o tym, jak się ich pozyskuje i jak odchodzą.

– Powoli – mówiłem. – Muszę się zastanowić.

Właściwie dali mi plan. Naprawdę byli zainteresowani. Wiedziałem, że dostanę tę pracę, jeśli tylko będę chciał. Właśnie przejęli klub i wiedzieli, że potrzebują menedżera, żeby zacząć przygotowania do sezonu. Choćby po to, by zachować twarz. Mick McCarthy odszedł w marcu, zanim konsorcjum objęło klub. Kevin Ball dbał o klub do końca sezonu. Zostali zdegradowani z najmniejszą w swojej historii liczbą punktów.

Pojechałem do domu i kilka dni później powiedziałem Michaelowi, że to nie dla mnie.

Chciałem skupić się na zakończeniu kursów trenerskich, właśnie miałem zacząć szkolenie UEAFA A. Nie chciałem zbyt szybko iść do pracy. Wszyscy w Sunderland byli rozczarowani, przez następny miesiąc albo i dłużej nie mogli nikogo znaleźć, co wciąż mnie zadziwia. Podobno zanim zwrócono się do mnie, ofertę klubu odrzucili Martin O'Neill i Sam Allardyce.

Na tym etapie nie byłem jeszcze całkowicie pewien, co chcę robić. Naprawdę nie wiedziałem, czy zarządzanie drużyną albo praca trenera to coś dla mnie. Poza tym kiedyś różnica między tymi dwoma zawodami była wyraźniejsza. Kursy niespecjalnie zaostrzały mój apetyt na pracę trenera. Często myślałem, że to same pieprzone kłopoty. Jest takie trenerskie powiedzonko: „Wyjść na zieloną trawkę". Nie byłem pewien, czy tego właśnie chcę. Ale wiedziałem, że kursy zrobić muszę. Sądziłem, że bardziej będzie interesować mnie zarządzanie i prowadzenie klubu. Niemniej gdybym zdecydował się na tę pracę, nie chciałem jej zaczynać w trakcie kursów. Paul Ince i Gareth Southgate powinni to załatwić. Jeśli nie zacznie się dobrze, nie chcę być obwiniany. Nie chciałem też, żeby ktoś mi mówił, że nie skończyłem kursów. A sytuacja finansowa nie zmuszała mnie, abym już szedł do pracy.

Tamtego lata zacząłem kurs UEFA A, a w sierpniu pojechałem na kilkutygodniowe wakacje. Kiedy zaczął się sezon, byłem w Portugalii. Obejrzałem kilka meczów w telewizji. Sunderland bardzo źle sobie radził. We wtorek wieczorem grali w lidze mecz wyjazdowy z Bury. Dostali łupnia. Niall udzielił później wywiadu – był tymczasowym menedżerem. Wyglądał, jakby postarzał się o sto lat.

Moja siostra wysłała mi esemesa: „Widziałeś Nialla Quinna? Powinieneś mu pomóc".

Widziałem Nialla. Następnego dnia zadzwoniłem do Michaela Kennedy'ego i poprosiłem, żeby skontaktował się z Sunderland – jeśli wciąż są zainteresowani, biorę to.

Całe lato spędziłem z rodziną. To było wspaniałe, ale nie chciałem ciągle być z nimi. Jestem ojcem, muszę wychodzić z domu i zarabiać na życie. Chciałem, aby dzieci wiedziały, że pracuję.

Konsorcjum odpowiedziało, że czekają na mnie.

Zatem wszedłem w to. Moje najlepsze decyzje to szybkie decyzje. Nie myślałem o zespole, o taktyce ani o tym, ilu zawodników będę potrzebował. Żadnego planu. Wszystko po kolei.

Z punktu widzenia biznesowego oni wiedzieli, co ja potrafię. Oczywiście, Martin i Sam mieli większe doświadczenie. Nigdy wcześniej nie zarządzałem drużyną. Zatem i dla nich, i dla mnie to była prawdziwa loteria. Ale oni myśleli również o sprzedaży biletów. Myślę, że gdyby spytać wtedy Nialla, powiedziałby, że nie zależy im jakoś specjalnie na doświadczeniu trenerskim, bardziej potrzebny był im kop.

Stracili swoją tożsamość, stracili ikrę. Pewnie myśleli, że potrzebują właśnie mnie. Kupowali moje nazwisko, wcale się tego nie wstydzę.

Pięć klęsk w pięciu meczach – to szokujący początek, zwłaszcza dla drużyny, która właśnie została zdegradowana. Wykopała ich z ligi drużyna Bury, która była w niej najsłabsza, znajdowała się 92. pozycji. Ale Sunderland nie był tak kiepski, jak mogłyby to sugerować wyniki. Wielu z tych zawodników dopiero co było w Premiership. Z jednej strony, nie miało dla mnie znaczenia, czy

zostali zdegradowani z powodu jednego punktu czy 35. Wciąż byli w formie na miarę Premiership.

Z drugiej strony, nie myślałem o awansie.

Nie byłem związany z tym klubem. Nie byłem zobowiązany do lojalności – jak Niall. Do wszystkiego mogłem podejść na chłodno – potrafię żyć dniem dzisiejszym. A moja sława piłkarska na pewno pomogła. Oni obawiali się oczywiście tego, co zamierzam zrobić, ale ja wiedziałem, w czym jestem dobry, i wiedziałem, że będę też dobry dla piłkarzy Sunderland.

W przejściu z zawodu piłkarza do menedżera pomogło mi doświadczenie wyniesione z United – również to, że byłem kapitanem. Kierowałem się zdrowym rozsądkiem. Nie myślałem jednak o takiej karierze, bo o niej nie marzyłem. Nie dorasta się, marząc o roli menedżera! Pomyślałem po prostu, że niech się dzieje, co chce. Zobaczymy, jak to będzie.

Ale były też trudniejsze sprawy związane z nową rolą. Spotkania zarządu, organizacja obsługi, a nawet spotkania z rodzicami młodych graczy. Nie mogłem się ich doczekać – zobaczymy, co będzie. Gdybym usiadł i zaczął się nad tym wszystkim zastanawiać, pewnie nigdy nie zdecydowałbym się na pracę menedżera. Jeśli będę jak dzieciak trzymać się miłości do gry, to się przystosuję, będę miał wokół siebie fajnych ludzi. Od poniedziałku do piątku moim obowiązkiem będzie trening, a w sobotę oczekiwanie na wyniki.

Po moim telefonie do Michaela Sunderland miał grać u siebie w weekend z West Brom. Wróciłem już do Manchesteru. Pojechałem obejrzeć ten mecz razem z Tonym Loughlanem, który miał być trenerem mojej pierwszej drużyny. Nic nie zostało jeszcze ogłoszone. Chciałem przyjrzeć się drużynie i boisku szkoleniowemu. Na stadionie, który może pomieścić 42 tysiące osób, było około 14 tysięcy.

Sunderland wygrał 2:0, ale za wcześnie było na radość. Tego można się było spodziewać. To w połowie przyzwoita drużyna. Myślałem, że nie są tacy źli.

To były po prostu dla nich ciężkie czasy. Kilka urazów, brak pewności siebie. Obserwowanie drużyny, którą miałem zarządzać, było niesamowite. Wiedziałem, że mają potencjał.

Następnego dnia Niall oprowadził mnie po terenie treningowym Academy of Light i przedstawił zawodnikom.

Michael zajmował się negocjacjami. Wiedzieliśmy, że oni nie będą kombinować i że jesteśmy na lepszej pozycji. To nie miało być spotkanie w rodzaju: „O, tu jesteście, chłopaki". Byłem na meczu z West Brom, i rozmawiałem z nimi. Było trochę zamieszania z innymi kandydatami na menedżerów, ale zarząd zostałby zlinczowany, gdyby nie dogadali się ze mną. Niall starał się, jednak nie udało mu się. Wiedział, że to harówa. Miałem więc nadzieję, że okażą mi trochę łaski.

Wszystko było na swoim miejscu. Dostałem moją pierwszą pracę – świetny kontrakt, ponad milion rocznie, mnóstwo forsy za robotę przy Championship. Zazwyczaj pewnie jest tak, że proponowany jest krótki kontrakt, prosi się o dłuższy i strony spotykają się gdzieś pośrodku. Ale Sunderland zaproponował mi kontrakt pięcioletni, a to ja powiedziałem, że wolę trzy lata. Wiedziałem, że dam sobie radę, ale chciałem zobaczyć, jak to będzie wyglądać. Wciąż myślałem jak piłkarz – krótki kontrakt, otwarte możliwości. A powinienem myśleć o bezpieczeństwie stałej pracy i finansowych konsekwencjach jej braku.

Zrozumiałem wtedy, że jeśli chodzi o kontrakt, dzień, w którym przejmujesz klub, to dzień, kiedy już szykujesz się do odejścia. Większość szczegółowych zapisów kontraktu dotyczy zakończenia współpracy. Już wtedy negocjuje się warunki ugody. To nie jest najlepszy sposób na rozpoczęcie pracy. Zamiast entuzjazmu – rozmowy o tym, ile będziesz ich kosztować, gdy będą chcieli się ciebie pozbyć.

Z mojego domu do Sunderland było jakieś dwie i pół godziny jazdy samochodem. Zdecydowaliśmy więc, że wszyscy się przeprowadzimy i znajdziemy dla dzieci katolicką szkołę.

Tony i ja prowadziliśmy pierwszy trening dzień po podpisaniu mojego kontraktu. Poznałem Tony'ego w Nottingham Forest. Kiedy przyjechałem, on już tam grał. Zanim odszedł z powodu kontuzji,

zagrał tylko kilka meczów z pierwszą drużyną. W Forest graliśmy razem kilka lat. Utrzymywałem z nim kontakt, podobnie jak z innymi zawodnikami z Forest – z Tonym i Garym Charlesem. Kiedy dołączyłem do Forest, nie miałem samochodu i Tony zabierał mnie na bilard. Gary też mnie czasem podwoził, chodziliśmy razem do kina. Byli dla mnie bardzo mili – tak po prostu.

Tony zdobył kwalifikacje trenerskie w wieku 21 albo 22 lat, kiedy grał w Forest. Chodził na zajęcia w niedzielę rano, z kilkoma innymi zawodnikami. Słyszałem, jak zabiera Gary'ego Bowyera, z którym mieszkałem W tym czasie, kiedy oni jechali na kurs, ja w łóżku leczyłem kaca. Myślałem, że są idiotami.

Tony miał już wtedy duże doświadczenie – uczył wcześniej w Akademii Leicester City. Kiedy chodziłem na kurs, pomagał mi pisać plany szkoleń. Zawsze myślałem, że jeśli kiedykolwiek zostanę menedżerem, poproszę go, by pracował ze mną – dobry trener, dobry przyjaciel, mogę mu ufać. Dobrze czuliśmy się w swoim towarzystwie. Nie pamiętam, byśmy razem się śmiali, ale tak pewnie było. Teraz jest trenerem w Burnley, pracuje z Seanem Dychem i Ianem Woanem, którzy też kiedyś grali z nami w Forest. Tak to jest w futbolu.

Skończyliśmy trening, zaczął się przegląd zawodników i ludzi z obsługi. Boże, ile tam było do zrobienia… Nie byli fantastyczni, przypominali raczej drużynę wspierającą. No i byli na samym dole tabeli, więc droga mogła być tylko jedna.

Mimo to bardzo mi się to podobało. Od początku myślałem, że to fantastyczne. Niall wierzył we mnie.

Musieliśmy wydać sporo pieniędzy, chociaż nie aż tyle, jak potem to opisywano. Naszym celem była Premiership, przyzwyczailiśmy się do przegrywania. Przez cały sezon zainwestowaliśmy coś koło 3,5 miliona funtów w graczy, tych, którzy przyszli i którzy odeszli. Teraz zostało nam już tylko parę dni do końca okienka transferowego, żeby zdobyć jeszcze kilku zawodników.

Bliski koniec transferu rodzi panikę. Dlatego kwoty wędrują pod sufit. Agenci trzymają lufy przy skroniach zarządów. Każdy może dostać rykoszetem. My chcieliśmy kupić sześciu, siedmiu zawodników – to dużo. Rozmowy, organizacja badań lekarskich,

kwestie personalne. Niall i Peter Walker, prezes, byli świetni. Zrobili, o co prosiłem. Prosiłem o sześciu zawodników – tylu załatwili. Oczywiście, że graliśmy do jednej bramki z napisem „Sukces". Wiedziałem, że moja obecność da im kopa, ale musieliśmy wciąż być w najwyższej gotowości. Wziąłem sześciu, z którymi kiedyś pracowałem. Sześć świetnych charakterów. Wszyscy grali wtedy w reprezentacjach swoich krajów. Myślałem o nich, ale nie wiedziałem, czy będą dostępni.

Miałem tylko trzy dni. W tych okolicznościach to akurat dobrze. Gdybym miał kilka miesięcy, pewnie musiałbym się od wszystkich odbijać – od ludzi, od słupków, agentów, twierdzących że mają inne oferty. A tak każdy musiał podjąć szybką decyzję. Musiałem przygotować oferty. I mówiłem, żeby się szybko decydowali, bo następnego dnia zaplanowane są badania. Proponowaliśmy zarobki porównywalne z poprzednim miejscem – nie braliśmy przecież nikogo z AC Milanu. Płaciliśmy przyzwoite pieniądze za poziom, jaki reprezentowali. Nie 30 albo 40 tysięcy tygodniowo, ale 12–15. Graham Kavanagh i Dave Connolly byli z Wigan, co bardzo pomogło. Nie trzeba było rozmawiać z sześcioma klubami sześciu zawodników. Dwóch wzięliśmy z Wigan, Ross Wallace i Stan Varga byli z Celticu, a Liam Miller właśnie został zwolniony przez Manchester United.

To był świetny ruch. Jednego dnia wychodzisz na trening z jedną grupą zawodników, a następnego przyprowadzasz pięciu albo sześciu międzynarodowych graczy.

To Niall dzwonił do wszystkich i załatwiał umowy. Zadzwonił do prezesa Celticu i do agenta Rossa Wallace'a, żeby dowiedzieć się, czy ten będzie miał ochotę przenieść się do nas. Mam opinię samotnika, ale z tymi chłopakami miałem dobry kontakt. Z Grahamem Kavanaghem zazwyczaj dzieliłem pokój, kiedy graliśmy w reprezentacji Irlandii.

Mieszkałem w domku za hotelem, miałem zatem trochę miejsca i prywatności. Ross i Stan odwiedzili mnie ze swoim agentem – reprezentował obydwu. Kilka miesięcy wcześniej grałem z nimi w Celticu, więc rozmowa poszła gładko.

– To jak, zainteresowani?

Prosto z mostu.

– Średnio nam idzie – dodałem. – Ale jeśli do nas dołączycie, a ja chcę jeszcze ściągnąć kilku chłopaków, będzie dobrze.

– No, jesteśmy – odpowiedzieli.

– Świetnie. Nastawię wodę.

I już. Myślałem, że powinienem częściej stosować takie podejście. Być sobą.

Ale pozyskanie Davida Connolly'ego nie było już takie proste. Reprezentował go Michael Kennedy. Nie było problemem to, że Michael reprezentował mnie, że negocjował mój kontrakt z Sunderland. Po prostu wiedziałem, jaki jest twardy. Michael miał teraz reprezentować swojego klienta, nie mnie ani Sunderland. Wiedziałem, jak to się robi. Ja potrzebowałem napastnika, a Michael wynegocjuje dla swojego klienta jak najlepszy kontrakt.

David twierdził, że nie chce odchodzić z Wigan.

Powiedziałem, żeby porównał Wigan z Sunderland.

Wprowadziłem do klubu dobrych graczy, świetne charaktery. Ułatwili mi pracę. Ktoś zapytał kiedyś Capello, co sprawia, że jest tak dobrym menedżerem. Odparł, że miał szczęście, bo zawsze pracował ze świetnymi zawodnikami. Nie wolno o tym zapominać. Nie należy też zanadto ufać menedżerom, ale i winić ich za wszystko, jeśli idzie źle, też nie ma sensu. To chyba Jock Stein powiedział, że futbol to kibice i gracze. Nie daj się zwieść menedżerowi. Nie umniejszam własnych zasług, ale to zawodnicy zarabiają kasę.

Wszyscy podpisali kontrakty tego samego dnia i to podniosło nas na duchu. Atmosfera wyczuwalna była w całym Sunderland – i w mieście, i w klubie. A my nie rozegraliśmy jeszcze nawet meczu. Nie mieliśmy Ronaldo, ale Ross i Stan byli zawodnikami Celticu – dobrymi zawodnikami. Dave, Graham, Liam – znałem ich. Patrzyłem na nich i myślałem, że przed nami awans w tabeli.

Kiedy zatrudnia się piłkarza, wysyła się wiadomość – do fanów i innych klubów w lidze.

O 7.00 rano zadzwoniłem z biura do Dwighta Yorke'a, Dwight był w Australii, grał w Sydney FC. Był ich flagowym graczem.

– Jak się miewasz, Yorke?

Miałem z nim dobry kontakt w United. Dwight mieszkał w apartamencie w Sydney Harbour, jeździł lamborghini, mógł mieć wszystkie kobiety. Ciężki żywot… Ale wiedziałem, że kocha futbol. Kochał grać i lubił wyzwania.

Zapytałem, czy nie miałby ochoty wrócić do Sunderland. Spytał, czy miałby zostawić wszystko, co tam ma i wyjechać z pierdolonej Australii.

Potwierdziłem.

– A, mam ochotę – powiedział.

Myślałem, że dostaniemy go za darmo, bo miał 34 lata. Ale musieliśmy zapłacić Sydney 250 tysięcy. Nie wszyscy w klubie byli zadowoleni, mimo to Yorke z wejścia do szatni zrobił wejście smoka. Facet miał charyzmę. Wygrał Ligę Mistrzów. Grał w United.

– Wszystko w porządku, chłopaki? Jak leci?

Yorke był moim najlepszym wyborem. Oczekiwania w mieście wobec klubu były wysokie. Mieliśmy nadzieję zapełnić stadion. Nie wszyscy gracze mogli sobie z tym poradzić. Ale Yorke nie widział żadnego problemu. Wniósł do klubu aurę, której w nim brakowało. Wszystko zależy od charakteru. Kiedy Yorke przyjechał, ludzie z obsługi od razu wiedzieli, że to jest ktoś.

A ja mówiłem, że to gracz ze świecznika.

I fajny facet.

Bardzo dużo musiałem załatwiać z Niallem. Próbował wypromować klub. Przez lata straciliśmy wielu fanów i Niall powtarzał, że sprzedaż biletów w sezonie musi wzrosnąć. Spotykaliśmy się więc z kibicami, fetowaliśmy ich. Zazwyczaj był to dla mnie koszmar, ale tym razem podobało mi się. Najlepsze w przypadku fanów Sunderland był fakt, że to, co działo się w sobotę na boisku, mogło zepsuć im cały tydzień albo sprawić, że będzie świetny. To nie zdarza się w przypadku każdego klub. Dlatego uznałem, że z przyjemnością biorę na siebie tę odpowiedzialność.

Byliśmy gotowi na przyzwoity start, mecz wyjazdowy z Derby.

Moje pierwsze w życiu wystąpienie przed drużyną miało miejsce właśnie przed tym meczem. Byliśmy w hotelu, zebrałem piłkarzy. Kilka osób musiałem rozczarować.

Chciałem powiedzieć im, jaka jest drużyna Derby.

Ostatnie trzy dni były bardzo pracowite, jakieś szaleństwo – przeprowadzka do Sunderland, zakup piłkarzy przed końcem transferu. Uznałem, że skupię się na bramkarzu Derby. Słabo mu szło przy poprzeczkach. Trochę mi się zeszło na gadaniu, a Dave Connolly, z którym grałem w drużynie Irlandii, podniósł nagle rękę. Siedział z tyłu. Śmieszny i trochę dziwny koleś, ale strzelał gole, więc mógł na dużo sobie pozwolić.

A ja dalej nadawałem:

– Chłopaki, kilka pierwszych piłek i go przygwoździmy. Słabo mu idzie przy poprzeczkach, trochę broni nogami.

Kątem oka widziałem Dave'a. Wciąż miał podniesioną rękę.

– Co tam, Dave?

Zastanawiałem się, czy chce iść do kibla, czy co?

– Szefie, a ty znasz tego bramkarza? – zapytał.

– No, znam.

– Sprzedali go tydzień temu.

Nie kontuzja, a pierdolona sprzedaż. Tydzień temu. A ja miałem być tym wielkim bohaterem, co to zjawia się, żeby ratować klub. Wszędzie fani i flagi, wnoszą mnie na ramionach.

I to było moje pierwsze drużynowe wystąpienie.

Powiedziałem więc:

– No dobra, chłopaki, chciałem wam tylko pokazać, że nie wolno ufać pierdolonym skautom.

Zwaliłem winę na skautów.

I to nawet pomogło. Wszyscy się zrelaksowali. A i mnie się przydało, bo czułem się skrępowany, teraz jednak nie musiałem już być sztywnym perfekcjonistą, jak w wojsku. Cała ta sytuacja poprawiła nam wszystkim humor.

Zespół Derby całkiem nieźle wtedy grał. Ich menedżerem był Billy Davies, mieli świetnych zawodników.

Po pierwszej połowie przegrywaliśmy 0:1.

Kiedy wchodziłem do szatni w przerwie, gracze srali w gacie. Spodziewali się awantury. Dobry menedżer musi być jednak tajemniczy. Nie może być przewidywalny. Taki był Clough i taki był Ferguson. Wszedłem.

– Dobra, chłopaki. Odprężcie się. Jest OK, dobrze sobie radzicie. Tak trzymajcie.

O ile wszystko nie szło naprawdę źle, pozwalałem chłopakom w przerwie ochłonąć, zanim wchodziłem do szatni. Minuta, dwie, żeby złapali oddech, a ja żebym mógł zebrać myśli. Po raz pierwszy byłem menedżerem, dlatego nie chciałem bawić się w jakieś taktyczne gierki. Najprościej, jak się da.

Brian Clough w dniu mojego debiutu w Forest, podczas meczu wyjazdowego z Liverpoolem, dał mi radę: „Przyjąć to, co złe, przejść obok tego i iść dalej". Zapytał, czy tam radę. Potwierdziłem.

Stosowałem tę zasadę, od kiedy byłem dzieckiem. Mijasz to, co złe, i idziesz dalej. Dzięki stosowaniu tej zasady zrobiłem karierę. Mój podziw dla Briana brał się również stąd, że we wszystkim dostrzegał prostotę. Podejście Fergusona także było dosyć proste.

Patrzyłem na drużynę i widziałem, że czekają, aż wybuchnę – taką miałem reputację. Ale nie chciałem być przewidywalny. Zdusiłem w sobie wybuch, oni chyba o tym wiedzieli. Niemniej w mediach, po konferencji prasowej, cokolwiek bym nie powiedział, wszyscy uważali, że „wybuchałem". „Mogliśmy zagrać lepiej, krzyknął Keane". Nie pisali, że się nie uśmiecham, ale że rzucam gniewne spojrzenia. To był mój medialny wizerunek, a ja nie zaprzeczałem i czerpałem z tego korzyści.

Oczywiście mogło to też trafić mnie rykoszetem. Kiedy próbuję być z ludźmi szczery albo trochę się wkurzę, wszystko może zostać wyolbrzymione. Jeśli podniosę głos – to już dramat. Entuzjazm łatwo pomylić z gniewem. Gdyby ludziom wydawało się, że zawsze chodzę wkurzony, nie dawałoby to odpowiedniego efektu. A na zewnątrz wszyscy będą myśleć, że ciągle krytykuję zawodników, choć podjąłem świadomą decyzję, że będę stał spokojnie na linii bocznej i będę rozluźniony w szatni.

Nie miałem szans grać z moimi zawodnikami przed sezonem, nie mogłem zatem wyrobić sobie na ich temat żadnej opinii. Wszystkie

wątpliwości interpretowałem na ich korzyść. Problem też jest taki, że im dłużej z kimś się pracuje, tym częściej widzi się tylko jego wady. Ale na tym etapie zastanawiałem się, czy chodzi o jakiś defekt danego piłkarza, czy po prostu źle poszło mu w tym meczu. Byłem tu nowy. Byłem dla nich dość miły i uprzejmy, starałem się dodać im odwagi – myślę, że to było jasne dla graczy. Wskazywał na to mój język ciała, ton głosu, a nawet wpadka z analizą taktyki byłego bramkarza Derby. Zdawali sobie z tego sprawę. Nie podjąłem jeszcze żadnych decyzji – na przykład, że czterech graczy odchodzi w przyszłym tygodniu. Wszyscy więc chcieli jak najlepiej się dla mnie sprawić.

To wszystko było takie niewinne. Potem, kiedy poznaje się ludzi bliżej, to się zmienia. Zaczyna się dostrzegać wady. Jednak moja reputacja zawodnika i brak kwalifikacji menedżerskich na początku były zaletą.

– Dobra, chłopaki. Odprężcie się. Jest OK, dobrze sobie radzicie. Tak trzymajcie.

Wygraliśmy 2:1. Gole strzelili Chris Brown, wielki facet, typowy napastnik Championship i Ross Wallace, jeden z nowych.

Jako zawodnik byłem przyzwyczajony do zwycięstw, ale to był inny rodzaj satysfakcji. Mogłem porozmawiać o tym z chłopakami na boisku treningowym w poniedziałek.

Przekonałem się też, że i przegraną przyjmuje się inaczej. Wiąże się to ze znacznie większą odpowiedzialnością. Trudniej się z tego otrząsnąć. Godzenie się z porażkami zajmowało mi zbyt dużo czasu. Podobnie było, kiedy grałem, ale teraz było gorzej. Trzeba trochę pocierpieć, ale nie aż tak, jak ja to sobie fundowałem. Nie odżywiałem się jak należy, bo myślałem, że nie zasłużyłem na dobre żarcie. To oczywiście mściło się na mnie, bo nie mogłem dobrze spać. Podczas całej mojej kariery nie potrafiłem wyważyć mojego myślenia o zwycięstwach i porażkach. Kiedy wygrywaliśmy, to świetnie, ale myślałem, że w przyszłym tygodniu też musimy wygrać, natomiast kiedy przegrywaliśmy, nigdy nie myślałem, że przecież możemy wygrać za tydzień.

Dziś sądzę, że najważniejsze jest, by szybko iść dalej – jeśli tylko można. Każdy sportowiec czasem przegrywa. Nie da się wygrać

każdego meczu.

Nigdy wcześniej nie miałem biura, a teraz nawet miałem sekretarkę i telefon z mnóstwem guzików i kilkoma liniami, skórzany, obrotowy fotel, który bujał się na wszystkie strony. Przez kilka pierwszych dni ciągle się huśtałem. Nieźle musiałoby to wyglądać, gdyby ktoś z personelu albo któryś z graczy zajrzał przez okno. Telefon ciągle dzwonił, a ja naciskałem wszystkie guziki, próbując znaleźć ten właściwy.

Nie umiałem zrobić z biura właściwego użytku, na początku nie było mi wcale potrzebne. Znałem wszystkich zawodników, których sprowadziłem, nie musiałem organizować im pogadanek w biurze. Wszyscy zresztą chcieli przyjechać. Na początku więc siedziałem na swoim krześle i zastanawiałem się, co mam w tym biurze robić. Czy faktycznie jest mi potrzebne?

Takie biuro może być miejscem odosobnienia. Nie jestem z tych, którzy obwieszają ściany zdjęciami rodziny. Miałem jedną elektroniczną ramkę, gdzie przesuwają się zdjęcia. I to wszystko. Zastanawiałem się, czy nie będzie mi tam zbyt wygodnie. A powinienem zrobić dokładnie odwrotnie. Urządzić je komfortowo, bo w końcu spędza się tam mnóstwo czasu. Wprowadzić domową atmosferę, powiesić rodzinne zdjęcia, żeby zawodnicy, którzy do mnie przychodzą, mogli zobaczyć moją inną stronę. Ale nawet kiedy wszystko szło dobrze, ja myślałem, że jeśli jednak pójdzie źle, to będę musiał szybko się spakować w jedno pudełko.

Ma być porządek, musi być czysto, aby szybko można się było spakować. Nie jestem dziś pewny, czy to był właściwy sposób myślenia, ale przynajmniej nie popadłem w stan zbytniego samozadowolenia. Zresztą to było biuro klubu. Ale – znów – bałem się, żeby nie poczuć się za dobrze. Szklanka zawsze była zapełniona tylko w połowie.

Czułbym się skrępowany, gdybym miał poprosić sekretarkę, Susan, żeby coś dla mnie załatwiła. Sam rezerwowałem dla siebie bilety lotnicze itd. Ona natomiast zajmowała się zawodnikami.

Czasem jednak chciałem, żeby trzymali się od niej z daleka, zwłaszcza gdy przegraliśmy. W końcu to moja sekretarka.

Ale czasem pewnie patrzyła na mnie, myśląc, że wkrótce ją wyleję.

Razem ze mną przyjechał Tony. W ciągu kilku następnych miesięcy przywiozłem trochę swoich rzeczy, próbując się urządzić. Zatrudniłem Mike'a Clegga jako trenera kondycyjnego. Mike grał w United. Przyjechał też Neil Bailey, żeby zająć się pierwszą drużyną. W United trenował młodzież. Sprowadziłem Antonio Gomeza, trenera fitness i Raimonda van der Gouwa, trenera bramkarzy, z którym grałem w United. Na szefa skautów ściągnąłem z United Micka Browna, a później jeszcze Ricky'ego Sbragię. Byliśmy świetną grupą. Czułem się bardzo dobrze z moim personelem.

Musiałem też zwolnić kilka osób. To było straszne. Wciąż mam poczucie winy. Ale później, w Ipswich, czułem się z kolei winny, że parę osób zatrzymałem. Poczucie winy zależy od efektów pracy.

Nasz następny mecz graliśmy przeciw Leeds, na ich stadionie. Poszło rewelacyjnie. Wygraliśmy 3:0. Gole strzelili Kav, Liam Miller i jeszcze jeden Irlandczyk – Stephen Elliott.

Nie prowadziłem osobistej krucjaty przeciw Leeds – ani z powodu złych doświadczeń z nimi, ani ze względu na Alfiego Hålanda. Po prostu potrzebne nam było zwycięstwo, graliśmy naprawdę dobrze. Kilku fanów Leeds próbowało dorwać mnie na ławce rezerwowych. To dość powszechne, że ludzie podchodzą i wykrzykują obelgi, ale ci dwaj próbowali przeleźć przez płot. Nie obchodziło mnie to. Wygraliśmy.

Atmosfera w szatni po meczu była fantastyczna. Bardzo byłem zadowolony ze swoich zawodników. Tym chłopakom trzeba było dać szansę. Podczas konferencji prasowej powiedziałem, że pokazali charakter, chęci i talent i że jestem z nich bardzo dumny. Na pewno do nich to dotarło. Wszyscy lubią być chwaleni, a oni na to zasłużyli. Kolejne zwycięstwo na wyjeździe i nowi zawodnicy będą czuli się jak u siebie. Kibice też byli fantastyczni. Złapaliśmy wiatr w żagle. Pięliśmy się w górę tabeli. To był teraz priorytet. Myślałem już jak menedżer.

Następny był mecz u nas z Leicester. Nagle oczekiwano od nas wygranej. Wygraliśmy z Derby, wygraliśmy z Leeds, to teraz musimy wygrać z Leicester. Ale nie udało się. Zremisowaliśmy 1:1. Kiedy przegrywaliśmy 0:1, gola strzelił Tobias Hysén. Remis nie był wcale taki zły. Chwila prawdy. Mogłem spojrzeć na zawodników i powiedzieć, że czeka nas jeszcze trochę pracy.

Szybko się zorientowałem, że o wszystkim musi decydować menedżer. Niall i prezes, Peter Walker, byli wspaniali. Kiedy nabrałem doświadczenia, zrozumiałem, że wszyscy, którzy pracują w klubie, są po to, by pomóc menedżerowi. A Niall i Peter byli wspaniałym wsparciem. Nadawaliśmy na tych samych falach. Nie przyszedłem do nich, mówiąc, że mamy być drugim Realem Madryt, jednak chciałem wprowadzić wiele zmian. Stroje graczy, hotele, w których się zatrzymywaliśmy przed meczami itd. Wiadomo – zawsze chodzi o pieniądze. Ale oni wiedzieli, jaki jest mój cel – zmiana mentalności zawodników – i w pełni mnie popierali. Jeśli nie zgadzali się ze mną, dokładnie tłumaczyli dlaczego. Kolejne zderzenie z rzeczywistością – lekcja ekonomii. Wcale jej nie chciałem – chciałem wygrywać, za każde pieniądze. Ekonomia to ostatnia rzecz, o jakiej chciałem słyszeć.

Teraz sądzę, że najważniejsze w roli menedżera jest opanowanie tej dziecięcej miłości do gry, tej niewinności. Niewinności – nie naiwności. Trzeba rozstrzygać wątpliwości na korzyść graczy. Z czasem niektórzy zaczęli sprawiać mi kłopoty, nie zawsze celowo. Kenny Cunningham wciąż mówił do mnie „Roy". Ale ja nie byłem teraz dla niego „Royem". Musiałem porozmawiać z nim w moim biurze. Nie czułem się z tym dobrze. Grałem z Kennym w reprezentacji Irlandii, był kapitanem Sunderland.

– Kenny – poprosiłem – nie mów do mnie „Roy".

– Nie zdawałem sobie sprawy, że tak mówię.

– Zdawałeś – powiedziałem. – Mów do mnie „szefie" albo „kierowniku".

– Dobra, Roy.

I to by było na tyle.

Pewnie im dłużej pracuje się jako menedżer, tym mniej istotne są takie sprawy jak mówienie po imieniu. Ale musiałem zwracać na nie

uwagę. Mogą wydawać się nieważne, ale są ważne. Trzeba pracować na swoją reputację. Kenny nie mógł mówić do mnie „Roy". To po prostu zdrowy rozsądek. Ale kiedyś jakiś duński trener powiedział mi, że nie każdy jest na tyle rozsądny, by kierować się rozsądkiem.

Nigdy nie czułem się całkiem komfortowo, kiedy nazywano mnie „szefem" albo „kierownikiem". Ale nalegałem na to, by od początku wszyscy tak do mnie mówili, nie mogłem więc robić wyjątków. Musiałem być konsekwentny. Gdybym wrócił kiedyś do roli menedżera, wprowadziłbym drobne ulepszenie – nie chciałbym, by mówili do mnie „kierowniku". W żadnej firmie nikt tak nie mówi, a ja sam czułbym się lepiej, gdyby mówiono mi po imieniu. W klubie pracowali ludzie około pięćdziesiątki czy sześćdziesiątki, pracowali tam od lat i też nazywali mnie „szefem". Myślę, że nie zasłużyłem sobie na to. Ale nawet Tony tak do mnie mówił. W futbolu to tradycja. Ja jednak zawsze lubiłem postępować wbrew tradycji. Często mam ochotę powiedzieć, żeby po prostu mówili mi po imieniu. Lepiej radzę sobie w pracy, jeśli czuję się komfortowo. To chyba ludzkie.

Trudno było mi się przyzwyczaić do liczby osób, jaka zatrudniona była w klubie. Akademia, kantyna, wszyscy ci ludzie. Trudno zapamiętać ich imiona – to banalne, ale bardzo ważne. Pewnie każdy menedżer wam to powie. Ode mnie i od Tony'ego ciągle ktoś czegoś chciał, a my mieliśmy na głowie najbliższe mecze.

– Szefie, w piątek wyjedziemy o drugiej czy o trzeciej?

– Rany, zapytaj mnie bliżej piątku…

Przedstawiają ci kogoś z obsługi, ale ty o tym nie myślisz, bo na głowie masz już sobotni mecz.

– Mam na imię Paul.

Wtedy myślę o Paulu McGracie, o kimś, kogo znam, żeby łatwiej było zapamiętać. I o tym człowieku z obsługi myślę jak o Paulu McGracie. Nauczyłem się, jak ważne jest zapamiętanie imion i ich używanie.

Było kilka drobiazgów, które zrobiłem na tym wczesnym etapie, i wiem, że wszyscy byli mi za nie wdzięczni. W Sunderland nigdy nie jest ciepło, a zimą to już koszmar. W pobliżu boiska

treningowego jest mały bar i widziałem, że chodzi do niego kilku ludzi, zajmujących się murawą boiska. Któregoś dnia zaczepiłem ich. Powiedzieli, że jadają tam obiady.

Zaproponowałem im zatem, żeby przyszli do naszej kantyny i zjedli z nami.

Chciałem być uprzejmy, to miało duże znaczenie. Taka malutka poprawa.

Zaczęli przychodzić codziennie.

Zapraszałem ich do bufetu.

Nie byłem bohaterem. To pewnie nawyk jeszcze z dzieciństwa – nie mogłem siedzieć i wciągać makaronu, patrząc, jak na zewnątrz inni marzną, jedząc kanapki. Też lubię kanapki z wieprzowiną i cebulą, ale nie na dworze w środku zimy. A porządkowi mają najcięższą pracę w klubie piłkarskim.

Mecze były coraz szybsze i stawka rosła. Menedżer musi mieć cele długo- i krótkoterminowe. Naszym celem, moim i Tony'ego, było przeżycie kolejnego cholernego dnia. Któregoś razu przyszło do nas dwóch facetów, żeby zaprezentować nam Prozone, program do analizy sprawności. Nie mieliśmy go jeszcze, więc chcieli nam go sprzedać.

Siedzieliśmy w holu dla zawodników. Był tam wielki ekran i wygodne fotele. Obydwaj zasnęliśmy. Dobra, światło było wyłączone. Po prezentacji zapytałem Tony'ego, czy zasnął.

Przyznał, że tak, i zapytał, czy ja też.

Było nam trochę głupio, ale ludzie z Prozone chyba nie zauważyli, że ucięliśmy sobie małą drzemkę na odświeżenie sił. Program kupiliśmy i tak.

W tym miejscu oglądaliśmy też nagrania z meczów konkurencyjnych drużyn. Skórzane fotele i ciepełko… Wiele lat później, kiedy już nie było mnie w Sunderland, rozmawiałem z Seamusem McDonaghem, który pracował w klubie z Martinem O'Neillem i był trenerem jego bramkarzy.

Seamus zapytał, czy pamiętam ten pokój, gdzie oglądaliśmy wszystkie mecze.

Pamiętałem.

– Oczka się, kurwa, same zamykają, co? – powiedział.

– Oj, tak było!

Słuchałem tego z ulgą, bowiem i Tony, i ja myśleliśmy, że zachowaliśmy się nieprofesjonalnie. Tylko, że Seamus ma dobrze po siedemdziesiątce, więc ma prawo przysnąć.

System Prozone może być bardzo przydatny, chociaż jego instalacja i licencja to duży wydatek – ponad 100 tysięcy rocznie. Na całym stadionie muszą być zainstalowane kamery monitorujące odległość, jaką przebiega każdy gracz, podania do bramki, poziom sprawności – statystyki. Chciałem je wykorzystywać, ale nie chciałem kierować się wyłącznie nimi. Przydawały się, jeśli zawodnik kwestionował opinie dotyczące jego gry albo wyników. Jeśli uważałem, że biegał za wolno, a on się nie zgadzał, mogliśmy zawsze podeprzeć się nagraniem.

Niektórzy zawodnicy żyli wyłącznie statystykami. Mogli na przykład powiedzieć, że przebiegli prawie 25 kilometrów.

Mówiłem wtedy: „Owszem, bo ciągle zabierali ci piłkę".

To bardzo użyteczne informacje zwrotne, ale to tylko narzędzie. Zaraz po meczu statystyk może przyjść i powiedzieć, że za mało było dośrodkowań. Ale ja już o tym wiedziałem, bo widziałem mecz. Niektórzy zawodnicy uwielbiają takie informacje i oglądanie nagrań. Zorientowaliśmy się, że zwłaszcza obrońcy lubią je przeglądać, aby na przykład wiedzieć, gdzie byli, kiedy miało miejsce dane podanie. Obrońcy zdają się więcej myśleć o meczu niż napastnicy, którzy działają bardziej intuicyjnie.

Kiedy byłem zawodnikiem, wracałem do domu o pierwszej albo o drugiej. Jeśli o drugiej, bo chciałem jeszcze poćwiczyć, myślałem wtedy, że miałem długi dzień. A teraz długość i rytm mojego dnia pracy zmieniły się diametralnie – miałem tylu pracowników. Wszystko było nowe. Podejmowałem tyle decyzji… Długo musiałem się do tego przyzwyczajać.

Pewnego dnia przyszedł do mnie chłopak o imieniu Bill – wielki fan Sunderland, cały wytatuowany, naprawdę fajny gość. Był naszym masażystą.

– Szefie, w przyszłym tygodniu wyjeżdżamy. Jaka zupa powinna być w autobusie?

– Pierdolona zupa? – mruknąłem do siebie.

Tyle miałem na głowie…

Jako piłkarz żyłem niemal w kokonie. Teraz musiałem zmierzyć się z rzeczywistością. To był szok. Podpisywałem z graczami kontrakty na miliony funtów, wprowadzałem młodych zawodników, zwalniałem ludzi z personelu, zabierając im źródło utrzymania, a przecież mają kredyty, wzywałem do swojego gabinetu dorosłych ludzi, żeby ich opieprzyć za złe zachowanie.

Wprowadzałem wiele zmian – na przykład w rozkładzie dnia.

– Zawsze zaczynaliśmy trening o wpół do jedenastej.

– To od dzisiaj będziemy zaczynać o dziesiątej.

Czasem czułem, że ludzie się buntują, a ja popadam w lekką paranoję, zastanawiając się, kto mnie lubi, a kto nie. Na pewno lubili mnie ci od murawy, bo zaprosiłem ich do kantyny. Nie mogłem każdemu dogodzić.

Zupa niemal wyprowadziła mnie z równowagi.

– Pierdol się ze swoją zupą! – Chyba tak powiedziałem. Może nie tak ostro.

Nie obraził się. Śmialiśmy się z tego. Chyba zrozumiał, że trafił na zły moment. Trochę to trwało, zanim dotarło do mnie, że zupa jest ważna. I dla Billa, i dla klubu, i dla mnie.

Przegraliśmy kolejny mecz w Ipswich 1:3.

To był dla mnie ważny dzień.

Zawsze obserwowałem, co robi personel w dniu meczu. Niektórzy mają wolne. Inni lubią urżnąć się w poprzedni wieczór – w futbolu to tradycja. Nie chciałem na to pozwolić. Chciałem, żeby każdy w przeddzień meczu znalazł się w łóżku o przyzwoitej porze i pilnowałem tego.

Tamtego dnia w Ipswich jeden człowiek z personelu odpowiadał za muzykę w szatni. To może się wydawać dziwne, ale wiele można powiedzieć o osobie na podstawie muzyki, jaką wybiera. Młody chłopak mógłby puścić coś z nowości, a starszy zawodnik stwierdzić, że to on jest tu weteranem i sam wybierze muzykę. Ale zauważyłem, że to nie jeden z graczy odpowiadał za muzykę, tylko człowiek

z personelu, co mnie niepokoiło. Patrzyłem na niego i miałem nadzieję, że któryś z chłopaków go przygwoździ.

Gdybym był jednym z zawodników, a ktoś z obsługi wybierałby muzykę, powiedziałbym, że to nasza szatnia. Ludzie z obsługi powinni znać swoje miejsce.

Ostatnią piosenką graną przed wyjściem drużyny na boisko była *Dancing Queen* Abby. Wkurzyło mnie, że żaden z zawodników nie kazał tego gówna wyłączyć.

Stałem z boku, myśląc, że nie jestem tu u siebie. Muszę się uczyć.

Wygrywaliśmy 1:0, ale skończyło się przegraną 1:3. Nie sądzę, że winna była piosenka, ale po meczu skrytykowałem zawodników. To był jeden z niewielu przypadków, kiedy straciłem poczucie humoru. Powiedziałem, że to ich muzyka i muszą wziąć za nią odpowiedzialność.

– Co was motywuje? To wasza muzyka.

Wychodzili, żeby zagrać mecz. Faceci z facetami. Testosteron aż dymił im z czaszek. Trzeba być bardzo szybkim. Pierdolona *Dancing Queen*. Mogłaby być i Abba, ale jakiś szybszy kawałek!

Wkurzyło mnie to. Nie miałem aż tylu liderów, ilu myślałem, że mam.

Już wtedy powiedziałem komuś, że nie mógłbym pracować nigdzie indziej, tylko w Sunderland. Naprawdę tak myślałem. Byłem przekonany co do możliwości zawodników i klubu. Czułem się już jego częścią.

Wielbiciel Abby odszedł niedługo później.

Siedem

Kiedy weszliśmy, Steve zapytał: „Wszystko w porządku, chłopaki? W porządku?”. A potem położył głowę na biurku i rzucił: „Macie fart, pierdolone dranie. Obrobiliście nas, gnojki pierdolone”.

Nikt tak naprawdę nie przygotuje cię do zarządzania. Zdobyłem certyfikat UEFA B, dobrze radziłem sobie na kursie UEFA A. To kamienie milowe. Jestem pewien, że w każdej innej branży takie certyfikaty rzeczywiście pomagają. Ale u nas, w futbolu, są niemal bezużyteczne. Pewnie jestem niesprawiedliwy, że tak mówię, bo kursy są naprawdę dobre. Ale kiedy rzeczywiście zacznie się pracę i rozmowy z graczami, gdzie jedni chcą odejść, inni mają problemy z piciem albo hazardem, albo z ludźmi z obsługi, którzy chcą z kolei pogadać o swoich problemach małżeńskich, okazuje się, że akurat tego, do kurwy nędzy, nikt nie uczył.

Nie przewidziałem, że będę musiał borykać się z osobistymi problemami innych ludzi. Myślałem, że zarządzanie drużyną to prosta sprawa. Ale powiedzieć, że dam sobie radę, kiedy mam przed sobą faceta, który właśnie się rozwodzi, albo mówi mi, że jego żona poroniła, to nic nie powiedzieć.

– Weź trzy dni wolnego, nie martw się.

Któregoś ranka podczas treningu pojawiło się na boisku dwóch policjantów.

– Przyszliśmy aresztować jednego z waszych graczy.

Chodziło o Carlosa Edwardsa i stertę jego niezapłaconych mandatów za przekroczenie prędkości i złe parkowanie. To był naprawdę fajny gość.

Poprosiłem, by poczekali do końca treningu.

Udało nam się ich przekonać, żeby nie aresztowali Carlosa, że wszystko zapłacimy i załatwimy.

Zgodzili się, zinterpretowali wątpliwości na korzyść oskarżonego.

Tak, można dać sobie radę, kiedy już nabierze się doświadczenia. Z wieloma sprawami radziłem sobie całkiem nieźle, zwłaszcza z problemami zawodników. Nie miałem problemów z rozmowami na temat picia i hazardu, chociaż hazardu nigdy nie uprawiałem. Zawsze próbowałem dawać logiczne i praktyczne rady. Ale kiedy przychodziło do problemów personalnych czy rodzinnych, nie byłem w stanie pomóc ani niczego zaproponować. Tylko urlop, żeby mogli jakoś sobie wszystko poukładać.

Wszyscy uwielbiają rozmawiać z menedżerem, czy on tego chce, czy nie. Mówią mu o miłych i przykrych sprawach, donoszą na piłkarzy…

– Podobno dwóch zawodników piło do czwartej nad ranem…

Dzwoniłem wtedy i starałem się traktować ich tak, jak sam chciałbym być potraktowany. Takie reakcje to zwyczajnie zdrowy rozsądek, ale to męczące. Granie było o wiele łatwiejsze.

Trzy razy w sezonie straciłem zimną krew, ale nigdy na linii bocznej. Po raz pierwszy po meczu w Ipswich. Wygrywaliśmy 1:0, ale nasz bramkarz zupełnie sobie nie radził, a *Dancing Queen* dopełniła całości.

Czasem, kiedy się wściekam, wystarczy, jeśli kopnę kilka razy w taktyczną tablicę szkoleniową. To mój ulubiony sposób. Cookiemu, gościowi od wyposażenia, też to odpowiada. Jeśli wścieknę się w przerwie, proszę Cookiego, żeby ją powiesił, a ja walę w nią kopem karate. To nie tylko upust złości, ale i znak dla graczy, że w tym meczu nie chodziło o taktykę. Ta tablica czasem się przydaje, ale tym razem chodziło mi o to, że nie pierdolona taktyka tu zawiodła. Zawiodły chęci zawodników, bo zdaje się, że nasz przeciwnik miał ich więcej. W Championship w niewielkim stopniu liczy się taktyka – ona liczy się w Premiership. Tutaj ważne są charaktery zawodników.

Do października straciliśmy dwa kolejne mecze. Preston rozgromił nas na swoim boisku 4:1. Świetnie sobie radzili. Ich menedżerem był Paul Simpson, a grał u nich David Nugent, którego próbowałem

pozyskać w kolejnym sezonie. To była okropna klęska, a nasz gol padł, kiedy przegrywaliśmy już 0:4. Strzelił go Stan Varga.

Potem pobiła nas drużyna Stoke 2:1. Rory Delap kilka tygodni po tym, jak go im wypożyczyłem, złamał nogę. Zadzwoniłem do niego do szpitala.

Kilku piłkarzy musiałem wypożyczyć. Rory pojechał do Stoke, a Jon Stead do Derby. Musiałem jakoś zrównoważyć budżet. Ściągnąłem Dave'a Connolly'ego i klub płacił mu spore pieniądze, więc musiałem odesłać innego napastnika, Steada. Zawsze w takich sytuacjach myślałem, żeby wyszło to graczowi na dobre. Stead wyjechał do Sheffield United w drugiej połowie sezonu, grali wtedy w Premiership. Gdyby zawodnik nie mógł zagrać, nie oddawałbym go. Dla klubu wiązało się to z korzyścią finansową, nie musieliśmy płacić zawodnikowi, bywało też, że za wypożyczenie braliśmy opłaty. To była biznesowa strona piłki. Później, kiedy sam próbowałem wypożyczać zawodników, dowiedziałem się na ten temat znacznie więcej.

Trzy porażki na cztery mecze – to mnie bardzo zaniepokoiło. Kiedy przychodzi nowy menedżer, często ma bardzo dobre samopoczucie, przeżywa coś w rodzaju miesiąca miodowego. Nowe pomysły, kilku nowych graczy. Ten etap jest już za mną. Ale zawsze będę pamiętał, co zrobili fani Sunderland po meczu ze Stoke – wspaniale mnie pożegnali, chociaż właśnie dostaliśmy łupnia. Miejsca dla fanów przeciwnej drużyny znajdują się w pobliżu tunelu. Fani Sunderland podróżują w dużych grupach i są bardzo hałaśliwi. Byli tak żarliwi jak kibice United i Celticu. Chwaliłem ich – czasem usprawiedliwiałem – i przez cały sezon zawsze wspominałem o nich w wywiadach prasowych.

Ugraliśmy dwa dobre wyniki pod rząd – u nas z Barnsley i z Hull, u nich. Ross Wallace strzelił gola w ostatniej chwili w meczu z Hull, a potem usunęli go z boiska – dostał drugą żółtą kartkę za zdjęcie koszulki. Zdjęcie koszulki karane jest żółtą kartką z automatu, ale wielu graczy i tak to robi, jak Ross. Zawsze walczył ze sobą, żeby obniżyć swój poziom tłuszczu o 10%.

– E, posłuchaj – zażartowałem. – Jak inni zdejmują koszulki, to OK. Ale nie ty, fiutku jeden, bo przez ciebie wywalą naszego

trenera fitness.

Nie ukrzyżowałem Rossa za zdjęcie koszulki. Strzelił zwycięskiego gola, więc był rozemocjonowany. Na konferencji prasowej po meczu dziennikarze pytali mnie, jakie sankcje dyscyplinarne wyciągnę wobec niego. Powiedziałem, że zastanowię się nad tym w tygodniu. Ale nie ukarałem go.

Wygraliśmy kilka meczów, co dodało i mnie, i zawodnikom pewności siebie. Pomyślałem, że tak, że ta robota jest dla mnie.

Kiedy się wygrywa, nie myśli się o tym, że można przegrać. Powędrowaliśmy w górę tabeli, na 13. miejsce, ale wciąż borykaliśmy się, by utrzymywać dobrą formę. Wszyscy pamiętają, jak w ciągu kilku miesięcy Sunderland powędrował z samego dołu tabeli ku szczytowi. Ale to nie stało się ot, tak. To była bardzo ciężka praca.

Cardiff pokonał nas na naszym boisku 2:1. Cardiff to była bardzo dobra drużyna. Jak tylko pomyślałem, że zrobiliśmy duży postęp, znów dostaliśmy w tyłek. Kiedy przegrywa się mecz, zaczyna się wątpić we własnych zawodników.

Potem przegraliśmy z Norwich. Zaraz po remisie z Southampton. Wygrywaliśmy 1:0, ale wtedy Gareth Bale strzelił dla nich gola w doliczonym czasie. Bale był obrońcą na lewym skrzydle, był fantastyczny, najlepszy gracz na boisku. Wszystko, co robił, było na najwyższym poziomie. Miał 17 lat. Chociaż strzelili gola w doliczonym czasie, nie mogłem im zazdrościć wyniku. Cieszyłem się z remisu.

Wygraliśmy u siebie z Colchester. Póki co nie mieliśmy żadnej kontroli nad naszymi wynikami.

W tym czasie moja żona przyjeżdżała do mnie z dziećmi i szukaliśmy katolickiej szkoły. To było dla nas bardzo ważne, bowiem już wcześniej do takiej chodziły. To są dobre szkoły i podoba nam się ich przesłanie. Oglądaliśmy domy, ale nie mogliśmy znaleźć szkoły. Mijały tygodnie, potem miesiące, a moja rodzina wciąż się nie przeprowadziła. Podobał mi się nawet taki układ, pasowała mi ta równowaga między życiem osobistym a zawodowym. To działało.

W końcu moja rodzina została w Manchesterze. Dojazdy nie były najgorsze. Lubię jazdę samochodem – późnym wieczorem albo wczesnym rankiem. To dwie i pół godziny jazdy, miłej jazdy, przez Leeds. Dwa albo trzy dni spędzałem w domu. Ciężko pracowałem w Sunderland, a potem jechałem do domu. Kiedy jeszcze grałem, rodzina nigdy szczególnie nie interesowała się moim życiem zawodowym. Żeby było śmieszniej, teraz interesowała ich moja praca menedżera. Chyba zdawali sobie sprawę, że moja odpowiedzialność była teraz większa i podobało im się, że jestem poddawany takiej presji. Teraz bardziej mi kibicowali, przed meczem życzyli mi szczęścia. Kiedy byłem piłkarzem i mówiłem, że jadę na Old Trafford, nawet nie zwracali na to uwagi.

Wynająłem mieszkanie w Durham, w dzielnicy studenckiej. Mogłem tam chodzić po knajpach, bo – mówiąc oględnie – studenci niespecjalnie interesują się futbolem, więc nie wiedzieli, kim jestem. Zresztą i tak chodziłem spać o ósmej albo dziewiątej. Mogłem choć trochę lepiej je urządzić, jakoś udekorować, postarać się, żeby było trochę bardziej przytulne – kupić dobry telewizor i wygodną kanapę. Ale skończyło się na tym, że sam żyłem jak student – zupki z torebki i fasolka z puszki.

Po miesiącu albo dwóch zacząłem martwić się o poziom tłuszczu u niektórych zawodników, zwłaszcza tych, którzy nie grali regularnie. Nie chodzi oczywiście o to, że mieli straszną nadwagę. Powiesiłem na tablicy ogłoszeń kartkę, że ci, którym nie uda się zredukować tłuszczu o 10%, nie będą grali w meczach. Wyjątkiem byli bramkarze, bo oni muszą mieć trochę sadełka, żeby amortyzować upadki. Zawodnicy byli naprawdę zadowoleni z takiego sposobu komunikacji.

Ustalony porządek trzeba zmieniać, żeby nie popaść w rutynę. Tablica ogłoszeń wisiała w pobliżu szatni. Jako menedżer starałem się utrzymać dystans. Nie wchodziłem do szatni zbyt często. To teren piłkarzy. Ale wiedziałem, że jeśli powieszę coś na tablicy – informacje o kadrze czy wyjazdach, zaczną o tym mówić. Ogłoszenie o redukcji tłuszczu było tylko takim drobnym pomysłem, żeby mieli o czym rozmawiać. To była zabawa i taka gra – mała prowokacja. Naciskałem na zawodników. I to działało.

Ze wszystkimi się kumplowałem, z wieloma z nich grałem kiedyś w jednej drużynie. Po prostu „zawieszałem” na jakiś czas swoją sympatię. Ale jeśli jeden z zawodników nieco przekroczył dopuszczalny limit tłuszczu, a był dla nas ważny, nie zamierzałem go odsuwać.

Mick McCarthy zarządzał drużyną Wolves i zadzwonił do mnie w sprawie jednego z zawodników, którego chciał wypożyczyć. Chodziło chyba o Neilla Collinsa.

Zadzwonił bezpośrednio do mojego biura.

– Wszystko u ciebie dobrze, Roy?

Pogadaliśmy o zawodniku, o tym, o tamtym. To była przyjemna rozmowa, byłem zadowolony, że Mick do mnie zadzwonił. Przeszło mi przez głowę, że spotkamy się w tym sezonie i nasze drużyny będą grać przeciw sobie. Poza tym byłem teraz członkiem LMA, Stowarzyszenia Menedżerów Ligowych[4] i pewnie będę musiał coś dla nich zrobić. Musieliśmy się spotkać.

To chyba Mick zasugerował, żebyśmy spotkali się i pogadali. Obydwaj uznaliśmy, że to świetny pomysł.

Spotkaliśmy się w hotelu Four Seasons, w pobliżu lotniska w Manchesterze. Było trochę jak podczas spotkania z Niallem, miło i niemiło. Powiedziałem, że przykro mi w związku z tym, co się wydarzyło na Saipan, chociaż nie jestem pewien, czy miałem za co przepraszać. Próbowałem iść do przodu.

Tak było. To było ważne i cieszę się, że to zrobiłem.

Graliśmy z Wolves w listopadzie, na ich boisku, w piątkowy wieczór. Były tam wszystkie media, mecz transmitowany był na żywo w telewizji Sky. W mediach mecz promowany był pytaniem, czy podamy sobie ręce. My jednak spotkaliśmy się wcześniej i nikt o tym nie wiedział, więc dla nas to nie był żaden dramat. Uścisnęliśmy dłonie przed meczem, chociaż wcale się nie umawialiśmy. Po prostu podaliśmy sobie ręce. Menedżerowie robią tak przed każdym meczem. To standard. Jedyną różnicą tym razem był fakt, że wokół nas było 50 kamer.

Tego wieczoru znowu dałem się wyprowadzić z równowagi. Po pierwszej połowie przegrywaliśmy 0:1, graliśmy koszmarnie. Poprosiłem Cookiego, żeby zdjął tablicę taktyczną i pobawiłem się w Bruce'a Lee. Może zawodnicy byli rozproszeni całą sytuacją Keane – McCarthy. Musiałem zapytać sam siebie, czy ja sam nie byłem jakoś wyjątkowo wściekły, bo nie chciałem przegrać właśnie z drużyną Micka McCarthy'ego? Mam nadzieję, że nie. Byliśmy w telewizji, a graliśmy jak gówniarze. Biedny Cookie, wieki chyba spędził, szukając tych małych piłkarzyków z tablicy taktycznej.

Mieliśmy szczęście, zremisowaliśmy 1:1. Nasz bramkarz, Darren Ward utrzymał nas w grze, a nasz gol, strzał Steve'a Elliotta, był z odbicia.

Wygraliśmy z QPR 2:0, na ich boisku, potem u nas 1:0 z Norwich w meczu rewanżowym. W obu meczach gole strzelił Daryl Murphy.

Następny mecz odbył się w sobotę, na naszym stadionie. Graliśmy z Luton. W piątkowy wieczór wezwano mnie do klubu na spotkanie. Byli tam Niall i sekretarka. Trzech graczy, Chris Brown, Liam Lawrence i Ben Alnwick zostało rzekomo nagranych, jak podrywają dziewczynę. Zarząd klubu wpadł w panikę, ponieważ historyjka miała ukazać się w „The Sun"[5]. Brown i Lawrence byli dla mnie ważni, ponieważ następnego dnia mieliśmy grać, a oni byli w mojej drużynie. Nie złamali prawa, powiedziałem więc, że powinni zagrać. Niall jednak stwierdził, że klub naciska, by ich zawiesić.

Tak też zrobiłem.

To był chyba pierwszy raz, kiedy musiałem sprostać takiemu wyzwaniu. Nie krzyczałem i nie kopałem w tablicę, ale byłem przygnębiony. Niemniej rozumiałem władze klubu. Próbowaliśmy stworzyć Sunderland na nowo, pracowaliśmy nad nowym wizerunkiem i nowymi standardami. I nikt nie mówił, że ci zawodnicy nigdy już nie zagrają w Sunderland.

Powiedziałem Lawrence'owi i Brownowi, że nie zagrają w sobotnim meczu, ale dałem im do zrozumienia, że w którymś momencie wrócą do drużyny i że to nie jest moja decyzja. Myślę, że było ważne, żeby wiedzieli, że ja nie mam do nich pretensji.

Wygraliśmy bez nich. Pokonaliśmy Luton 2:1. Gole strzelili Murphy i Dave Connolly.

Wkurzyła mnie cała ta sprawa, ale chyba bardziej bym się wkurzył, gdyby spóźnili się na trening. Sam byłem piłkarzem i zdarzało mi się pakować w kłopoty. Doprowadzałem zarząd i menedżera do rozpaczy. Dlatego zawsze wobec graczy starałem się być w porządku. Kiedy wzywałem ich do biura, na przykład z powodu picia, dawałem im do zrozumienia, że to jeszcze nie afera. Chciałbym myśleć, że byłem wyrozumiały. Nie akceptowałem ich zachowania, niemniej byłem ich menedżerem, nie ich ojcem. Nie byłem też sędzią ani ławą przysięgłych, miałem natomiast przed sobą mecz, który chciałem wygrać. To w końcu była moja praca. Potrzebowałem zawodników. Lawrence i Brown nie byli ani Messim, ani Ronaldo, ale byli mi potrzebni.

Trochę później pokłóciłem się z Liamem Lawrence'em, na boisku treningowym. Graliśmy jedenastu na jedenastu, ale było nas więcej, dlatego niektórzy nie mogli wziąć udziału w całej grze, m.in. Liam. Nie był tym zachwycony i wściekły wpadł do szatni. Powiedział, że nie zamierza stać na linii bocznej.

Powiedziałem, żeby przyszedł do mojego biura.

W biurze zaczęliśmy na siebie krzyczeć. Dziś myślę, że w takiej sytuacji dobrze byłoby zaprosić jeszcze kogoś na wypadek, gdyby później okazało się, że musi dojść do konfrontacji, lub gdyby w grę wchodziły kwestie kontraktu albo zawodnik chciałby odejść. Kogoś, kto byłby świadkiem rozmowy i mógł powtórzyć, co usłyszał.

Powiedziałem Liamowi, że to żaden wielki problem. Inni też musieli czekać na linii bocznej, żeby każdy miał szansę trochę pograć. I wszystko na ten temat – to chyba proste.

Ale Liam powtarzał, że on nie będzie tak pracował.

To był niezły konkurs na krzyki. Naprawdę było gorąco. Pewnie mogłem go nawet złapać i byśmy się trochę pomocowali, ale on postanowił wyjść. Byliśmy sami, ale wszyscy wokół na pewno nas słyszeli.

Ale to było fajne. Wszystko poszło dobrze, wszyscy mnie wspierali. To była moja pierwsza prawdziwa konfrontacja i bardzo

mi się to podobało. Myślałem, że przydałoby się ich więcej – nawet jedna dziennie.

Oczywiście, że wcale tak nie myślałem, ale dobrze było upuścić sobie trochę pary.

Nie zszokowało mnie to jakoś bardzo, ale byłem zaskoczony, że obydwaj z Liamem tak się wściekliśmy. Dotychczas wszyscy robili to, o co poprosiłem. Po raz pierwszy jeden z chłopaków postawił mi się i to w obecności innych. Musiałem więc szybko myśleć.

Jak sobie z tym poradzić?

Liamowi po prostu tego dnia puściły nerwy. Nie było między nami złości. Podziwiałem go nawet za to, że o siebie walczył. Ale – jak na ironię, albo i nie – następnego ranka zadzwonili do nas z klubu Stoke z pytaniem, czy Liam mógłby do nich przejść.

Powiedziałem, że pewnie tak. Nie z powodu tej awantury. Jak już wspomniałem, kiedy przyjmuje się zawodników, inni muszą odejść.

Chwilę po tej rozmowie przyszedł Liam. Chciał przeprosić.

– Przepraszam za wczoraj.

– Nie ma sprawy – powiedziałem. – Ale właśnie przed chwilą miałem telefon ze Stoke. Byłbyś zainteresowany?

Powiedział, że tak.

Wszystkim to pasowało.

Nasz następny mecz z Burnley, na ich stadionie, był dla nas przełomowy. Najpierw przegrywaliśmy 0:2 i graliśmy koszmarnie. W końcu Grant Leadbitter strzelił gola. Potem wyrównaliśmy w dodatkowym czasie, tym razem znów strzelał Dave Connolly. Zdobyliśmy punkt, ale mogliśmy przecież przegrać pięć albo sześć do zera.

Menedżerem Burnley był wtedy Steve Cotterill. To tradycja, że po meczu wypija się drinka z menedżerem przeciwnej drużyny, bez względu na to, czy się wygra, przegra, czy zremisuje. Robi się dobrą minę do złej gry.

– Świetnie zagraliście.

– Z kim gracie w przyszłym tygodniu?

– To był dobry mecz.

Ja rozmawiałem z ich menedżerem, nasz trener bramkarzy z ich trenerem bramkarzy. Ale tym razem byliśmy trochę skrępowani, bo zdobyliśmy gola ostatnim strzałem tego meczu i nie zasłużyliśmy na zwycięstwo. Trochę, jakbyśmy ich orżnęli.

Kiedy weszliśmy, Steve zapytał:

– Wszystko w porządku, chłopaki? W porządku? – A potem położył głowę na biurku i rzucił: – Macie fart, pierdolone dranie. Obrobiliście nas, gnojki pierdolone.

To było niesamowite. Był uczciwy – był sobą. Nie pieprzył jak inni, że mecz był świetny, że świetnie daliśmy sobie radę, nie częstował nas colą. Wszyscy nazywają przeciwną drużynę pierdolonymi gnojkami, ale dopiero wtedy, jak jej autobus zniknie za zakrętem. A Steve powiedział nam to w oczy.

Rozluźniliśmy się i zaczęliśmy się śmiać.

Zazwyczaj kiedy wchodzi się do biura innego menedżera, wszyscy są spięci. Nikt nie jest sobą. Jeśli wygrałeś, rozsadza cię energia, jeśli przegrałeś – jesteś wkurzony. Ale nie można tego okazać przed innym menedżerem i jego ekipą. Rok później na Stadium of Light grał z nami zespół Blackburn. Ich menedżerem był wtedy Mark Hughes, z którym grałem w United. Pokonali nas 2:1, obrobili nas. Po meczu każdy przysłuchiwał się mojej rozmowie z Markiem.

Zapytał, gdzie mieszkam.

– W Durham.

– A ile czasu zajmuje ci dojazd z Manchesteru do Durham?

– Jakieś dwie i pół godziny.

– A ile to kilometrów, tak od drzwi do drzwi?

Jeszcze go nie kopnąłem. Na straż pożarną zawsze przyjdzie czas. Po prostu nie mogliśmy być sobą.

– Jakieś dwieście kilometrów – odpowiedziałem.

Kiedy wyszedł, moi ludzie pytali, o co mu, kurwa, chodziło.

To po prostu była niezręczna sytuacja, jak co tydzień.

– Z kim gracie w przyszłym tygodniu?

– W jakim hotelu się zatrzymaliście?

Ale to właśnie Steve, który stracił zimną krew, był jednym z najjaśniejszych punktów sezonu. Pokazaliśmy inną stronę naszej drużyny, bojowniczą. Wyznaczaliśmy sobie szczyty do zdobycia

i zawodnicy je zdobywali. Walczyliśmy, biliśmy się. Mamy remis, na który nie zasłużyliśmy. Na oczach naszych fanów strzeliliśmy gola w doliczonym czasie gry.

Puściliśmy zawodnikom nagranie ze świętowania meczu, bo ukazało się w telewizyjnych wiadomościach. Dave Connolly wskoczył do sektora naszych kibiców. Kilku z nich pospadało z ławek, ale to było nic, bo wszyscy całkowicie oddani byli drużynie. Najważniejsze, że wszyscy tworzyliśmy razem historię klubu – zawodnicy, kibice. „Jesteśmy Sunderland i nigdy się nie poddamy. Wytrzymamy do końca".

Im dłużej trwał sezon, tym więcej strzelaliśmy późnych goli. Drużyny, z którymi graliśmy, były przekonane, że w meczu z nimi też tak będzie i wycofywały się. My tak nie uważaliśmy, tylko oni.

Ale wciąż nie myślałem o tym, żeby zdobyć awans. Po prostu ważne było, że choć nie było łatwo, to już nas nie zdegradują.

Po meczu z Burnley stwierdziłem, że nie jesteśmy jeszcze gotowi na mecze play-off i nie wszyscy zawodnicy sprostają temu wyzwaniu. Powinienem był przy okazji powiedzieć, że warto byłoby sprawdzić mentalność zawodników, albo jakoś dać do zrozumienia Niallowi i zarządowi, że wszyscy musimy zejść na ziemię. Jeśli władzom klubu woda sodowa uderzyła do głowy i sądzą, że mamy już wszystkich zawodników, jakich nam trzeba, przypominałem im, że jeszcze kilku się przyda – za chwilę styczeń i otwarte okno transferowe. Nie bawiłem się w jakieś gierki z zarządem. Potrzebowaliśmy kilku zawodników więcej, jeśli mieliśmy awansować. Jeśli mamy rozgrywać mecze w tygodniu, cztery razy w tygodniu będą konferencje prasowe, więc muszę mieć mediom coś do powiedzenia. Będzie konferencja prasowa w piątek, potem zaraz następna, po sobotnim meczu. Jeśli mamy grać we wtorek wieczorem, musiałbym spotkać się z mediami i w poniedziałek i po meczu. To już było nudne. Te same pytania cztery razy w tygodniu.

W Championship mnóstwo jest wielkich, historycznych zespołów – Leeds, Derby, Leicester, Wolves, Sunderland. Ale nie podobało

mi się określenie „uśpiony olbrzym”. Dlatego myślałem, że powinienem był przyjechać do zimnego Sunderland. Przede wszystkim nie obchodziła mnie historia, bo byliśmy tam, gdzie byliśmy, niemal na dnie Championship, więc trzeba było zrobić porządek. Ale im dłużej byłem w klubie, tym bardziej ceniłem sobie jego historię. Spotkałem się z kilkoma byłymi graczami, jak Charlie Hurley, wielką gwiazdą Sunderland, czy Dennis Tueart, który wygrał z drużyną Puchar Anglii w 1973. Zacząłem wieszać na ścianach zdjęcia – w szatni i w strefie treningowej, która dotychczas wyglądała jak prywatny szpital – świetne wyposażenie i zimne, gołe ściany. Powiesiłem zdjęcie Boba Stokoe’a z z pucharem FA z 1973, zdjęcia poprzednich drużyn, które wywalczyły awans i zdjęcia fanów.

Prosiłem ludzi z obsługi, żeby na mecze przyzwoicie się ubierali. Próbowałem ustalić jakieś standardy. Masażysta Bill miał na łydce tatuaż Sunderland. Rozmawiałem z nim w biurze.

– Wiem, że w dni meczów nosisz krótkie skarpetki – powiedziałem. – Mógłbyś założyć dłuższe? Nie mam nic przeciwko tatuażom, ale próbuję wysłać w świat wiadomość, że jesteśmy nowym Sunderland.

Dziwnie się czułem, bo miałem świadomość, że rozmawiam z dorosłym facetem.

Ale on powiedział, że wie, o co mi chodzi, i że mam cholerną rację.

Bill to naprawdę porządny gość, wielki fan Sunderland. Nie miał do mnie pretensji i nie marudził, że dumny jest ze swoich tatuaży. Rozmowa mogła pójść źle, ale on podszedł do tego zupełnie spokojnie. Ta sytuacja mówiła wiele o tym, co udało mi się w klubie osiągnąć. Gdybym powiedział „podskakujcie”, zapytaliby jak wysoko.

Na swoim boisku pokonała nas drużyna Crystal Palace, a potem my u siebie wygraliśmy z Leeds 2:0, w dzień św. Szczepana – drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Gole strzelili Dave Connolly i Grant Leadbitter.

Na stadionie było ponad 40 tysięcy ludzi, atmosfera fantastyczna. Przyjechało mnóstwo fanów Leeds, którzy nienawidzą się z naszymi

od czasu finału Pucharu Anglii w 1973. Menedżerem Leeds był wtedy Dennis Wise, a jego asystentem Gus Poyet. Atakowaliśmy, a Gus wziął piłkę od jednego z chłopców z obsługi i kopnął ją na boisko, czym zatrzymał grę. Odesłano go na trybunę. Rywalizacja naprawdę była ostra, dlatego to była prawdziwa wygrana. Yorke wyglądał coraz lepiej – pewnie na święta wybrał się na Bondi Beach.

Na własnym boisku przegraliśmy 0:1 z Preston. Żałowałem teraz, że wypożyczyłem dziesięciu zawodników, zwłaszcza drużynom, z którymi graliśmy. Na przykład Tommy Miller grał przeciw nam w meczu z Preston i robił to bardzo dobrze. Nie powinienem był do tego dopuścić, to był poważny błąd. I tylko ja byłem przegrany. Gdyby on nie grał dobrze, nie byłoby to ważne. Ale skoro było inaczej, mogłem spodziewać się pytań, dlaczego pozwoliłem mu występować przeciw nam i przede wszystkim dlaczego wypożyczam tak dobrego gracza. To było pewne, że on chciał pokazać na boisku swoją wartość. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że chciałem, żeby chłopak jak najwięcej grał. Wciąż uczyłem się nie myśleć jak piłkarz i nie oglądać się na sentymenty.

Pod koniec 2006 byliśmy na 12. miejscu w lidze. Mieliśmy 37 punktów z 26 meczów i mieliśmy o 10 punktów mniej, niż Preston, na 10. miejscu w tabeli. Awansować można wtedy, jeśli zdobywa się średnio dwa punkty za mecz. Daleko nam było do tego.

W nowym roku pierwszy mecz zagraliśmy 2 stycznia z Leicester, na ich boisku. Grali dobrze, ale to my wygraliśmy 2:0. Znów gola strzelił Dave Connolly. Zarabiał dla nas kasę i naprawdę dowiódł swojej wartości.

Tego dnia udało nam się odbić. Ruszyliśmy ostro do przodu, choć jeszcze wtedy nie do końca zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Ale ja zacząłem się zastanawiać, czy możemy pójść jeszcze wyżej i dobić do jednej z pozycji play-off. Miejsce w pierwszej dwójce, które daje automatyczny awans, było poza naszym zasięgiem. Nie sądziłem, że to nastąpi w 2006, było za wcześnie. Ale to byłby postęp.

Nabraliśmy rozpędu – to najważniejsze w futbolu. Byliśmy na wznoszącej fali. Southampton, u nich, gol w ostatniej chwili.

Burnley, u nas, przegraliśmy 2:3, znów gol w ostatniej minucie gry. Derby, u nas, 1:1. Liam Miller strzela w doliczonym czasie główką, a jest najniższym gościem na boisku. Rozpęd – mieliśmy go.

W styczniu sprowadziliśmy kilku graczy. Carlosa Edwardsa z Luton i Anthony'ego Stokesa z Arsenalu. Jonny'ego Ewansa wypożyczyliśmy z Manchesteru United. Wszyscy byli świetni – tacy byli nam potrzebni. Pasowali do nas idealnie, znałem bowiem nie tylko ich osiągnięcia, ale również osobowość.

Wcześniej w tamtym sezonie widziałem, jak Carlos grał w Luton, kiedy ich pokonaliśmy, jak dobrym był zawodnikiem. Stanął na pozycji prawoskrzydłowego pomocnika. Był szybki, mógł pomóc nam w awansie. Mieliśmy też kontratak na mecze poza naszym boiskiem.

Jonny był środkowym obrońcą. Miał umiejętności piłkarza Manchesteru United i przynosił je do Sunderland. Jak na tak młodego chłopaka – miał 19 lat – był niezwykle dojrzały, był też urodzonym liderem. Mieszkał z rodzicami w Sale, blisko mnie, więc zabrałem go, żeby zobaczył nasz stadion. Wiedziałem, że dopnę swego – znałem go, wiedziałem, o co mu chodzi. Pewnego dnia, kiedy jeszcze grałem w United, w kantynie wybuchła bójka i Jonny świetnie sobie poradził. Powalił innego gościa. Był twardy.

Stokes do końca sezonu strzelił dla nas kilka ważnych goli. Był świetnym nabytkiem, chcieli go również w Celticu i w Charlton, klubach, które były wtedy w Premiership. To, że przyszedł akurat do nas, było kolejną wiadomością, że możemy konkurować z innymi klubami. Rozmawiałem z jego ojcem. Z jakiegoś powodu myślał, że pomogę jego synowi utrzymać odpowiedni kurs, bo Stokes był jeszcze dość dziecinny.

Nie przypominam sobie, żeby którykolwiek z piłkarzy sprowadzonych w tamtym sezonie zawiódł. Wszyscy pracowali na sukces klubu. Zatrudniłem dobrych zawodników. Wspólnie z tymi, których już mieliśmy, będą pracować dla nas przez kilka lat, bez względu na to, gdzie zakończymy ten sezon.

Drużyna Preston wykopała nas z Pucharu Anglii w trzeciej rundzie. Byłem rozczarowany, bo jestem fanem pucharowych rozgrywek. Fantastycznie byłoby w nich zagrać, nie martwiłbym się

nawet, że będzie za dużo meczów naraz. Poza tym całkiem nieźle wygląda to finansowo – są pieniądze dla klubu. Niemniej z Preston graliśmy w tym sezonie już trzy razy i oni ewidentnie byli lepsi od nas.

Pokonaliśmy Ipswich 1:0, znów strzelał Dave Connolly. Potem, we środę, z Sheffield, na ich boisku, wygrana 4:2. Yorke strzelił świetnego gola, takiego jakby od niechcenia. Prowadziliśmy 3:0, a oni potem strzelili nam dwie bramki na 3:2. Prawie, kurwa, dostałem zawału. Kiedy znów chodziło o wizerunek, trzeci raz straciłem nad sobą kontrolę. Każdy w szatni był zadowolony, bo wygraliśmy 4:2. Ale nie powinniśmy pozwolić im na strzelenie tych dwóch goli! Nie graliśmy wcale aż tak dobrze, brakowało konsekwencji. Nie wolno pozwalać przeciwnej drużynie wracać na naszą połowę boiska. Mogli urwać się każdej innej drużynie w środowym meczu, ale nie nam, bo byliśmy od nich lepsi. Najlepiej krytykować drużynę po wygranym meczu – lepiej to przyjmują, bo wygrali. Poza tym wiedzieli, że nie straciłem panowania nad sobą dlatego, że przegraliśmy, więc nie mogli się usprawiedliwiać.

Natomiast atmosfera wśród naszych fanów była fantastyczna. W przerwie zaczęli śpiewać naszą wersję *Hey, Jude* – „na na na na-na-na-na – Keano" – i śpiewali przez całą drugą połowę. Miałem wrażenie, że jest w tym szczypta ironii, aczkolwiek nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby kibice tak śpiewali menedżerowi. Pewnie powinienem być naprawdę wdzięczny. Nie chciałem jednak za bardzo się tym cieszyć, bo wszystko może się szybko zmienić. Dobrze nam szło, ale ja wiedziałem, że w końcu nadejdzie spadek formy. Dotyczy to nawet Realu Madryt i Manchesteru United. A Sunderland będzie mieć wielki, pierdolony spadek. Kiedy to nastąpi, kto będzie winien? Menedżer. Nie byłem mesjaszem i nie chciałem być tak traktowany. Tak czy owak, nigdy nie lubiłem tej piosenki. Może byłoby inaczej, gdybym ją lubił.

Przed końcem transferu sprowadziłem Sterna Johna z Coventry City. To był mój najlepszy nabytek w życiu.

W poniedziałek wieczorem byłem w domu i oglądałem mecz Coventry–Plymouth. Mecz był wkurzająco beznadziejny, wręcz szokujący. Ale ilekroć Stern John był przy piłce, ta jakby się

do niego przyklejała. Nie biegał najlepiej, ale nam potrzebny był ktoś, kto potrafi radzić sobie z piłką. Dave Connolly i Daryl Murphy mieli dobiegać do pola karnego i strzelać gole, ale w futbolu jest takie powiedzonko: „Kiedy piłka do niego dotrze, przykleja się". Kiedy piłka docierała do Sterna, przyklejała się. Brian Clough zwykł mawiać do swojego syna, Nigela: „Ma się, kurwa, przykleić. Niech się przyklei". Piłka byłaby bezpieczna, a my moglibyśmy biec w głąb boiska, odpocząć albo wywalczyć rzut wolny – mielibyśmy różne możliwości.

Następnego dnia poszedłem porozmawiać z załogą.

– Widziałem zawodnika, Sterna Johna. Musimy go mieć. Wniesie coś zupełnie nowego.

– Ale on ma rozwalone kolana – powiedział ktoś.

– To spójrzcie na jego statystyki.

Rzadko opuszczał mecze, grał w 40 rocznie.

Nie przeszedł testów medycznych, ale ja powiedziałem Peterowi Walkerowi, żeby załatwił sprawę.

Dla mnie ważne były jego statystyki i zapłaciliśmy za niego niewielkie pieniądze, to nie była wielka inwestycja. Nikt nie protestował. Wygrywaliśmy i wszystko szło dobrze. Podpisaliśmy kontrakt.

Wiedziałem, że to będzie ktoś. Jest jednym z najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem. Wiedziałem, że poradzi sobie z przejściem do Sunderland, że nie przyjdzie do mojego biura z prośbą o wolny dzień, bo jego żona ma prześwietlenie. Wiedziałem, że nie będę musiał go niańczyć.

Jakiś rok później chciałem ściągnąć Kenwyne'a Jonesa i powiedziałem Sternowi, że nie chcę się go pozbywać, ale chciałbym pozyskać Jonesa, a Southampton chce w zamian jego.

– W porządku, zgadzam się – odparł.

Wstał i uścisnął mi dłoń.

– Dzięki za wszystko.

– Właśnie dlatego cię zatrudniłem – powiedziałem.

Wspaniały facet.

Był rewelacyjny.

Dołączył do nas Danny Simpson, wypożyczony z United. Był prawoskrzydłowym obrońcą – pomógł nam w awansie. Byliśmy lepsi na boisku. Grał na prawym skrzydle z Carlosem, zaprzyjaźnili się. Mieliśmy teraz po tej stronie mnóstwo siły i szybkości. Danny dał się lubić i wniósł wiele profesjonalizmu wyniesionego z United. Ale nie był aniołem – bywał arogancki.

Mieliśmy świetnych zawodników – Yorke, Carlos i Stern z Trynidadu; byli też Irlandczycy i kilku tutejszych chłopaków jak Grant Leadbitter i dzieciaki, które były nadchodzącym wsparciem – Jordan Henderson, Martyn Waghorn, Jack Colback. To naprawdę była świetna grupa – wszyscy czuli się razem bardzo dobrze. Oczywiście, pomagało to, że wygrywaliśmy mecze – wszystko wtedy wydaje się wspaniałe.

Nasz następny mecz – remis 0:0 z Crystal Palace, u nas. Nie wygraliśmy, ale mieliśmy czystą kartę. Byłem zadowolony i powiedziałem o tym zawodnikom.

Nowym kapitanem mianowałem Deana Whiteheada. Poprzedni, Stephen Caldwell, przeniósł się do Burnley, chwilę przed zamknięciem okienka transferowego. Dean był bardzo sprawny, nie był nigdy kontuzjowany i mogłem na nim polegać. Lubiłem go. On był kapitanem, ale prawdopodobnie Yorke był nieoficjalnym liderem.

Wygraliśmy u siebie z Coventry 2:0. Gole strzelili Carlos i Yorke. Potem w Plymouth, u nich, ten sam wynik – strzelali Dave i Stokes.

Menedżerem Plymouth był Ian Holloway. Nie miałem nawet szansy uczcić zwycięstwa, bo Ian koniecznie chciał się ze mną spotkać, żeby poskarżyć się na kłopoty z uzyskaniem odpowiedniego sprzętu treningowego. Myślałem, że gówno mnie obchodzą jego problemy ze sprzętem, bo właśnie wygrałem mecz.

Pokonaliśmy u nas Southend United 4:0. Strzelali Dave, Tobias Hysén, Stern – dwa gole. Kiedy dziś o tym myślę, dochodzę do wniosku, że moje nabytki w tamtym sezonie były nawet lepsze, niż się tego spodziewałem.

Na meczach były niesamowite tłumy. Dzięki temu czułem, że przychodząc do Sunderland, podjąłem właściwą decyzję.

Wygrywaliśmy, a ludzi na trybunach było coraz więcej. Z 14 tysięcy na stadionie zrobiło się 42 tysiące. Skąd się wzięło te dodatkowe 28 tysięcy? Nie sądzę, że robiliśmy cokolwiek niezwykłego. Po prostu wygrywaliśmy.

Doszliśmy do szóstego miejsca.

Championship jest bezlitosna. Nie daje czasu na oddech. Ale ja lubię myśleć, że to rozrywka. Pewnie to okropne, ale kiedy się wygrywa, myśli się, że trzeba wygrać również za tydzień, albo nawet wcześniej, jeśli mecz jest w tygodniu. Kiedy przegrasz, myślisz, że to będzie długi tydzień.

Wielu doświadczonych menedżerów lubi wszystkie dni tygodnia oprócz soboty. U mnie było odwrotnie – uwielbiałem sobotę. Czułem się trochę jak bokser – sparing jest i miły i przyjemny, ale chodzi w tym wszystkim o walkę. Dobry bokser musi odbywać sparingi, a dobra drużyna należycie trenować. Nie lubiłem, kiedy przegrywaliśmy albo jeśli ktoś doznał urazu, bo to zawsze było bolesne. Ale widziałem, że będę sądzony na boisku, w dzień meczu.

Lubiłem w tygodniu oglądać grę rezerwowych zawodników i nagrania przeciwnych drużyn, ale niektóre obowiązki jak pisanie planów na następny mecz postrzegałem jako uciążliwą biurokrację i przykry obowiązek. Nie mogłem doczekać się następnego meczu. To później się zmieniło, futbol zawsze daje ci po jajach. Z tą grupą zawodników wiedziałem, czego się spodziewać na boisku.

W poniedziałkowe ranki mieliśmy zawsze odprawy, na których dużo dowcipkowaliśmy. I wiecie co? Naprawdę dobrze się bawiliśmy. To był dodatek do wygranych meczów. Integrowaliśmy się, trzech lub czterech chłopaków jechało do Durham, żeby kupić coś do jedzenia. Zarówno załoga, jak i ja lubiliśmy konkurować, więc dużo się gimnastykowaliśmy, albo jeździliśmy gokartami. W pobliżu Sunderland jest fantastyczny odkryty tor. Myślę, że wielu pracowników najbardziej lubiło właśnie te wyjścia, nie sobotę.

Dobrze nam szło, ale zawsze były z czymś problemy, nigdy nie było zbyt różowo. Tobias Hysén powiedział mi, że tęskni za domem. Chciał wracać do Szwecji. Dużo było też rzeczy, do których wciąż

nie mogłem się przyzwyczaić – żadne tam dramaty, jednak związane z moją pracą. Próbowaliśmy przenieść kilku graczy, bo mieliśmy ich więcej, niż potrzebowaliśmy. Modliłem się o telefon z innego klubu. Czekanie było frustrujące. Przychodzili też pracownicy i prosili o urlop z powodu problemów małżeńskich czy kłopotów z dziećmi. Myślę, że jedną z moich silnych stron było to, że byłem wyrozumiały. Ale nigdy się nie zdarzyło, żebym wrócił do domu w takim samym nastroju, w jakim z niego wychodziłem. Zawsze coś się działo.

Ciągle dostawałem listy od kibiców, że ten czy tamten gracz gdzieś się upił – standard. Zawsze chodziło o Irlandczyków. Zawsze. Nigdy nie dostałem listu, że Anglicy gdzieś pili.

Pewnej nocy Graham Kavanagh i Stokes narobili sobie kłopotów – wdali się w bójkę. Stokes powiedział, że to nie on, że tylko bronił kolegę.

Zdaje się, że Kav przyłożył komuś z główki.

Powiedziałem tylko, żeby uważali na siebie.

Nie byłem ich ojcem. Pewnie są menedżerowie, którzy przesadzają, próbując matkować zawodnikom. Kiedy zawodnicy przychodzili do mnie, nie opieprzałem ich. Taki byłem wielki.

Pytałem ich tylko, co wyprawiają, i prosiłem, żeby uważali.

Próbowałem być kimś w rodzaju przyjaciela, może starszego brata. Sam byłem na ich miejscu i wiedziałem, że ludzie *będą* wciągać nas w kłopoty. Ferguson zazwyczaj wzywał mnie do siebie i mówił, że podobno byłem w barze w ubiegłym tygodniu.

Potwierdzałem.

– Wyszedłeś o wpół do trzeciej nad ranem.

– Naprawdę? Było tak późno?

Wychodziłem w niedzielne wieczory, nawet jeśli mieliśmy grać we środę, albo piłem w środę wieczorem, jeśli mecz miał być w sobotę. Ale nigdy nie piłbym na dwa wieczory przed meczem, bez względu na to, w jaki dzień miał się rozegrać. Picie na trzy wieczory przed też nie jest dobrym rozwiązaniem, ale był czas, kiedy myślałem, że dam sobie radę. W kontrakcie standardowy był zapis, że nie wolno pić na dwa dni przed meczem, więc nie łamałem żadnych zasad.

– Wsiadłeś do taksówki o wpół do trzeciej nad ranem, w Sale.
– No tak.
– Co tam robiłeś?
– Piłem.

Byliśmy na szóstym miejscu, miejscu play-off. Ale ja się nie wychylałem. Robiłem swoje, podtrzymując wizerunek humorzastego faceta. Nie chciałem, żeby zawodnicy myśleli, że możemy odpocząć albo usadowić się w play-off. Mieliśmy przed sobą do zagrania trzy mecze w ciągu jedenastu dni, przeciwko drużynom, które były wyżej od nas w tabeli. Zapowiadała się ciężka gra.

Pierwszy mecz z Birmingham, zarządzanym przez mojego starego kumpla – Steve'a Bruce'a. Zremisowaliśmy 1:1. Gola strzelił Carlos Edwards, z zacięcia lewą nogą – to niemal firmowy gol Carlosa. Zdarzało mu się strzelać fantastyczne gole. Birmingham wyprzedzał nas w tabeli, dlatego byłem nawet zadowolony z tego wyniku.

Zawsze staczałem z Bruce'em przyzwoite walki, kiedy był szkoleniowcem w Birmingham i później, w Wigan. Można uczyć się od niego, jak zarządzać „wierchuszką" – właścicielami i prezesami. Z Birmingham pracował, kiedy właścicielami byli Gold i Sullivan i dobrze sobie z nimi radził. Bruce zawsze był miły, bez względu na to, kto był w jego biurze. Doskonale radził sobie z Dave'em Whelanem, kiedy zarządzał klubem Wigan. Teraz pracuje z Hull City, właściciel chce zmienić nazwę klubu na Hull Tigers, ale Bruce broni swojego zdania. Wygląda na to, że pracuje z trudnymi ludźmi, niemniej dobrze sobie z nimi radzi. Podczas mojego kursu Pro Licence mówiono mi, że kluczem do wieloletniego zarządzania nie jest to, jak radzisz sobie z podwładnymi, ale to, jak radzisz sobie z przełożonymi. Podziwiam Bruce za to, jak to robił.

Następny mecz graliśmy z Derby, u nas. Podczas konferencji prasowej na dzień przed meczem zagrałem psychologicznie i powiedziałem, że niektóre drużyny z czołówki tabeli stracą impet. To oczywiście była gra. Tak się robi, zwłaszcza jeśli gra się z drużynami, które są wyżej w tabeli. Byliśmy na dobrej pozycji, ale jeszcze daleko od szczytu. To było jak wyścigi konne – nie wysuwaj

się na prowadzenie za wcześnie. Pięliśmy się w górę powoli, a drużyny z górnej strefy tabeli obserwowały nas od miesięcy. Teraz szliśmy w górę, grając przeciwko Derby i Birmingham, gdzie menedżerami byli faceci z ogromnym doświadczeniem jak Billy Davies i Bruce. Dlatego czasem musiałem rzucić kilka granatów. Gdybyśmy przegrali, nikt nie pamiętałby moich słów. Jednak jeśli wygramy, wszyscy będą mówić o moich gierkach psychologicznych.

I wygraliśmy – główką Liama Millera, najniższego faceta na boisku. Tłum wtedy autentycznie oszalał. Pracownicy skakali, kibice wyszli na boisko. Cieszyłem się, że coś się dzieje.

Zdobyłem tytuł Menedżera Miesiąca. Jednak nigdy nie byłem pewien, co ma na celu takie wyróżnienie. Zdobywałem nagrody od dziennikarzy sportowych – Piłkarz Roku, od Stowarzyszenia Zawodowych Piłkarzy – Piłkarz roku w Anglii, Piłkarz roku w Irlandii. Brałem udział w ceremoniach wręczania i żałowałem, że wygrałem. Nienawidziłem wychodzenia na podium i odbierania nagród. Jestem dość nieśmiały i kocham futbol jako grę zespołową, dlatego szlag mnie trafia, kiedy widzę zawodników albo menedżerów przedstawianych jako ważniejsi, niż faktycznie są. Zresztą większość nagród to reklama sponsorów. Zostałem Menedżerem Miesiąca w lutym 2007. Czy kiedykolwiek ten tytuł mi się przydał? Nie podskakuj za wysoko, bo boleśnie upadniesz. Powiedziałem wtedy, że postawię statuetkę w garażu i tak zrobiłem.

Wygraliśmy z West Brom, u nich, 2:1. Strzelili Yorke i Stern, byli niesamowici. To dla nas wspaniały wynik. Ale potem mieliśmy mały problem w szatni.

Kilka minut przed końcem meczu Stokes przebiegł za daleko z piłką i źle ją podał, co sprawiło, że West Brom przełamał naszą linię. Nie zdobyli bramki, ale wielu graczy się wściekło się na Stokesa. Darli się na niego, kiedy wszedłem do szatni.

Wpadłem w szał. Broniłem go. Broniłem młodego gracza, bo widziałem, że się nad nim znęcali. Co z tego, że popełnił błąd, skoro wygraliśmy. Kiedy zacząłem wrzeszczeć po środowym meczu z Sheffield, chodziło o piłkę, bo omal nie przegraliśmy meczu. Ale teraz było inaczej. On miał 18 albo 19 lat – dzieciak, a oni to starsi gracze. Wszyscy byli agresywni i darli się na niego.

– Odpierdolcie się, kurwa, od niego! – Zdaje się, że użyłem takich właśnie słów.

A potem dowiedziałem się, że Tony Mowbray, menedżer West Brom, wciskał zawodnikom po meczu jakiś kit, jak to menedżer. Mówił, że byli lepsi i gdyby trzymali poziom, pewnie wszystko byłoby w porządku. Że byli lepsi od nas? Miałem wrażenie, że nas lekceważy. Wkurzało mnie to, bo zasłużyliśmy na zwycięstwo – graliśmy naprawdę dobrze.

Trzy wyniki pod rząd – remis z Birmingham, wygrane z Derby i West Brom – sprawiły, że oderwaliśmy się od ziemi. Myślałem wtedy: „O mój Boże, my naprawdę możemy awansować".

Następny mecz graliśmy z Barnsley, na ich boisku. A trzej gracze – Stokes, Tobias Hysén i Márton Fülöp nie zdążyli na autobus. Czekaliśmy na nich na stacji Middlesbrough, gdzie wszyscy się umówiliśmy.

Zadzwonili, żeby powiedzieć, że utknęli w korku.

Powiedziałem, że nie możemy dłużej czekać i jedziemy.

Zostawiłem ich.

– Weźmiemy innych zawodników.

Nie krzyczałem na nich przez telefon, rozumiem, że utknęli w korku. Ale dla nas to niedobrze. Odjechaliśmy więc bez nich.

To był z mojej strony znak dla wszystkich, że spóźnienia są w klubie źle widziane, bo to podły zwyczaj. A w futbolu chodzi o dobre obyczaje. Nie o to, żeby cały czas robić coś nadzwyczajnego. Chodzi o to, żeby zwyczajne rzeczy robić dobrze.

Pojechaliśmy do Barnsley i wygraliśmy 2:0. Strzelali Dave Connolly i Grant Leadbitter. To był kolejny ciężki mecz. Przyjechało z nami 8 tysięcy fanów i cały czas się kołysali, byli wspaniali. Wiadomość o pozostawieniu spóźnialskich krążyła wśród kibiców. Niall powiedział w radiu, chyba trochę za ostro, że nie będziemy tolerować takich zachowań. Nie chciałem robić z nich kozłów ofiarnych, ale zdaje się, że musieli nimi zostać. Spóźnili się naprawdę sporo. Czekaliśmy na nich – chciałem dać im szansę.

Na konferencji prasowej po meczu powiedziałem, że próbuję zmienić mentalność w Sunderland, zmienić przekonanie, że to nie jest klub, gdzie można spóźniać się na treningi, gdzie nie trzeba ciężko trenować, gdzie można brać zwolnienie na trzy tygodnie po urazie, który można wyleczyć w tydzień. Mówiłem to do wszystkich – zawodników, personelu, fanów, Nialla i zarządu. Do wszystkich. Miło jest przekazywać takie informacje, mając za sobą tyle zwycięstw.

Trójka z Barnsley pojawiła się na boisku treningowym w poniedziałek na tyle wcześnie, by przynieść mleko. Wezwałem ich na krótkie poranne spotkanie, żeby mieć to z głowy i żeby mogli iść na trening. Weszli razem do biura, miny mieli takie, jakby przyszli na dywanik do dyrektora szkoły. Nie spodobało mi się to.

– Dobra, chłopaki, nawaliliście – powiedziałem. – Ale nic wielkiego się nie stało. Nie będę się nad wami pastwić. Będziecie trenować z pierwszą drużyną.

Nie ukarałem ich.

Powiedziałem im, co o tym sądzę, i wystarczy. Chciałem, żeby wiedzieli, że będziemy wyjeżdżać w różne miejsca i oni wciąż będą brać w tym udział. Chciałem też, żeby patrzyli na mnie tak, jak ja patrzyłem na Fergusona, myśląc, że jest w porządku. Gdyby to były kontakty osobiste – mógłbym do takich ludzi nie odzywać się przez lata. Ale jeśli chodzi o zawodników, musiałem też myśleć o sobie – byli mi potrzebni.

Zremisowaliśmy u siebie ze Stoke 2:2. Przegrywaliśmy 1:2, ale Daryl Murphy strzelił bramkę w doliczonym czasie. Nie szło nam najlepiej. Każdy myślał, że możemy pokonać Stoke, chociaż już wcześniej w tym sezonie Stoke z nami wygrał. Grał naprawdę przyzwoicie. Kiedy Murphy strzelił gola, powiedziałem do siebie, że to ważna chwila.

Wszedłem do szatni po meczu. Każdy był wypompowany. Zawodnicy, nawet personel. Naprawdę byłem zły tego wieczoru, przegrywaliśmy 1:2 w doliczonym czasie. Jednak udał nam się zremisować. Takie chwile podnoszą na duchu. Nigdy się nie poddawaj!

Wygraliśmy z Hull u siebie 2:0. Gole strzelali Jonny Evans i Stern. Potem wygraliśmy w Cardiff. Wielki wynik – Ross Wallace strzelił bramkę z rzutu wolnego. Jonny był dla nas niezwykle ważny– miał zdolności przywódcze i umiał czytać grę. Był twardym chłopakiem. Championship pełna jest facetów, którzy mają bardzo duże doświadczenie, a Jonny był dopiero dzieciakiem. Wszystko mi się w nim podobało.

To tego wieczoru Niall zamówił taksówki dla fanów, którzy utknęli na lotnisku w Bristolu. Później ogłosiłem, że wynajmuję prywatnego detektywa, żeby powyciągał jakieś brudy na temat Nialla, bo nikt nie może być tak kryształowy. Wciąż nad tym pracuję.

Po Nowym Roku mieliśmy na koncie 11 wygranych i 3 remisy. Następny mecz miał odbyć się u nas, z Wolves. Pomyślałem, że to będzie dla nas świetna próba. Sprawdzimy nasz postęp i będziemy mieć punkt odniesienia. Drużyna Wolves również dobrze sobie radziła. Był już kwiecień i do końca sezonu mieliśmy do zagrania jeszcze 6 meczów. Wiedziałem, że niektórzy gracze będą nerwowi.

Z Sydney właśnie przyjechało lamborghini Yorke'a. Przyprowadził je na boisko treningowe. Białe lamborghini w Sunderland to niezwykły widok. Wyglądałem przez okno mojego gabinetu, a Yorke zatrzymywał się i wszyscy gracze przyglądali się kołom samochodu. Świetnie. Skupili się na lamborghini Yorke'a i mecz z Wolves to ostatnia rzecz, o której mogliby teraz pomyśleć.

Następnego dnia wyszliśmy na boisko i wygraliśmy 2:1. Gola strzelił Daryl Murphy. To była rakieta. Po meczu Mick McCarthy powiedział, że teraz na pewno awansujemy. Tym razem to on bawił się z nami w gierki – tak jak ja z Derby, wywierając presję na przeciwną drużynę.

Plotki na mieście mówiły, że robimy coś niezwykłego. Moje treningi, jak się okazało, stały się legendą. Ale my robiliśmy tylko to, co ja sam robiłem przez lata. Robiliśmy wszystko, jak należy. Odpowiednio trenowaliśmy, często wyjeżdżaliśmy. Sprawiłem, że gracze, jadąc gdziekolwiek, zawsze byli pod krawatem.

Trenowaliśmy tak ciężko, że dupy nam odpadały ze zmęczenia, ale to naprawdę konieczne. Wciąż powtarzam, że trenuje się tak, jak się gra – intensywnie. Zawsze pod koniec sesji gramy. Nie chodzi o kilka kopnięć i podań. Jeśli był remis, graliśmy do momentu, aż ktoś wygrał, nawet jeśli miało to trwać godzinami. Pod koniec treningu zawsze musiało coś się zdarzyć – musiał być zwycięzca i przegrany, i kara dla przegranego – pompki albo zbieranie piłek i słupków. Tworzyliśmy wśród zawodników prawdziwego ducha rywalizacji. Bywały kłótnie i przepychanki, ale w żartach. To nie było nieprzyjemne – to po prostu entuzjazm. Zawodnicy byli głodni sukcesu, wszyscy chcieli być w wyjściowej jedenastce.

Mówiłem personelowi, żeby nie mieszali się do tego, żeby dać im spokój.

Zwycięzcy i przegrani. Dorośli faceci grali jak dzieciaki na ulicy, a na ulicy nie ma remisów.

– Nie możemy już grać, jest za ciemno.

Kiedy byłem dzieciakiem, graliśmy do północy, dopóki nie było wyniku. A nawet wtedy graliśmy jeszcze choćby 5 minut. Nieważne były pozrywane mięśnie czy poziom elektrolitów we krwi.

Mówili mi, że to już trwa za długo.

– Jest po północy. Zaczęliśmy o dziesiątej.

Naukowcy zajmujący się sportem powiedzieliby, że to wszystko powinno być inaczej, że wszystko trzeba robić z zegarkiem w ręku. Rozumiem to, też interesuję się medycyną sportową. Ale jestem facetem starej daty.

Jeśli nie graliśmy meczu w tygodniu, to w sobotę albo w niedzielę wszyscy mieli wolne. Jeśli wtorek był trudny, z ciężką sesją treningową, środa była wolna. Zmienialiśmy ten harmonogram od czasu do czasu. Pod koniec sezonu nie potrzebowaliśmy aż tylu treningów, bo i meczów było mniej. Chodziło nie tylko o mecze, ale też o odpoczynek. Wygrywaliśmy, więc mogliśmy trzymać się tej prostej zasady.

Rozegraliśmy wspaniały mecz z Southampton, u nich. Wygraliśmy 2:1, po świetnych golach. Grant Leadbitter strzelił jednego z nich. Był naszym najlepszym zawodnikiem. Świetny strzelec, rzadko doznawał urazów. Facet z Sunderland, bardzo wszystkim życzliwy.

Potrafił wygłaszać w szatni długie tyrady, których nikt nie rozumiał. Wśród personelu krążył taki żart, że jeśli Grant „popłynie", trzeba go zostawić. Był dobrym liderem.

Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek rozmawiał z zawodnikami albo personelem o awansie, ale zajrzałem kiedyś do mojego kontraktu, żeby zobaczyć, jaka byłaby premia. Po prostu staraliśmy się wygrywać, a tabela ligowa kształtowała się automatycznie – ona nigdy nie kłamie. Kiedy grałem, wyznawałem zasadę: „Spróbuj wygrać swój następny mecz, a wszystko inne się ułoży". Zawsze miałem takie podejście.

Wygraliśmy u siebie z QPR 2:1. Kolejny wspaniały gol Granta, drugą bramkę strzelił Dean Whitehead. Po meczu pochwaliłem chyba Nyrona Nosworthy'ego za jego podejście. Powiedziałem, że to pokazuje postawę całego zespołu. Nyron był naprawdę dobrym piłkarzem i miłym facetem. Miałem z nim wcześniej drobne spięcie. Spóźnił się na trening, a mieszkał jakieś dwie minuty od boiska. Wezwałem go do siebie, żeby się wytłumaczył. Powiedział prawdę.

Zaspał.

– Dzięki, że mówisz prawdę – powiedziałem.

Nie ukarałem go.

Zostały nam trzy mecze.

Pojechaliśmy na rowery w góry Kumbrii. To był wspaniały i trochę wariacki wyjazd. Zastanawiałem się, czy aby nie nazbyt. Jeździliśmy po sześć albo siedem godzin. Zorganizowano nam zawody – dwie albo trzy drużyny. Naskoczyłem na jednego z moich chłopaków, bo złapał gumę i to rozpierdoliło nam drużynę. Za kilka dni mieliśmy grać mecz z Colchester. Kształtowaliśmy ducha zespołowego i wspólnotę. To było wspaniałe.

Pojechaliśmy do Colchester i przegraliśmy 1:3. Pojechaliśmy tam na rowerach! Zawodników wciąż bolały tyłki od siodełek…

To była dla nas nauczka. W meczu rewanżowym zremisowaliśmy 1:1. Remis nie byłby taki zły, ale byliśmy w rozbiegu. Dlatego pomyślałem: „No cóż, kurwa, bierzemy to". Trzeba iść dalej, co pomogło nam w kolejnych meczach, ale w tym już nie.

Gdybyśmy w Colchester zremisowali, w następnym meczu, który graliśmy u siebie, z Burnley, moglibyśmy awansować na oczach naszych kibiców. To byłoby fantastyczne.

Drużyna Burnley pojawiła się na Stadium of Light 27 kwietnia, w piątkowy wieczór. To znów nasz przyjaciel, Steve Cotterill, który wcześniej pracował w Sunderland jako asystent Howarda Wilkinsona, ale nie szło mu najlepiej. Wiedzieliśmy zatem, że mają małą przewagę. Ale wygraliśmy 3:2. Strzelali Murphy, Dave i Carlos – jednego ze swoich firmowych goli.

To był ostatni mecz w sezonie na naszym stadionie. W tamten weekend awansowaliśmy, jednak jeszcze o tym nie wiedzieliśmy, bo kilka drużyn miało grać w niedzielę. Kiedy w niedzielne popołudnie pojawiła się informacja, że drużyna Derby przegrała z Crystal Palace, spacerowałem z psami. Ktoś z klubu wysłał mi esemesa. Szalałem z radości – pobiegłem do domu i dwa razy sprawdziłem kontrakt!

To było wspaniałe, ale bardziej bym się cieszył, gdyby stało się to zaraz po meczu, zwłaszcza na naszym stadionie. Nie miałem z kim świętować. Moja żona się cieszyła, dzieci też, ale to nie to samo co zawodnicy i personel. Nie pracowali ze mną, więc z jednej strony byłem trochę zawiedziony. Przychodziło coraz więcej esemesów: „Świetna robota, szefie". Chłopak z personelu napisał: „Poszliśmy wszyscy na piwo". A ja byłem w Manchesterze. Z drugiej strony byłem zadowolony. Nie chciałem siedzieć w knajpie ze wszystkimi przez całą noc. Myślę, że menedżer powinien trzymać dystans.

Musiałem wyłączyć z ostatniego meczu sezonu Danny'ego Simpsona. Zawodnicy bez wątpienia świętowali nasz awans po przegranej Derby, a Danny pojawił się mocno spóźniony na sesji treningowej. Błagał, żebym pozwolił mu grać, podchodził do tego emocjonalnie. Ale nie pozwoliłem. Wszyscy musieli zrozumieć, że jeszcze nie czas na relaks, bo sezon jeszcze się nie skończył. Chciałem, żebyśmy wygrali z Luton.

Pojechaliśmy tam ostatniego dnia sezonu. Mieliśmy przed sobą prawdziwe wyzwanie – jeśli wygramy ten mecz, wygramy też ligę. I wygraliśmy – 5:0. Znów rakieta Murphy'ego – dosłownie wbił piłkę

do bramki. Wszystkie mecze ostatniej kolejki odbywały się w tym samym czasie. Birmingham przegrał z Preston. I to nam dało pierwsze miejsce w Championship.

Byliśmy mistrzami. Awans był wspaniały, a wywalczenie tytułu to wisienka na torcie. To była fantastyczna podróż dla nas wszystkich.

Ale nie dostaliśmy trofeum od razu na boisku. Trochę mnie to wkurzyło. Powiedziano nam, że to z powodów bezpieczeństwa, nie byliśmy bowiem u siebie. Zaprezentowanie trofeum kibicom, nawet gdyby to była kopia – byłoby wspaniałe. A kibice na trybunie szaleli. Mam kilka świetnych zdjęć Nyrona i Carlosa przewieszonych przez poprzeczkę bramki i z kibicami – w śmiesznych kapeluszach.

Wszedłem do szatni i zrobiłem to co zwykle – próbowałem ostudzić trochę entuzjazm. Oczywiście, że czułem satysfakcję. Ale starałem się podejść do tego na luzie. Wszyscy śpiewali, tańczyli, pili szampana. A ja myślałem, że tego się spodziewałem, mógłbym chociaż trochę bardziej się cieszyć. Zawsze jednak się tego obawiałem – że za bardzo mnie poniesie. Starałem się trzeźwo myśleć i mieć oczy szeroko otwarte. Nie popadać w manię wielkości. Ale jeśli nie potrafisz cieszyć się ze zwycięstwa, coś jest z tobą nie w porządku, prawda?

Medale i trofeum wręczono nam kilka dni później, w hotelu. Swój medal dałem jednemu z chłopaków, którzy nie mogli się zakwalifikować z powodu zbyt małej ilości meczów, w których grali. To był chyba Márton Fülöp, jeden z naszych bramkarzy. Na tydzień przed meczem w Luton wiedziałem, że zawodnicy będą chcieli urządzić później imprezę. Powiedziałem, że dostaną 5 tysięcy funtów na zabawę, jeśli pokonają Luton i wygramy ligę. W wieczór, kiedy wręczano nam nagrody, przyszedł do mnie Yorke i zapytał, czy zapłacę jeszcze za transport i hotel dla zawodników. To mnie dopiero wkurzyło! Dałem im przecież pięć patyków, a poza tym każdy z osobna dostał premię za wyniki!

Dowiedziałem się, że Danny Simpson i Jonny Evans nie mieli prawa do nagród, ponieważ byli pożyczeni. Postarałem się jednak,

żeby oni też je dostali. Nigdy nie widziałem tak uszczęśliwionych dzieciaków. Pomogło mi to w kolejnym sezonie, kiedy znów postanowiłem wypożyczyć Jonny'ego.

Sam dostałem premię w wysokości miliona funtów i dużą podwyżkę, bo byliśmy teraz w Premiership. Gratyfikacja była fantastyczna. Ale coś jeszcze miało się dziać w mieście. Zarząd planował wynająć autobus z otwartym dachem i przejechać przez Sunderland. Zadzwonił do mnie w tej sprawie Niall, ale ja powiedziałem, że to byłby największy wstyd w moim życiu.

Trzeba świętować osiągnięcia. Ale fetować awans rok po tym, jak drużyna została zdegradowana, to dla mnie trochę za dużo. Nie byliśmy przecież małym klubem, który awansował po raz pierwszy od dwudziestu lat.

Kiedy dziś o tym myślę, rozumiem, że tu bardziej chodziło o kibiców, może też o zawodników i ich rodziny. Mam nadzieję, że moja decyzja dotycząca autobusu nie była arogancka, podyktowana tym, że wygrywałem różne konkurencje w United czy Celticu. Niektórzy gracze mówili, że nigdy wcześniej nie dostali żadnego medalu. Może więc powinienem był wziąć pod uwagę ich punkt widzenia. Ale sam pomysł zupełnie mi się nie podobał – autobus z otwartym dachem. Większość graczy i tak by się spóźniła, no i byłoby kurewsko zimno. Wielu rzeczy w życiu żałuję, ale tej akurat – nie.

Pod koniec sezonu spotkałem się z ekipą medyczną. Twierdzili, że sporo urazów odnotowali we wtorki, bo zawodnicy za długo trenowali. Więc jeśli chodzi o mięśnie – nie było to najlepsze.

Powiedziałem, że owszem, rozumiem ich zmartwienia, ale przypomniałem im, że awansowaliśmy.

Mnóstwo goli strzelaliśmy pod koniec meczów właśnie dzięki długim treningom. Sam poddałbym się kilku kontuzjom w zamian za takie gole. Zawodnicy biegali i biegali… To trochę odbicie mojej własnej osobowości – nie zatrzymuj się. Powinienem również podziękować kibicom – bardzo nam pomogli.

Pomyślałem wtedy, że teraz zacznie się harówa, bo jesteśmy na szczycie z najlepszymi.

Zaczynając w klubie przygotowania do nowego sezonu, będę musiał poprosić konsorcjum o więcej pieniędzy. Będę potrzebował nowych zawodników. A w jaki sposób mam pozyskać dobrych zawodników, żeby grali w Sunderland?

Powiązania z Irlandią były fantastyczne. Przyjeżdżało mnóstwo ludzi, żeby nas oglądać. Poza tym byłem ja, Niall, ludzie z konsorcjum, zawodnicy z Irlandii. Lubiłem pracować z Irlandczykami. Podobało mi się też, w jaki sposób rozmawiali ze mną ludzie z konsorcjum, jak Irlandczyk z Irlandczykiem.

– Pierdolony, świetny wynik!

Kocham to, jestem częścią tego. Oczywiście, że od pewnych irlandzkich obyczajów trzeba odejść, ale na pewno nie od gościnności i chęci wsparcia.

– Taa, świetne, pierdolone wejście.

Powiedziałem, że potrzebny mi bramkarz.

– A nie ma żadnego kandydata na pierdolonego bramkarza w drużynie młodzieżowej?

– Ej, chłopaki, teraz.

Poza tym to byli inteligentni biznesmeni i założę się, że nie mogli uwierzyć w to, co się dzieje. Potrzebna była im ta podróż. Premiership to jednak zupełnie inna historia. Ci ludzie odnosili sukcesy, ale w Premiership inwestowali Rosjanie, szejkowie i Jankesi. Teraz trzeba robić zakupy w innym sklepie. Dotychczas nie kupowaliśmy tam, gdzie kupuje Manchester United.

Często mówi się, że Championship to jedna z najcięższych lig na świecie. A ja, nikt inny, wygrałem ją, będąc menedżerem – muszę to przyznać.

Osiem

Upadki mocniej niż wzloty wbijają się w pamięć. Dają kopa, bowiem są bardzo bolesne. Cieszyłem się zwycięstwami, ale każda beczka miodu zaprawiona była łyżką dziegciu. Zwłaszcza w Premiership zawsze myślisz: „Boże, to z nimi będziemy grać w przyszłym tygodniu". Potem to się zmieniło.

„Pierdolić remisy – wygrajmy to".

Dużo przegraliśmy, ale wygraliśmy też kilka meczów, których nie spodziewaliśmy się wygrać. Niewiele meczów kończyło się remisami, ale remisy też są ważne. Podejście mogło zadecydować o wszystkim i o niczym. Ale działało. Zdaję sobie sprawę, że nie zawsze decyduje, niemniej wtedy tak nie myślałem. Zawsze uważałem, że trzeba próbować. Nawet jeśli przegrywaliśmy 0:4 z United, chciałem ich przycisnąć. Znałem silne strony moich piłkarzy i wiedziałem, że kibice nie chcą, abyśmy tylko się bronili.

Z taktycznego punktu widzenia pewnie powinniśmy bardziej uważać. Niemniej dzięki temu, że próbowaliśmy, odnieśliśmy tak szybko sukces i awansowaliśmy. Trzeba czuć swój klub, a hasłem przewodnim Sunderland było „Próbować". W tamtym czasie Sunderland idealnie pasował do mojej osobowości. Chciałem pracować dla tego klubu, byłem pełen energii i czułem, że kibice są za mną.

Zaangażowanie graczy było najważniejszą częścią przygotowań do Premiership. Ale były też inne sprawy. Co powinniśmy poprawić? Czy powinniśmy częściej latać samolotami i zatrzymywać się w lepszych hotelach? Jeździliśmy teraz do Londynu, Manchesteru i Liverpoolu. Rok wcześniej pojechalibyśmy do Colchester i Southend. To nie była arogancja, tylko fakty. Jeździliśmy do dużych miast.

A może potrzebna nam lepsza opieka medyczna? Lepszy sprzęt treningowy? Teraz wszędzie powinien być emblemat Premiership. Czy zmieniliśmy system przyznawania premii? Jakież było podniecenie kibiców, kiedy publikowano wyniki pierwszych pięciu meczów – z Tottenhamem, Liverpoolem, United. A my graliśmy derby z Newcastle.

Mówili mi o tym.

– Rany, niedługo derby.

Nie było rozczarowania. Mecze z Celticu z Rangersami to były najlepsze mecze derby, w jakich kiedykolwiek wziąłem udział. Potem były kolejne mecze – z Middlesbrough.

Jako zawodnik poznałem większość boisk, na których graliśmy i większość drużyn. Przeszedłem na emeryturę raptem rok wcześniej. Mieliśmy też piłkarzy z podobnym doświadczeniem – Dwighta Yorke'a i Kierana Richardsona. Co ważne – nie mogliśmy być zdenerwowani czy czuć się przytłoczeni z powodu takiej okazji. Oczekiwania wobec nas były teraz większe i zawodnicy musieli się do nich przyzwyczaić. Fani Sunderland nie zadowolą się już tylko tym, że utrzymamy się na naszej pozycji. Oni chcą, żebyśmy pokonali Newcastle – i każdą inną drużynę. Gracze powinni zdawać sobie sprawę, że zasłużyli na swoją pozycję, i nie powinni czuć się onieśmieleni.

Pierwszy mecz rozegraliśmy z Tottenhamem, był transmitowany na żywo w kanale Sky. Wygraliśmy 1:0. Fantastycznie. W doliczonym czasie strzelił Michael Chopra.

Drużyna, która dopiero co awansowała, naprawdę musi przyzwoicie zacząć. Potrzebuje punktów. Jeśli nie zdobędzie tyle punktów, ile powinna – jeden na mecz – jest uwalona. A my od razu zdobyliśmy trzy punkty w jednym meczu. W tygodniu zremisowaliśmy z Birmingham, mieliśmy więc cztery punkty zdobyte w dwóch meczach.

I o co tyle szumu? Czego się boicie?

To było wspaniałe.

Potem pojechaliśmy do Wigan. Do pierdolonego Wigan. Pokonali nas 3:0.

Tak to właśnie wygląda.

Wigan nas sterroryzował. Wielkie i silne chłopy. Heskey był w ataku, a Kirkland w bramce. To byli Anglicy.

Potem był Liverpool.

Potem United.

Po pięciu meczach mieliśmy cztery punkty.

W końcu wygraliśmy z Reading. Siedem punktów po sześciu meczach. Pojechaliśmy do Middlesbrough i zremisowaliśmy. Osiem punktów po siedmiu meczach. Blackburn. Obrobili nas. Osiem meczów, osiem punktów. Nie było tak źle, przełknąłem to. Potem przegraliśmy z Arsenalem i West Ham. Osiem punktów w dziesięciu meczach. Zremisowaliśmy z Fulham. Mamy dziewięć punktów po jedenastu meczach. Goniliśmy własny ogon.

W poprzednim sezonie graliśmy już w Championship z Birmingham. Ale tym razem – w naszym drugim meczu w Premiership – mieliśmy tylko czterech graczy spośród jedenastu, którzy grali dla nas w poprzednim sezonie. Trudno pozbywać się zawodników, którzy dobrze sobie radzili, ale taka jest gra. Charaktery pomogą w awansie, niemniej w Premiership potrzebne jest coś jeszcze – umiejętności, talent, szybkość, szczęście…

Od razu po awansie zacząłem myśleć o nowych zawodnikach, już wtedy, kiedy świętowaliśmy w szatni. Dla wielu piłkarzy to ta ciemna strona piłki. To było przykre i zastanawiałem się, jak mam im to powiedzieć. Ale jest też biznesowa strona, więc myślałem również, jak na nich zarobić. Musiałem pogadać z ich agentami. Miałem nadzieję, że znajdą się na nich chętni. Nie byłoby dobrze wyrzucać kogoś bez gwarancji, że trafi gdzie indziej. Tak, to brutalne. Niemniej osiągnęli awans, co gwarantowało im dobre przeniesienie. To najtrudniejsza część zarządzania – zmiana zawodników.

Wziąłem pięć albo sześć tygodni wolnego, ale mimo to dzwoniłem i odbierałem telefony. W pewnym sensie wakacje to koszmar dla

menedżera. Popełniłem błąd, i wtedy, i rok później. Przez całe lato wisiałem na telefonie, co nie miało większego sensu, bo i tak wszyscy byli na urlopach – agenci, prezesi, personel medyczny, wszyscy związani z futbolem. Nigdy niczego nie załatwiłem latem. Powinienem zostawić telefon i sprawdzać go tylko od czasu do czasu. Czytałem gdzieś, że Arsène Wenger wyłącza na wakacjach swój telefon i włącza go tylko wieczorem, na godzinę. Chciałbym mieć wtedy na tyle zdrowego rozsądku. Ale myślałem, że lepiej działać, że lepiej się tym zająć.

Powinienem był myśleć raczej o tym, czy rzeczywiście coś załatwię, a nie o tym, do ilu osób zadzwonię. Ale to był brak doświadczenia. Chciałem pracować i chciałem robić to dobrze.

„Jeśli nie podpiszemy umowy z tym piłkarzem w lipcu, potem będzie za późno" – myślałem.

Miałem listę zawodników grających w Premiership, którą dałem Niallowi, kiedy awansowaliśmy. Myślałem, że to będzie proste, ale nie było. Żądali wielkich pieniędzy, jakich my nie zamierzaliśmy płacić. Zrobiliśmy ogromny postęp, nie mogliśmy jednak popadać z jednej skrajności w drugą. Nie chcieliśmy iść drogą Leeds albo Portsmouth. A klub Sunderland miał kłopoty, dopóki nie przejęło go konsorcjum z Irlandii. Najlepszy gracz nie zarabiał w Sunderland nawet 20 tysięcy tygodniowo, co było przyzwoitą sumą, ale wielu zawodników żądało 40 albo 60 tysięcy. Musiałem więc pogodzić się z tym, że nie kupimy piłkarzy, których chciałem pozyskać.

Dostałem pozwolenie na rozmowy z Davidem Nugentem. Grał w Preston, widziałem go w poprzednim sezonie w meczu przeciwko nam. Był dobrym zawodnikiem, chociaż niewiele strzelał goli. Zaprosiłem go z agentem do domu w Manchesterze, pomyślałem, że mniej formalna atmosfera będzie lepsza. Zgodziliśmy się na wynagrodzenie – chyba 4 miliony.

– No tak, to dla mnie ważna decyzja – powiedział. – Muszę się zastanowić.

W porządku, bez problemu.

Byłem w tym czasie w trakcie kursu Pro Licence i kiedy kilka tygodni później wracałem do domu, zadzwonił do mnie agent

Davida Nugenta z informacją, że David jeszcze się nie zdecydował i że stara się o niego także Harry z Portsmouth. Harry Redknapp.

Powiedziałem, że nie ma ciśnienia, ale za kilka tygodni zaczną się przygotowania do sezonu i wtedy trzeba już będzie podjąć decyzję.

Musiałem wrócić do tego kilka tygodni później. Zresztą to był David Nugent, nie żaden Messi, ale był dobrym graczem i chcieliśmy go u siebie.

Zadzwoniłem więc do jego agenta.

– Wiesz – powiedział – Harry go chce.

– Tak – odparłem. – Przecież wiem. Ale my rozmawiamy już o tym od trzech albo czterech tygodni.

– Sytuacja jest taka – mówi agent – Harry'ego nie ma w ten weekend. Ma rocznicę ślubu, czterdziestą albo pięćdziesiątą, i powiedział, że pogada z Davidem, kiedy wróci.

– Słuchaj – odparłem. – Czekamy trzy albo cztery tygodnie, a ty mi teraz mówisz, że mam jeszcze poczekać, bo Harry Redknapp ma rocznicę ślubu? Wycofujemy się z tego.

Uroki zarządzania.

Wzięliśmy Grega Halforda z Reading. Nie powinienem był go angażować. Przeszedł do nas za jakieś 2,5 miliona – przyzwoite pieniądze dla obrońcy. Klub Reading kupił go od Colchester, ale on niemal nie dotknął u nich piłki – a to był zły znak, który zignorowałem, myśląc, że u mnie będzie inaczej. To było spojrzenie młodego menedżera. Myślisz, że dasz sobie radę. Do niedawna jeszcze sam grałeś, więc na innych piłkarzy patrzysz jak piłkarz, nie jak menedżer. Kiedy jesteś starszy, rozumiesz już, że jeśli ktoś nosi ze sobą jakiś bagaż, nosi go wszędzie. Dlatego nie należy sobie zawracać głowy takimi piłkarzami, chyba że są genialni. Greg dobrze sobie radził w Colchester, grając przeciw nam, był utalentowany. Powinienem jednak posłuchać swojej intuicji. Przyszedł do mojego biura. Nie podobał mi się sposób, w jaki usiadł. Jakby się przyczaił i za głęboko oparł.

Zadał mi kilka pytań.

– Kogo jeszcze kupujecie?

To ja powinienem zadawać pytania. Pół roku wcześniej był w Colchester. Gdyby wtedy przyjechał do Sunderland, odesłałbym

go. Ale podpisaliśmy z nim kontrakt. Ustaliliśmy opłatę i wynagrodzenie. To zwyczajowa procedura – wszystko jest uzgadniane, zanim zawodnik faktycznie przyjedzie do klubu i spotka się z menedżerem. Piłkarz i agent mają wszystkie karty. Brian Clough nigdy nie zgodziłby się na angaż, dopóki nie spotka się z graczem i nie przekona się, czy faktycznie chce go mieć w swojej drużynie. Wszyscy zawodnicy mają oczywiście agentów, ale Brian ich nie tolerował. Został menedżerem, zanim agenci zyskali takie wpływy, jakie mają dzisiaj. A my dopiero co awansowaliśmy, poza tym Sunderland jest trochę na uboczu; musieliśmy pomachać ludziom marchewką.

Nie spodobał mi się po tym wszystkim. Myślałem, że nie jest dla mnie. Ale podpisałem jego kontrakt! Powoli odkrywałem, że nie każdy piłkarz pasuje do każdego klubu. A Greg Halford nie pasował do Sunderland. Nasi ludzie ciężko pracują, od razu podwijają rękawy – doceniam to, od kiedy odszedłem nawet bardziej – a Greg nie był tym typem zawodnika. Nie podwinie rękawów, ani nie będzie trenował do upadłego. Jemu chodziło o to, żeby pobawić się piłką, prześlizgnąć przez mecz i nie namęczyć się zanadto. Jego kariera jednak była dość przyzwoita. Widziałem go ostatnio w Forest i grał całkiem nieźle.

Kiedy po raz pierwszy rozmawiałem z Niallem na temat zawodników, omawialiśmy po kolei każdego z naszej listy. Jednakże ci, których chcieliśmy najbardziej, żądali gigantycznych pieniędzy, inaczej nie przyjechaliby do Sunderland. Dlatego zatrzymaliśmy się na graczach takich jak Greg Halford. Potrzebna nam była większa i lepsza grupa, potrzebowaliśmy więcej piłkarzy. Wymagania będą teraz większe, więcej będzie urazów – mecze będą bardziej wymagające fizycznie i intensywniejsze. Dlatego też potrzebowaliśmy więcej przygotowanych zawodników. Miałem nadzieję, że Greg będzie lepszy niż piłkarze, których już mieliśmy. Najbardziej był nam potrzebny właśnie obrońca. Nie dostaniemy nikogo z Chelsea ani z United, może kiedyś.

Pozyskiwanie dobrych zawodników stało się bardzo frustrujące. Dobrze jest w pewnym momencie trochę się wycofać i zostawić pole naczelnemu dyrektorowi. Mogłem sobie na to pozwolić

w Sunderland, bo miałem Petera Walkera, który z Niallem załatwiał kontrakty. Wszystko było przejrzyste – a to dla mnie bardzo ważne.

– Roy, to się nie uda. On chce sześćdziesiąt tysięcy tygodniowo.

– To dajmy sobie spokój. Kto następny?

Doszliśmy to Darrena Benta.

– Chcą za niego szesnaście milionów. Nie możemy tyle dać.

– Dobra, idźmy dalej.

Wciąż myślę, że gdybyśmy na początku sezonu 2007/2008 kupili Darrena Benta, nadal byłbym menedżerem Sunderland. On strzelałby gole. Ale to była za duża kwota. Kupili go później, kiedy już odszedłem – po kolejnym roku w Premiership mieli więcej pieniędzy. Im dłużej klub jest w Premiership, tym bardziej jest atrakcyjny dla zawodników, no i może pozwolić sobie na wypłacanie zawodnikom wyższych wynagrodzeń.

Jeden facet nawet się do nas nie odezwał. Użył słowa „zakupy” – jego żona chciała mieszkać w Londynie.

Inny gość – Matt Taylor. Pokazałem mu Stadium of Light, zabrałem do sali konferencyjnej. Oznajmił, że interesują się nim inne kluby. Odprowadziłem go do samochodu i powiedziałem, żeby nie spieszył się z decyzją.

Szedłem do swojego samochodu, kiedy dostałem esemesa od Matta Taylora. Widziałem go jeszcze, jak wyjeżdża z parkingu. Zdecydował, że idzie do innego klubu. A piętnaście sekund wcześniej mówił, że nie jest pewny. Poszedł do Bolton.

W hotelu w Sunderland spotkałem się z Leightonem Bainesem. Odchodził z Wigan. Nasza oferta została przyjęta. Powiedział mi jednak, że jeśli Everton złoży mu propozycję, przeniesie się tam, bo pochodzi z Everton.

Doceniałem to.

Zgodziłem się.

Z United kupiliśmy Kierana Richardsona. To był dobry nabytek, ale i skomplikowana sprawa. Musiałem kilka razy spotkać się z jego ojcem. Poza tym Kieran miał swoje wymagania – chciał mieć wybrany przez siebie numer na koszulce, chciał strzelać wszystkie karne. Trzeba mu było trochę ostudzić rozbuchane ego. Dobrze nam

się przysłużył i w kolejnym sezonie strzelił zwycięskiego gola w meczu z Newcastle – właśnie za tę bramkę wszyscy go pamiętają.

Craig Gordon – to dopiero było nazwisko. Przyszedł z Hearts za kupę forsy – 9 milionów to w tamtym czasie rekordowa kwota za bramkarza. Craig był jedynym w mojej karierze graczem, którego fetowali na boisku treningowym piłkarze z jego własnej drużyny. Nikt nie był w stanie strzelić mu gola, a ponieważ to był jego pierwszy trening, wszyscy go obserwowaliśmy. Potrzebny nam był najlepszy bramkarz, bo byliśmy w Premiership. Trzeba mierzyć wysoko. Był niesamowity.

Brian Clough kupił Petera Shiltona za duże pieniądze i mówił, że Shilton obronił Forest przed utratą dwunastu punktów w sezonie. Clemence, Schmeichel, Shilton – najlepsze drużyny mają najlepszych bramkarzy. Myślę, że jako piłkarz nie doceniałem roli bramkarzy. To nie znaczy, że uważałem ich rolę – Schmeichela czy Packiego Bonnera – za oczywistą. Oczekiwałem, że będą świetnie bronić. Ale potem, jeśli nie pracujesz z najlepszym bramkarzem, do kurwy nędzy, naprawdę doceniasz ich rolę.

Kenwyne Jones przyszedł z Southampton za 6 milionów, jako część umowy dostali też od nas Sterna Johna. Kenwyne świetnie się u mnie spisał – u innych menedżerów nie szło mu do tej pory tak dobrze. U nas byli już chłopaki z Trynidadu, Dwight Yorke i Carlos Edwards, to pomogło mu się zaaklimatyzować.

Ze Stoke przyjechał Danny Higginbotham. Mógł grać jako lewy bądź środkowy obrońca. Tony Pulis oczywiście wciskał mi kit, że to jego najlepszy zawodnik, i wszystkie te głupoty mające na celu podwyższenie stawki. Ale w końcu dostaliśmy go. Mógł strzelić gola z rzutu wolnego albo rożnego, potrafił nieźle skakać. Zdobył dla nas kilka ważnych bramek.

Przyjechał Michael Chopra. Niektórym przeszkadzało, że jest z Newcastle, mnie nie. Wykonał swoje zadanie, miał u nas dobry rok. Zapłaciliśmy 5,5 miliona, a on strzelił dla mnie siedem goli. To jest szaleństwo Premiership – milion za gola. Ale te gole pozwoliły nam utrzymać pozycję. Za to zapłaciliśmy. Zawodnik wart 15 milionów, który mógłby strzelić jeszcze więcej goli, nie przyjdzie do nas w pierwszym sezonie. Szybko to zrozumieliśmy. Wszystkim

graczom, których chcieliśmy pozyskać, mówiłem od razu, że to nie Australia. W Sunderland jest dość ponuro, podobnie jest w Newcastle, ale ich stać na więcej niż nas. Jestem człowiekiem futbolu, w zasadzie jest mi wszystko jedno, gdzie jestem. Inni jednak zwracają na to uwagę.

– Przyjedziesz do Sunderland?

– No taaak.

– Zarobki są przyzwoite, ale nie gigantyczne.

– Cóż, to nie przyjadę.

Chcieli dostawać dodatek za to, że jest tu zimno, a noce są ciemne. Wiedzieliśmy, że chłopcy, którzy do nas przyjadą, zrobią to z właściwych pobudek.

A Sunderland to miejsce, gdzie warto przyjechać. Tłumy fanów były fantastyczne – na trybunach 44 tysiące i więcej. W klubie wszystko szło tak gładko, że czasem zastanawiam się, czy dobrze wszystko pamiętam. Dzisiaj co i rusz dowiaduję się, że wciąż ktoś się wtrąca do selekcji drużyny. Ale u nas wszystko przebiegało perfekcyjnie. Każdy znał swoje miejsce. Ja dbałem o grę, Niall o PR i finanse, dyrektor generalny negocjował i podpisywał kontrakty, personel medyczny dbał o zawodników, zawodnicy byli zadowoleni, że grają dla Sunderland. Niall znał się na grze, ale pozwolił mi zająć się wszystkim. Nie było jednego właściciela – nikt nie żądał kontroli. Fakt, że już w pierwszym sezonie mojej pracy dla klubu wyszliśmy z Championship, spowodował, że wszyscy mnie wspierali. I ja to czułem.

Zostaliśmy pokonani przez Luton w Pucharze Ligi. To był mały szok, bo raptem kilka miesięcy wcześniej wygraliśmy z nimi 5:0. Popełniłem błąd w rozstawieniu zawodników. Zmiana zawodników jest w porządku, jeśli zastępuje się ich międzynarodowymi piłkarzami, jak to się robi w United albo w Chelsea. Ale my tak nie robiliśmy. Poza tym przesadziłem, zrobiłem cztery, a nawet pięć zmian zamiast jednej lub dwóch. Jadąc na mecz do Luton, myślałem, że mogę dokonać tych zmian. Ale to działa tylko wtedy,

jeśli się wygrywa. A my przegraliśmy, więc to się na mnie zemściło. Tej lekcji jeszcze nie odrobiłem.

Luton nie tyle nas pokonał, co zmiażdżył, przegraliśmy 0:3. Ich menedżer, Kevin Blackwell, powiedział, że chodziło im o odwet, co jest zupełnie w porządku. Ale ten mecz zadecydował o przyszłości wielu graczy. Pozwalałem często grać nie najlepszym zawodnikom, żeby dać im szansę. O tym, że nie są najlepsi, można zorientować się, kiedy już wiesz, że w nich nie wierzysz i nie możesz im ufać. Greg Halfort zdecydowanie nie wkupił się w moje łaski, kiedy w drugiej połowie został usunięty z boiska. Po meczu miałem ochotę walnąć pięścią w ścianę szatni, to był chyba jedyny raz, kiedy tak się czułem.

Clive Clarke, jeden z naszych graczy, który został wypożyczony do Leicester, miał tego dnia atak serca. Wiadomość dotarła do nas po meczu. Szaleństwo futbolu – Luton ograło nas 3:0, szokujący wynik, jednak na konferencji prasowej po meczu powiedziałem, że wynik tak naprawdę się nie liczy i wspomniałem, że Clive Clarke miał atak serca. I przyszła mi do głowy okropna myśl – dobrze, że to stało się dzisiaj, bo nikt dzięki temu nie zwróci uwagi na naszą fatalną grę. W takim właśnie świecie żyłem.

Kilka miesięcy później pytano mnie o atak serca Clive'a, a ja powiedziałem: „Byłem zdziwiony, że znaleźli u niego jakieś serce". To był żart podczas konferencji prasowej, ale na papierze, wyrwany z kontekstu i bez tonu mojego głosu, nie był już tak zabawny. Czasem zapominam, że nie tylko ja mam rodziców i dzieci. To było po tym, jak Clive mnie skrytykował – powiedział coś o tym, że kopię krzesła. Krytykowali mnie zazwyczaj ci, których usunąłem bądź którzy nigdy nie grali.

Kiedy masz za sobą niezłą karierę piłkarza, a potem jako menedżer jedziesz ze swoją drużyną na mecze do Liverpoolu albo Manchesteru, najtrudniej pogodzić się z tym, że przegrasz 0:1 albo 0:2, a w dodatku będziesz sobie zdawał sprawę, że to wcale nie są takie złe wyniki. Cięgi dostalibyśmy, gdybyśmy przegrali pięcioma czy sześcioma bramkami, bo to miałoby wpływ na naszą punktację, zwłaszcza, kiedy byliśmy blisko dołu tabeli. Trudno pogodzić się

z myślą, że mogło być gorzej. Walczyłem z tym. Czułem się tak, jakbym okradał naszych kibiców.

Porywaliśmy się na „dużych gości". Nie lubię tego określenia, bo to znaczy, że przegrywaliśmy, zanim wyszliśmy na boisko. Byliśmy przecież w tej samej lidze. Byłem chyba całkiem dobry w dostrzeganiu mocnych stron moich zawodników, ale nie słabości. Kiedy przegrywaliśmy te mecze, byłem rozczarowany, nie straciłem jednak panowania nad sobą. Największą obawą menedżera jest poczucie, że jego gracze nie starają się dla niego. Jeśli masz takie wątpliwości, cierpi twoja duma. Sunderland był pod tym względem wspaniały, nigdy tak się nie czułem. Chcesz, żeby twoja drużyna grała tak jak ty. Owszem, wiedziałem, że potrzebujemy więcej zawodników i musimy doskonalić swoje umiejętności. Nigdy jednak nie uważałem, że zawodnicy Sunderland mnie zawiodą. Przegraliśmy z Everton 1:7, ale zdawałem sobie sprawę, że piłkarze naprawdę się starali. Może to naiwność z mojej strony. Przegrywaliśmy 1:3, nie było widoków na to, że wygramy, a ja wciąż mówiłem, żeby próbowali dalej, żebyśmy mogli wrócić do gry.

Nie sprawiała mi przyjemności wyprawa na Old Trafford, chociaż fani United przyjmowali mnie bardzo dobrze. Trochę za dużo było z tym zamieszania. Craig Gordon dobrze bronił. Był wart swojej ceny. Ale Saha strzelił gola dla United z rzutu wolnego.

Niektórzy menedżerowie często mówią, że byli rozczarowani zwłaszcza tym, że ich drużyna odpuściła rzut wolny, tak jakby w porządku było dopuścić do strzelenia bramki ze zwyczajnego ataku. Chodzi o to, że trzeba być przygotowanym na każdą sytuację. Niemniej przeciwna drużyna może wszystko zepsuć szybką akcją. I nie ma znaczenia, jak dobrze drużyna jest przygotowana, wszystko zależy od realizacji zamierzeń. Przeciwna drużyna wprowadza piłkę na pole karne bardzo szybko i wszyscy jej gracze są w ataku. W żadnej innej fazie meczu nie zobaczy się siedmiu albo ośmiu zawodników w ataku w polu karnym. Bardzo dużo goli strzela się z rzutów wolnych. Nigdy nie odpuszczaj rzutu wolnego – niemal prano nam mózgi, żebyśmy tak myśleli.

Po meczu poszliśmy do biura Alexa Fergusona na drinka z jego personelem, Ferguson jednak nie pojawił się. Pomyślałem, że to nie w porządku. Zadzwonił kilka dni później, żeby przeprosić. Powiedział, że musiał gdzieś pojechać zaraz po meczu, a czekał na mnie dość długo. Powiedziałem mu, że nie okazał ani mnie, ani mojemu personelowi należytego szacunku i powinien wypić ze mną drinka, tak jak wypiłby z każdym innym menedżerem.

To były trzy ligowe mecze przegrane pod rząd – z Wigan, Liverpoolem, United. Zaczynasz się zastanawiać, kiedy przyjdzie wygrana, i rozumieć, dlaczego niektóre kluby mogą zagrać nawet piętnaście meczów bez zwycięstwa. Kiedy jesteś blisko dna, to ma sens. Byłem chyba jednak dość spokojny. Dopiero co awansowaliśmy, a ja wciąż byłem świeżo upieczonym menedżerem. Wciąż korzystałem z taryfy ulgowej, jaką daje rozstrzyganie wątpliwości na korzyść oskarżonego – chwila na oddech.

Przyjechała do nas drużyna Reading, wygraliśmy 2:1. Świetny wynik. Nasze gole strzelili Kenwyne i Ross. Zremisowaliśmy w Middlesbrough. To był dobry remis, ponieważ Liam Miller strzelił gola w ostatniej akcji gry. Wciąż strzelaliśmy późne gole.

Porażka z Blackburn 1:2, na Stadium of Light. Trudno było to przełknąć. Miałem po tym meczu doła. Myślałem, że powinniśmy wygrać ten mecz. Mecz z Arsenalem, u nich, przegrywaliśmy 0:2. Już po dziesięciu minutach meczu myślałem, że skończy się wynikiem 0:8. Tymczasem wyrównaliśmy na 2:2, zanim pokonali nas ostatecznie 3:2.

Graliśmy z Liverpoolem, United i Arsenalem. Dobrze się spisywaliśmy, świetnie rozgrywaliśmy walki, ale przegrywaliśmy mecze. Nawet przekonanie, że graliśmy dobrze, było głupią wymówką.

Nie zostaliśmy zaproszeni na drinka z Arsène Wengerem po meczu z Arsenalem. Najwyraźniej nie kultywuje tej tradycji. Niemniej i tak do niego poszedłem, chciałem się z nim spotkać. Patrzę na niektórych menedżerów i myślę o ich doświadczeniu. Oddychają nim. Więc poszliśmy. Był zaskoczony, ale bardzo miły. Arsenal ma klasę.

Mecz z West Ham był dla nas bardzo ważny. Musieliśmy go wygrać. Drużyny z dolnej strefy tabeli to jakby liga w lidze. W meczach z tymi właśnie drużynami trzeba zdobywać punkty. Jeśli zdobędzie się jakieś punkty w meczach z wielkimi drużynami – to tylko bonus. Grant Leadbitter trafił w poprzeczkę. Gdyby trafił do bramki, przegrywalibyśmy 1:2, bo Kenwyne strzelił już dla nas gola. Ale przegraliśmy 1:3. Jednego z ich goli strzelił Craig; zanurkował, piłka uderzyła w słupek, wróciła do Craiga i ten trafił. Granica między zwycięstwem a porażką jest bardzo cienka. Trudno nam było pogodzić się z wynikiem.

Zremisowaliśmy u siebie z Fulham. Halforda ponownie usunięto z boiska. Tym razem próbowałem go pocieszyć. Kenwyne znów strzelił gola. To był koniec października. W grudniu znowu strzelił, a potem nic aż do marca. Taki był Kenwyne. To się zdarza napastnikom. Średnio strzelaliśmy jednego gola na mecz, więc co tydzień rozgrywała się bitwa. Napastnik drużyny, która walczy o swoje miejsce, musi strzelić choć jednego, dwa gole miesięcznie. Inaczej menedżer ma problem.

Manchester City, mecz u nich, Stephen Ireland strzelił dla nich gola – z woleja. Zdjął potem spodenki. Nosił gacie Supermana. Porażki 0:1 bolą, bo myślisz, że byłeś blisko celu. Chyba lepiej, gdyby było 0:2.

Zjechaliśmy poniżej wyznaczonego celu – punkt za mecz. Zdobyliśmy dziewięć punktów w dwunastu meczach i utknęliśmy w ostatniej trójce. Prawie się do tego przyzwyczailiśmy, nie popadliśmy jednak w żaden niekontrolowany spadek. Martwiłem się, ale byłem przekonany, że wyrwiemy się z tej dolnej trójki. Wszyscy uważaliśmy, że będzie dobrze. Wiara w siebie to wspaniała cecha.

W listopadzie przyjechała do nas drużyna Newcastle. To był mój pierwszy mecz derby. Był wspaniały – znakomita atmosfera i ulga, że nie zostaliśmy pokonani. Wynik nie był rewelacyjny, ale powinniśmy byli wygrać ten mecz. 1:0 – gola strzelił Danny Higginbotham. Oni wyrównali. Dośrodkowywał James Milner i trafił

w słupek. Chopra główką trafił w poprzeczkę pod sam koniec meczu. Po takim meczu myślisz, że mogłeś go wygrać, tym niemniej w kolejnym tygodniu dostajesz baty.

Nie byłem najlepszy w mowach motywacyjnych ani dobieraniu filmów, ale zanim wysiedliśmy z autobusu w Goodison Park pokazałem drużynie fragment *Męskiej gry*[6] – końcową mowę Ala Pacino, który grał w filmie rolę trenera drużyny futbolu amerykańskiego. Mówił o wytrwałości: „Ta drużyna walczy o każdy skrawek pola". Wyszliśmy zatem na boisko i przegraliśmy 1:7.

Wcześniej nie zdarzyło mi się nic podobnego. Everton rozerwał nas na strzępy. Po meczu David Moyes był świetny. Nie było żadnej gadki szmatki. Tylko on i ja. Zabrał mnie chyba do swojego pokoju, bo na pewno wiedział, że nie będę w najlepszym nastroju. Powiedział, żebym tak trzymał. Pokazał tamtego dnia ludzką twarz.

Ta porażka okropnie mną wstrząsnęła. Pojechałem do domu, do Manchesteru. Przez 48 godzin prawie nie wychodziłem z łóżka. Wszyscy mówili, żebym się pozbierał, ale nie mogłem. Przez dwa albo trzy dni chyba się nawet nie wykąpałem. Sam siebie karałem. Nie umiałem znaleźć rozsądnego uzasadnienia, żeby się pogodzić z tym wynikiem. To byłoby trudne nawet wtedy, gdybyśmy przegrali do trzech albo czterech. Trzeba to jednak było przełknąć. Zaakceptuj, że cię skopali, nie pogarszaj jeszcze sytuacji i idź dalej? Nie. Czułem, że zawiodłem drużynę. Wziąłem na siebie całą odpowiedzialność. Co dziwne, mieliśmy kilka szans, jedną przepuścił Chops, kiedy przegrywaliśmy 1:3. Przynajmniej byłoby 2:3.

Wiedziałem, że w końcu będę musiał pójść do pracy, ale na boisko treningowe wróciłem dopiero w następny piątek.

Wydaje mi się, że z jakiegoś powodu potrzebna jest mi taka „samonienawiść". Nie chcę budzić się następnego ranka ze słowami „było, minęło".

Na taktykę stawialiśmy tylko wtedy, kiedy graliśmy ze środkowym pomocnikiem, którym w dziewięciu przypadkach na dziesięć był Dwight Yorke.

Istnieją trzy albo cztery systemy gry. To nie znaczy, że nie można ich modyfikować. Pewne rzeczy się ulepsza, inne zmienia, we właściwym czasie zastępuje jedne rozwiązania drugimi. Brian Clough i Alex Ferguson hołdowali prostocie. Ja hołdowałem maksymalnej prostocie. Futbol to prosta gra – podaj, biegnij, próbuj i strzelaj więcej goli niż drużyna przeciwna. Wygrywaj blokady.

Yorke aż do końca swojej kariery grał na tej pozycji w reprezentacji swojego kraju, Trynidadu. W Sunderland grał w środku pola w sezonie, w którym awansowaliśmy. W Premiership grał czasem na pozycji Makélélé – z dwoma wysuniętymi zawodnikami przed nim. Korzystaliśmy z takiego ustawienia, żeby lepiej się bronić, kiedy sądziliśmy, że będziemy spychani na naszą połowę, grając z lepszymi drużynami – z Chelsea, z Arsenalem u nas, z United u nich. Nie zawsze tak robiliśmy, ale wtedy często odbijało nam się to czkawką, bo byliśmy spychani. Grałem zatem 4-4-2 i mówiłem chłopakom, żeby dali przeciwnikowi popalić.

To śmieszne, ale wtedy uważałem, że wystawianie środkowego obrońcy to prawie jak wywieszanie białej flagi. Dziś już tak nie myślę. Wiele najlepszych drużyn tak gra. Wychowano mnie na strategii 4-4-2 i nie ma przecież nic złego, jeśli zna się swoje silne strony, chociaż nasze ustawienie przejrzano w wielu meczach. Wygraliśmy tylko dwa wyjazdowe mecze w sezonie. To blisko średniej świeżo awansowanej drużyny. Mogłem pewnie zwracać więcej uwagi na taktykę i ugrać więcej remisów, ale bardzo trudno zmienić swoje przyzwyczajenia. Dopiero co awansowana drużyna na początku sezonu to słońce, nowe znaczki, lepsze hotele i sprężysty krok. No to do boju! Ale mądrzej byłoby, zamiast: „Do boju!”, powiedzieć: „Walczmy o remisy!”. A ze środkowym obrońcą niekoniecznie szykujesz się na remis. Wciąż możesz kontratakować. Stosowanie taktyki nie ma jednak sensu, jeśli nie ma kim grać. My zawsze chcieliśmy walczyć. No i mieliśmy dobrą atmosferę w szatni.

Nie pamiętam, z kim wtedy graliśmy, ale ta drużyna grała trzema zawodnikami w środku pola, my mieliśmy dwóch, bo byliśmy u siebie. Fanom Sunderland nie zależało na trójce w środku – uważali, że za dużo szumu wokół tego. Woleli, żebyśmy atakowali.

Dwóch napastników, dwóch skrzydłowych. Mieliśmy zatem mniej zawodników w środku boiska. Yorke trochę się przeforsował – miał 34 albo 35 lat, a grał przeciwko trzem zawodnikom w środku boiska.

Ktoś został kontuzjowany, więc Yorke przybiegł do mnie.

– Szefie, szefie, wiesz, ich gra teraz więcej, co robimy?

– Yorke – odpowiedziałem – musisz jeszcze więcej, kurwa, biegać.

– Dobra, dobra – krzyknął i pobiegł z powrotem.

To właśnie moje kwalifikacje taktyczne. On na pewno myślał, że wezmę tablicę i rozrysuję mu plan, jak poradzić sobie z tym problemem.

Dzisiaj pewnie bardziej bym uważał. To jest problem dużych klubów, jak Sunderland, które w dodatku dopiero co awansowały. Trudno wtedy być ostrożnym. Ma się tendencję, żeby dać się ponieść emocjom tłumów. Bardziej niż głową kierowaliśmy się sercem. „Proszę bardzo – rzucamy światu wyzwanie". Podczas kiedy powinienem był powiedzieć: „Słuchajcie, małymi krokami. Musimy porządnie się bronić".

Ale kiedy awansujesz, wygrywanie wchodzi ci w nawyk – dzięki temu przecież awansowałeś. I próbujesz przenieść to do Premiership.

Mieliśmy dziesięć punktów po czternastu meczach. W sumie okazało się, że wszystko szło tak, jak myślałem. Po szale pierwszych meczów przyszedł czas na walkę o przetrwanie.

Wróciliśmy z meczu z Evertonem i od razu pokonaliśmy Derby. Oni też walczyli o przetrwanie, ale wciąż było to druzgocące zwycięstwo. Dawaliśmy sobie radę z drużynami wokół, zwłaszcza na własnym boisku. Musieliśmy, nie mieliśmy wyjścia. Stokesy strzelił zwycięskiego gola – w doliczonym czasie. Kolejny późny gol.

Kiedy wspominam harmonogram rozgrywek, mogę wskazać trzy czy cztery mecze, które należało wygrać, żeby utrzymać pozycję. Jednym z nich był mecz z Derby. W tygodniu poprzedzającym nasz mecz klub Derby wyrzucił swojego menedżera, Billy'ego Daviesa i zastąpił go Paulem Jewellem. Myślałem, że będą chcieli przypodobać się swojemu nowemu menedżerowi, ale to my wygraliśmy. Po siedmiu golach sprzed tygodnia wysłałem

na wypoczynek Craiga Gordona, nie usunąłem go. Wygraliśmy, ale Carlos Edwards złamał nogę. To była dla nas ogromna strata.

Pojechaliśmy do Chelsea i przegraliśmy 0:2. Bardzo się staraliśmy, ale to był jeden z tych meczów, kiedy przyjmuje się porażkę 0:2. Liam Miller został usunięty z boiska za pchnięcie Pizzaro. Znów spadliśmy do ostatniej trójki, chociaż mieliśmy 13 punktów po 16 meczach, nie tak daleko od założonej średniej.

Sprowadziłem do klubu Ricky'ego Sbragię. Ricky miał doświadczenie z gry w Bolton, znałem go z United. Zawsze myślałem, żeby iść do przodu, a Ricky był kimś więcej niż trenerem obrony. Liczyłem, że nam pomoże. Neil Bailey został przesunięty do pracy z „drużyną rozwojową" – tak nazywano rezerwowych. Ale powinienem był zostawić personel w spokoju.

Zremisowaliśmy u siebie z drużyną Villa. Zostaliśmy obrabowani ze zwycięstwa. W ostatniej chwili Danny Collins strzelił gola główką z rzutu wolnego. Sędziowie go nie uznali – haniebna decyzja. To byłyby dwa dodatkowe punkty, zwycięstwo bardzo by nam się przydało. Czytałem później, że po meczu ścigałem sędziego Steve'a Bennetta w tunelu. Ale przecież musiałem tamtędy pójść do szatni. A może miałem iść przez parking?

Mecz w Reading rozegraliśmy przed samym Bożym Narodzeniem. Wtedy jedyny raz naprawdę puściły mi nerwy. Traciłem wcześniej panowanie nad sobą, ale wykorzystywałem te sytuacje. Tym razem doszło do rękoczynów. Dorwałem chłopaka z personelu, przycisnąłem jego głowę do stołu i pociągnąłem za krawat. Ale to nie był nikt z naszych, facet był z Reading.

To była pierwsza połowa, ciężki mecz. Może naciski na mnie były za duże – nie wiem. Menedżerem Reading był wtedy Steve Coppell, pracowało z nim dwóch asystentów – Wally Downes i Kevin Dillon. Patrzyłem na ich ławkę rezerwowych, a Kevin Dillon spojrzał na mnie i nazwał mnie samojebem.

– Że co? Ja? – spytałem.

– No, ty – rzucił. – Zawsze wszystko zwalasz na pierdolonego sędziego.

Nie odpowiedziałem. Nigdy nie kłócę się z menedżerami albo personelem przeciwnej drużyny. Nigdy.

Zaczęła się przerwa, a ja szedłem w kierunku tunelu obok Kevina Dillona.

– Nazwałeś mnie samojebem? – pytam.

– No, ty zawsze masz pretensje do sędziów.

– Nigdy nie rzucałem kurwami w sędziego – powiedziałem. – Kogo, kurwa, nazywasz samojebem?

Ale poszedłem do naszej szatni i nie myślałem już o tym.

W drugiej połowie znów nas obrobiono. Znów w doliczonym czasie. Stephen Hunt strzelił do bramki, a sędzia liniowy z drugiej strony stwierdził, że piłka przekroczyła linię bramki. Nie przekroczyła, ale gol został uznany. To była kolejna ogromna strata. Kiedy było 1:1, Kenwyne w doliczonym czasie dobiegł do pola karnego i niemal strzelił zwycięskiego gola. Ale zamiast wygrać, przegraliśmy.

Kiedy schodziłem po meczu schodami, zobaczyłem, że Wally Downes wymienia uściski dłoni z moimi zawodnikami.

– Co za niefart, chłopaki.

Zazwyczaj nie widuje się ludzi z personelu ściskających dłonie zawodników przeciwnej drużyny. Jednak nic nie powiedziałem. Dla Reading to było ważne zwycięstwo, hucznie je świętowali. Poszedłem do naszej szatni. Nie byłem zły na graczy, tylko na decyzję sędziego. Rozmawiałem z nimi i z personelem.

Dobra, jesteśmy podłamani, ale co by się nie działo, jesteśmy z Sunderland, pokażmy odrobinę klasy. Przyjmujemy tę decyzję, idziemy dalej i przygotowujemy się na następny tydzień.

Zawodnicy próbowali się ogarnąć, a ja czekałem na personel, żeby pójść do Steve'a Coppella i wypić drinka z nim i jego piłkarzami. Nie miałem na to ochoty, ale wciąż myślałem, że jesteśmy z Sunderland i robimy wszystko, jak należy.

Personel wciąż się nie pojawiał, więc powiedziałem, że pójdę sam, a reszta niech dołączy.

Wszedłem do biura Steve'a. Byli tam Wally Downes i Nick Hammond, siedział też Kevin Dillon.

– Świetna robota, chłopcy – powiedziałem – świetna.

Wally stał przede mną, a ja zapytałem go, czy zawsze podaje rękę piłkarzom przeciwnej drużyny po tym, jak ich ogra.

– No, tak, Roy, tak – powiedział.

Kiedy rozmawiałem z Wallym, Kevin Dillon wstał i powiedział:

– Nie przychodź tutaj, żeby…

Złapałem go, przycisnąłem jego głowę do stołu i pociągnąłem za krawat.

– Ostrzegam cię, skurwielu…

Złapał mnie Nick Hammond.

– Co ty wyprawiasz?!

– Ty pierdolony…

– Wynoś się z naszego biura!

– I tak was pierdolę – rzuciłem.

– O co ci chodzi? – zapytał Dillon. – Przecież jestem człowiekiem Sunderland.

– Pierdol się – rzuciłem i wyszedłem.

Mój personel jeszcze się nie pojawił.

Nie wracałem tamtego wieczoru ze wszystkimi do Sunderland. Jechałem do domu, do Manchesteru, czekał na mnie samochód, żeby zawieźć mnie na Heathrow.

Mój telefon zadzwonił już dziesięć minut później. Dzwonił ktoś z personelu.

– Wszystko w porządku, szefie?

Nie miałem czasu powiedzieć im, co się stało w biurze Steve'a Coppella. Pojawili się tam zaraz po tym, jak ja stamtąd wyszedłem.

– Wszystko w porządku, chłopaki? – spytali nasi.

– Wasz menedżer właśnie zaatakował jednego z naszych – ktoś powiedział.

Nagle nasz trener bramkarzy, Raimond van der Gouw, zapytał, czy mimo to mogą zjeść kanapkę.

– Nie, lepiej żebyście już poszli.

Nie wiem, czy to była reakcja na stres – dwie nieszczęsne porażki, spadek do ostatniej trójki… Wolę myśleć, że to Dillon mnie wkurzył i zrobiłbym to samo nawet, gdybyśmy byli na szczycie tabeli.

Mieliśmy złą passę. Przegraliśmy trzy mecze z rzędu, a potem na Stadium of Light w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia przyjechał Manchester United.

W noc Bożego Narodzenia, przed meczem, zatrzymaliśmy się w hotelu Ramside Hall, blisko Durham. Spotkaliśmy się około 21.00 czy 22.00, żeby zawodnicy mogli spędzić trochę więcej czasu z rodzinami. Powiedziałem graczom i personelowi, że jeśli chcą, mogą wypić jedno czy dwa piwa. Pomyślałem, że może pozwoli im to trochę się rozluźnić przed trudnym meczem z United. Ale to nie mogło zadziałać, bo pokonali nas 4:0. Rooney był wspaniały, a Ronaldo w najwyższej formie. Na stadionie było 47 tysięcy kibiców. To pewnie moje ego podpowiedziało mi, żeby ich „przycisnąć". Dlatego za bardzo otworzyliśmy się. Dobił nas gol Ronaldo z rzutu wolnego, pod koniec pierwszej połowy. Było wtedy 3:0 dla Manchesteru.

Po meczu Alex Ferguson przyszedł do mnie na drinka. Kiedy wychodził, powiedział, żebym zadzwonił do niego w sprawie Jonny'ego Evansa. Widział, że byłem w dołku po tym meczu. Pewnie spojrzał na mnie i pomyślał, że potrzebuję kopa w górę.

To był chyba jedyny raz, kiedy okazał mi sympatię i chęć pomocy.

Naprawdę mnie zaskoczył. Pomyślałem, że trochę jednak się o mnie martwi.

Niall zwrócił się do Davida Gilla i dostaliśmy Jonny'ego, ale cena za wypożyczenie była ogromna. Owszem, Ferguson okazał mi troskę, ale miał też w tym interes. Najważniejsze jednak było to, że Jonny naprawdę bardzo nam pomógł.

Od teraz każdy mecz na naszym boisku miał być naprawdę ciężki. Następny, z Bolton, miał miejsce cztery dni po meczu z United. Wygraliśmy 3:1. Kieran Richardson po raz pierwszy od urazu zagrał w całym meczu i to był niesamowity bodziec. To było nasze drugie zwycięstwo na czternaście rozegranych meczów. Wyrwaliśmy się z ostatniej trójki z początkiem nowego roku. Oczywiście ostateczną lokatę ustala się pod koniec sezonu, ale ważna jest psychologia – lepiej z nadzieją zaczynać kolejny rok.

Nasz pierwszy mecz w 2008 graliśmy w Blackburn. Na początku drugiej połowy strzelaliśmy karniaka. Zazwyczaj brał je Yorke, ale tym razem strzelał Dean Whitehead. Nie dał rady – Brad Friedel obronił gola. Potem przyznano Blackburn krętackiego karniaka

i strzelili bramkę. Przegraliśmy 0:1. Strasznie się zapieniłem i wlazłem na Yorke'a za to, że to nie on strzelał dla nas karniaka. Zmieszałem go z błotem, opierdoliłem z góry na dół.

– Kurwa, stchórzyłeś!

To pewnie było trochę za ostre, ale to on powinien podejść do piłki. Całkiem dobrze przyjął ten opierdol.

Ponownie spadliśmy do ostatniej trójki, bo Wigan, który był za nami, zremisował z Liverpoolem.

Okno transferowe znów było otwarte i znów wypożyczyliśmy Jonny'ego Evansa. Przyjechał Phil Bardsley, też z United. Sprowadziliśmy Rade'a Pricę z Aalborg i Andy'ego Reida z Charlton. Trzech spośród tej czwórki naprawdę się sprawdziło – to byli ci, których znałem. Rade z kolei był gorąco rekomendowany przez skautów, ale zbyt wiele nie zdziałał.

Najlepiej obejrzeć zawodnika, którym się interesujesz, nawet dziesięć razy, w różnych okolicznościach – jak gra w klubie na swoim boisku, jak na meczach wyjazdowych, jak w derbach. Menedżer nie może oglądać zawodników tak często, polega zatem na informatorach i nagraniach. Potrzebny był nam napastnik, a informatorzy rekomendowali Rade'a. Jeśli nie znasz gracza zbyt dobrze, próbujesz go najpierw wypożyczyć. Ale Rade i tak kosztował nas milion albo dwa. Oglądałem kilka jego nagrań i nie byłem jakoś specjalnie zachwycony. Jednak personel i informatorzy naciskali i przekonywali mnie, że odpowiada naszym potrzebom. Zaryzykowałem. Nie odpowiadał.

Zadzwoniłem do Marka Hughesa, żeby porozmawiać o Robbiem Savage'u. W drużynie Blackburn nie grał wiele, więc zapytałem Marka, czy możemy go kupić albo wypożyczyć.

Sparky powiedział, że Robbie u nich jakoś się pogubił, a u nas może się sprawdzić. Zgodzili się.

Nogi Robbiego trochę odmawiały mu posłuszeństwa, ale pomyślałem, że przyda się nam i ze swoimi długimi włosami będzie niezłym urozmaiceniem, jak Yorke – silna osobowość w szatni.

Sparky zgodził się, żebym do niego zadzwonił. Dał mi numer jego komórki. Zadzwoniłem, włączyła się poczta głosowa. Usłyszałem: „Cześć, tu Robbie, czego tam?", jak w reklamie piwa Budweiser.

Nigdy więcej do niego nie zadzwoniłem.

Pomyślałem, że nie podpiszę z kimś takim umowy.

Zostaliśmy wykopani z Pucharu Anglii, znów przez Wigan, ograli nas 3:0. Po raz kolejny przekonałem się, że rotacja zawodników nie ma sensu, jeśli nie ma się w drużynie odpowiedniej liczby zawodników z najwyższej półki. Popełniłem ten sam błąd w Pucharze Ligi Angielskiej, w meczu z Luton. Dobra passa w rozgrywkach pucharowych mogłaby nam pomóc w nabraniu rozpędu i pewności siebie. Ale to nie było nam dane.

Wygraliśmy z Portsmouth 2:0. Obydwa gole strzelił Kieran Richardson.

Musieliśmy liczyć na dobre wyniki w meczach u siebie. Na innych stadionach trudno nam było utrzymać się przy piłce. Inne środowisko, podróż, kibice miejscowej drużyny dający jej wsparcie. Poza tym każda drużyna zna swoje otoczenie i, tak jak my, chce u siebie ugrać jak najwięcej, bo w Premiership bardzo trudno wygrać mecz poza własnym boiskiem. Chelsea, United, City – naprawdę trudno u nich wygrać. Inaczej mogło być w Norwich, ale podróż z Sunderland była męcząca. Z kolei w Birmingham zastaliśmy raz zamkniętą szatnię. Czekaliśmy całe wieki. Bywało i tak, że przyjechaliśmy wcześniej, zaproszeni przez gospodarzy. I co? Siedzieliśmy sami, godzinami czekając na mecz. W Sunderland nigdy nie bawiliśmy się w ten sposób z innymi drużynami, bo zawsze chciałem, żeby nasi goście mieli o nas dobre zdanie.

U siebie wygrywamy, u innych – przegrywamy; u nas – zwycięstwo, gdzie indziej – porażka – tak to wyglądało. Pojechaliśmy do Tottenhamu – przegraliśmy. Przyjechała do nas drużyna Birmingham – wygrana. Nasz nowy zawodnik, Prica, strzelił gola. Ale potem już nigdy właściwie nie kopnął piłki. Wskoczyliśmy na środek tabeli, bo nie remisowaliśmy. Pojechaliśmy do Liverpoolu i zostaliśmy pokonani 0:3. Kieran Richardson znów doznał urazu, ścięgno udowe, szybko odesłaliśmy go do domu, bo szybko musieliśmy mieć go z powrotem w drużynie. Był bardzo ważnym graczem, a jako były zawodnik United bardzo chciał zagrać w meczu z Liverpoolem. Głupi błąd.

Przyjechała do nas drużyna Wigan. W końcu pokonaliśmy ich – 2:0. Na stadionie było 46 tysięcy kibiców. Pierwszego gola strzelił główką Dickson Etuhu. Ściągnąłem go z Norwich. Chcieliśmy go zaangażować z uwagi na budowę ciała, był pomocnikiem, dobrym w rzutach wolnych, w obronie i w ataku. Przez pewien czas go nie było – grał w Afrykańskim Pucharze Narodów, w drużynie Nigerii. Kolejnego gola strzelił Daryl Murphy, z podania Andy'ego Reida.

Zwycięstwo z Wigan było dobre, ale trudne i nieprzyjemne. A potem pojechaliśmy do Portsmouth i dostaliśmy w dupę. Kanu grał w zastępstwie i kilku naszych chłopców było dla niego zabójczo miłych. Nie blokowali go i nie byli wystarczająco agresywni. Oddaliśmy gola w miękkim karniaku. Strzelił Defoe. To była nasza dziesiąta porażka pod rząd na wyjeździe. Za dużo, żeby sobie odpuścić. Powinniśmy lepiej się bronić.

Pojechaliśmy do Derby i zremisowaliśmy 0:0. To nie był dobry wynik. Drużyna Derby była na samym dole tabeli, a nam potrzebne były trzy punkty. Michael Chopra strzelił gola, który nie został uznany. Decyzja była haniebna, znajdował się jakieś dwa czy trzy metry na prawidłowej pozycji.

Sędziowie mają najcięższą robotę przy meczach. Na pewno ją uwielbiają!

Od początku sezonu wprowadziłem bardzo dużo zmian. Nie planowałem aż tylu. Ale chociaż nie wszyscy gracze, których sprowadziłem, sprawdzili się, to było widać postęp. Wciąż dopasowywaliśmy się do wymagań Premiership. Trochę trzeba też na bieżąco eksperymentować, nie ma innego wyjścia. Musieliśmy być lepsi i silniejsi, potrzebne nam było doświadczenie. Najważniejsze to wiedzieć, gdzie potrzebna jest zmiana, a co należy zostawić tak, jak jest. To właśnie jest zarządzanie. Okrutne dla tych, którzy musieli odejść albo zostali odsunięci, ale taka jest gra.

Umieściłem na liście transferowej Liama Millera. Za często się spóźniał. Robiło mi się niedobrze od tych wszystkich usprawiedliwień i powiedziałem mu, że mam tego dość. Zadzwonił jego agent, żeby powiedzieć mi, że Liam mieszka przy bardzo ruchliwym skrzyżowaniu i trudno się stamtąd wydostać.

Zatrudniłem psychologa sportowego, Billy'ego Beswicka, żeby gracze mieli jakąś odmianę, a nie tylko moje opinie. Przychodził kilka razy w tygodniu. Był zawsze, kiedy ktoś chciał z nim porozmawiać – zawodnik albo ktoś z personelu. Jego biuro było naprzeciw mojego i od razu zauważyłem, że przychodzi do niego wiele osób z personelu. Tego nie przewidziałem. Natychmiast pomyślałem, że muszę się ich pozbyć, bo podczas tych spotkań na pewno mnie obgadują.

Nie, pewnie, że tego nie zrobiłem. Zrozumiałem, że powinienem więcej rozmawiać z personelem, upewnić się, że wszystko u nich w porządku. Ci ludzie muszą czuć się potrzebni.

Psychologia sportowa, stosowana z umiarem, może być użyteczna. Dr Steve Peters, facet, który pracował z drużyną Anglików podczas Mistrzostw Świata, napisał książkę *Paradoks szympansa* – o szympansie w naszych głowach, który wszystkim rządzi. Próbowałem ją przeczytać – jestem otwarty – jednak mój szympans mi nie pozwolił.

Na Stadium of Light przyjechała drużyna Everton. Graliśmy słabo, więc ograli nas 1:0. Tydzień później mecz z Chelsea – taki sam wynik.

Upadki mocniej niż wzloty wbijają się w pamięć. Dają kopa, bowiem są bardzo bolesne. Cieszyłem się zwycięstwami, ale każda beczka miodu zaprawiona była łyżką dziegciu. Zwłaszcza w Premiership zawsze myślisz: „Boże, to z nimi będziemy grać w przyszłym tygodniu".

Potem to się zmieniło.

Statystyki nie kłamały – lecieliśmy w dół.

Jednak pojechaliśmy do Villa Park i wygraliśmy – nasze pierwsze zwycięstwo poza własnym boiskiem. Przyjechała do nas drużyna West Ham – wygraliśmy. Na oczach 46 tysięcy kibiców Andy Reid strzelił gola z woleja w 95. minucie, dając nam zwycięstwo 2:1. To było niewiarygodne. Szósty gol strzelony w doliczonym czasie.

Po tej wygranej polecieliśmy na kilka dni do Hiszpanii, żeby trochę zagrzać kości. Nie wyobrażam sobie tego wyjazdu, gdybyśmy

przegrali. U nas, na północnym wschodzie, aura jest posępna, ciągle wieje – bywa, że i 100 kilometrów na godzinę. Wyjazd na kilka dni pozwolił dodać do treningów coś jeszcze – można było wygrzać się na słońcu, a wieczorami posiedzieć na zewnątrz. Na tym etapie sezonu obserwuje się zmagania innych drużyn, jest czas, żeby przemyśleć wiele rzeczy, naładować baterie. Trening jest ten sam – buty, piłki, znaczniki, ten sam człowiek od wyposażenia – ale otoczenie inne. Uzasadnieniem takiej podróży są lepsze wyniki po powrocie.

Wróciliśmy, pojechaliśmy do Fulham i wygraliśmy 3:1. To było przyjemne zwycięstwo. Dobrze graliśmy.

Jako menedżer lubiłem rozmowy z innymi menedżerami po meczach. Chodziło nie tylko o to, o czym rozmawialiśmy, ale o obserwowanie ich nastroju i uczenie się od nich mądrości. Zastanawiałem się wtedy, co sprawia, że ten klub sobie radzi? Jaki jest ich personel? Poszedłem więc zobaczyć się z Royem Hodgsonem, menedżerem Fulham, i jego asystentem, Rayem Lewingtonem. Było niemal tak jak rok wcześniej u Steve'a Cotterilla w Burnley, ale bez tamtego humoru. Steve swoje rozczarowanie obrócił w żart, tutaj jednak było inaczej. Wszyscy powtarzali, że mają przejebane.

To było dość krępujące. Wypiłem dietetyczną colę, zjadłem jakąś kiełbaskę i wyszliśmy. Myślałem wtedy, że oni faktycznie mają przejebane.

Ale dali sobie radę. Roy dostał pracę w Liverpoolu, a teraz jest menedżerem reprezentacji Anglii.

W trzech meczach ugraliśmy dziewięć punktów. Zresztą, liczyliśmy na to, że te mecze poprawią naszą średnią. Chops i Kenwyne strzelili po dwa gole, w samą porę. Tych kilka tygodni, na przełomie marca i kwietnia, pozwoliło nam utrzymać naszą pozycję.

Przyjechała do nas drużyna Manchesteru City i dostaliśmy łupnia. Udało im się w ostatniej chwili. Oberwało mi się po meczu z Newcastle. Przegraliśmy 0:2. W tamtym sezonie to chyba był

jedyny raz, kiedy fani mieli do mnie trochę pretensji. Postawiłem w środku pola trzech zawodników, chociaż bez środkowego pomocnika. To była raczej grupa napastników. Andy Reid był daleko z przodu, ale nie obstawiłem całkowicie bocznych napastników. Wiem, co znaczą mecze derby dla fanów. Oni chyba myśleli, że źle rozstawiłem graczy. To nie była prawda, ale ilekroć przegrywa się mecz, oznacza to, że twoja taktyka była zła. A my straciliśmy bramkę już w czwartej minucie – to była główka Michaela Owena. Zresztą przed meczem urządzono nam wojnę psychologiczną – policja dorwała nas na trzy godziny przed rozpoczęciem. Zawodnicy się nudzili, poziom testosteronu był wysoki… Za długo czekaliśmy. Jonny i Phil Bardsley doznali urazów, więc nie zagrali. To była dla nas duża strata.

Następny mecz – kolejne derby, graliśmy u nas, z Middlesbrough. Wspaniała gra. Po czterech minutach przegrywaliśmy 0:1, po kolejnych dwóch Danny Higginbotham wyrównał, Chops wysunął nas na prowadzenie tuż przed przerwą. Craig świetnie bronił, ale oni wyrównali. Wprowadziłem Daryla Murphy'ego jako wsparcie, w ostatniej chwili strzelił zwycięskiego gola z rzutu rożnego Granta Leadbittera – kolejny późny gol. Nasze podejście – idziemy na całość – tym razem zaprocentowało. To zwycięstwo pozwoliło nam utrzymać pozycję. Mogliśmy zostać w Premiership, z dwoma meczami w zapasie. Ta wygrana w pewnym sensie podsumowała nasz sezon – było bardzo trudno, przedzieraliśmy się, chłopcy się uparli, zdobyliśmy późnego gola. Przetrwaliśmy. Chciałem wygrać następny mecz – z Bolton, żeby przyczynić się do ich zdegradowania. Myślałem już o następnym sezonie – nie chciałem znów z nimi grać. Oni jednak byli na tyle silni, by sprawić nam więcej problemów niż jakikolwiek inny klub. Pokonali nas i zostali w lidze.

Ostatni mecz sezonu graliśmy u siebie z Arsenalem. Mieliśmy kilka szans, ale wygrali.

W sumie to był ciężki, stresujący czas; bywało niebezpiecznie, zdarzały się kombinacje i przepychanki, ale osiągnęliśmy to, co założyliśmy. W ciągu dwóch lat awansowaliśmy i utrzymaliśmy swoją pozycję.

Robota została wykonana.

Chciałem zostawić po sobie ślad w Sunderland, nie sądzę jednak, że mi się to udało. Dobrze sobie radziłem, niemniej dla mnie to było za mało. Awansowaliśmy, w Premiership zdobywaliśmy średnio jeden punkt na mecz, czego życzyłby sobie każdy menedżer. Ja chciałem więcej. Mogliśmy – mogłem – radzić sobie lepiej.

Dziewięć

Co za radocha analizować tamte mecze. Takie to życie menedżera.

Przetrwaliśmy. Może powinienem zacząć myśleć o przetrwaniu kolejnego sezonu w trochę lepszym stylu. To był mój duży błąd – chciałem dostać się do pierwszej ósemki. Czyste szaleństwo. Skończyliśmy sezon trzy punkty i trzy miejsca ponad ostatnią trójką. Następnym wyzwaniem powinno było być zakończenie sezonu sześć albo siedem miejsc ponad dolną strefą tabeli. Ale ja byłem przekonany, że skoro przetrwaliśmy, będziemy teraz o wiele mądrzejsi i o wiele lepsi, co pomoże nam skoczyć w górę.

Potrzeba trzech albo czterech lat, żeby ugruntować swoją pozycję w Premiership. Drużyny, które miały świetny pierwszy sezon, w drugim zazwyczaj lecą w dół. Nie można przeceniać własnych sił. I zawodnicy, i kibice muszą wiedzieć, że tworzymy coś nowego. Utrzymanie pozycji przez kilka lat jest osiągnięciem.

Przetrwaliśmy, ale ja myślałem głównie o meczach, które przegraliśmy. Dodawałem stracone punkty do naszego wyniku. W przyszłym roku zdobędziemy je. Zdobędziemy i będziemy w pierwszej połowie tabeli. Zapomniałem o meczach, w których mieliśmy fart i które wygrywaliśmy w ostatniej chwili. Wcale nie musieliśmy w nich znowu zwyciężyć. Nie, nie, znowu wygramy z tymi samymi drużynami i będziemy bliżej tych, które nas pokonały.

Nie ogłaszałem tego wszem i wobec. Ale tak właśnie myślałem. A to było pierdolone szaleństwo. Powinienem pamiętać, że kilka lat wcześniej celowaliśmy w League One.

Zamierzaliśmy kupić więcej zawodników. Pojawił się nowy właściciel, żeby wynieść nas na nowy poziom. To taka nasza gwara – „nowy poziom”. Widziałem to w innych klubach. To po prostu więcej kasy, zatem lepsi gracze.

Ze Spurs przeszli do nas Pascal Chimbonda, Teemu Tainio i Steed Malbranque. Z Bolton ściągnąłem El Hadjego Dioufa, z Marsylii wypożyczyłem Djibrila Cissé'a, z Fulham przyjechał David Healy, z West Ham – Anton Ferdinand, z tego ostatniego klubu wrócił też do nas George McCartney.

Kiedy zacząłem pracę w Sunderland, rekrutacja zawodników była wariactwem, bo mieliśmy na nią tylko kilka dni. I rzeczywiście każdy z pozyskanych piłkarzy dobrze się sprawił. Ale grupa piłkarzy, którą sprowadziłem na początku sezonu 2008/2009 nie była już tak dobra. Wcześniej ściągnąłem Davida Meylera, on dał sobie radę, Cissé grał przyzwoicie, ale był pożyczony. Nikt z pozostałych nie był wart swojej ceny.

Taki klub jak Sunderland potrzebuje odpowiednich osobowości. Gracze, których poprzednio sprowadziłem – Danny Higginbotham, Paul McShane – może nie mieli talentów na miarę nowych zawodników, ale mieli za to lepsze podejście. Nie powiedziałbym, że podejście nowych graczy było złe – nie było odpowiednie dla Sunderland. Po prostu nie dopasowali się do nas – do treningów, terenu, warunków i wymagań.

George Graham nazwał rzecz po imieniu – jeśli przyjmujesz zawodnika, on musi myśleć, że to krok do przodu. Inaczej będzie przekonany, że robi ci łaskę. Zwłaszcza chłopaki ze Spurs zostawili po sobie takie wrażenie, grali jakby robili mi łaskę. Wcześniej angażowałem graczy, którzy uważali przejście do Sunderland za wyzwanie. Natomiast ci nowi – to może nie była dla nich katastrofa, ale też nie byli specjalnie głodni sukcesu. I całkiem możliwe, że takim podejściem zarazili resztę drużyny.

Na ich obronę muszę jednak przyznać, że sprowadziłem ich zbyt wielu i za szybko. Poprzednio było tak, że znałem większość graczy, których sprowadzałem. Teraz oczekiwałem znacznie więcej i to nie było wobec nich w porządku, bo moje oczekiwanie nie były realistyczne. Myślałem, że są lepsi niż ci, których już mam, zatem skończymy sezon w pierwszej dziesiątce.

To, co wydawało się wystarczające w poprzednim sezonie, w tym już nie było. Zamiast ściągania ośmiu czy dziewięciu nowych zawodników, powinienem był skupić się na sprowadzeniu dwóch

czy trzech naprawdę dobrych graczy z odpowiednią osobowością. Problem jednak był taki, że ci naprawdę dobrzy byli jeszcze poza zasięgiem Sunderland.

Próbowaliśmy kupić Jonny'ego Evansa. Zaproponowaliśmy za niego United 12 milionów.

David Gill, ich prezes, tylko się zaśmiał i powiedział, że tracę czas.

Czuł się upojony rozmowami z Niallem, który proponował coraz wyższą kwotę – 8, 9, 10, 11, w końcu 12. Nie było nas na Evansa stać, a wart był każdego funta.

Jednak sprowadziłem za dużo zawodników. Teraz to rozumiem i jestem na siebie zły, że dopiero teraz. Mieliśmy już kilku przyzwoitych graczy, powinniśmy zatem zadbać o jakość, nie o ilość.

Zawsze mam wątpliwości dotyczące graczy, z którymi podpisuję umowy. Gdybym dziś angażował Messiego, zastanawiałbym się, czy się u nas zadomowi, czy polubi Sunderland i ciemne noce. Tego po prostu nie wiadomo – nigdy nie ma gwarancji. Możesz podpisać umowę z kimś, kto wydaje się idealny, ale on może na przykład ulec kontuzji. Każdy klub podpisał kiedyś umowę z napastnikiem, który nie strzelił ani jednego gola.

W ramach przygotowań do sezonu graliśmy w miniturnieju w Portugalii. Straciliśmy gola w meczu z Faro. Byłem rozczarowany. To był rzut wolny z 27 metrów. Pytałem, po co Craigowi Gordonowi był mur.

Następnego dnia rzuciłem wyzwanie kilku zawodnikom – czy strzelą mi gola z 27 metrów. Założyłem rękawice i powiedziałem, że za każdą bramkę płacę tysiaka, ale jeśli ktoś nie da rady – to stówka dla mnie. W kolejce ustawiło się ośmiu czy dziewięciu piłkarzy. Widziałem, że Craig i inni bramkarze byli wkurzeni tą akcją. Nawet nie spojrzeli, czy dobrze radzę sobie w roli bramkarza, wykonywali swoje ćwiczenia. Kilka piłek trafiło w poprzeczkę, kilka w słupek i żadna nie wpadła do bramki. Zarobiłem osiem stówek, a mogłem stracić osiem tysięcy. Próbowałem obrócić wszystko w żart, ale

zamiast tego narobiłem wstydu bramkarzom, może nawet ich poniżyłem. Nie o to mi chodziło. Jednak nie sądzę, że bramkarz może wpuścić piłkę z takiej odległości. Ale straciłem Craiga na kilka tygodni, może nawet na dłużej.

Przegraliśmy pierwszy mecz, z Liverpoolem – te mecze zawsze są trudne. Później we wspaniałym stylu pokonaliśmy Tottenham. Gole strzelili Kieran Richardson i Cissé.

W dzień meczu wybieraliśmy się na poranny spacer po Londynie. Było ok. 11.00. Wszyscy czekaliśmy na Pascala Chimbondę.

Pojawił się spóźniony o kwadrans.

– Chyba sobie, kurwa, żartujesz – powiedziałem. – Spóźnić się na spacer?

– Ale o co biega? – zdziwił się. Zupełnie się nie przejmował, żadnych przeprosin. Wyglądało to tak, jakby jego czas był cenniejszy niż nasz. Był w klubie nowy i od razu zaczął niestosownie się zachowywać. Była 11.00, nie 6.00 rano. Gdyby okazał choć trochę skruchy, może inaczej bym zareagował.

Chciałem, żeby zagrał tego popołudnia, ale skreśliłem go z listy. Nie był nawet na ławce rezerwowych. Wygraliśmy 2:1. Po meczu każdy w szatni skakał z radości, a Chimbonda w samym środku. Patrzyłem na niego i myślałem, że nie mogę nawet przez skurwiela cieszyć się z wygranej.

Zamiast siedzieć w kącie i żałować swojego spóźnienia, bo jego nieobecność w jednym z pierwszych meczów mogła naprawdę wiele kosztować drużynę, on skakał wokół ze wszystkimi. To zirytowało mnie tak samo jak jego spóźnienie. Zły znak na przyszłość.

Na naszym boisku drużyna Manchester City pokonała nas 3:0. Okropny wynik. Z Wigan, na wyjeździe, zremisowaliśmy, choć powinniśmy wygrać, mieliśmy wiele wspaniałych szans. Cztery mecze, cztery punkty. Przegraliśmy dwa mecze u siebie, a dobrze dawaliśmy sobie radę poza własnym boiskiem. Odwrotnie niż w poprzednim sezonie.

Potem u siebie pokonaliśmy Middlesbrough – to zawsze duże zwycięstwo. Siedem punktów po pięciu meczach. Potem

przegraliśmy z drużyną Villa. Strzelili gola z rzutu wolnego. Dwóch graczy z naszego muru, Diouf i Chimbonda, ani nie wyskoczyło do piłki, ani też nie stanęło na swojej pozycji.

Przyszedł do mnie Michael Chopra i powiedział, że ma problem z hazardem. Powiedział mi, ile przegrał – a ja wiedziałem, że na pewno o wiele więcej niż suma, do której się przyznał. Zadzwoniłem w jego sprawie do Sporting Chance i porozmawiałem z Peterem Kayem, który wraz z Tonym Adamsem założyli klinikę, w której pomagali sportowcom. Peter był już u nas wcześniej, żeby porozmawiać z zawodnikami o zagrożeniach – alkoholu, hazardzie, narkotykach. Umówiliśmy się – Chops, Peter i ja – że Chops pojedzie do kliniki w Hampshire na jakiś tydzień. Był dla nas ważnym graczem, więc jego nieobecność na pewno została zauważona. Może źle robiliśmy, może to było naiwne. Wyślemy go jednak na tydzień, żeby się wyleczył.

Musieliśmy rozpocząć sezon bez Kenwyne'a Jonesa. Uległ kontuzji w czerwcu, w meczu towarzyskim Anglia–Trynidad. Rozwalił kolano w niepotrzebnym starciu z krwawym Davidem Jamesem. Zaczęliśmy więc sezon bez naszego głównego napastnika, bo doznał urazu w nędznym meczu towarzyskim – na dodatek nie pod koniec sezonu, ale latem, w połowie rozgrywek. Wszystko dla polityki. Angielska Federacja Piłkarska sądziła, że Jack Warner, wiceprezydent FIFA odda na nich głos w konkursie na organizację Mistrzostw Świata, jeśli zgodzą się na ten mecz. My straciliśmy Kenwyne'a. Warner nawet nie zagłosował na Anglię. Zadzwonił do mnie w następnym sezonie, powiedzieć mi, że Kenwyne jest w składzie reprezentacji Trynidadu. Kenwyne jeszcze nie doszedł do siebie i nie był w stanie grać. Warner o tym nie wiedział, ale nie bardzo go to obeszło. Powiedział mi, że jest ważny i nie podoba mu się mój ton, chyba dlatego, że nazwałem go pajacem. Gorzej niż pajacem.

Moim najlepszym nabytkiem był prawdopodobnie Dwight Yorke. Miał silną osobowość i był dobry na boisku treningowym. Z końcem pierwszego naszego sezonu w Premiership kończył się jego kontrakt.

Dzięki niemu awansowaliśmy i dzięki niemu utrzymaliśmy się. Ale go zwolniłem. Powiedziałem mu, że nie mam dla niego propozycji.

No to wyjechał. Ale nic nie wskazywało na to, że ściągnę wielu zawodników. Zapytałem go więc, czy byłby zainteresowany kolejnym rokiem w Sunderland. Zgodziliśmy się, że nie będzie grał w meczach międzynarodowych. Miał wtedy 35 lat. Wrócił, chociaż mu wcześniej powiedziałem, że już go nie potrzebujemy. Przeszedł nad tym do porządku dziennego. Myślę, że wiedział, o co mi chodzi – szukałem młodych zawodników, którzy będą lepiej biegać i mieć więcej energii.

Zdecydował jednak, że znów będzie grał dla Trynidadu. Nie zgadzaliśmy się w tej kwestii, ale nie pokłóciliśmy się – nie było bluzgów ani obrażania się.

– Nie mogę uwierzyć, że znowu chcesz grać. Masz trzydzieści cztery albo trzydzieści pięć lat.

Wyjaśnił mi, że obiecano mu ładną premię, to mnie uspokoiło. Czułem, że ma problemy z koncentracją. Dwa albo trzy razy zauważyłem, że nie patrzy na piłkę, więc sadzałem go na ławce, z innymi doświadczonymi zawodnikami. Graliśmy u siebie z Northampton, w Pucharze Ligi. Przegrywaliśmy 0:2, ale strzeliliśmy dwa gole w doliczonym czasie i w końcu zwyciężyliśmy dzięki rzutom karnym. Był to jeden z meczów, kiedy mi odbijało.

Yorke nie grał tego wieczoru i podczas karniaków stał u wylotu tunelu. Zazwyczaj rezerwowi zawodnicy zbierają się na czas karniaków, ale Yorke nie był nimi zainteresowany. Byłem tym zirytowany. Nie zagrał raptem w jednym albo dwóch meczach. Jego postawa nieco mnie rozczarowała, a przecież planowałem przywrócić go do gry. Chciałem tylko, żeby dał z siebie trochę więcej, zwłaszcza że byliśmy pod obstrzałem. Przypuszczam, że Yorke usprawiedliwiałby się tym, że został udupiony, wylądował poza pierwszą drużyną. Na tydzień, dwa przesunąłem go do treningów z rezerwowymi. Zapewne sądził, że zasługuje na więcej. Może powinienem był wziąć go na stronę i powiedzieć, żeby wziął się do roboty.

Jako menedżer szybko dowiadujesz się, że to ty bardziej potrzebujesz piłkarzy niż oni ciebie.

Sam pracujesz na swoje powodzenie. Ale trzeba też odpocząć.

Na początku października prowadziliśmy na naszym stadionie w meczu z Arsenalem 1:0. Zremisowali w doliczonym czasie. Fàbregas strzelił z główki, z rzutu rożnego.

To był punkt zwrotny w mojej karierze. Start nie był jednoznaczny. Gdybyśmy ich pokonali, to byłoby fantastyczne – zastrzyk, jakiego potrzebowaliśmy, duże zwycięstwo nad silną drużyną. Pojechaliśmy do Fulham. Kieran Richardson strzelił gola z rzutu wolnego, ale sędzia nie uznał bramki, bo ktoś wpychał się do muru. To był Chimbonda, nie powinien być w murze, to był nasz rzut wolny. Kieran miał kolejny rzut wolny, ale piłka trzykrotnie się odbiła – najpierw od poprzeczki, potem od jednego słupka, potem od drugiego. Gdybyśmy wygrali te dwa mecze, dotarlibyśmy do piątego albo szóstego miejsca w lidze.

Co za radocha analizować tamte mecze. Takie to życie menedżera.

* * *

Przyjechał Ellis Short, który miał objąć klub. Przyjechał konno. Nie było go na posiedzeniu zarządu, kiedy kupiliśmy nowych zawodników, finalizował wtedy transakcję, by zostać głównym udziałowcem.

To był ostatni rok mojego kontraktu. Niall rozmawiał na ten temat z Michaelem Kennedym, ale nic nie zostało jeszcze postanowione. Gdzieś z tyłu głowy myślałem, że zobaczymy, jak to będzie z nowym gościem.

Ellis Short był więcej niż bezpośredni. Telefonów było więcej niż do tej pory. Przyzwyczaiłem się do tego. Ale nie sądzę, by znał się na futbolu. Rzucił mi dziwny tekst: „Gracie chłopaki z Gunnersami. Musicie ich powalić". Kilka razy dzwonił do mnie, kiedy byłem na boisku treningowym. Pytał o zawodników i dlaczego ten czy tamten nie gra. Pytał, dlaczego uziemiłem Chimbonda i co zamierzam z nim zrobić. To była dla mnie nowość. Miewałem nieformalne rozmowy z Niallem, na przykład na temat piłkarzy wracających po kontuzji czy tych, których chcieliśmy zatrudnić –

były to zwyczajowe rozmowy, jakie prowadzi się w klubie. Ale to ja prowadziłem drużynę. Dotychczas spotkania z konsorcjum były raczej nieformalne. Radzili sobie ze wszystkim, a ja nigdy nie miałem wrażenia, że kwestionują moje decyzje. Przez te telefony Ellisa Shorta chyba się na mnie trochę obrazili.

Byłem naiwny. Mówiłem, że powinniśmy zakończyć sezon na ósmym miejscu. Jednak patrząc realistycznie, osiągnięciem byłoby 14. miejsce. Być może kluczem do sukcesu w Premiership jest porzucenie oczekiwań. Pierwszym celem jest przetrwanie. To była jedna ze spraw, które oziębiły moje stosunki z nowym właścicielem. Mówiłem mu, że jeździmy w różne miejsca. A potem, kiedy zaliczyliśmy kilka kontuzji i wyniki nie były takie, jak oczekiwaliśmy, nie mógł być zadowolony.

Wygraliśmy z Newcastle i mieliśmy dwanaście punktów po dziewięciu meczach. Po raz pierwszy od trzydziestu kilku lat pokonaliśmy Newcastle na naszym boisku. Napięcie było niesamowite. Gole strzelali Cissé i Kieran. Dzięki mnie poziom gry był o niebo lepszy. Graliśmy naprawdę dobrze. To był chyba mój najszczęśliwszy dzień w Sunderland.

Dlatego odniesiona w tygodniu porażka ze Stoke była tak frustrująca. To mógłby być prawdziwy postęp, z trudem wypracowany wynik. Chociaż punkt po meczu ze Stoke. Czy mogliśmy spaść po meczu z Newcastle? Nie, nie mogliśmy.

Chelsea rozniosła nas na strzępy. Przegraliśmy 0:5. Ale Chelsea mogła zrobić to z każdym. Dobił nas Portsmouth, na naszym boisku. Spuściliśmy im łomot, ale wygrali w doliczonym czasie dzięki rzutowi karnemu. A skąd wziął się ten rzut karny? Diouf – rezerwowy – kopnął faceta w powietrzu. To był niewiarygodny faul.

Po meczu, w szatni, zapytałem, co on wyprawia.

Powiedział, że próbował tego zawodnika zablokować.

Chyba był zły, że wstawiłem go do gry później, że nie rozpoczynał meczu w wyjściowej jedenastce.

To nie był dobry okres, ale też nie najgorszy. Średnia wciąż wynosiła jeden punkt na mecz. Ale w tamtym czasie krążyły plotki, że zamierzam odejść, że jestem zły na wszystkich i mam dość. To był nonsens. W Sunderland i Newcastle co kilka miesięcy

pojawiały się takie grube plotki. Akurat ta dotyczyła mnie. Opuściłem jeden czy dwa treningi, czasem tak robiłem, żeby dać zawodnikom od siebie odpocząć. Byłem wtedy na rozmowach albo oglądałem inne mecze. Nie było mnie przez chwilę na boisku treningowym, ale to nie znaczy, że nie było mnie w pracy. Nie sądzę, że menedżer zawsze powinien być widoczny. Wszyscy jednak gadali, że w ogóle nie przychodzę na treningi i nie będzie mnie na następnym meczu, w Blackburn.

Na nocleg przed tym meczem zatrzymaliśmy się w Manchesterze, w hotelu Hilton. Nie było mnie na kolacji i kiedy pojawiłem się, to chyba Yorke powiedział: „Oj, słyszeliśmy, że zrezygnowałeś".

Obróciliśmy to w żart.

Następnego dnia w Blackburn przegrywaliśmy 0:1. Nasi dwaj napastnicy nie popisali się. Trochę, jakbyśmy grali z dziewięcioma zawodnikami. W przerwie zmieszałem ich z błotem. Najpewniej mocno przesadziłem, ale to było jak hazard. Myślałem, że jakoś zareagują – albo będą chcieli udowodnić mi swoją wartość, albo się obrażą.

Zaczęliśmy drugą połowę i Kenwyne strzelił gola w przeciągu minuty. A potem Cissé. Podbiegł do mnie i uścisnął mi rękę. To było miłe i ucieszyło mnie. No, był w porządku. To mi się podobało w Cissé – przyjął opierdol. Nie obraził się. Wyszedł i strzelił zwycięskiego gola.

W naszym ogrodzie znów zakwitły róże.

Ale u siebie przegraliśmy z West Ham, a potem znowu z Bolton 1:4. Naciski były spore. Mecze na własnym stadionie są bardzo ważne. Przegraliśmy z Portsmouth, przegraliśmy z West Ham, przegraliśmy z Bolton. Myślę, że kibice nie przejmowaliby się naszymi porażkami w meczach wyjazdowych, ale my te wygrywaliśmy, a przegrywaliśmy u siebie. To było nie do przyjęcia. Większość fanów przychodzi oglądać mecze na naszym stadionie.

W poprzednim sezonie miałem nadzieję pokonać Bolton i doprowadzić do ich degradacji. A to oni pokonali nas i zostali. Zawsze myślałem, że ta drużyna może sprawić nam kłopoty. Tydzień wcześniej pojechałem obejrzeć ich mecz z Middlesbrough.

Pojechali ze mną Tony Loughlan i Ricky Sbragia. Ja prowadziłem. Rozmawialiśmy o zarządzaniu. Zapytałem Tony'ego, czy chciałby zostać menedżerem.

– E, tam – odpowiedział. – Wolę być na murawie.

– A ty, Ricky? – zapytałem.

– Nigdy w życiu!!!

Chyba przesadził z tą gwałtownością.

– Spokojnie – mówiliśmy z Tonym. – To tylko pytanie.

– Ale to nie dla mnie, szefie – odparł Ricky.

– Dobra, Ricky, to było tylko pierdolone pytanie – powiedziałem.

Bolton wygrał z Middlesbrough 3:1. Byli silni i grali kontaktowo. Tydzień później, 29 listopada ograli nas 4:1. Statystyki były absurdalne; mieliśmy niezły wynik, a oni zaplanowali sobie cztery gole. Wygrywaliśmy 1:0, gola znów strzelił Cissé. Ale w związku z dwiema czy trzema porażkami gra na własnym stadionie była stresująca.

Craig Gordon leczył kontuzję, ale poprosiłem go, żeby zagrał. Zgodził się. Spróbował i znów podczas meczu doznał urazu. Źle się z tym czułem. Nie powinienem był go obsadzać. Wiem, że czasem musimy prosić kontuzjowanych graczy, żeby wzięli udział w meczu, ale to było zbyt duże ryzyko, a on naprawdę miał pecha. Zanim go zatrudniłem, grał w Hearts i nie opuścił żadnego meczu. Miał świetną historię. Przeszedł do nas i miał ciąg urazów niebezpiecznych dla bramkarza – zwichnięte nadgarstki i kostki.

Po meczu zostaliśmy wygwizdani, bo rozczarowanie było ogromne. Tym razem wygwizdano mnie i drużynę. Kibice wygwizdali nas, bo mieli dość.

Zostałem tego wieczoru w Sunderland. Następnego dnia gracze przyszli na trening. To nie była kara. Planowaliśmy trening w niedzielę, żeby w poniedziałek dać im wolne. Zwołaliśmy ich następnego dnia po meczu, żeby sprawdzić ich kondycję, stwierdzić, czy nie doznali podczas meczu urazów – standardowa procedura zapobiegawcza. Gdybym miał zrobić to ponownie, dzień po meczu dałbym im wolne i spotkałbym się z nimi następnego dnia. Była niedziela. Myślami byli gdzie indziej, zwłaszcza że przegraliśmy. Każdy był przybity.

Tego ranka byłem wściekły. Nie dlatego, że przegraliśmy, ale z powodu sposobu, w jaki to się stało. Nie dlatego, że złożyliśmy broń, bo tak nie było. Jeśli wziąć pod uwagę statystyki, nasz dorobek był nawet lepszy niż przyzwoity. Mieliśmy dwa razy więcej podań niż Bolton. Ale zdaję sobie sprawę, że nie wytłumaczy się tego kibicom, którzy właśnie widzieli, jak przegrywamy na własnym boisku 1:4. Byliśmy zdenerwowani i gracze popełnili wiele indywidualnych błędów. W idiotyczny sposób pozwoliliśmy sobie strzelić gole.

Ale nie kłóciliśmy się, nikt się nie wściekał. Byłem rozczarowany, że musieliśmy walczyć. Sam jednak grałem przez niemal 20 lat i wiedziałem, że wcale nie było tak źle.

Kiedy po południu skończyliśmy trening, pojechałem do domu, do rodziny. Po drodze zjechałem na pobocze, bo byłem wykończony. Zdrzemnąłem się na poboczu autostrady. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wcześniej to robił.

Po meczu nie zadzwonił do mnie ani właściciel, ani Niall, bo nikt nie panikował. Rozmawiałem jednak z Niallem w poniedziałek. Nie pamiętam, czy to on zadzwonił do mnie, czy ja do niego. Był w Portugalii, grał w golfa. Rzadko rozmawialiśmy po meczach. Niall wspomniał, że gracze powinni przychodzić na trening w dobrych nastrojach. Odniosłem wrażenie, że rozmawiał wcześniej z jednym lub dwoma zawodnikami, którzy nie grali w tym meczu.

Powiedziałem, że kiedy przegrywamy, nie oczekuję od ludzi dobrego nastroju. Jeśli chce uśmiechów, niech zatrudni Roya Chubby'ego Browna[7].

Byliśmy po to, by wygrywać mecze, a jeśli przegraliśmy, należało się spodziewać, że ludzie będą przybici. Nasza rozmowa nie była ostra ani przykra, ale Niall po raz pierwszy od ponad dwóch lat, od kiedy byłem w klubie, powiedział coś na temat drużyny. To było trochę dziwne. Był jednak prezesem, więc miał do tego prawo.

Później Niall twierdził, że nie powiedział nic takiego i chodziło mu o to, żebym *to* ja wrócił z nową energią i uśmiechem na twarzy, czy coś w tym rodzaju.

We wtorek zostałem w domu i do Sunderland wróciłem w środę. Tego wieczoru nasi rezerwowi mieli grać z United i chciałem wcześniej się z nimi spotkać. Zostałem w Sunderland do końca tygodnia. Oficjalny mecz z United miał być w sobotę.

Kiedy wracałem do Sunderland, zadzwonił właściciel.

– Podobno przyjeżdżasz tylko na jeden dzień w tygodniu – powiedział.

– Jeden dzień w tygodniu? Z kim ty rozmawiałeś? – zapytałem.

– Tak słyszałem.

– To nonsens. Jak mógłbym przyjeżdżać na jeden dzień w tygodniu? Tak czy siak właśnie wracam, w sobotę gramy mecz.

Powiedział, że jest rozczarowany wynikiem meczu z Bolton. Nie był szczególnie miły.

– Mamy chyba problem. Chodzi o to, gdzie mieszkasz. Powinieneś przeprowadzić się z rodziną.

To był ostatni rok mojego kontraktu. To, jak się urządziłem – mieszkanie w Durham, rodzina w Manchesterze – wszystkim im do tej pory pasowało. Do tej pory.

– Odnieśliśmy niemały sukces. Dlaczego mam się teraz przeprowadzać?

– Myślę, że to ważne, żebyś mieszkał w pobliżu – powiedział.

Nie wiem, czy nie rzuciłem czegoś w rodzaju, żeby może on się przeniósł. Mieszkał w Londynie. Ale na pewno powiedziałem, że nie zamierzam się przeprowadzać, bo zostało mi jakieś sześć, siedem miesięcy do końca kontraktu.

Ta rozmowa pewnie wyglądałaby inaczej, gdybyśmy spotkali się osobiście. Pewnie powiedziałbym, że przeprowadzę się, jeśli podpiszemy nowy kontrakt, bo rozumiem, o co mu chodzi.

Powiedziałem jeszcze, że póki co moje miejsce zamieszkania nie miało wpływu na nasze wyniki.

Rozmowa nie skończyła się dobrze. Wkurzyłem się, że ktoś mówi mi, gdzie mam mieszkać, i oskarża mnie, że przyjeżdżam do Sunderland tylko na jeden dzień w tygodniu.

W klubach sportowych zawsze wygaduje się bzdury na temat menedżerów, zawsze krążą jakieś plotki. „Przychodzi o 7.00 rano”, „Sypia z dziewczyną z biura”, „Dużo pije”. Wszyscy obgadują

menedżerów. „Jest typem samotnika”, „Za bardzo brata się z zawodnikami”. Różne rzeczy słyszałem w moje karierze. „Brian Clough rzadko pojawia się w klubie” – nie obchodziło mnie to. „Jack Charlton pozwala im pić” – kochaliśmy go za to. Jeśli Ellis Short myślał, że prowadzę drużynę przez jeden dzień w tygodniu, powinien spotkać się ze mną i mi to powiedzieć. Pomyślałem, że mówił do mnie z pogardą, jakbym był gównem przyklejonym do jego buta. Ja natomiast uważałem, że radziłem sobie całkiem nieźle. Dlatego pomyślałem, że nie zamierzam tego znosić.

Pojechałem do domu.

Jeszcze z samochodu zadzwoniłem do Michaela Kennedy’ego.

– Słuchaj, Michael, nie życzę sobie takiego traktowania.

Michael rozmawiał z Niallem, który nie był pewny, dlaczego moja rozmowa z Ellisem Shortem skończyła się tak nieprzyjemnie. Okazało się, że Ellis Short był zaskoczony, że byłem po niej przygnębiony.

No tak. To był koniec, zanim jeszcze o tym pomyślałem.

W czwartek rano skontaktował się ze mną Tony Loughlan. Powiedziano mu, że na sobotni mecz z United drużynę przejmuje Ricky, a ja nie wracam.

Michael rozmawiał z Niallem.

Niall przysłał mi esemesa, że wszystko już załatwił.

To musiało być dla niego trudne.

Peter Walker, dyrektor generalny, odszedł z klubu kilka miesięcy wcześniej. Nowego gościa, Steve’a Waltona widziałem tylko raz, Niall nas sobie przedstawił.

Podpisaliśmy porozumienie. Odejdę następnego dnia i dostanę odprawę. Wydano oświadczenia. To był koniec.

Byłem rozczarowany, ale niekoniecznie zszokowany, chociaż to stało się tak nagłe.

Później Ellis Short twierdził, że był zdumiony moją reakcją na jego telefon. To pewnie prawda, ale nie zadzwonił ponownie, żeby sprawdzić, czy to nie było nieporozumienie albo żeby normalnie ze mną porozmawiać. Mówił też, że nie kwestionował

mojego zaangażowania, ani też nie naciskał, żebym przeniósł rodzinę do Sunderland. Ale nie sądzę, by było mu przykro, że odchodzę. Ja zresztą też nie chciałem dla niego pracować.

Przegrasz kilka meczów i nagle wszyscy czepiają się twojego miejsca zamieszkania.

Informacje w mediach były takie, że sam odszedłem, że zrezygnowałem. Ale tak nie było. Doszliśmy do porozumienia, że nasze drogi się rozchodzą. Klub wydał oświadczenie, że rozstaliśmy się w przyjaźni. Jednak na pieniądze musiałem czekać całe wieki.

Zabrałem swoje rzeczy z mieszkania w Durham, ale do klubu nie wróciłem. Wszystkie rzeczy z mojego biura przyniósł mi Tony. Do końca sezonu obowiązki menedżera miał pełnić Ricky. Zastanawiałem się, dlaczego tak gwałtownie zareagował, kiedy tydzień wcześniej zapytałem go, czy chciałby być menedżerem.

Nie zrezygnowałem ani nie odszedłem. Powiedziałem, że nie mogę pracować z Ellisem Shortem. Doszliśmy do porozumienia. Nie miałem odpowiadać przed Ellisem Shortem. Miałem odpowiadać przed prezesem albo dyrektorem generalnym. „Odejście" to niesprawiedliwe określenie. Czasem po prostu nie da się zarządzać.

Po kilku trudnych tygodniach, trzech albo czterech – nie miesiącach, jak to było w przypadku innych menedżerów – moja kariera w Sunderland skończyła się. Wciąż mieliśmy dobrą średnią – punkt na mecz. Gdyby tak trzymać przez dziesięć lat, wciąż bylibyśmy w Premiership. Ale to był koniec.

Do tej pory mnie to smuci. Wciąż myślę, że nadal powinienem być menedżerem Sunderland. Naprawdę lubiłem i klub i ludzi.

O wiele rzeczy mogę mieć do siebie pretensje. Mogłem być bardziej tolerancyjny. Mogłem o wiele lepiej przeprowadzać rekrutację. Ostatecznie to być albo nie być menedżera. Ale pomysł, że nie pracowałem wystarczająco ciężko i że pojawiałem się w klubie tylko od czasu do czasu to nonsens. Wiedziałem, kiedy powinienem być w klubie, a kiedy mam się odsunąć, żeby naładować baterie i dać ludziom od siebie odpocząć.

Mieliśmy przed sobą kilka meczów i wiedziałem, że kilka zwycięstw jest na wyciągnięcie ręki.

Nie tak dawno rozmawialiśmy o przedłużeniu kontraktu. A teraz mnie już nie ma. Pech zawsze da o sobie znać. Ale myślę, że zapracowałem na to, by go przezwyciężyć. Kilka tygodni, nie kilka miesięcy.

Ellis Short był nowy, a ja nie byłem jego człowiekiem. Nic nie był mi winien. Nie było go z nami, kiedy awansowaliśmy. Nic dla niego jeszcze nie zrobiłem. Powinienem był lepiej dostosować się do tej sytuacji.

To pewnie prawda, że nasze relacje zawodowe nigdy nie układałyby się dobrze, ale nie dlatego, że on jest wielkim złym Teksańczykiem, a ja gderliwym mieszkańcem Północy z Cork. Po prostu nie lubię, kiedy ktoś traktuje mnie z góry.

Latem zadzwonił do mnie Steve Bruce, zaproponowano mu pracę w Sunderland.

Powiedziałem, żeby ją przyjął.

To samo powiedziałem, kiedy zadzwonił do mnie Martin O'Neill.

Kilka dni po tym, jak rozstałem się z Sunderland, Yorke wysłał mi esemesa: „Trzymaj się". Odpowiedziałem: „Pierdol się".

Spotkaliśmy się kilka lat temu, graliśmy w meczu charytatywnym. Przywitaliśmy się, ale właściwie nie rozmawialiśmy ze sobą. To przykre, bo fajnie nam się razem pracowało. Mogłem to załatwić inaczej.

Dziesięć

A może po prostu wynajduję sobie coraz to nowe usprawiedliwienia.

Kiedy wyjechałem z Ipswich, wszystko stało się jasne. Kiedy tam pracowałem, właściciel, dyrektor generalny i menedżer nigdy nie spotkali się razem. Marcus Evans, Simon Clegg i ja nigdy nie znaleźliśmy się w jednym pokoju. Któregoś razu zrobiliśmy telekonferencję z właścicielem, ale nie spotkaliśmy się we trzech. Jeśli spotkałem się z Marcusem, właścicielem, nie było Simona – dyrektora. Z kolei na moich spotkaniach z Simonem nie było Marcusa. Jeśli oni się spotykali, nie było mnie. Nigdy jednak nie zapytałem, czy nie moglibyśmy spotkać się we trzech, żeby ustalić, jakich chcemy ściągnąć piłkarzy. Zabrakło zaufania.

Ludziom trzeba patrzeć w oczy, kiedy się z nimi rozmawia.

Zadzwonił do mnie Michael Kennedy. Niall był na spotkaniu właścicieli klubów i przypadkiem spotkał Marcusa Evansa, właściciela Ipswich Town. Nie wiem, o czym rozmawiali, ale Niall zadzwonił do Michaela, a Michael do mnie z pytaniem, czy nie spotkałbym się w Londynie z Marcusem Evansem.

Wsiadłem do pociągu, a potem taksówką pojechałem do jego domu w Boltons, w dzielnicy Chelsea. Mieszkał bardzo blisko Ellisa Shorta.

To był kwiecień. Pięć albo sześć miesięcy po moim odejściu z Sunderland. Po pierwszym szoku nie tęskniłem za zgiełkiem zarządzania. Nie umierałem z rozpaczy. Jak tylko dowiedziałem się, że to koniec, to był koniec. Może to zbyt chłodne podejście, ale zawsze będę pamiętał prezesa, który mówił do Briana Clugha w *Przeklętej lidze*[8]: „Najpierw jest prezes, potem dyrektorzy, potem kibice i zawodnicy, i dopiero później, na samym dole piramidy, jest pierdolony menedżer”.

Menedżer jest ważny, ale nie aż tak bardzo. Zawsze wiedziałem, że pewnego dnia odejdę. Jednocześnie miałem poczucie, że nie dokończyłem w Sunderland swojego zadania. Stało się, jak się stało. Zawsze chce się udowodnić, że inni się mylą.

Wpaja się nam przekonanie, że im dłużej się nie pracuje, tym trudniej wrócić do roboty. Trochę mnie to niepokoiło. Lista dobrych byłych menedżerów, o których zapomniano, jest przerażająco długa. Czułem jednak, że zrobiłem dla Sunderland na tyle dużo, by można mi dać kolejną szansę.

Zabrakło mi cierpliwości.

Spotkałem się z Marcusem Evansem, rozmawialiśmy w cztery oczy. Rozmawialiśmy o klubie, o tym, jak go kupił, że walczą o przetrwanie i czy chciałbym zostać jego menedżerem. To chyba była rozmowa kwalifikacyjna. Ale nie było tak, że gdybym chciał, od razu mógłbym zacząć. Niczego mi nie proponował. Miły facet, polubiłem go. Pomyślałem, że mógłbym dla niego pracować. Powiedziałem, że zobaczymy, jak wszystko się potoczy, i wróciłem do domu.

Potem odbyły się jeszcze dwa spotkania. Prawnik Marcusa rozmawiał z Michaelem o możliwych warunkach. Poproszono mnie, żebym jeszcze raz pojechał do Londynu na kolejną rozmowę. Marcus zadowolony był z pierwszej i chciał potwierdzić swoje wrażenia. Zatem wróciłem, to było jakiś tydzień, dwa później.

W tym czasie menedżerem Ipswich był Jim Magilton. Namawiano mnie do objęcia stanowiska, które było już zajęte. Nie czułem się z tym źle. Może to niedobrze, taka jest jednak standardowa praktyka. Uważałem, że można o tym rozmawiać. Póki co, jeszcze się nie zgodziłem.

Nie było mi żal Jima Magiltona. Zawiódł mnie, kiedy byłem menedżerem Sunderland. Chodziło o piłkarza – miał wziąć ode mnie Tommy'ego Millera. Mieliśmy umowę. Nadchodził koniec transferów, a Ipswich wycofał się.

Zadzwoniłem do Jima Magiltona.

Zapytałem, co tu jest grane, bo odrzuciłem inne oferty dla Tommy'ego, miał przecież pójść do Ipswich.

Magilton był bardzo agresywny, miał to w dupie. Cała rozmowa to było jedno rzucanie kurwami. W końcu powiedziałem, żeby się pierdolił, bo jest jebanym pajacem. Ale to on zaczął.

Dlatego gdzieś w głębi myślałem, że go pierdolę.

To po prostu interesy. Później dowiedziałem się, że inny menedżer rozmawiał z Marcusem Evansem, kiedy menedżerem Ipswich byłem jeszcze ja. Dzisiaj postąpiłbym raczej inaczej. Odmówiłbym i powiedział, że w razie co wiedzą, gdzie mnie szukać. Niemniej, jak w każdej firmie, klub musi planować wszystko z wyprzedzeniem. Rozmawiałem z nimi, kiedy jeszcze mieli menedżera. Ale to oni zgłosili się do mnie i byli pierwszym klubem, który chciał ze mną rozmawiać po odejściu z Sunderland. Z Barcelony nikt nie dzwonił.

Po naszym pierwszym spotkaniu z Marcusem Evansem poprosiłem Tony'ego Loughlana, żeby obejrzał jakiś mecz Ipswich. Grali w poniedziałek, w święto państwowe, w Bristolu. Chciałem się czegoś o nich dowiedzieć na wypadek, gdyby zaproponowali mi pracę. Tony pojechał do Bristolu, kupił bilet jak zwykły kibic i obejrzał mecz. Jego zdaniem grali dość średnio.

Po drugim spotkaniu z Marcusem Evansem miałem wrażenie, że będzie chciał mnie zatrudnić, jeśli uzgodnimy warunki. W dziewięciu przypadkach na dziesięć, jeśli menedżer jest bez pracy, przyjmie proponowane warunki.

Kilka dni później byłem już w Ipswich, w niebieskim stroju treningowym, rozglądałem się dookoła i myślałem: „Kurwa jego mać".

Nie czułem się tak podekscytowany jak wtedy, kiedy jechałem do Sunderland. Nie jestem pewien dlaczego. Nawet teraz, przyznając się do tego, czuję się źle. Znów byłem razem z Tonym Loughlanem, ale nie miałem już w sobie tej niewinności, żebym mógł czuć się podniecony. Może po doświadczeniu z Sunderland byłem trochę nieufny? Poza tym wiele rzeczy wskazywało na to, że coś jest nie w porządku – rozplanowanie boiska, moje nastawienie, lokalizacja. Gdyby jednak wszystko poszło lepiej, nie myślałbym o tym.

Stanowisko Tony'ego nie było nigdy określane jako „asystent", zawsze był „trenerem pierwszej drużyny", chociaż pracował

u mojego boku. Ale jeśli pracuje się z ponad dwudziestoma zawodnikami, potrzeba co najmniej dwóch trenerów. Więcej ludzi to lepsze wsparcie. W tamtym czasie miałem tylko Tony'ego. Nie sprowadziłem innych od razu. W klubie pracowali już Chris Kiwomya, Bryan Klug i Steve McCall – szef skautów. Wszyscy grali wcześniej w drużynie Ipswich. Klub sprawiał wrażenie rodzinnego i nie trzeba było tego rozbijać. A ja właśnie zamierzałem to zrobić.

Trzeba przywieźć ze sobą trzy, cztery osoby, żeby podkreślić swoją markę. Można też podejść do sprawy cynicznie – jeśli menedżer znajdzie się w tarapatach, klub nie pozbędzie się go tak szybko – zwolnienie naraz kilku osób kosztuje znacznie więcej. Dadzą mu jeszcze kilka tygodni, żeby mógł spróbować osiągnąć pożądany wynik.

Na początku w Sunderland było jednak tak samo – tylko ja i Tony. Widziałem, że sporo osób z personelu w Ipswich nie było wystarczająco dobrych. Dwóch gości z personelu medycznego od razu mi się nie spodobało – chodziło o to, co robili i jak pracowali. Nie podobało mi się, że pozwalają graczom zachowywać się wobec nich arogancko. Raczej nie byli profesjonalistami, nie mieli też autorytetu. Ale zatrzymałem ich. Chciałem być w porządku wobec właściciela – powiedział, że jeśli chcę wprowadzić jakieś zmiany, powinienem zrobić to szybko. Pomyślałem jednak, że poczekam do lata, na okres przed sezonem. A może po prostu wynajduję sobie coraz to nowe usprawiedliwienia. Takie jest zarządzanie – ze wszystkim trzeba dać sobie radę.

W końcu, na początku sezonu, w listopadzie sprowadziłem Iana McParlanda (znany był jako Charlie). Spotkałem go, kiedy robiłem Pro Licence. Był wówczas menedżerem w Notts County i trenerem w Forest. Lubiłem go, chociaż był konfliktowy. Ja przy nim byłem aniołem. Tony i większość chłopaków byli spokojni, Charlie rozrabiał i za nich, i za mnie. Sprowadziłem też z Sunderland Antonio Gomeza, trenera fitness. Wszyscy przetrwali.

Zanim nie podpisałem kontraktu, nie byłem na boisku treningowym. Wszyscy potem gadali, że kiedy zacząłem pracę, nie wpuszczałem kibiców i zmieniłem zamki. Pierwszy trening był otwarty dla fanów, ale nikt nie przyszedł. Sądziłem, że pierwszego

dnia mojej pracy rodzice albo dziadkowie przyprowadzą parę dzieciaków. Nikt nas jednak nie oglądał. Mnie to nie przeszkadzało, ale coś trzeba było powiedzieć. Zabrakło ciepełka.

No i ten niebieski strój trenerski. Nie lubię tego pierdolonego koloru. City nosi niebieskie stroje, Rangersi też. Moi najwięksi rywale. Może to dziecinada. Tego dnia poszliśmy z Tonym na herbatę do mojego biura. Wyglądało jak kajuta albo barak z prefabrykatów. Nie marudzę, ale pomyślałem, że przydałoby się je trochę odświeżyć, choćby odmalować. Klub miał problemy finansowe. Rozumiałem to. Usiedliśmy razem i spojrzeliśmy na siebie.

– Nie jestem pewien, czy to dobra decyzja – powiedziałem.

Nie czułem żadnej chemii między mną a klubem. Jestem zły, kiedy teraz o tym myślę. Jednak nie powinienem był narzekać, w końcu przyjęli mnie do roboty.

Najgorsze było to, że wygraliśmy dwa pierwsze mecze, które były też ostatnimi w sezonie 2008/2009. Zacząłem pracę we środę albo w czwartek, a w sobotę 29 kwietnia graliśmy z Cardiff. Byliśmy beznadziejni, ale i tak wygraliśmy 3:0. Cardiff nie wykorzystał karniaka, żeby objąć prowadzenie 1:0. Mogli z nami wygrać nawet 10:0. Chciałbym, żeby tak się stało. Wtedy mógłbym pomyśleć, że moim zadaniem jest przebudowanie tej drużyny.

Mieliśmy pożyczonego od Spurs Giovaniego dos Santosa. Grał w drużynie Meksyku na Mistrzostwach Świata w Brazylii. Nie wiem, co robił w Ipswich. Był fantastyczny. Podnosił nas na duchu na boisku, strzelił jednego z goli. Wygraliśmy. „Mesjasz przyjechał".

Ostatni mecz sezonu, z Coventry, graliśmy na naszym boisku. Marcus Evans powiedział mi, że dzięki sprzedaży biletów na następny sezon już zwróciły się wydane na mnie pieniądze. Choć ten mecz był tylko formalnością, bo w tym sezonie nie było już nic do ugrania, na stadionie było 20 tysięcy widzów. Znów wygraliśmy, ale tym razem zasłużenie. Pomyślałem, że nie będę miał tu zbyt wiele do zrobienia. Skupię się na szatniach – będę je dekorować.

Kiedy trafiłem do Sunderland, drużyna właśnie została zdegradowana i przegrała pięć pierwszych meczów w sezonie. Do końca transferu zostały trzy dni, więc musiałem działać szybko –

pozyskać graczy, których znałem i którym ufałem. Tym razem zaczynałem pod koniec sezonu, klub był gdzieś w środku tabeli, i wygrałem swoje dwa pierwsze mecze. Nie było więc żadnego pośpiechu, nie musiałem zażegnywać żadnego kryzysu. Gdybyśmy przegrali te dwa mecze, mógłbym powiedzieć, że będę miał pracowite lato.

Kiedy przed sezonem wrócili gracze, zobaczyli wspaniałe szatnie. Ale nie zrobiłem wystarczająco dużo ani dla zawodników, ani dla personelu.

Zrezygnowałem ze swoich standardów. Po Sunderland pomyślałem, że może powinienem trochę odpuścić, że nie powinienem być tak wymagający. Ale w Ipswich wpadłem w pułapkę myślenia, że jakoś damy sobie radę, że personel jakoś tam będzie nas wspierał. A powinienem był powiedzieć, że na pewno nie dadzą sobie rady.

Powinienem był sprowadzić więcej ludzi, już na początku, żeby klub mógł się zmienić.

Kiedy odchodziłem z Sunderland, scena należała do mnie. Kiedy odchodziłem z United – też. Prowadziłem swoje małe wojny. W Ipswich walczyłem w cudzych bitwach. Postępowałem według cudzych standardów. I to była moja największa zbrodnia.

Nowy dyrektor generalny, Simon Clegg, to były spadochroniarz. Pomyśleliśmy, że warto przed sezonem zorganizować drużynie dwudniowe ćwiczenia z żołnierzami w Colchester. Pomysł był mój, Simon miał kontakty.

Chciałem spróbować czegoś nowego, żeby przełamać monotonię przedsezonowych treningów. Colchester jest bardzo blisko Ipswich, więc gracze nie będą musieli spędzać sześciu godzin w autobusie.

Zdecydowaliśmy, że to będzie niespodzianka. Powiedzieliśmy im, żeby przygotowali się na dwu-, trzydniowy wyjazd. Niektórzy pewnie myśleli – to typowe dla piłkarzy – że jadą do jakiegoś pięciogwiazdkowego hotelu.

Przyjechaliśmy do Colchester i doświadczyliśmy drylu treningowego Siódmego Regimentu Spadochroniarzy Królewskiej

Artylerii Konnej[9]. Plan przewidywał, że po długim marszu spędzimy tę noc w namiotach w lesie.

Najgorsze miało miejsce wieczorem. Żołnierze nauczeni są zdobywania wszystkiego, co potrzebne do przeżycia, tam, gdzie się aktualnie znajdują. Widzieliśmy zatem, jak zarzynają świnię – musieliśmy patrzeć. To nie było przyjemne. Przyrządzili mięso, zjedliśmy. Chłopakom było zimno – kiedy jesteś poza swoim środowiskiem po prostu chcesz iść spać.

Poprosiłem jednego z oficerów o przygotowanie czegoś na rano, żeby szybko postawić zawodników na nogi. O piątej albo szóstej rano obudzili nas granatami ogłuszającymi, które rzucali w pobliżu namiotów. Oj, szybko postawiło nas to na nogi. Kiedy patrzyłem na wyglądające z namiotów twarze, mówiły same za siebie: „Jeśli sądzisz, że dzięki temu awansujemy, masz przejebane".

Biegali, wspinali się – ale to nie była zabawa w parku. Przyłączył się do nas personel. Na jednym z drążków miałem drobny wypadek. Podskoczyłem, żeby go chwycić, poleciałem do tyłu i przywaliłem głową w podłoże. Nikt mi nie współczuł.

Marsz, przerwa, rozbijanie namiotów. Nikt nie był chętny, żeby spać ze mną w namiocie, więc spałem z jednym z żołnierzy, w swetrze z logo Celticu! Nie było żadnego siedzenia przy ognisku i śpiewów przy dźwiękach gitary. To i tak nie było miejsce, żeby śpiewać buntownicze piosenki.

Było naprawdę ciężko. Nawet przyjemnie, ale hotel chyba byłby lepszy. Wielu chłopaków miało pęcherze od wojskowych butów. W następny piątek graliśmy mecz towarzyski z Realem Valladolid i jeden czy dwóch zawodników nie mogło zagrać z powodu pęcherzy. Czas na ćwiczenia wybrałem nie najlepszy, ale mecz i tak wygraliśmy.

Wiele było śmiechu, jednak zawodnicy byli rozbici. Miałem nadzieję, że stworzymy jakieś więzi albo obudzimy ducha zespołowego, ale tak się nie stało. Prawdziwe więzi można stworzyć, tylko wygrywając mecze. Byłem w klubie za krótko, żeby poznać zawodników. Próbowałem zgadnąć, co może im się spodobać, ale mi się nie udało. Personel medyczny też był niezadowolony.

Pomyślałem, żeby się walili. Lepiej, żeby się przyzwyczaili do dyscypliny.

Nasz pierwszy mecz w nowym sezonie graliśmy w Coventry. Przegraliśmy 1:2. Giovani dos Santos wrócił już do Spurs. Nasz bramkarz, Richard Wright, był bardzo dobry w dwóch pierwszych meczach pod koniec sezonu, ale tym razem straciliśmy przez niego jednego gola, później miało być ich więcej. To bardzo ważne, żeby dobrze zacząć nowy sezon. Graliśmy całkiem nieźle, ale strzelili nam dwie łatwe bramki. Dla nas gola zdobył Jon Walters.

Po słabym starcie każda drużyna może odzyskać formę, ale niemrawy początek często wskazuje, jaki będzie cały sezon. Naprawdę przesadziłem, opieprzając graczy po tym, jak pokonała nas drużyna West Brom 2:0. To był czwarty mecz sezonu. Ulało mi się. West Brom dopiero co został zdegradowany, więc wiadomo było, że teraz będą o wiele lepsi. Wygłosiłem kazanie i wygadywałem bzdury, mówiłem, że wszyscy są nieudacznikami.

To naprawdę nie w moim stylu. Przegraliśmy z lepszą drużyną. Normalnie bym się z tym pogodził. Jednak nie chodziło tylko o to, że przegrywaliśmy. W Sunderland też tak było. Ale w Sunderland wszystko nagle przyspieszyło. W Ipswich chyba straciłem cierpliwość. Zdaje się, że chciałem powtórzyć doświadczenia z Sunderland. Ale nie mogłem nabrać rozpędu i trudno mi było zadomowić się. Dopiero 31 października udało nam się wygrać mecz – to był piętnasty mecz sezonu.

Shane Supple był bramkarzem, grał w pierwszej drużynie. Był naprawdę fajnym facetem. Pewnego ranka przyszedł do mojego biura powiedzieć mi, że kończy karierę. Miał dopiero 22 lata.

Pierwsza rzecz, jaką bym zasugerował w takiej sytuacji, to krótka przerwa – tydzień, dwa. Może jest w dołku, może doznał urazu, może ma kłopoty rodzinne. Mnie też zdarzały się chwile, kiedy miałem dość. Ale w oczach Shane'a widziałem, że podjął już decyzję. Nie był przybity, był całkiem spokojny.

– Nie zmienisz zdania, prawda? – zapytałem.

– Nie, przemyślałem wszystko.

Nie czuł już miłości do piłki. Powiedział też, że nie chce grać z ludźmi, którym jest wszystko jedno, czy wygrają, czy przegrają. Zdaje się, że w ogóle futbol przestał mu się podobać.

Podziwiam go za to. Ludzie często kończą w pracy, której nie lubią, w miejscu, w którym nie czują się dobrze. Sądzę też, że ciągnęło go z powrotem do Irlandii. Chciał wrócić do domu, do Dublina.

Powiedziałem mu, że zawsze może wrócić, ale wiedziałem, że to nigdy nie nastąpi. Sądzę, że wracał do Irlandii, żeby wstąpić do Garda – policji irlandzkiej. Dlatego pomyślałem, że lepiej, jeśli będę trzymał jego stronę.

Tak więc odszedł jeden z naszych bramkarzy.

Zanim wygraliśmy piętnasty mecz 31 października, osiem spośród czternastu zakończyło się remisem. To były złe remisy, a ten 3:3 w Doncaster, w połowie września, to był dopiero dramat. Po podstawowym czasie gry prowadziliśmy 3:2, a potem Quinton Fortune, były piłkarz United, strzelił bramkę w doliczonym czasie. Grałem z Quintonem i nigdy nie widziałem, żeby strzelał prawą nogą. Tym razem strzelił właśnie prawą i zdobył gola – trafił w górny róg siatki. A przecież wygrywaliśmy – najpierw 1:0, potem 2:1, potem 3:2.

Dziesięć dni później zremisowaliśmy 3:3 z Sheffield United. Ta sama historia – strzelili nam gola w doliczonym czasie.

Sześć goli, dwa punkty. Na tym etapie sezonu cztery punkty, które straciliśmy, remisując, wyniosłyby nas o dziesięć miejsc w górę tabeli.

Dwadzieścia remisów w jednym sezonie – to wciąż niewyobrażalne. Tyle z tych meczów niemal wygraliśmy. Powinienem był częściej korzystać ze zmian, wziąć na przykład dodatkowego obrońcę. Ale myślałem, że to tylko drużyna Doncaster. A my z nimi zremisowaliśmy. Lepiej byłoby, gdybyśmy dziesięć z tych meczów przegrali, a dziesięć wygrali – mielibyśmy dziesięć punktów więcej. Te dziesięć dni między meczami z Doncaster i Sheffield… prawie nam się udało. Ale nigdy tak naprawdę nie doświadczyliśmy maratonu dobrych wyników, tej euforii, jaką dają

chociażby dwa zwycięstwa z rzędu. Nie nabraliśmy rozpędu ani wiary w siebie, jaką daje przyspieszenie.

Na Portman Road przyjechała drużyna Newcastle. Zmiażdżyli nas, przegraliśmy 0:4. To nie powinno być tak bolesne – mieli Andy'ego Carolla, Nolana, Nicky'ego Butta. W tamtym sezonie nawet ślepiec stawiałby na awans Newcastle. Jak byłem w Sunderland, pojawił się tłum fanów Newcastle, oddano hołd Bobby'emu Robsonowi, mecz był transmitowany w telewizji.

Drużyna Newcastle nie pojawiała się u nas zbyt często. Nie można było powiedzieć, że nie próbujemy, że gramy chaotycznie. Nie graliśmy jednak jakoś wyjątkowo, kiedy wygraliśmy Derby. Kiedy graliśmy z Watford, mieliśmy 26 szans na strzelenia bramki. Tymczasem zremisowaliśmy 1:1. Strzelili gola w doliczonym czasie – kolejny zły remis. Nadal jednak byliśmy blisko przyzwoitego poziomu.

Rodzina przeprowadziła się wraz ze mną, wynajęliśmy dom. Podobało mi się, lubię morskie powietrze. Ale w pierwszym roku trzykrotnie zmienialiśmy dom. Trochę dezorganizowało to nasze życie, ale próbowaliśmy znaleźć właściwą wioskę, a wioski to zabawne, stare siedliska. Nie mogliśmy też znaleźć katolickiej szkoły dla dzieci, takiej jak St. Bede's w Manchesterze. Ta, na którą się w końcu zdecydowaliśmy, była inna – bardziej tradycjonalistyczna, angielska szkoła dla klasy średniej – krykiet i rugby, herbatka i słodkie herbatniki.

Kilka miesięcy po rozpoczęciu przez dzieci nauki poszliśmy na przyjęcie charytatywne. Obowiązywały wieczorowe stroje, usiadłem obok faceta, którego nie znałem. Byłem ciekaw, o czym będziemy rozmawiać.

– Co pan sądzi o nowej koalicji? – zapytał w końcu.

„Do kurwy nędzy – pomyślałem i ugryzłem się w język, żeby nie powiedzieć: To jest jakaś nowa koalicja? A oglądał pan wczoraj mecz Barcelony?"

Myślałem, że Nowa Koalicja to drużyna z Ligi Suffold. Ja sam chyba bardziej niż moje dzieci tęskniłem za St. Bede's.

I ten niebieski strój!

Zawsze źle się w nim czułem.

Simon Clegg, nowy dyrektor generalny, zaczął pracę tego samego dnia co ja. Nie było między nami chemii. Wcześniej był dyrektorem generalnym Brytyjskiego Związku Olimpijskiego, nie był człowiekiem futbolu. Myślę, że wiele różnic między nami wynikało z pochodzenia. On – były komandos, absolwent szkół publicznych, ja – chłopak z Mayfield w Cork. Musiałem jednak się przystosować. Nie mogłem przecież oczekiwać, że będę pracować wyłącznie z Irlandczykami.

Musieliśmy jakoś się dogadać.

– Interesuje mnie ten piłkarz – mówiłem.

– To co ja mam zrobić? – pytał.

Nigdy nie zajmował się futbolem. Myślę, że skupiał się na tym, by odpowiadać przed Marcusem, a nie pomagać menedżerowi. Sam o wszystko musiałem się martwić.

Większość klubów z Championship traci pieniądze. Simon zasugerował, by zmienić system premiowania zawodników i personelu. Nawet jako zawodnik zawsze uważałem, że premia należy się wtedy, kiedy się faktycznie na nią zasłuży. Pomysł polegał na tym, że premie będą przyznawane wraz z awansem albo jeśli dotrzemy do fazy play-off. Zazwyczaj zawodnik dostawał nagrodę za wygrany mecz albo remis. Średnio gracz Ipswich zarabiał 8, 9 tysięcy tygodniowo, zatem premia 300, 400 funciaków za mecz dawała przez cały sezon całkiem niezłą sumkę.

Gracze nie mieli nic przeciwko zmianie systemu, i tak zarabiali swoje 8, 9 tysięcy tygodniowo, ale zmiana miała dotyczyć również personelu, który zarabiał o wiele mniej. Premie stanowiły dużą część ich wynagrodzenia.

Dzisiaj zdaję już sobie sprawę, że premie dla personelu są niezwykle ważne dla podtrzymania morale w zespole. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, że ludzie potrzebują takiej motywacji. To wynika z ludzkiej natury – każdy lubi być nagradzany. Jeśli drużyna wygra w weekend mecz, personel jest w doskonałych nastrojach przez cały następny tydzień. Głównym powodem jest oczywiście fakt, że każdy dostanie nagrodę. Ale to się już skończyło. Co więcej – na dość

wczesnym etapie rozgrywek wiedzieliśmy już, że nie awansujemy, więc można było zapomnieć o innych premiach. Tym bardziej powinienem zostawić premie dla personelu – kilka stówek za wygraną. To były pieniądze do wydania na przyjemności dla ich żon albo rodzin. Sukces i premie dla rodzin sprawiały, że wszyscy czuli się częścią klubu. Coś im jednak zabrałem, więc przestali o mnie myśleć. To była głupota. Na pewno wielu z nich straciłem jeszcze przed początkiem sezonu.

Niektórzy gracze nie byli specjalnie rozmowni. Nie mieliśmy kogoś takiego jak Dwight Yorke, brakowało osobowości. Potrzebowałem nowych zawodników. Zadzwoniłem do właściciela, żeby podać mu orientacyjną liczbę. W Watford grał Tamás Priskin, był dostępny. Skauci go chwalili, widziałem go raz, przed sezonem. Co prawda było to w meczu towarzyskim, ale grał dobrze i strzelił gola. Jego kontrakt kończył się za rok, a ja pomyślałem, że może warto na niego postawić. Wspomniałem chyba właścicielowi o kwocie 400 tysięcy funtów. Zadzwoniłem do Malky'ego Mackaya, który był menedżerem Watford.

– Słuchaj, Malky, mam dla ciebie wiadomość. Jesteśmy zainteresowani jednym z twoich graczy.

Nigdy nie rozmawiałem z innymi menedżerami na temat ceny piłkarza, nigdy się w to nie angażowałem.

– Dzięki za telefon, Roy.

– Dobra, resztę zostawiam dyrektorowi generalnemu – powiedziałem.

Nie mogłem uwierzyć, kiedy usłyszałem, ile za niego zapłaciliśmy – 1 750 000 funtów. W Watford z kolei nie mogli uwierzyć w swoje szczęście. A wszystko dlatego, że nie było między nami wymiany informacji, że nigdy we trzech nie usiedliśmy przy jednym stole. Priskin nie był wart takich pieniędzy, ale nikt nie zapytał mnie o zdanie.

Ściągnąłem dwóch zawodników z Sunderland, Carlosa Edwardsa i Granta Leadbittera. Byli dobrymi graczami, ale za nich też zapłaciliśmy za dużo. Myślałem o jakiś dwóch milionach za obu, to przyzwoita kwota, a zapłaciliśmy prawie cztery.

Zadzwoniłem do ówczesnego menedżera Sunderland, Steve'a Bruce'a.

Powiedziałem mu, że nie mogę uwierzyć, ile zapłaciliśmy za Granta i Carlosa.

A Bruce na to, że przecież przyjęliśmy ofertę.

Nic do niego nie miałem. Przecież mi nie powie, że płacimy za dużo. Umowę podpisywali Simon i Niall.

Podobał mi się Jordan Rhodes. Przed sezonem strzelił gola w Brentford i na naszym stadionie, w meczu z Colchester W jego sprawie dzwoniło do mnie kilka klubów. Nie były to Liverpool ani Arsenal, tylko Notts County i Huddersfield. Ściągnąłem kilku graczy, ale powiedziano mi, że kilku muszę się pozbyć. Wciąż jestem krytykowany za sprzedaż Jordana, już się do tego przyzwyczaiłem. Poza tym była to też decyzja klubu. Sprzedaliśmy go do Huddersfield, drużyny o klasę niżej, za 350 tysięcy funtów, a on zaczął strzelać kupę goli. To chyba ja zasugerowałem sprzedaż warunkową[10], i dzięki Bogu, bo sprzedali go do Blackburn za 8 milionów. W przypadku Jordana i ja, i personel klubu popełniliśmy błąd – zamiast rozmawiać z nim o tym, co może robić, mówiliśmy mu, czego robić nie powinien.

Z United znałem trochę Lee Martina, ale on się u nas nie sprawdził. Był przyzwoitym zawodnikiem, niemniej w Championship trzeba być dobrym i mieć silną osobowość. Lee nie miał raczej poziomu wymaganego w Championship. Podobnie Priskin – technicznie nie był najgorszy, ale nie wydaje mi się, by pracował wystarczająco ciężko.

Nie prowadziłem po prostu należycie rekrutacji. Nic mnie nie usprawiedliwia.

Dołączył do nas Damien Delaney. Dobrze sobie radził. Bardzo dużo od niego wymagałem, pewnie dlatego, że go znałem, poza tym był z Cork. Niestety przegiąłem. To samo było z innym gościem, Colinem Healym. Też pochodził z Cork, więc powiedziałem mu, że rusza się jak Irlandczyk albo zawodnik niższej ligi. Źle zrobiłem. Colin był w klubie nowy i powinienem był stawać na głowie, żeby

mu pomóc. Często w Ipswich zdarzało mi się powiedzieć coś niewłaściwego. Może dlatego, że za bardzo się starałem.

Wielu ludzi uważa, że menedżer nie powinien się martwić, czy zawodnicy go lubią, powinni go jedynie szanować. Każdy jednak chce być lubiany. Nie chcesz, by nie lubili cię ludzie, z którymi pracujesz. Może po doświadczeniu z komandosami, sprowadzeniu kilku chłopaków i pozbyciu się tych najgorszych próbowałem naprawić swoje błędy?

W niedzielę 29 listopada graliśmy w Cardiff. Po wygranej z Derby zaliczyliśmy dwa remisy. Dzień przed naszym meczem odbył się w Cardiff mecz rugby. Walia grała z Australią. Lubię rugby, więc zastanawiałem się, jak uzasadnić swój wyjazd dzień wcześniej.

Zdecydowałem, że na mecz rugby zabiorę całą drużynę i personel. Wynająłem salę na stadionie Millenium i wszyscy świetnie się bawili. Sam za to zapłaciłem. Poszliśmy na stadion. Było fantastycznie. Na meczach rugby atmosfera zawsze jest przyjazna, nie musiałem zatem mówić graczom, by na siebie uważali. To nie był mecz piłki nożnej, ani spotkanie między Anglią i Irlandią. Jak na dzień przed meczem jedzenie nie było najlepsze – purée ziemniaczane i kiełbaski, ale zjedliśmy wszystko. Zawodnicy powinni jeść makaron, ale pomyślałem, że tak jest od trzech miesięcy, a i tak efektów nie widać. To był bardzo miły dzień.

Może gdybyśmy przegrali następnego dnia, winę zwaliłbym na to ziemniaki i kiełbaski. Ale wygraliśmy. Czy rugby nam pomogło? Pewnie nie, niemniej gracze byli mi wdzięczni. Raczej nie sądzili, że zrobiłem to, by wkraść się w ich łaski albo wzbudzić cieplejsze uczucia. Po ćwiczeniach w lesie w lokalnych gazetach i w programie meczu pojawiło się kilka zdjęć. Pomyślałem, że to nie najlepszy pomysł. Podczas meczu rugby nie było żadnych zdjęć, żadnego zamieszania, żadnych mediów. Chodziło tylko o miłe wspomnienia. To naprawdę była fajna grupa chłopaków.

Wygraliśmy, ale nie sądziłem, że to będzie punkt zwrotny. Wciąż uważałem, że to będzie przeciętny sezon. Jeśli nie wygra się pierwszych trzynastu meczów, trudno zwalić wszystko na pech.

Za dużo było remisów, nie mogliśmy zatem wykonać zadania. Po meczu z Cardiff pojawiła się jednak nadzieja. Zaczęliśmy wygrywać. W grudniu zwyciężyliśmy w dwóch meczach, w dwóch zremisowaliśmy i jeden przegraliśmy.

Obydwa remisy – 0:0. Jeden po drugim, z Bristol City i z Peterborough. W Bristolu wpuściłem na boisko Pablo Couñago. Nie lubiłem go za bardzo, trudno było nam się dogadać. Był bardzo utalentowanym napastnikiem. Miał szansę strzelić gola na pięć minut przed końcem meczu. Strzelił, bramkarz odbił piłkę z powrotem do Pablo, który był w odległości około dziesięciu metrów. Miał jeszcze trzy podejścia, ale bramkarz wszystkie zablokował. A mógł strzelić za pierwszym razem. Są mecze, które podsumowują twój stosunek do klubu. Ten był jednym z nich.

Pamiętam, że niektórzy ostrzegali mnie, by nie obsadzać Pablo w meczach wyjazdowych, bo sobie w nich nie radzi, a i u nas nie zawsze ma ochotę grać. To nie był dobry początek, bo przecież połowę meczów będziemy rozgrywać poza własnym stadionem.

Po meczu wsiadłem na niego:

– Do kurwy nędzy, Pablo, powinieneś trafiać za pierwszym razem.

Zaczął się usprawiedliwiać.

Utrata takiej szansy jest odzwierciedleniem podejścia do treningów. Pierwszego dnia, jeszcze przed sezonem, Pablo zszedł z boiska treningowego. Powiedział, że dokucza mu ból pachwiny, albo coś w tym stylu, nie z powodu faulu, bo wszyscy tylko biegali i ćwiczyli. Rozmawiałem z nim, kiedy skończyliśmy trening. Był w Hiszpanii przez ostatnie sześć czy siedem tygodni i wrócił do Anglii około północy poprzedniego dnia. Nie wydało mi się to najlepszym pomysłem.

Następnego dnia przez okno mojego biura zobaczyłem, jak Pablo na parkingu rozmawia z innymi zawodnikami. Była jakaś 9.10, a on miał być na rehabilitacji i – jak wszyscy po urazach – powinien zacząć ją o 8.30 albo o 9.00. Zapukałem w okno i zawołałem go do siebie.

Zapytałem, co robi na parkingu z chłopakami, jest przecież 9.10.

Odpowiedział, że mieli ochotę sobie pogadać.

– Dobra – powiedziałem – ale ich dni w klubie są policzone.

Moje dni z Pablo też były policzone, został jednak jeszcze rok, bo nie mogliśmy go przenieść. Żaden klub go nie chciał, a ja z przyjemnością mu o tym powiedziałem. Był po prostu kurewsko leniwy.

Ale zdobył ważnego dla mnie gola. Pokonaliśmy u siebie Coventry, a Pablo strzelił zwycięskiego gola w doliczonym czasie. Niemniej tak naprawdę to był jedyny raz, kiedy zrobił coś dla klubu. Nie jestem skory do osądzania graczy po obejrzeniu nagrań z meczów, ale zanim przyszedłem do Ipswich, kilka obejrzałem. W jednym z nich Pablo wszedł na boisko jako rezerwowy. Wychodził na murawę zupełnie bez entuzjazmu i wyglądał tak, jakby zjeżdżał do kopalni na dziesięć godzin. Ipswich przyznano rzut karny, a on go zmarnował. Pomyślałem, że tak kończy się wchodzenie na boisko spacerkiem, bo przecież trzeba wbiec, jeśli gra dla zawodnika cokolwiek znaczy. Właściwie od razu nie spodobało mi się podejście dwóch czy trzech zawodników, w tym Pablo, co nie pomogło mi w pracy. Nie chodzi o brak porozumienia, nie ma problemu, jeśli ktoś ma zły dzień albo nie najlepiej gra. Wyprowadzało mnie z równowagi podejście do treningów. Miałem wrażenie, że niektórzy gracze pojawiają się tylko po to, żeby skasować pensję. Miałem też problem z jednym ze starszych zawodników, Benem Thatcherem. Słyszałem, że daleko mieszka – dojeżdżał do pracy z Londynu.

Zapytałem go o to.

Powiedział, że to prawda i że czasem zostaje na noc w Ipswich.

Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby on i kilku innych graczy z zapałem przychodzili na treningi. Mógłbym nawet dawać im wolne w poniedziałek albo wymyśliłbym coś w tym rodzaju. Zarządzanie to branie i dawanie. Ale widziałem, że oni nie dają z siebie zbyt wiele.

Któregoś ranka Ben spóźnił się jakieś cztery godziny, bo na autostradzie był wypadek.

Przyszedł do mojego biura. Żadnych przeprosin.

Ci zawodnicy nie byli dla mnie jakoś specjalnie ważni, psuli jednak atmosferę. Boisko treningowe jest dość małe, wyczuwało się

więc napięcie, nawet mijając ich na korytarzu. Każdy myślał o nich „skurwiele”, a oni myśleli tak samo o innych.

Można oczywiście zadać pytanie, dlaczego się ich nie pozbędziemy, skoro nie są wystarczająco dobrzy… Tylko dokąd ich przenieść?

– Chciałbym odejść.

– Chętnie bym cię odesłał, ale nikt nie dzwonił, żeby o ciebie zapytać.

Lubiłem Connora Wickhama. Nie strzelał masowo goli, ale miał dopiero 16 czy 17 lat. Któregoś wieczoru został wyrzucony z boiska za kopanie przeciwników. Graliśmy mecz w Scunthrope. Zadzwonili do mnie, że Connor nie będzie grał, bo zostawił ładowarkę w kontakcie i nie podłączył do niej telefonu. Kilka dni później musiałem spotkać się z menedżerem Akademii, Sammym Morganem. Przez parę godzin rozmawialiśmy o ładowarkach.

Kilka razy musiałem Connorowi odpuścić. Czasem nie podobało mi się jego podejście do treningów. Ale był miłym dzieciakiem, chociaż miał ponad 190 cm wzrostu – duży, silny chłopak. Miał mocny uścisk dłoni. Kiedy drużyna wychodziła na boisko, podawałem rękę każdemu zawodnikowi, życząc mu szczęścia. Czasem zastanawiałem się, czy czegoś nie włożą mi w dłoń. A Connor po prostu ściskał mi rękę i wiedziałem, że nie zrobi mi niespodzianki. Jeśli brać pod uwagę Championship, grał na najtrudniejszej pozycji. Był napastnikiem, a większość środkowych pomocników to wielkie chłopy z doświadczeniem i każdy z nich chce zaznaczyć swoją obecność. Connor mógł stawiać im czoła i wygrywać z nimi. W kilku ważnych meczach bardzo dobrze grał. Dziś gra w Sunderland i lubię patrzeć, kiedy strzela dla nich gole.

Na stadionie zawsze było około 20 tysięcy widzów, co jest dobrą liczbą dla drużyny, która ledwie trzyma się dołu tabeli. Kiedy pobiliśmy QPR 3:0, na trybunach było 25 tysięcy kibiców. Zachowywali się w stosunku do mnie przyzwoicie. Widziałem i rozumiałem ich frustrację. Ale – paradoksalnie – pomogły nam remisy. Trudno dokopać drużynie, która nie przegrywa, tylko ciągle remisuje. W drugiej części sezonu udało nam się pozbierać.

Wygrywaliśmy więcej meczów. Pokonaliśmy QPR na ich stadionie, potem, w środku tygodnia, Sheffield, też w meczu wyjazdowym. Wygraliśmy z Barnsley i Reading. Wygrywaliśmy więcej meczów. Zremisowaliśmy w Newcastle.

W ostatnim meczu sezonu, na Portman Road, przegraliśmy z Sheffield United. Tradycją jest, że po ostatnim meczu zawodnicy wracają na boisko, żeby pożegnać się z fanami i podziękować im za doping. Często są z nimi dzieci. Naszym kapitanem był Jon Walters, on wszystko organizował.

Popełniłem kolejny błąd – nie wyszedłem ze wszystkimi na stadion po meczu. Zostaliśmy pokonani, a jeden z naszych zawodników dostał czerwoną kartkę, co oczywiście nie pomogło. Mieliśmy zły sezon. Ale mimo to powinienem był wyjść. Stanąć razem z zawodnikami. Gdybym był graczem, a menedżer powiedziałby, że nie wyjdzie z nami, bo jest zbyt zażenowany, pomyślałbym, że jest fiutem.

Nie jestem taki, to nie w moim stylu. Czasem jednak robię coś wbrew sobie. Powinienem był wyjść z moimi chłopakami. Zawsze byłem dobry w piciu piwa, którego nawarzyłem.

Pod koniec sezonu powinienem też spojrzeć na tabelę – byliśmy na piętnastym miejscu spośród dwudziestu czterech drużyn. Powinienem powiedzieć, że nie jest wcale tak źle. Do play-off brakowało nam czternastu punktów i mieliśmy o dziewięć za dużo, żeby nas zdegradowano.

Nie należało tracić głowy. Trzeba mieć szerszy ogląd.

Nie sądzę, że jestem złym menedżerem, ale w Ipswich źle zarządzałem, a wszyscy, których podziwiałem mieli złą passę. Prawdopodobnie to w Ipswich nauczyłem się więcej niż w Sunderland.

* * *

W następnym sezonie, 2010/2011, chodziło głównie o obsadzenie młodych graczy i obniżenie wynagrodzeń. Zmienił się zakres moich obowiązków. Miałem skupić się na awansie, budżet też był dużo mniejszy.

Latem odbyłem okropną rozmowę z właścicielem. Siedzieliśmy w moim biurze i omawialiśmy taktykę, mieliśmy tablicę. Powinienem domyślić się, że moje dni były policzone.

– A dlaczego on tu nie może grać?

– Bo gra na tej, a nie innej pozycji.

– Postawmy zatem na młodych zawodników.

– Nie mam nic przeciwko temu – powiedziałem – ale Championship ich zje.

To nie jest liga dla młodych graczy. Trzeba mieć grupę złożoną z młodych i starszych, doświadczonych zawodników. Każdy menedżer, który wcześniej pracował w Ipswich – Paul Jewell, Mick McCarthy – stawiał na doświadczonych graczy. Średnia wieku w każdej drużynie, która awansuje, to 28, 29 lat.

Przyjechali na rozmowy Kevin Kilbane i Shaun Derry, któremu właśnie skończył się kontrakt z QPR.

Shaun powiedział, że bardzo chciałby dla mnie grać.

Odparłem, że będę mógł mu zaproponować tylko roczny kontrakt, a i pieniądze nie są oszałamiające.

Odpowiedział, że chce przyjechać i grać dla mnie.

To było pod koniec pierwszego sezonu. Taki doświadczony zawodnik w szatni byłby świetny na start w nowy sezon. Ale klub nigdy nie zaproponował mu kontraktu.

Tydzień później wyjechałem z rodziną na wakacje – na safari do RPA. Oglądałem sobie słonie, kiedy zadzwonił do mnie agent Shauna.

– Twój klub nie skontaktował się z nami w sprawie kontraktu.

Byłem naprawdę zażenowany i nie mogłem w to uwierzyć.

Zadzwoniłem do Simona, żeby zapytać, o co chodzi z Shaunem. Przecież chce do nas przejść, a kontrakt jest tylko na rok.

Powiedział, że go nie chcą.

To był kolejny znak ostrzegawczy.

Przyjechał Lee Carsley, ale klub nie zaproponował mu kontraktu. To samo było z Kevinem Kilbane'em. To byli dobrzy, doświadczeni gracze i fajni faceci.

Kevin powiedział mi, że nikt z klubu nawet się do niego nie odezwał.

Zadzwoniłem do Simona, a on do Kevina, żeby go przeprosić. Kevin ponad sto razy grał w reprezentacji, a oni nawet nie zadzwonili do niego, żeby powiedzieć, że nie mają dla niego propozycji.

A mogliśmy ich wszystkich dostać za darmo.

Dałem zatem szansę ośmiu zawodnikom z Akademii. Siedmiu z nich nie było wystarczająco dobrych. Wypożyczyłem zatem jednego, dwóch graczy.

Przed sezonem zostaliśmy u siebie. Chcieliśmy zagrać ze słabszymi drużynami, wygrać kilka meczów, żeby zawodnicy zyskali pewność siebie, ale też dorzucić kilka trudniejszych. Zagraliśmy zatem z Histon, Great Yarmouth i Hadleigh United, a potem z West Ham i PSV Eindhoven.

Z powodu kłopotów rodzinnych odszedł Charlie McParland, był z Nottingham. Poprosiłem zatem Gary'ego Abletta, żeby został trenerem pierwszej drużyny. Grywaliśmy w przeciwnych drużynach, spotkałem go podczas kursu Pro Licence. Polubiłem go. Jako piłkarz grał w dużych klubach – Liverpoolu i Evertonie. Był menedżerem Stockport i zarządzał młodymi zawodnikami Liverpoolu. Jego osobowość szła w parze z kwalifikacjami.

Akurat przed wyjazdem Gary dotarł na mecz z PSV. Przegraliśmy 0:1. Drużyna PSV była naprawdę świetna. Pozwoliłem chłopakom wypuścić się w nocy w miasto, byliśmy w końcu w Amsterdamie. Następnego dnia dwóch spóźniło się na autobus.

Ostrzegałem ich, żeby zachowali się odpowiedzialnie i nawet jeśli wypiją kilka piw, muszą rano wstać.

Ale oczywiście znalazło się dwóch spóźnialskich. Ukarałem ich.

Kara klubowa wynosi zazwyczaj kilka tysięcy, ja karałem kilkoma setkami, w gotówce. Wytłumaczyłem graczom, że te pieniądze trafiają do skarbonki z przeznaczeniem na świąteczną imprezę albo na rozrywkę dla graczy i personelu, bądź też na napiwki dla pracowników serwisu. Chłopaki w związku z tym nie mieli problemu z płaceniem kar, bo wiedzieli, co będzie się dalej działo z tymi pieniędzmi.

Zarządzenie, że zostajemy u siebie, z wyjątkiem krótkiej wycieczki do Holandii, doskonale się sprawdziło. Poszedłem

zobaczyć, jak grają nasi rezerwowi z Tottenham XI. Pablo Couñago wszedł na dziesięć minut i był kurewsko beznadziejny. Jakieś pięć minut przed końcem powinien podać piłkę napastnikowi, który był na dobrej pozycji.

Po meczu poszedłem do szatni, żeby go opieprzyć.

– Powinieneś był, kurwa, podać mu tę piłkę.

– Cóż – odparł – jak mamy cokolwiek wygrać z tobą w roli menedżera?

Omal go nie uderzyłem, ale zdołałem się powstrzymać.

Kiedy byliśmy w Holandii, na meczu z PSV, Gary nie czuł się dobrze.

Poszedłem do niego z kilkoma osobami z personelu.

– A może tęsknisz za Liverpoolem, Gary? Brakuje ci płonących samochodów i dresiarzy?

Takie tam przyjacielskie żarty.

– Po prostu nie czuję się najlepiej – odparł Gary.

Przez kilka dni nie było go w pracy. Szybko się rozchorował. Mieszkał w hotelu niedaleko mnie, więc poprosiliśmy lekarza klubowego, żeby do niego pojechał. Po dwóch dniach leżał już na oddziale onkologicznym w Cambridge. Miał nieziarniczego chłoniaka, rodzaj nowotworu krwi. Walczył o swoje życie. Nigdy już nie wrócił do pracy.

Dołączył do nas przed sezonem, kiedy wiele osób było na wakacjach, więc jego kontrakt nie był jeszcze podpisany. Choć wszystkie warunki były uzgodnione, z prawnego punktu widzenia klub nie był do niczego zobowiązany.

Zadzwoniłem do LMA, Zrzeszenia Menedżerów Ligowych[11] i powiedziałem, że ktoś musi do nas przyjechać, bo jeden z moich pracowników potrzebuje pomocy.

Gary nie był członkiem stowarzyszenia, mimo to organizacja zachowała się wspaniale. Zadbali o wszystkie jego uprawnienia i klub musiał uznać kontrakt.

Spotkałem się z personelem, żeby powiedzieć, w jak ciężkim stanie był Gary. Obawiałem się, że nie jestem na to gotów, ale

przecież do nie da się przygotować do przekazywania takich informacji. Nie wydaje mi się, że załatwiłem to odpowiednio, ale wcale nie jestem pewien, czy ktoś starszy lepiej by sobie z tym poradził.

Gary pisał książkę – jest bardzo dobra – i powiedział mi, że duży wpływ na jego chorobę miały stresy związane z futbolem – był o tym przekonany. W Stockport miał problemy finansowe związane z transferami. Zniszczyły go naciski i stres.

Po treningach jeździłem do Cambridge, żeby go odwiedzić. W końcu został przeniesiony do szpitala Christie's w Manchesterze, żeby być bliżej rodziny w Liverpoolu. Wszyscy do niego pojechaliśmy, ja odwiedzałem go w domu. Chciał zacząć wygłaszać prezentacje, o swojej karierze i związanych z futbolem stresach. Nie był w stanie wrócić do trenowania, więc wymyślił sobie taki plan. Ale go nigdy nie zrealizował.

Zmarł rok i cztery miesiące po postawieniu diagnozy. Kiedy dowiedziałem się o tym, byłem na wakacjach na Mauritiusie. Nie pracowałem już wtedy w Ipswich.

To był dla mnie prawdziwy szok.

* * *

Mieliśmy świetny start, trzy zwycięstwa – z Middlesbrough, Palace i Bristol City, dwa remisy – z drużynami Burnley i Portsmouth. Byliśmy na trzecim miejscu, to mnie cieszyło. Pięliśmy się w górę. Drużyna się zadomowiła. Mieliśmy jednego zawodnika na pierwszej linii i świetną drużynę w kontrataku. To się świetnie sprawdziło w meczu z Middlesbrough. Tydzień później, w połowie września, byliśmy na drugim miejscu, po tym, jak wygraliśmy z Cardiff City. Straciliśmy jednak trzech zawodników.

Pokłóciłem się z Jonem Waltersem.

Chciał odejść. Do rozpoczęcia sezonu mieliśmy jakieś trzy, cztery mecze. Słyszał, że interesuje się nim Stoke. Znowu Tony Pulis – nie kontaktował się ze mną w sprawie tego piłkarza.

– Jon, nikt nie dzwonił do mnie w tej sprawie – powiedziałem.

Nie mogłem go winić za to, że chciał odejść. Dobrze sobie u nas radził i miał szansę trafić do Premiership. Zrobił to jednak w niewłaściwy sposób.

Wrócił kilka dni później.

– Zdecydowali się na mnie.

– Ale ja o niczym nie wiem – powiedziałem. – Dam ci znać, jeśli pojawi się oferta. Niczego przed tobą nie ukrywam. Możesz zadzwonić do właściciela, ja nie zajmuję się interesami.

– Ja tego nie kupuję.

To było zwykłe pieprzenie i mydlenie oczu.

– Dlaczego mi, kurwa, nie wierzysz?

Nie zazdrościłem mu przenosin, chociaż traciłem jednego z moich lepszych zawodników – a może nawet pracę. Obaj byliśmy wkurzeni. Nie wystawiłem go do następnego meczu, z Burnley. Wygrywaliśmy 1:0, ale oni znowu strzelili gola w doliczonym czasie. Po meczu na konferencji prasowej powiedziałem, że Jon nigdy więcej nie zagra dla klubu, bo jego zachowanie było nie do przyjęcia. Jego wartość już spadła.

Sprzedaliśmy go do Stoke tydzień później. Wszystko mogło być lepiej załatwione, niemniej ja odegrałem swoją rolę. Rozstaliśmy się w przyjaźni.

Pewnego dnia przyszedłem do klubu i zauważyłem, że nie ma jednego z zawodników.

– Gdzie jest Jon Stead?

– Pojechał na rozmowy do Blackpool.

Nikt mi o tym nie powiedział.

Tydzień później rozmawiał z Bristol City.

Zadzwoniłem do Simona.

– Rany, nie byłem pewien, czy ci powiedzieć – odparł.

Tak więc odeszli Jon Walters, Jon Stead i Alex Bruce. Najbardziej bolesna była strata Jona Waltersa. Poza tym dwóch ważnych zawodników doznało urazów – Gareth McAuley i David Norris. Gracze, których chciałem zatrudnić – Kilbane, Derry i Carsley – bardzo by się teraz przydali.

Bramkarza, Asmira Begovicia, wypożyczyliśmy z Portsmouth, ale tylko na sześć meczów. Właściwie nie widziałem go w grze, ale ujął

mnie sposób, w jaki wszedł do budynku. Polepszył nastrój na boisku treningowym. W tych sześciu meczach, w których stał w bramce, byliśmy nie do pokonania, ale Portsmouth wezwał go z powrotem, bo kontuzji uległ chyba David James. Asmir gra dzisiaj w Stoke, grał też w drużynie Bośni i Hercegowiny w Mistrzostwach Świata w Brazylii.

Dostałem pozwolenie na ściągnięcie innego bramkarza, Mártona Fülöpa z Sunderland. Chciałem go tylko wypożyczyć.

Właściciel jednak zadzwonił do mnie i powiedział, że go kupili, zdaje się, że za jakieś 750 tysięcy.

Powiedziałem mu, że w Sunderland zgodzili się go sprzedać, bo pewnie chcieli się go pozbyć.

Sprowadziłem z Cardiff Marka Kennedy'ego, ale on przez większość czasu był kontuzjowany. Z Wigan przyjechał Jason Scotland, który jednak żadnych cudów nie zdziałał; poza tym przybył zaraz po tym, jak odeszli Jon Walters i Jon Stead, nie było go zatem w żadnym planie na ten sezon.

Szukałem zawodników, których mógłbym wypożyczyć. Podzwoniłem po ludziach, z którymi kiedyś grałem z prośbą o przysługę, ale nic to nie dało. Pozyskałem Androsa Townsenda i Jake'a Livermore'a, z Tottenhamu, ale w 2010 oni byli wciąż bardzo młodzi, a nawyki wyniesione z Tottenhamu w takim klubie jak Ipswich to nic dobrego. Byli młodzi i dołączyli do innych młodziaków, z niskim wynagrodzeniem. Przyjechał też z Sunderland Jack Colback, ale niebawem Steve Bruce chciał go z powrotem do rozgrywek pucharowych, w których Sunderland miał grać z Notts County.

– Chcesz go z powrotem na mecz z Notts County? – zapytałem.

– No tak, jest nam potrzebny.

Przegrali.

W połowie listopada przegraliśmy sześć meczów z rzędu – z Derby, Barnsley, Hull, Norwich, Swansea, Preston. Spadliśmy na osiemnaste miejsce. Pokonaliśmy Leicester 3:0, dwa mecze zostały przełożone, bo zamarzła murawa na boisku. W Nowy Rok zremisowaliśmy z Coventry. Dwa dni później przegraliśmy u nas 0:1 z Forest. Graliśmy całkiem dobrze, ale przegraliśmy. Damien

Delaney strzelił samobója. Damien – gracz, dla którego byłem chyba zbyt surowy.

To był mój koniec.

Walczyliśmy o przetrwanie. Byliśmy trzy miejsca powyżej dołu tabeli. Jednak ten telefon mnie zaskoczył. Nie zauważyłem, że koniec jest tak bliski.

Następnego popołudnia po meczu byłem w domu. Zadzwonił do mnie właściciel.

Straciłem pracę.

Zadzwoniłem do Charliego McParlanda, który wrócił do klubu, kiedy Gary się rozchorował.

Powiedziałem mu, co się stało. Odparł, że spodziewał się tego właśnie dzisiaj.

Odpowiedziałem, że ja nie spodziewałem się.

Naprawdę poczułem się zraniony, było mi strasznie przykro. Ale nie okazuje się takich rzeczy. Głupio mi było przed rodziną, bo urażono moją dumę. Zawsze uważałem, że z United odszedłem na własnych warunkach – to była moja decyzja. Mogłem zostać, kontrakt ciągle był ważny. Kiedy menedżer powiedział, że doszliśmy do końca, ja mogłem odpowiedzieć, że tak nie uważam.

Pokazano mi drzwi, ale to ja je otworzyłem i wyszedłem.

W Sunderland nie mogłem dogadać się z właścicielem i wiedziałem, że trzeba odejść. A tym razem mnie wylali. To naprawdę zabolało. No, nie odniosłem sukcesu.

Pojechałem do szkoły, żeby zabrać dzieci, potem do domu, żeby powiedzieć żonie, co się stało.

W ręku trzymała kopertę.

Powiedziała, że ktoś wsunął ją pod drzwi, kiedy pojechałem po dzieci.

Podrzucił ją ktoś z klubu. Wymówienie.

Nie miałem nic przeciwko rozmowie telefonicznej. Ale list? Banda skurwieli.

Nie miałem też problemu z tym, że to właściciel do mnie zadzwonił. Nawet dzisiaj chętnie bym z nim porozmawiał. To jest

biznes, jestem pewien, że ciągle musi podejmować takie decyzje. Byłem jedną z wielu osób, które zwolnił.

W ciągu 48 godzin wspólnie z rodziną podjąłem decyzję, że wynosimy się z Ipswich.

Kupiliśmy tu dom i wyremontowaliśmy go. Ale chciałem wrócić do Manchesteru. Nasz dom w Manchesterze wystawiony był na sprzedaż, szczęśliwie kupiec jeszcze się nie znalazł. Przeprowadziliśmy się jakiś miesiąc później.

Kiedy wróciliśmy do naszego starego domu w Manchesterze, a dzieci do szkoły St. Bede's, miałem wrażenie, że przez ostatnie 18 miesięcy byłem w śpiączce. Chciałbym, żeby to się nigdy nie stało. Ale stało się.

Ucierpiała moja duma.

Nie udało się. A przecież mogło się udać.

Moją pracę w Ipswich podsumowuje jedno wydarzenie. Musiałem pojechać na swoje pierwsze spotkanie z akcjonariuszami, to było po jakichś czterech miesiącach pracy. Głównym akcjonariuszem był Marcus Evans, ale byli też inni. Pojechałem tam zatem w garniturze. W tamtym sezonie mieliśmy słaby start, ale powiedziano mi, żeby się nie martwić, bo spotkanie będzie bardzo bezpośrednie.

Facet od mediów też mi mówił, że pewnie będą po prostu zadawać wiele pytań. To dość kameralne spotkanie. Będą zapewne pytać o program albo o jakieś bzdury.

Przeszliśmy przez kwestie finansowe, akcjonariusze podziękowali Marcusowi Evansowi za wsparcie i wspomnieli, że Akademia dobrze sobie radzi.

– Jakieś pytania z sali? Przekażcie mikrofon.

Pierwsze pytanie.

– Nazywam się tak i tak. Myślę, że Roy Keane powinien natychmiast zrezygnować ze stanowiska menedżera w tym klubie.

Miałem ochotę powiedzieć, żeby gość dał mi czas do jutra.

W ciągu dwóch minut zamknąłem za sobą drzwi.

Moją największą porażką była rekrutacja. Bez względu na to, czy powodem był brak dobrej komunikacji z informatorami, czy

zatrudnianie niewłaściwych zawodników – od mojego zespołu zależało, czy odniosę sukces, czy poniosę porażkę. Sprzedałem Jordana Rhodesa, który strzelał gole. Czy posłuchałem złego doradcy? Czasem się zastanawiałem, czy oni też mnie słuchają.

Powinienem słuchać własnej intuicji.

Dzisiaj częściej oglądałbym graczy. Skupiłbym się na tym, w czym piłkarz jest dobry, a nie na tym, czego nie potrafi robić.

Muszę też pamiętać, że Ipswich nie zdobył zbyt wiele, zanim przyjechałem, od tamtej pory też nic nie osiągnął. To nie Barcelonę ściągnąłem na dno ligi. Przejąłem Ipswich i trochę się cofnęliśmy. Użalanie się nad sobą włącza się bardzo szybko.

Nie było mnie raptem tydzień, kiedy Ipswich grał z Arsenalem w pierwszej części półfinału Pucharu. Mówiłem, że zbyt wielu młodych graczy zostanie zjedzonych w Championship. Ale oni świetnie sobie radzili w Pucharze Ligi. W doliczonym czasie pobiliśmy Exeter na ich własnym boisku; wygraliśmy na wyjeździe z Crewe i Millwall, a u siebie z West Brom i Northampton. W ciągu dwóch tygodni po tym meczu Roberto Di Matteo wyleciał z roboty po porażce 0:3 z Manchesterem City. Potem zremisowaliśmy z Arsenalem na drugim etapie rozgrywek półfinałowych.

Ipswich wygrał z Arsenalem na pierwszym etapie. Po raz pierwszy od trzydziestu kilku lat doszliśmy do półfinału Pucharu.

Dziś bardziej bym sobie ufał. W Ipswich rozmawiałem z ludźmi z personelu i musiałem sobie przypominać, że przecież grałem o wiele więcej meczów na najwyższym poziomie, zarządzałem drużyną grającą w wyższej lidze, a słuchałem rad ludzi, którzy nie mieli za sobą takich doświadczeń. To nie znaczy, że nie wato było ich słuchać, nie o to mi chodzi. Po prostu nie doceniałem siebie.

Wciąż rozmawialiśmy o zawodnikach, piłkarzach, których chciałem pozyskać.

– Myślę, że jest fantastyczny.

– Jest świetny.

– Moim zdaniem jest dobry.

– Ten nie jest dobry.

– Będzie mógł do nas przejść.

– Nie będzie.

– Myślę, że jest świetnym facetem.

– Myślę, że jest fiutem.

Byliśmy na meczu rezerwowych, a ja spytałem, co sądzą o tym chłopaku, Iversonie.

Dwóch gości z personelu od razu powiedziało, że nie bardzo im się podoba.

Wkurzyłem się.

Następnego dnia wziąłem ich na stronę.

– Chłopaki, następnym razem, kiedy o kogoś spytam, nie oceniajcie go źle, zanim się nie zastanowicie.

Doświadczenie zdobywa się poprzez błędy, zatem – znów muszę sobie wybaczyć. Ancelotti, van Gaal – uczyli się dzięki doświadczeniu.

Dziś spróbowałbym bardziej się tym cieszyć. Próbowałbym być trochę bardziej sobą. Zdaje się, że presja wywierana na menedżera sprawiła, że wczułem się w rolę. Bo to jest rola. Grałem ją też, kiedy byłem piłkarzem. Wtedy miałem nad tym większą kontrolę. Na boisku było łatwiej. Jako menedżer chcesz, żeby zawodnicy grali dla ciebie. Ancelotti zarządza Realem Madryt i jest wspaniałym facetem. Mówiąc krótko, mogę przynajmniej powiedzieć, że byłem sobą.

W Ipswich trochę grałem. To senne miasteczko, a ja chciałem je rozkręcić. Zabrałem chłopaków do komandosów. Jedliśmy przez całą noc świnię. Właściwie strzeliłem sobie w stopę. Nie podobało mi się, że Ellis Short rozmawiał ze mną, jakbym był gównem na jego podeszwie. Zdaje się, że ja sam mówiłem w ten sposób do niektórych w Ipswich.

Po mnie przyszedł Paul Jewell i od razu powiedział, że musi posprzątać ten bałagan.

To nie był bałagan. Byliśmy dobrze zorganizowani, treningi były odpowiednie.

Ściągnął takich ludzi jak Jimmy Bullard z Hull, który zarabiał jakieś 20, 30 tysiaków tygodniowo. To się zdarza – ufa się nowemu menedżerowi. Przez chwilę.

Jedenaście

Niechętnie podjąłem pracę eksperta. Ale takie podejście chyba sprawiło, że moje komentarze były wartościowe. W pracy komentatora liczyła się dla mnie prostota – tak samo grałem na boisku. Adrian czasem patrzył na mnie, dając mi do zrozumienia, że stacja oczekuje czegoś więcej. A ja mówiłem, że wystarczy, bo wszystko już powiedziałem.

Nie sądzę, że kiedykolwiek użyłem słowa „bezrobotny” w stosunku do siebie. Nie chcę mieć takiej etykietki i dlatego zacząłem zajmować się różnymi rzeczami, co do których nie miałem przekonania – imprezy PR, podpisywanie książek, mecze charytatywne. Dobry sposób na zabicie czasu i zarobienie paru groszy. Wszystko to podtrzymywało mnie na duchu, bo nie chciałem bezczynnie siedzieć i czekać, aż ktoś zadzwoni. Bezczynność jest powodem do wstydu. Wiem – czasem nie masz wyboru. Ja jednak miałem wybór.

Kiedy odszedłem z Sunderland miałem poczucie, że osiągnąłem na tyle dużo, by zacząć inną pracę. Po pracy w Ipswich myślałem, że jednak nie zrobiłem zbyt wiele, nie zasłużyłem zatem na nową propozycję i powinienem przygotować się na najgorsze.

Jest takie powiedzenie, że kiedy zamykają się jedne drzwi, otwierają się następne. Jednak w futbolu nie zawsze tak jest. Jeśli zamkną się jedne drzwi, zamykają się wszystkie inne. Nawet przez chwilę nie myślałem, że mój telefon bez przerwy będzie dzwonił. W końcu zaproponowano mi pracę za granicą, rozmawiałem z jednym z tureckich klubów, ale to nie było najlepsze rozwiązanie. Rozmawiałem też z jednym z klubów z Premiership i klubem z Championship, ale żaden z nich niczego mi nie zaproponował.

Słyszałem kiedyś, że pewien pięćdziesięcioletni profesor mawiał do swoich studentów, żeby nie martwili się o swoją przyszłość, nawet jeśli nie wiedzą jeszcze, co będą robić. Spodobało mi się to, bo dawało nadzieję.

W końcu wylądowałem w Nigerii, występując na wielkiej imprezie Guinnessa w listopadzie 2011.

Osoba z wierchuszki Guinnessa skontaktowała się z Michaelem Kennedym. Zaproponowali wysokie wynagrodzenie. Wyjeżdżałbym na trzy, cztery dni, razem z Marcelem Desaillym.

Zadałem sobie pytanie, czy aby na pewno właśnie tego chcę, ale pomyślałem, że nie mam nic innego, poza tym nigdy nie byłem w Nigerii.

Ostrzegano mnie, że choć pieniądze są świetne, powinienem uważać, bo w Nigerii zdarza się dużo porwań.

Kiedy żona i dzieci dowiedzieli się o ofercie, byli za tym, żebym jechał. Nikt przecież nie zapłaci za mnie okupu.

Pomyślałem, że spróbuję i zobaczę, czy będzie mi się to podobać i jak wartościowe będzie to doświadczenie.

Pojechałem do Londynu, do hotelu przy lotnisku Heathrow, i spotkałem się z pracownikiem średniego szczebla – zawsze jest jakiś agent, a ja nie pamiętam nawet jego imienia. Przedstawił mnie Marcelowi. Nigdy wcześniej się z nim nie spotkałem, chociaż graliśmy kiedyś w jednym meczu, ale w przeciwnych drużynach. Odbyliśmy miłą rozmowę, trochę pożartowaliśmy. Polubiłem go.

Następnego dnia polecieliśmy do Lagos. Przejście przez kontrolę bezpieczeństwa na lotnisku to był prawdziwy koszmar – niezły chaos. Jeśli ogląda się filmy i jakaś scena rozgrywa się na afrykańskim lotnisku, myślisz sobie, że nie może być aż tak źle. Może. Na szczęście mieliśmy własnych gości od bezpieczeństwa, którzy nas przeprowadzili.

Impreza nazywała się Guinness VIP. Byliśmy na scenie, ale było dość kameralnie – sto osób, może trochę więcej, siedzieli wokół nas. Można było się odwrócić i porozmawiać z nimi. Było też

internetowe połączenie na żywo. Pierwsze pytanie dotyczyło tego, co robiliśmy, od kiedy przestaliśmy grać.

Ponieważ nie aż tak dawno przestałem grać, więc dali mi mikrofon. Powiedziałem, że trochę podróżowałem i próbowałem swoich sił jako menedżer. Ale oni widzieli tylko Roya Keane'a – zawodnika Manchesteru United. Nie liczyły się dla nich moje doświadczenia ani z pracy w Sunderland, ani w Ipswich. Kiedy wzywano nas na scenę, wymieniono wszystkie nasze osiągnięcia. Moje nie były takie złe, ale w porównaniu z osiągnięciami Marcela – Mistrzostwo Świata, Liga Mistrzów z Milanem – wypadały dość blado. Dlatego opowiadałem o moich podróżach z rodziną – Australia, Las Vegas.

Spokojna, wyważona odpowiedź.

Zwrócili się do Marcela.

– A pan co robił?

– Budowałem szkoły, pracowałem na rzecz dzieci dla różnych fundacji w Afryce, bo jestem jednym z was.

Kurwa mać, myślałem, że słucham papieża.

Normalnie dach odfrunął.

Spotkanie trwało jeszcze przez godzinę. Zeszliśmy ze sceny.

Znałem Marcela zaledwie jeden dzień, ale na tyle dobrze, żeby powiedzieć:

– Wielkie dzięki, skurwielu.

– Co takiego?

– Ja jeżdżę do Vegas, do Sydney popływać na pierdolonej Bondi Beach[12], a ty gołymi rękami budujesz szkoły.

– Roy – powiedział – trzeba odegrać swoją rolę.

Zaniósł się śmiechem.

Następnego ranka mieliśmy pojechać na północ, do Ibadan. Czekał na nas helikopter.

– Ja do niego nie wsiądę – powiedział Marcel. – Helikopter to nie dla mnie.

Zatem wynajęto dla nas minibus. Gram zespołowo, więc pojechałem z nim. Przez niemal trzy godziny podróży Marcel nie odezwał się ani słowem, przeglądał pocztę i serfował po sieci.

Dojechaliśmy do hotelu trzy godziny później, niż doleciałby tam helikopter.

Zaczęła się impreza.

Pierwsze pytanie:

– Co robiliście, od kiedy zakończyliście karierę piłkarską?

Powiedziałem, że angażowałem się w pracę charytatywną i wspomniałem o fundacji Irish Guide Dogs – wyrzuciłem to jednym tchem.

Marcel spojrzał na mnie z aprobatą.

Następnego ranka mieliśmy lecieć z powrotem do Lagos. Zjechaliśmy windą do recepcji, przeszliśmy na tyły hotelu i Marcel bez gadania wsiadł do helikoptera. Byliśmy w Lagos w ciągu pół godziny. W końcu wylądowaliśmy na Heathrow. Miałem lecieć dalej, do Manchesteru. Ale urządzenie prześwietlające mój bagaż zaczęło piszczeć. Na rączce torby zostały jakieś resztki materiałów wybuchowych. To musiało być na rękach gości od bezpieczeństwa, którzy nosili ją w Nigerii. Służyli kiedyś w SAS, wszędzie z nami chodzili.

Wspomniałem o samolocie do Manchesteru.

Goście z Heathrow tylko na mnie spojrzeli, mówiąc, że to akurat jest moje najmniejsze zmartwienie.

– Musimy to sprawdzić. To bardzo ważne.

– Ale ja byłem w Nigerii.

– No dobra, sprawdzimy jeszcze raz. Ale jeśli znowu coś wykryjemy, nigdzie pan nie poleci.

Za drugim razem nic się działo, więc poleciałem do domu.

Potem wziąłem udział w spotkaniu z fanami na NEC Arena w Birmingham. Razem z innymi byłymi zawodnikami rozdawałem autografy.

Siedziałem przy długim stole wraz z innymi graczami. Patrzyłem na takich gości jak Denis Law i myślałem, że nie powinno ich tam być, bo są na to za dobrzy. Ale o pozostałych myślałem, że wiem, dlaczego tam są, można było zgarnąć niezłą forsę. Wielu z tych graczy nie zarabiało wcześniej dużych pieniędzy.

Ludzie płacili za te autografy na miejscu, piątaka za podpis. Nigdy jeszcze nie byłem tak zażenowany. Niemal słyszałem, jak mówią:

„Za jego podpis zapłacę, ale ten nie jest tego wart”.

To nie było dla mnie. Aż się skuliłem. Nie mogłem się doczekać, żeby wyjść. Zapłaciłbym podwójną stawkę, gdybym tylko mógł zwiać.

Grałem w kilku meczach charytatywnych. Byłem zaskoczony, że trzeba było zapłacić za to, że bierze się udział w meczu charytatywnym. Ale zapłaciłem. Jeden mecz odbył się dla UNICEF-u, na Old Trafford. Jakieś zespoły muzyczne przeciwko reszcie świata. Graliśmy też na stadionie Celticu. Byli piłkarze przeciwko komuś tam.

Czułem się okropnie.

Czy to do tego już doszło?

Nie chciałem skończyć, grając z pierdolonym JLS[13]. To nigdy nie był mój główny plan. Jak wywalą cię z klubu, od razu łapiesz nadwagę. Doznajesz urazów; sam siebie zawstydzasz.

Co ja robię?

Nie podobało mi się to, kim się staję.

Nie zazdroszczę innym ich wyborów. Jeśli chcą jechać do Indii i grać w meczu Legends za 50 tysięcy, doskonale to rozumiem. Ale ja nie chcę tak skończyć.

Postanowiłem jednak próbować wszystkiego. Wolę żałować tego, co zrobiłem, niż tego, czego nie zrobiłem.

Przez chwilę byłem konsultantem rubryki sportowej w „The Sun”. Znów mi powiedziano, że to łatwa kasa. Postanowiłem spróbować, ale zabrakło mi entuzjazmu. Nienawidziłem tego. W każdy piątek czy sobotę dzwoniłem do dziennikarza i przekazywałem mu opinie na różne tematy. Przyszedł jednak taki moment, kiedy uczciwie musiałem przyznać, że na ten konkretny temat nie mam nic do powiedzenia. Ale dla dziennikarza to przecież problem. W jednym z wywiadów zapytano mnie o coś związanego z Manchesterem United, a ja na to, że nie mam zdania na ten temat. Wyobrażam sobie, że tytuł krzyczał: „Szok! Keane nie wie, co powiedzieć!”.

Liczyłem na to, że coś się pojawi, że wszystko się ułoży. Zawsze, kiedy traciłem wiarę w siebie, na przykład w Cobh, kiedy myślałem, że nie dam sobie rady, coś się zdarzało. Pojawił się Forest, a potem United. Wiem, że nie zawsze musi tak być, że może przestać się układać. Ale brak wiary w siebie był jednocześnie moją motywacją.

Nigdy nie czułem się zdołowany. Myślę, że jest różnica między dołem a smutkiem. Czasem ogarniał mnie smutek, ale zawsze miałem nadzieję, że coś dobrego się wydarzy. Mam trochę forsy w banku, więc finansowo byliśmy zabezpieczeni, wiem, że to daje duży komfort psychiczny. Ale polegać tylko na bezpieczeństwie finansowym i popadać w bezczynność – tego nie chciałem. Niekoniecznie chodzi tu o pieniądze, ale o samopoczucie.

Kiedy byłem jeszcze piłkarzem, komentowałem już jeden mecz, między Manchester United a Arsenalem. Miałem kontuzję, więc zaproszono mnie do komentatorów w telewizji Sky. Niespecjalnie mi się to podobało, bo nie do końca było w porządku – wciąż byłem zawodnikiem, więc za dużo nie mogłem powiedzieć.

Teraz jednak było inaczej. Już nie grałem, a Stowarzyszenie Menedżerów Ligowych chciało, żebym był widoczny. Tak, używali słowa „widoczność". To było jakieś cztery czy pięć miesięcy po zakończeniu pracy w Ipswich. Zacząłem się wtedy czuć bezrobotny. Nie byłem z tego zadowolony, bo wcześniej – kiedy zakończyłem karierę piłkarza i po odejściu z Sunderland – czułem, że zaraz znajdę kolejną robotę.

Siedziałem w kuchni. Żona wyszła, a dzieci były w szkole. Zadzwonił telefon. To był Michael. Ludzie z ITV[14] pytali, czy byłbym zainteresowany skomentowaniem finału Ligi Mistrzów. United miał grać z Barceloną, a ja nie miałem biletu.

Pomyślałem, że czemu nie, przynajmniej obejrzę mecz.

To nie była niespodzianka, ITV kontaktowała się ze mną wcześniej. Ale to był ostatni dzień przed meczem – środa przed finałem. Musiałem zdecydować się w ciągu kwadransa.

Zazwyczaj kiedy Michael dzwonił z jakąś prośbą bądź propozycją pracy, prawie zawsze mówiłem, że muszę się zastanowić.

A on śmiał się, że pewnie nie zamierzam tego wziąć, więc da im znać, że odmawiam.

Akurat tamtego dnia przeczytałem swój horoskop. Było w nim napisane, że nie powinienem bez przerwy odmawiać ludziom.

Więc zgodziłem się.

Chciałem dostać bilet.

Byłem kapitanem United i menedżerem, więc zdążyłem oswoić się z kamerą. Ale mój ostatni występ to był wywiad dla MUTV, kiedy Manchester grał z Middlesbrough. Między innymi z powodu tego nagrania pożegnałem się z drużyną.

Byli też inni goście – Gareth Southgate, który bywał tam regularnie, i Harry Redknapp, wtedy menedżer Tottenhamu. Prezenterem był Adrian Chiles, był też znany mi Andy Townsend. Czułem się komfortowo, choć to finał Ligi Mistrzów, a ja byłem wśród nich nowy. Jako piłkarz grałem z Barceloną w Manchesterze i na Wembley. Pomogli mi ludzie z ITV – Gareth i Adrian, a także Charlie. Całkowity spokój, a przecież dla ITV to było wielkie wydarzenie.

Obawiałem się, że United, grając 4-4-2, zostanie w środku boiska zdominowany przez Barcelonę. Grali tam Giggs i Carrick. To dobrzy piłkarze, ale trudno im było odzyskiwać piłki. Wszystko, co mówiłem, przekazywałem w prosty sposób. Co do nich nie myliłem się – rzadko byli przy piłce. Nie trzeba być ekspertem, żeby to przewidzieć.

Ludzie z ITV skorzystali z okazji i oddali mi pole. Niemniej wolę myśleć, że nie mieli wątpliwości co do mojego profesjonalizmu. Może nie miałem wielkiego pojęcia o telewizji, ale znałem się na piłce.

Kilka miesięcy później, z początkiem nowego sezonu, 2011/2012, poproszono mnie, bym komentował kilka innych meczów. Wszystko improwizowałem, z meczu na mecz. Ufałem ITV, niemniej żadnego kontraktu nie chciałem podpisywać. Robiłem to, bo byłem bez pracy ponad dwa lata.

Przyzwyczaiłem się – do podróży, do studia, do komentowania tego, co się dzieje na boisku, do pracy z ludźmi – innymi ekspertami i tymi od produkcji.

Lubiłem podróże – do Monachium, Madrytu, Barcelony… Jeśli nie grali Anglicy, mogłem sobie połazić bez obawy, że spotkam naszych kibiców. Byliśmy w Atenach, żeby komentować mecz United z Olimpiakosem i kilku z nas poszło obejrzeć Akropol. Nie mógłbym sobie na to pozwolić, gdybym był piłkarzem.

Lubiłem jeździć pociągiem do Londynu i spacerować po mieście. Każdego dnia w Londynie starałem się zafundować sobie jakąś przyjemność. Jednak dojazd na stadion i wydostanie się z niego zawsze były trudne z powodu korków. Zacząłem więc jeździć skuterem, bardzo to polubiłem. Wożono mnie na tyle skutera z dworca albo hotelu na Wembley bądź Stamford Bridge. Polubiłem ten zwyczaj – wyjazd na mecz, powrót domu. Polubiłem ludzi z ITV, z którymi pracowałem.

Wyjazdy nie zawsze były przyjemne. Komentowaliśmy mecz City z Villarreal w Hiszpanii. Kilku fanów City zaczęło mnie obrażać w bardzo ordynarny sposób. Zastanawiałem się, czy jest mi to potrzebne… Ale później komentowaliśmy mecz United i fani ciosali kołki na głowie Lee Dixonowi, a ja powiedziałem, że musimy to znosić.

Lubiłem, kiedy drużyny United albo City grały u siebie, bo to dwie minuty od mojego domu. Wynagrodzenie było zawsze to samo, bez względu na to, gdzie jechaliśmy – do Etihad czy do Monachium. Mecz w Monachium to trzy dni poza domem, w Manchesterze – mniej niż jeden.

Kilka razy niespecjalnie byłem zadowolony. Nie byłem w nastroju albo mecz był nudny – żadnych goli, żadnej akcji – zupełnie niewart podróży. Często byłem poza domem, kiedy obchodzono jakieś rodzinne święto – urodziny albo coś w tym stylu.

Powiedziałem producentowi, Tony'emu Pastorowi, a później Markowi Demuthowi, że kończę z tym, bo mam dość. Przez jakiś czas nie jeździłem z nimi. Potem jednak oglądałem mecz i myślałem, że mógłbym coś na jego temat powiedzieć.

Kilka tygodni później skontaktowali się ze mną i zapytali, czy jestem pewien, że nie chcę komentować kolejnego meczu.

– Czemu nie – odparłem.

Wróciłem, a chłopaki mówili, że wątpili w mój powrót.

Powiedziałem, że to jeszcze tylko kilka meczów.

Kiedy byłem menedżerem, zawsze kończyło się to źle. Tym razem jednak to ja trochę dyktowałem warunki. Czasem nawet narzekałem, jeśli było na co.

Byli piłkarze, dla których zaczęły się trudne czasy, to ci, którzy nic nie robią. Futbol był dla mnie odpowiedni i choć zawsze kłóciłem się o dobry kontrakt, nie chodziło mi o pieniądze, tylko o to, żeby móc wyjść z domu.

Przed meczem zawsze musiałem się przygotować, zapoznać się z przeciwnikami Anglików. Przysyłano mi nagrania meczów i informacje o zawodnikach. Ale szybko się uczysz, że nie potrzebujesz wiedzieć zbyt wiele, bo na antenę wchodzi się na krótkie chwile – przed meczem, w przerwie i po meczu. Uczyłem się wszystkich trików tego układu.

To była praca, ale nie chcę mieć łatki eksperta. W ogóle nie lubię być szufladkowany. Co innego nazywanie mnie piłkarzem, bo kochałem grać.

To nie szychta w kopalni, niemniej praca w telewizji ma swój sens. Stwarza pole do dyskusji, nawet jeśli chodzi o różnice w sposobie oceny. To wymaga umiejętności. Wszystko trzeba wyważyć. Chcesz zwrócić uwagę na coś, czego nie zauważyłby ktoś, kto nigdy nie grał, ale też nie należy traktować ludzi z góry. Chcesz ich czegoś nauczyć i zapewnić im rozrywkę. Jeśli jestem w restauracji, niekoniecznie chcę wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w kuchni, ale jakaś ogólnikowa informacja może być interesująca.

Równowaga jest istotna, bo im więcej mówiłem, tym gorsze opowiadałem bzdury. Starałem się więc mówić krótko. Wielogodzinne wystąpienia, takie jak w Sky albo RTE na pewno by mnie wykończyły. Skończyłoby się na tym, że analizowałbym każdy szczegół.

Uczyłem się ograniczeń pracy w telewizji. Musiałem pamiętać, że nie każdy rozumie, dlaczego któryś piłkarz robi to czy tamto.

– Pobiegł tam, bo nie miał wyboru.

– Nie wiedziałem – odpowiedział Adrian.

– Pobiegł tam – mówiłem – żeby ruszyć innego gracza.

– Taka jest prędkość podania.

Starałem się nie opowiadać o rzeczach oczywistych, ale też nie chciałem być przemądrzały. Przypuszczam, że miałem tę robotę, bo zrobiłem karierę jako piłkarz, nie próbowałem kombinować i byłem trochę nieprzewidywalny. Ludzie czasem mówili, że mam rację, a czasem, że jestem fiutem.

Starałem się nie wygłaszać banałów. Ubiegłoroczny hit to „parkowanie autobusu", a to przecież tylko nowe określenie dla zagrywki taktycznej, którą stosowano od lat. Liverpool korzystał z niej w latach 80. To był taki chwyt jak strzałki na ekranie, trzeba jakoś wypełnić czas na antenie. Brian Clough mawiał: „Taki jest właśnie problem z futbolem – zbyt dużo taktyki". Moim zadaniem było tłumaczenie wszystkiego w prosty sposób.

* * *

Mój problem polegał na tym, że pracę dla telewizji uważałem za zło konieczne, bo odniosłem porażkę jako menedżer w Ipswich. Mówię wyłącznie o sobie – nie o facetach, którzy rzeczywiście chcieli pracować w mediach.

Niechętnie podjąłem pracę eksperta. Ale to podejście chyba sprawiło, że moje komentarze były wartościowe. W pracy komentatora liczyła się dla mnie prostota – tak samo grałem na boisku. Adrian czasem patrzył na mnie, dając mi do zrozumienia, że stacja oczekuje czegoś więcej.

A ja mówiłem, że wystarczy, bo wszystko już powiedziałem.

Przyszła mi kiedyś do głowy myśl – przydałoby się w moim życiu trochę anonimowości. Musiałem jednak pogodzić się z tym, że im częściej występuję w telewizji, tym mniej jest to prawdopodobne. Pytano mnie na przykład, co tam słychać w United, a ja czułem się, jakbym sprzedawał kolejną cząstkę siebie.

Nie miałbym nic przeciw temu, żeby zapuścić brodę i pojechać do Timbuktu – byłoby miło gdzieś pójść i nie spotkać nikogo, kto zapyta, co myślę o van Gaalu albo o Davidzie Moyesie. Czujesz, jakby futbol był pułapką, ale są gorsze rzeczy, w które także można wpaść jak w pułapkę.

Nadszedł moment, kiedy zapytałem siebie, czy to jest rzeczywiście naprawdę to, co chcę robić, Odpowiedź brzmiała: „Nie”.

Nie musiałem jakoś specjalnie przygotowywać się na finał Ligi Mistrzów między Realem i Atlético w maju 2014. W tamtym sezonie często widywałem obie drużyny w akcji. Dostałem jednak nagrania i najnowsze informacje o kontuzjach. Śledziłem też artykuły w prasie w poszukiwaniu nowości, zawsze mogą się przydać.

Jeśli miałem do czynienia z drużyną, której nie znałem tak dobrze, powiedzmy z Schalke, musiałem dłużej się przygotowywać. W sezonie 2012/2013 komentowałem spotkanie Schalke z Paris Saint-Germain, a nie wiedziałem zbyt wiele na ich temat, musiałem zatem trochę poczytać i obejrzeć choć jeden ich mecz, najlepiej na żywo. Gdyby chodziło, powiedzmy o Chelsea albo United, miałem dużą wiedzę na ich temat i mógłbym się odprężyć. Znałem ich korzenie, grałem z nimi, regularnie oglądałem ich mecze.

Mieliśmy komentować finał, dlatego byliśmy na antenie 45 minut przed rozpoczęciem. Nie lubiłem być na antenie zbyt długo, ale rozumiem, po co to wszystko – to jest finał, więc jest dużo reklam. Ale wystąpienie było cholernie trudne, zwłaszcza przed meczem. Zupełnie inaczej jest w przerwie albo po meczu, bo jest do czego się odnieść. Ale przed meczem…

„Jak myślisz, co może się zdarzyć? Kto według ciebie jest bardziej niebezpieczny, Bale czy Ronaldo? Co może zdecydować o zwycięstwie?”

Musieliśmy wygłaszać nasze eksperckie opinie. Czułem się lepiej, wydając opinię o czymś, co właśnie widziałem, a nie o tym, co można będzie dopiero zobaczyć. Aczkolwiek lubiłem trochę hazard i ryzykowałem, mówiąc, że według mnie to się potoczy tak i tak.

Nie cieszył mnie finał Ligi Mistrzów. Czułem się rozbity. Czułem, że nie powinno mnie tam być. Powinienem być w Dublinie, z irlandzką drużyną narodową. Następnego dnia graliśmy z Turcją mecz towarzyski. Pół roku wcześniej dostałem u nich pracę – pracę

w futbolu. Byłem asystentem Martina O'Neilla i dopiero co zacząłem. Powinienem być w Dublinie.

Pod koniec meczu Real prezentował puchar. Był z nami na antenie Steven Gerrard.

– Steven, ty wiesz, jak to jest podnosić to trofeum.

– O tak, to jest fantastyczne.

Jeden z piłkarzy Realu, Xabi Alonso, został zawieszony i nie grał. Adrian zapytał mnie, co się wtedy czuje, bo ja też zostałem zawieszony, przed meczem finałowym w 1999.

– Roy, jak uważasz, o czym może myśleć Alonso? Nie zagrałeś w finale Ligi Mistrzów…

Zadawał mi to pytanie już wiele razy. Rozmawialiśmy o tym po półfinale, kiedy Alonso dostał drugą żółtą kartkę. Rozmawialiśmy też o tym przed finałem, a teraz znowu to pytanie. Pomyślałem, że nie chcę już na nie odpowiadać.

Miałem ochotę powiedzieć Adrianowi, że go pierdolę.

Oczywiście nie zrobiłem tego, chociaż było już po 22.00, więc mogłem to z siebie wyrzucić.

Nie lubię, jeśli jakaś firma uważa, że ma mnie na własność. To jest jak stryczek na szyi. Dlatego jeśli mam być pracownikiem, to tylko w klubie albo w jakiejś organizacji piłkarskiej, nie w mediach.

Po meczu producent, Mark – fajny gość – zapytał mnie, czy wszystko w porządku.

– Nie, Mark – powiedziałem. – Mam dość telewizji. Zapomnij o Mistrzostwach Świata. Nie jadę.

– Jesteś pewien?

– Jestem – powiedziałem. – Straciłem do tego serce.

Kiedy tydzień wcześniej pracowałem przy finale Pucharu Anglii, nie czułem się komfortowo. Znów byłem ekspertem. Ale teraz byłem również asystentem menedżera drużyny Irlandii, a w tym meczu w drużynie Hull grali Irlandczycy. Kilka dni później miałem zacząć z nimi pracować jako trener. Mógłbym jeszcze kiedyś wrócić do telewizji, ale nie w czasie, kiedy będę związany z klubem piłkarskim. Myślałem po prostu, że to nie dla mnie. Wciąż siedziało mi to w głowie, dlatego ulżyło mi, kiedy podjąłem decyzję. Było

zupełnie tak jak wtedy, gdy zadzwoniłem do Gordona Strachana z informacją, że więcej nie zagram. Kamień spadł mi z serca. To oczywiście znaczyło, że nie pojadę na Mistrzostwa Świata, ale i tak jakoś tam siebie nie widziałem. Występowałem w telewizji niemal trzy lata i świetnie czułem się z decyzją o odejściu. Wiem, że praca eksperta to nieodłączna część piłkarskiego życia, ale ja nie chciałem już tego robić, bo miałem wrażenie, że to wysysa mi energię.

Któregoś razu byliśmy w Turynie, Juventus grał z Chelsea. Staliśmy przy narożnej fladze, Adrian obok mnie.

– To wspaniałe, prawda? – powiedział.

Jest prawdziwym fanem futbolu.

– Grywałem w tych meczach, Adrian – odparłem.

To bynajmniej nie była próżność.

Spojrzał na mnie, popatrzył i powiedział, że faktycznie widać, skąd się wywodzę.

Szukałem trochę usprawiedliwienia i uzasadnienia, dlaczego zależy mi na pewnych sprawach. Kiedy byłem w United, płacili mi bardzo duże pieniądze, ale zawsze mogłem powiedzieć, że dzięki mojej grze ta forsa się zwraca.

Miałem wrażenie, że w telewizji tak nie jest.

– Ta impreza to pestka – mówiono mi.

Nie lubiłem łatwych imprez.

Kiedy ktoś mówił, że podobał mu się mój wczorajszy komentarz, to przecież i tak wiedziałem, że pieprzyłem bzdury jak my wszyscy. Mam tylko nadzieję, że moje bzdury były trochę lepsze od reszty.

Potrzebowałem czegoś, co by mnie porwało, a występy w telewizji nie były porywające.

Niemniej bardzo podobało mi się to towarzystwo. Jeśli mieliśmy gdzieś jechać, wyjeżdżaliśmy dzień wcześniej, szliśmy na kolację i na kilka drinków. Lubiłem Adriana Chilesa i Lee Dixona, Garetha Southgate'a, kiedy jeszcze tam pracował, i Martina O'Neilla. Tworzyliśmy małą drużynę. Czasem przyłączali się do nas Andy Townsend albo Clive Tydesley, komentator. Opowiadaliśmy sobie

kawały o futbolu i nabijaliśmy się z zawodników. Dobrze też układało mi się z ludźmi, którzy nie występują na wizji – dźwiękowcami i producentami.

Ciągle byłem w rozjazdach – jeździłem po różnych miastach i stadionach w całej Europie. Spotykałem wciąż tych samych ludzi, którzy robili to co ja. Jechałem raz z Janem Mølbym, który pracuje dla duńskiej telewizji, ale mieszka w Anglii, to była dobra okazja do rozmowy. Lubiłem jego towarzystwo. Jan grał w Liverpoolu i jacyś fani United widzieli nas razem. Jeden z nich zapytał, dlaczego, do kurwy nędzy, gadam z tym facetem.

Miałem ochotę mu odpowiedzieć, że gadam, kurwa, z kim mi się podoba. Facet grał w Liverpoolu w latach 80.!

Lubiłem spotykać się z byłymi piłkarzami. Jan, Ray Houghton, Patrick Vieira, Kevin Kilbane.

W hotelu w Londynie spotkałem przypadkiem Petera Schmeichela. Jadłem śniadanie, a on zapytał, czy może się przysiąść.

Kiedyś się pobiliśmy, a teraz jedliśmy razem śniadanie i żartowaliśmy. To było bardzo miłe. Żaden z nas nie wspomniał o tamtym incydencie.

Konflikty zdarzały się w innych czasach, w innym otoczeniu. Patrick Vieira i ja poszarpaliśmy się w tunelu, a teraz polubiłem spotkania z nim. Za podeptanie Garetha Southgate'a dostałem czerwoną kartkę. Dziś jesteśmy dobrymi znajomymi i jesteśmy w kontakcie. Lubiłem spotykać się z Ianem Wrightem, mimo że byliśmy po przeciwnych stronach. Roberta Pirèsa z kolei kopnąłem kiedyś na boisku, a on dzisiaj się z tego śmieje.

Myślę, że to świetni faceci.

Nie mógłbym sobie pozwolić na takie kontakty, kiedy byłem zawodnikiem. Chyba praca w telewizji sprawiła, że wyszedłem trochę ze swojej skorupy.

Spotkałem Petera Reida.

Zdarzało mi się faulować go albo kontuzjować, oczywiście, z pełnym szacunkiem. Kiedyś przywaliłem mu z buta, grał wtedy w City. Nie pamiętam, czy on też mnie kopał, ale na pewno tak było.

Peter komentował jeden z międzynarodowych meczów Anglii, mieszkaliśmy w tym samym hotelu w Oslo. Poszliśmy na spacer i zjedliśmy razem obiad. Podziwiałem go jako dzieciak, grał wtedy w Evertonie, z Adrianem Heathem i Kevinem Sheedym. A tu proszę, jemy razem obiad. Kiedy tak sobie siedzieliśmy, jeden z nas powiedział, że to jest świetne.

I było świetne.

Dwanaście

Futbol – kocham tę grę. Gdzieś jednak straciłem go z oczu. Straciłem świadomość, dlaczego go kocham.

Myślałem, że Martin O'Neill jest oczywistym faworytem drużyny Irlandii. Spotkałem go kilka razy. Pracowaliśmy razem w telewizji – komentowaliśmy mecze Ligi Mistrzów poza Anglią i po prostu lubiłem jego towarzystwo. I mam nadzieję, że on choć trochę lubił moje. Więc kiedy myślałem, że ma szansę dostać tę robotę, miałem nadzieję, że może o mnie pomyśli.

Moim zdaniem Martin był idealny na to stanowisko – miał odpowiedni charakter, doświadczenie, nawet był w odpowiednim wieku. Wyzwanie także było w sam raz dla niego. I zanim zdążyłem pomyśleć, zadzwonił do mnie i zapytał, czy mam ochotę przyjechać i pogadać.

Pomyślałem, że to może być interesujące.

Naprawdę się cieszyłem, bo po tym, co stało się w United, a zwłaszcza w Ipswich uszła ze mnie trochę miłość do gry. Nienawidzę tego mówić, bo przecież futbol to dla mnie wciąż najlepsza gra na świecie.

Nie spodziewałem się tego, ale też nie byłem specjalnie zaskoczony. W futbolu nigdy nie wiadomo, co czeka za rogiem. Myślałem też, że praca dla reprezentacją Irlandii w charakterze asystenta byłaby dla mnie idealna: praca z Martinem, powrót do Irlandii po wszystkich turbulencjach, niczym podczas jazdy kolejką górską, które zaczęły się, kiedy miałem 14 czy 15 lat. Rozżalenie to może za duże słowo, ale bardzo wcześnie zacząłem się zastanawiać, czy – na Boga – właśnie o to chodzi w tej grze.

Zatem kiedy Martin zapytał mnie, czy mam ochotę do nich dołączyć, pomyślałem, że to wspaniała propozycja.

Naprawdę tak myślałem.

Udawałem, że jestem spokojny, ale byłem w euforycznym nastroju.

Przywróciło mi to trochę radości, którą straciłem – radości, jaką dawał futbol. W piłce nożnej nie ma dobrych zakończeń. Ze mną, jak z wieloma innymi byłymi zawodnikami, nie było inaczej. Pracowałem w telewizji, nadal chodziłem na mecze, co bardzo lubiłem, ale w moim życiu zabrakło celu. Dlatego uznałem, że praca dla Irlandii, praca z Martinem to będzie coś wspaniałego. I fakt, że nie będę menedżerem, bardzo mi odpowiadał. Będę mógł zajmować się zawodnikami i – z całym szacunkiem dla nich – nie będę musiał chodzić na spotkania FAI[15]. Pomyślałem, że nikt nie będzie się wtrącał do tego, co robię.

Będę mógł naprawdę pomóc piłkarzom. Odszedłem od tego jako menedżer, może nawet za bardzo.

Możliwość pracy w charakterze asystenta Martina dawała mi duży komfort psychiczny. Pewnie byłoby inaczej, gdyby chodziło o kogoś innego – kogoś, kto nie miał takich zasług dla futbolu. Ale to był Martin O'Neill. Nie miałem problemu z wypełnianiem poleceń, zwłaszcza kiedy byłem piłkarzem. Nie musiałem być najważniejszy. Owszem, bycie szefem na pewno ma swoje plusy – podobała mi się rekrutacja personelu, no i oczywiście zarabia się więcej. Ale gdyby ktoś zapytał mnie, kiedy już nie grałem, czy byłbym zadowolony z pracy w charakterze asystenta, to przyszłyby mi do głowy nazwiska dwóch, trzech osób, z którymi mógłbym w ten sposób pracować. Pierwsze byłoby nazwisko Martina.

Kiedy Steve McLaren w 2011 dostał pracę menedżera w Nottingham Forest, pomyślałem, że mógłbym z nim pracować, choć on o tym nie wiedział.

Znam Steve'a z United, jest dobrym trenerem. Byli też inni ludzie, z którymi się zetknąłem, i niemal podświadomie pojawiała się w mojej głowie myśl, że z tym czy z tamtym mógłbym pewnego dnia pracować, bo wydaje mi się, że dobrze byśmy się dogadywali.

Myślę, że mógłbym pracować z Davidem Moyesem i pewnie miałbym taką możliwość, gdybym podpisał kontrakt z Evertonem, kiedy odszedłem z United. To po prostu intuicja. Patrzę

na menedżerów i podoba mi się sposób, w jaki sobie radzą. Ale w przypadku co poniektórych sądzę, że nawet mowy nie ma o współpracy.

Wiele osób mnie pytało, co to znaczy, że będę asystentem. Ano znaczy, że będę asystował. O cokolwiek menedżer mnie poprosi, nie będę komplikował sprawy. Jeśli Martin powie, że w Chinach jest piłkarz, który mógłby dla nas grać, polecę do Chin. Jeśli uzna, że powinienem to zrobić, zrobię.

Co do moich stosunków z FAI – niesamowite, jak szybko wszyscy zapomnieli o moim powrocie i grze w reprezentacji Irlandii w 2004. Grałem dwa lata i doszedłem już do siebie po wszystkich nieporozumieniach. Ale nawet wtedy nie myślałem, że to krępująca sytuacja. Po prostu uznałem, że jestem piłkarzem i chciałem wrócić, żeby grać w barwach własnego kraju. I nie chodziło o to, że chciałem w jakiś sposób naprawić to, co stało się w Saipan, czy zatuszować inne nieprzyjemne sprawy. Nigdy nie żałowałem tego, w co wierzę. Żałowałem tylko tego, co się stało, nie czułem się jednak winny, że byłem stroną konfliktu.

Po raz pierwszy spotkałem Martina w Glasgow, na meczu Celticu z Rangersami. Bóg wie, kiedy to było, ale Martin był wtedy menedżerem Celticu. Grali u siebie, dlatego po meczu zostałem zaproszony do salonu dyrektorskiego. Jednak nasza pierwsza rozmowa nie zwiastowała dobrego początku, Martin bowiem od razu powiedział, że powinienem był zagrać w Mistrzostwach Świata.

Zapytałem go, dlaczego tak uważa.

– No cóż, przecież wiesz – odpowiedział.

– Nie było cię tam – odparłem. – Nie wiesz, co się stało.

– Po prostu chciałem to powiedzieć – odparł Martin.

– Masz oczywiście prawo do swojego zdania – powiedziałem. – Ale tam chodziło o coś więcej, o czym nie wiesz.

To była nasza pierwsza rozmowa.

Kilka lat później byłem menedżerem Sunderland, a Martin – drużyny Aston Villa. Zanim straciłem tę robotę, graliśmy z nimi, dwa razy u nich i raz w Sunderland. Po meczach spotykaliśmy się zwyczajowo na drinka, w jego biurze albo w moim. Zawsze byli tam

Martin, jego asystent John Robertson i personel. Lubiłem jego personel – byli wobec siebie niezwykle serdeczni. Potem Martin i ja pracowaliśmy razem dla ITV. Rozmawialiśmy o futbolu – może o tym, że Brian Clough był trenerem nas obu. Nasze opinie na temat futbolu i sposobu gry były podobne. Może Martin uważa inaczej – ale lubiłem jego towarzystwo.

Było też wiele zaskakujących zbiegów okoliczności. Martin był w Celticu, a ja tam grałem. Martin był menedżerem Sunderland, i ja byłem menedżerem Sunderland. Jego trenerem był Brian Clough, moim też. Martin jest wielkim fanem futbolu amerykańskiego, i ja też. Kiedy byłem dzieckiem, w niedzielne wieczory oglądałem futbol amerykański, moją babcię doprowadzało to do szału. Obydwaj jesteśmy Irlandczykami. Jedna z córek Martina ma na imię Alana, a moja Alanna. Może dlatego zaproponował mi pracę!

Przez wiele lat udawałem różnych ludzi. Czasem już nawet nie wiedziałem, jaką rolę gram. Jestem rodzinnym facetem, gościem z Cork, ekspertem telewizyjnym, krytykiem, grywałem ze skinheadami… Czasem czułem się jak aktor. Może wszyscy tacy jesteśmy – nie wiem. Byłem menedżerem i mój kontakt z zawodnikami był ograniczony, a chciałem, żeby był bliższy. Dlatego kiedy zgodziłem się przyjąć tę propozycję, obiecałem sobie, że będę próbował być sobą, będę pracował z piłkarzami i będę dobrze się bawić.

Nie zamierzam angażować się w polityczne gierki, co zdarzało się, kiedy byłem piłkarzem. Postanowiłem cieszyć się z pracy z drużyną i nie grzęznąć w żadne inne sprawy. Na tym etapie mojego życia pozycja numer dwa całkowicie mi pasuje.

Futbol – kocham tę grę. Gdzieś jednak straciłem go z oczu. Straciłem świadomość, dlaczego go kocham. Saipan, moja kłótnia z Fergusonem – to nie miało wiele wspólnego z futbolem. Nigdy nie pokłóciłem się z nikim o samą grę. Pracując z drużyną Irlandii, byłem z powrotem tam, gdzie powinienem być. Kiedy w maju na Landsdowne pokonała nas drużyna Turcji, czułem się okropnie, choć był to mecz towarzyski. Ale obudzić się rano i wyjść na murawę z zawodnikami – to było fantastyczne.

Od lat tak się nie czułem.

Pracowałem z chłopakami, którzy poprzedniego wieczoru nie grali. Powiedziałem im, że zrobimy to, jak należy.

I miałem to poczucie, że nam się, kurwa, uda.

Bezpośredni kontakt z boiskiem dawał mi rozpęd. Przez kilka lat nie miałem na nogach butów piłkarskich. Noszę Puma King, bo nie są zielone, pomarańczowe ani jakoś udziwnione – produkują je od lat 50. Rozstawianie sprzętu, słupków, kopanie piłki, zakładanie znaczników, planowanie sesji treningowej. Jedna część prowadzi do następnej, a następna do kolejnej. Rozgrzewka – pięciu przeciwko dwóm albo siedmiu na dwóch, sześciu na sześciu, podawanie z drugiej piłki, z pierwszej piłki. Potem trochę dośrodkowań, trochę bramek, a na koniec – gra. Można dodawać do niej specjalne zasady, na przykład dogrywki z pierwszej piłki. Jeśli pracuje się z mniejszą grupą, czterech na czterech, można próbować kończyć akcje z pierwszej bądź drugiej piłki. Podczas dłuższego treningu można zająć się taktyką, przeprowadzać graczy przez różne sytuacje na boisku. Przebieg sesji zależy od etapu sezonu – nie pracuje się nad sprawnością fizyczną pod jego koniec ani zaraz po meczu albo przed meczem, bądź jeśli nie ma odpowiedniej liczby zawodników. Zależy to również od opinii menedżera, od tego, co jego zdaniem jest potrzebne drużynie. Trening składa się z bardzo wielu elementów.

Każdego ranka Martin omawia ze mną i kilkoma osobami z personelu plan treningów. Słucha, jakie mamy przemyślenia i pomysły, a potem decyduje, jaka będzie sesja. To jest całkiem w porządku, dobrze się z tym czuję. Treningi są krótkie, spędzamy mało czasu z zawodnikami, ale Martin ma duże doświadczenie. Niemniej pracując z klubami, gdzie jest o wiele więcej treningów, wolałem wczuć się w grupę i sam podejmować decyzje. Lubię odpowiedzialność – dałbym chłopakom wolne, jeśli trening był naprawdę ciężki. Jednak asystent nie może podejmować takich decyzji. Obawiam się, że to w końcu może powodować frustracje.

I świeże powietrze – mokniesz i marzniesz. Satysfakcja, jeśli trening pójdzie dobrze, rozczarowanie – jeśli źle. Boisko wiąże się też z emocjami – idziesz na obiad i myślisz, że odwaliłeś kawał dobrej roboty. Smakuje ci jedzenie, kiedy wiesz, że to była dobra sesja. Jeśli była zła, zastanawiasz się, co poszło nie tak, myślisz o zawodnikach – ten był dobry, tamten nie, inny cię wkurza.

W tej pracy podczas rozmów o futbolu wiele czasu zajmuje picie kawy i herbaty, analizowanie nagrań poprzednich meczów i rozgrywek, dyskusje z ludźmi, którzy podobnie jak ty kochają piłkę.

Kwalifikacje do Euro 2016 będą trudne. Niemcy, Polska, Szkocja i jeszcze Gruzja. Ale nawet to daje mi ekstra kopa. Dawno nic nie wywołało u mnie takiego głodu sukcesu.

Wiele osób nie decyduje się na angażowanie w reprezentację narodową, bo to nie daje tylu możliwości pracy z piłkarzami – ale to jest w porządku. Sądzę, że spędzanie zbyt wiele czasu z piłkarzami może być przeszkodą. Nasze dwa pierwsze mecze – mój, Martina i Seamusa McDonagha, trenera bramkarzy – graliśmy w listopadzie 2013. To były towarzyskie mecze z Litwą i Polską. Naprawdę mi się podobało, po części pewnie dlatego, że spędziliśmy z zawodnikami jakieś osiem czy dziewięć dni. Do personelu dołączyli Steve Walford i Steve Guppy, którzy bardzo nam pomogli, wnieśli też sporo humoru – opowiadali dowcipy i anegdoty o piłkarzach. Steve Guppy grał dla Wycombe, Leicester i Celticu, kiedy Martin był menedżerem tych klubów, potem pracował też jako trener, kiedy Martin był menedżerem w Sunderland. Steve Walford grał razem z Martinem w Norwich, potem pracował z nim w Wycombe, Norwich, Leicester, Celticu, Villa i Sunderland.

Pod koniec sezonu 2013/2014 zagraliśmy cztery mecze – z Turcją, Włochami, Kostaryką i Portugalią. Mecze odbyły się w Dublinie, Londynie i USA. Tym razem pracowaliśmy z drużyną ponad dwa tygodnie.

Praca z reprezentacją bardzo się różni od pracy w klubie. W klubie zwraca się uwagę na to, z czym piłkarze sobie nie radzą. A jeśli są w klubie krótko, skupiasz się na tym, żeby odpowiednio przygotować ich do meczu.

W klubie dużo czasu spędza się na rozmowach, kogo chcesz ściągnąć, a kogo chciałbyś się pozbyć. Z reprezentacją kraju nie da się tak pracować – masz, kogo masz. Są i plusy tej sytuacji – trzeba skupić się na pozytywach. Jesteś trochę jak dziadek – przez chwilę masz wnuki u siebie, ale musisz je oddać rodzicom.

Pracuję z Seamusem McDonaghem – kiedy byłem dzieciakiem, widziałem, jak grał dla Irlandii na Dalymount Park. Miałem wówczas jakieś 12 czy 13 lat. Przyjechałem z Cork na mecz, razem z moją drużyną Rockmount. To było we środę wieczorem.

Powiedziałem o tym Seamusowi.

Zapytałem, czy grał w tamtym meczu.

Potwierdził.

Irlandia grała wtedy z Holandią. To był pierwszy mecz reprezentacji Holandii pod kierunkiem Ruuda Gullita.

Przegraliśmy 2:3.

Trochę się z Seamusa ponabijałem z tego powodu.

– Wpuściłeś wtedy trochę goli, co?

Wyjazd do Dublina był główną nagrodą w turnieju juniorów Val O'Connor. Dotarliśmy do finału, wygraliśmy 3:0 i zdobyliśmy nagrodę. Mogliśmy zobaczyć na żywo mecz reprezentacji Irlandii. To było moje marzenie – zobaczyć, jak grają. W finałowym meczu juniorów strzeliłem wszystkie trzy gole. Cały czas myślałem, że chcę zobaczyć ten pierdolony mecz.

Seamus grał w tamtym meczu, a ja teraz z nim pracowałem.

To było fantastyczne.

Kupiłem wtedy w Dublinie swój pierwszy w życiu singiel – *Karma chameleon*, grupy Culture Club.

Ostatnio w telewizji Niall Quinn powiedział, że Dave Langan, który grał w reprezentacji Irlandii w latach 70. i 80., pojawiłby się na boisku ze zwichniętą nogą i zapewniał, że może grać. Niall pewnie chciał przeciwstawić podejście Dave'a postawie Stephena Irelanda i podkreślić, jak wszystko się zmieniło. Gra w reprezentacji narodowej była kiedyś zwieńczeniem kariery piłkarza, teraz jest nim Liga Mistrzów. Może już pogubiłem się w tym świecie. Muszę pamiętać, że większość naszych graczy nie zagra nigdy w Lidze Mistrzów. Zwieńczeniem ich kariery będzie gra w reprezentacji

narodowej. Muszę też przypominać sobie o wyjeździe na stadion Dalymount, kiedy jako dzieciak jechałem autobusem z Cork, żeby zobaczyć, jak gra Irlandia.

Słucham, jak Martin rozmawia z graczami, obserwuję, jak radzi sobie z personelem. Nie twierdzę, że robi to idealnie albo że zamierzam go naśladować. Po prostu podoba mi się to czy tamto, choć co do pewnych rzeczy mam wątpliwości.

Nie muszę przynosić złych wieści, na przykład że jakiś zawodnik nie zagra. Patrzę jednak, jak robi to Martin. Więcej wie na ten temat, ma większe doświadczenie, na którym może się oprzeć. Powtarzam – nie zamierzam go naśladować. Po prostu uczę się. Podobnie jak uczyłem się od Briana Clougha i Alexa Fergusona.

Brian Clough dał mi szansę zagrania w Anglii. W moją konstrukcję psychiczną wpisana jest lojalność w stosunku do ludzi, którzy się o mnie troszczyli. Mogę pamiętać nawet przez 20, 30 lat gości, którzy podrzucili mnie na lotnisko albo z niego odebrali, jak Tony'ego Loughlana czy Gary'ego Charlesa z Forest. Jeden z nich zabrał mnie na snookera, akurat wtedy, kiedy potrzebowałem, żeby ktoś wyciągnął mnie z domu. Brian Clough, podpisując ze mną kontrakt, wyciągnął mnie z Cork. Wolę oczywiście myśleć, że sobie na to zasłużyłem. Nie powiedziałbym o Brianie złego słowa. Był dla mnie wspaniały. Wspaniały menedżer, wspaniały człowiek.

Poznał moją rodzinę, zawsze był dla nich cholernie miły.

Kiedyś zabrał mnie na imprezę charytatywną. Potrzebował gracza, więc wyciągnął mnie. Byłem bardzo młody i nie miałem jeszcze rodziny, większość graczy już je miała. Po imprezie dał mi 50 funtów – prawdziwy pięćdziesięciofuntowy banknot, chyba wcześniej nawet takiego nie widziałem. To wyglądało trochę tak, jakby wujek przyszedł w odwiedziny i dał mi parę groszy.

Było jednak w tym drugie dno. Mam z nim wiele wspólnego. Bywał dla mnie bardzo surowy. Kiedyś uderzył mnie, a ja pomyślałem, że wiem dlaczego.

Rozumiałem go, po prostu go rozumiałem.

Liczyła się dla niego prostota, w stosunku do każdego. Myślę, że jest w tym troska i mądrość. Prostota jest genialna.

Pracowałem dla dwóch wspaniałych menedżerów, ale dla mnie Brian Clough jest ważniejszy niż Alex Ferguson. Z prostego powodu. Co było w mojej karierze najważniejsze? Pierwszy kontrakt. A podpisał go Brian. Od tego wszystko się zaczęło.

Dwaj menedżerowie, różne osobowości, obaj wspaniali.

Myślę, że serdeczność Briana była wrodzona, natomiast dla Alexa Fergusona to był biznes, wszystko nim było. Kiedy był miły, zawsze zastanawiałem się, o co mu chodzi. Był nastawiony na sukces i bezwzględny. Jego chłód był jego siłą. United to znacznie większy klub niż Forest i to właśnie ten chłód sprawił, że Alex odniósł sukces.

Miał inną osobowość niż Brian Clough, ale jego przesłanie było to samo. Zawsze wiedziałem, o co chodzi w jego przemowach albo taktyce czy sesjach treningowych. Przez wszystkie lata w United zawsze wiedziałem, dokąd zmierza.

Jego sposób zarządzania w danej chwili i przesłanie do drużyny przez meczami nigdy się nie powtarzały. Słyszałem pewnie jego przemowy przed meczami z pięćset razy i o każdej myślałem, że była dobra.

Uważam, że to niesamowite.

Wiem, że serdeczność Clougha też była biznesem. Forest był dla mnie dobry, ale mieli mnie za 50 tysiaków, no i byłem młodszy. W United byłem starszy i widziałem, że to większy biznes, że gra się zmieniała, a Ferguson był nastawiony na sukces. Musiał być. Wspólnie odnieśliśmy wielki sukces. To sprawiło nam ogromną radość i było fantastyczne.

Jako menedżer chciałbym mieć serdeczność Clougha i bezwzględność Fergusona. Zrobić z nich mieszankę, ale dodać jeszcze moje własne cechy.

Po majowym meczu z Turcją Martin musiał stawić czoła mediom. Ja nie musiałem. Siedziałem w szatni z zawodnikami, jedliśmy

kurczaka curry z ryżem, a ja mówiłem, że wyciągniemy z tego odpowiednie wnioski.

Kiedy byłem zawodnikiem, w takich sytuacjach zamykałem się w sobie. Teraz nie musiałem.

Kiedy pracujesz, ludzie cię obserwują. Widzą, że się starasz, widzą, że jesteś w dresie. Jesteś na boisku, pracujesz z zawodnikami.

„Może on wcale nie jest psychiczny? On nie może być aż takim wariatem" – myślą.

Futbol to mały światek. Dobrze czy źle, wszyscy o tobie gadają. Zawodnicy wracają do swoich klubów. Martin jest bardzo inteligentny, ale i mnie wtajemniczał w różne sprawy.

Pojawiła się możliwość podjęcia pracy w drużynie Aston Villa, u boku Paula Lamberta. Tam też jestem numerem dwa i póki co odpowiada mi to. Jednocześnie mogę pracować dla reprezentacji Irlandii. Martin i Paul, federacja i klub Villa nie mają nic przeciwko temu. Moja rodzina nie musi się przeprowadzać. Wracam do Premiership z klubem, który bardzo lubię. Podoba mi się perspektywa pracy z Paulem Lambertem. Żeby być dobrym trenerem, trzeba dużo czasu poświęcać zawodnikom. Praca na co dzień u boku Paula, oglądanie meczów może mi tylko pomóc. Dzięki temu stanę się lepszym, bardziej doświadczonym trenerem. Mogę wykorzystać to doświadczenie w pracy z reprezentacją Irlandii.

Będzie, co będzie. Myślę, że doświadczenie z Ipswich, lekcja, jaką tam dostałem, to „prawie mi się udało", przydały mi się bardziej niż cokolwiek innego. Dzięki temu pamiętam, jak trudno wygrywać mecze.

Częścią pracy dla reprezentacji jest oglądanie meczów, w których grają irlandzcy zawodnicy. Martin informował mnie albo to ja do niego dzwoniłem. Mówiłem, że w nadchodzący weekend, w niedzielę, jest mecz i pojadę go obejrzeć. Zazwyczaj się zgadzał.

Everton, Stoke, Hill – w tych drużynach grało wielu Irlandczyków.

Czasem był to hazard. W poprzednim sezonie pojechałem do West Brom i Norwich, a chłopaki, których chciałem zobaczyć – Shane Long, jeszcze zanim przeniósł się do Hull, i Wes Hoolahan – siedzieli na ławce rezerwowych. Ale to nie był stracony czas. Pojechałem na inny mecz – do Hull. I znowu większość Irlandczyków siedziała na ławce. Paul McShane, który również gra w Hull, powiedział z nadzieją, że pewnie widziałem ich podczas rozgrzewki. Owszem, kurwa, widziałem. Obserwowałem ich mowę ciała, poczucie humoru, kiedy rozgrzewają się przed meczem, a nawet jak się zachowują na ławce rezerwowych. A potem, kiedy patrzyłem na drużynę na boisku, zastanawiałem się, dlaczego ich tam nie ma.

Jeśli siedzą na ławce, to czy rozgrzewają się w taki sposób, jakby mieli grać w meczu? W przypadku niektórych rezerwowych można od razu powiedzieć, że nie chcą wyjść na boisko. A powinni tylko na to czekać.

Staram się oglądać graczy w różnym otoczeniu. Na ich klubowym stadionie, na meczu wyjazdowym albo grających przeciwko drużynie, która prawdopodobnie ich pokona, żeby zobaczyć, jak zachowają się w takiej sytuacji i czy dalej będą walczyć.

James McCarthy i Seamus Coleman bardzo dobrze radzili sobie w Everton. Widziałem ich na ich boisku w meczu przeciwko Stoke. Zupełnie spokojne zwycięstwo – 4:0. Obydwaj właściwie prześlizgnęli się przez ten mecz. Kilka dni później mieli grać z United. Pomyślałem, że teraz się przekonam, ile są warci. Pojechałem więc na Old Trafford. Świetne ustawienie, trudny mecz. Obydwaj byli fantastyczni.

Myślę, że oglądanie takich meczów i przyglądanie się zawodnikom jest ważne, kiedy kompletujemy drużynę narodową. Bez względu na to, czy będą w niej grać, czy nie, będą wiedzieli, że obserwowaliśmy ich podczas meczów. Mogą być rozczarowani, ale przynajmniej będą wiedzieli, że widzieliśmy, jak grają, że będziemy cały czas ich obserwować.

Nie należę do tych, którzy robią na temat zawodników dużo notatek. Mam arkusz oceny zawodników i wpisuję tam słowo lub

dwa. Ale nie sporządzam raportów z meczów albo zwiadów. Skończyłoby się na tym, że nie obejrzałbym meczu! Moim zadaniem jest obserwowanie jednego czy dwóch graczy, a nie strategii czy kondycji drużyn, dla której grają.

Znacznie więcej uczę się na temat klubów piłkarskich. Mogę się przekonać, czy mi się podobają. Jako piłkarz byłem od roboty na boisku. Robiłem, co do mnie należało. Nie obchodziło mnie, co to za klub. Ale teraz się rozglądam i myślę, że niektóre kluby są naprawdę dobre.

Im częściej odwiedzam klub, tym szybciej popadam w rutynę. Nie mam problemu z dostaniem się do Evertonu czy Stoke. Wigan to też pestka. W przypadku innych meczów wychodzę z domu znacznie wcześniej, nie mogę się spóźnić, muszę być profesjonalistą. Zakładam garnitur, mam bowiem zadanie do wykonania. Jestem asystentem menedżera reprezentacji Irlandii. Nie mogę wyglądać, jakbym spał w stodole. Zazwyczaj podróżuję sam, aczkolwiek miło jest czasem mieć towarzystwo, przydaje się zwłaszcza w przerwie. Kiedy jestem sam, wiele osób uważa, że trzeba ze mną pogadać. W większości są bardzo mili, ale są i tacy, którzy uważają, że mają misję do spełnienia.

– Kogo przyjechał pan oglądać?

„A zgadnij” – myślę sobie.

– Kilku chłopaków z Irlandii – odpowiadam.

Zawsze staram się być ostrożny i gotów na to, że ktoś będzie chciał mnie obrazić. Ale to się jeszcze nie zdarzyło. Nigdy nie było jakiegoś złośliwego bądź sarkastycznego komentarza. Kiedy byłem graczem i menedżerem, często mnie obrażano, ale zawsze to były jakieś tysiące bezimiennych ludzi, kibice przeciwnej drużyny. To była część gry. Jednak nigdy nie obrzuciła mnie błotem żadna konkretna osoba, nikt nie wyzywał mnie od samojebów ani kretynów. Zawsze jednak jestem na to gotów i nienawidzę tego u siebie.

Dotychczas, przez wszystkie te lata, odkąd jestem związany z futbolem, bez względu na to, co bym zrobił, zawsze otaczał mnie wielki szacunek. Mogli mnie nie lubić, mógł im się nie podobać

sposób, w jaki gram – nikt jednak nie przyszedł nigdy do mnie, żeby mnie zwyzywać.

Po prostu chciałbym mieć trochę więcej luzu, aczkolwiek wciąż myślę, że muszę się pilnować. Zdarzało się bowiem, że jeśli dawałem sobie trochę luzu i pozwalałem ludziom zanadto zbliżyć się do siebie, dołowali mnie. Dlatego sądzę, że trochę powinienem być ostrożny, choć może nie aż tak bardzo jak kiedyś.

W poprzednim sezonie pojechałem do Evertonu. Grali z Norwich. Gość obok mnie cały czas gadał, ale dość mądrze mówił o meczu. Podobało mi się to i pomyślałem, że zapytam go, dla kogo pracuje. Jego ocena gry i zawodników wskazywała na dużą wiedzę.

– Z jakim klubem jest pan związany?

– Jestem kierowcą Roya Hodgsona.

Zaśmiałem się do siebie. Byłem zadowolony, że na chwilę zrezygnowałem z samokontroli, bo cieszyło mnie jego towarzystwo. Moje ego z pewnością ma udział w tym, że chcę zachować swoją prywatność. Ten facet był fajnym gościem i jako kierowca Roya widział na pewno więcej meczów ode mnie.

Everton to klub ze ścisłej czołówki. Kiedy Aiden McGeady przeniósł się do nich ze Spartaka Moskwa, pomyślałem, że to z jego strony świetny ruch. Kolejny Irlandczyk będzie grał w Everton – rewelacja. To także korzyść dla reprezentacji Irlandii. Będzie grał z innymi Irlandczykami, a poza tym klub ma dobrego menedżera. Mogą dostać się do Ligi Mistrzów w przeciągu roku albo dwóch, co będzie bardzo korzystne dla Irlandii, bo problemem reprezentacji jest to, że większość zawodników nie gra w drużynach ze ścisłej czołówki.

Kiedy byłem młodym zawodnikiem, miałem ambicję, żeby grać w jednej z wielkich drużyn. Chciałem dostać się do ścisłej czołówki, gdzie są trofea i duże pieniądze. Dzisiaj wielu piłkarzy może dorobić się pokaźnego majątku bez wspinania się na szczyt. Taki zawodnik może grać dla klubów ze środka tabeli bądź drugiej połowy Premiership, albo nawet tylko w Championship, a mimo to zostać multimilionerem. Nie wiem, czy tacy piłkarze czują głód sukcesu, czy mają napęd, żeby dostać się do czołówki.

Nigdy się nie zdarzyło, żeby wielu młodych irlandzkich piłkarzy przeszło przez to sito. Co kilka lat był to jeden, może dwóch. Mam nadzieję, że wciąż mają taką szansę. Seamus Coleman i James McCarthy z Evertonu są młodzi, ale nie są nastolatkami i zostali już „odkryci". Niestety, są takim typem graczy, którzy muszą zawsze na kimś polegać. Lubię obserwować Jeffa Hendricka, zawodnika Derby. Jednak zawsze największą rolę będą odgrywać starsi piłkarze. Szukamy zawodników, ale raczej nie znajdziemy siedmiu czy ośmiu diamentów. Niemniej nasza sytuacja nie jest tak zła, skoro mniejsze kraje dobrze radziły sobie na Mistrzostwach Świata w Brazylii. Populacja Urugwaju to 3,5 miliona ludzi – mniej niż w Irlandii. Jeśli jednak zaczniemy uważać się za mały kraj, przegramy już przed startem. Powinniśmy patrzeć na historię naszego futbolu. Jesteśmy wylęgarnią dobrych młodych graczy.

Nie miałem nigdy nic przeciwko zawodnikom, którzy nie urodzili się w Irlandii, a grali w reprezentacji. Dopóki mają na to ochotę, jeśli chcą do nas dołączyć i przejdą kwalifikacje, to świetnie. Był kiedyś jeden, może dwóch graczy, którzy deklarowali, że chcą kontynuować karierę w reprezentacji Irlandii. Rozumiem to. Przydali się drużynie, ale kiedy dziś na nich patrzę, zastanawiam się, czy od tamtej pory wrócili kiedykolwiek do Irlandii. Dlatego myślę, że jeśli obcokrajowcy chcą dla nas grać, powinni traktować Irlandię nie tylko jako szczebel w karierze, ale muszą coś czuć do tego kraju.

No tak, ale kim ja jestem, żeby to osądzać? Trudno zmierzyć uczucia żywione dla kraju. Jednak jeśli widzisz w telewizji zawodnika, który wcześniej grał dla Irlandii, a teraz w finale play-off śpiewa hymn brytyjski, masz prawo myśleć, że nie jest chyba tak do końca zakochany w Irlandii. Przykładem może być Matty Holland – jest Brytyjczykiem z krwi i kości jak David Beckham. Grał w reprezentacji Irlandii i ma irlandzkie korzenie. Grał też w Ipswich w finale play-off, w 2000, i śpiewał hymn brytyjski najgłośniej, jak potrafił. Widziało go też kilku innych naszych chłopaków, więc przy okazji następnych meczów reprezentacji nabijaliśmy się z niego – prosiliśmy, żeby zaśpiewał nam jeszcze raz tę powstańczą piosenkę.

Moim zdaniem to ważne, żeby zawodnicy choć trochę wsiąknęli w ten kraj i poznali jego obyczaje. I chyba, ogólnie mówiąc, tak jest. Pewnie nie mają wyboru. Byłem ostatnio na kolacji w FAI, gościnną mowę wygłosił John Aldridge – gracz, który urodził się w Anglii, a dał Irlandii więcej niż niejeden irlandzki piłkarz. W ten kraj po prostu trzeba się wczuć, trzeba go pokochać.

Kiedy menedżer zaczyna pracę, zazwyczaj już następnego dnia ma pierwszy mecz. A nasz pierwszy mecz – w kwalifikacjach do Euro – został rozegrany niemal rok po podpisaniu kontraktów. Mecze towarzyskie też są ważne. Dzięki nim można nabrać rozpędu i poznać lepiej zawodników. Niemniej ja nie mogłem doczekać się meczów kwalifikacyjnych i tego, żeby zakwalifikować się. Pokazać, że jestem potrzebny. Zyskać szacunek. Pracować z młodymi zawodnikami. Wypuścić ich na boisko, żeby dobrze się bawili i mogli się odpowiedni zaprezentować, wyrazić siebie.

Zadzwonił telefon. Czy nie chciałbym pogadać z Dermotem Desmondem, większościowym udziałowcem Celticu. Spotkałem go w 2005, kiedy podpisywałem kontrakt z Celtikiem.

Poszliśmy na herbatę. To było w środku międzynarodowego tygodnia w Dublinie.

Pod koniec rozmowy powiedział, że praca jest moja.

Prosto z mostu. Postawił tylko dwa warunki dotyczące personelu – wybrali już dla mnie asystenta i obstawali przy swoim wyborze.

Nie byłem wystraszony, choć to nie był najlepszy początek. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego już na starcie we mnie wątpią.

Wróciłem do naszego hotelu i powiedziałem Martinowi, że muszę się nad tym zastanowić.

W nadchodzącą sobotę graliśmy w Londynie, na Craven Cottage, mecz z Włochami. Byliśmy bardzo zajęci – pojechaliśmy do Londynu i przygotowywaliśmy drużynę. Wszyscy mówili już o tym, że spotkałem się z Dermotem Desmondem. Martin miał konferencję prasową i – jak zwykle – było kilka przecieków. Nie martwiłem się tym zanadto. Mecz z Włochami był towarzyski, nie sądzę, żeby wynik mógł zepsuć nam humory.

Byłem zadowolony. Propozycja Celticu to wielki komplement. Przez wiele lat, kiedy rozmawiałem z ludźmi o piłce i o Celticu, zawsze mówiłem, że jeśli ten klub oferuje pracę, trzeba ją brać.

Znalazłem się zatem w kłopotliwej sytuacji. W pewnym sensie sam na sam ze sobą. Jak bumerang wracało moje wewnętrzne przekonanie, że takie decyzje muszę podejmować sam.

Poprosiłem prawnika Stowarzyszenia Menedżerów Ligowych, Paula Gilroya, żeby przedyskutował z Celtikiem warunki. Nie rozmawialiśmy jeszcze o wynagrodzeniu, skontaktowałem się zatem z Peterem Lawwellem, dyrektorem generalnym Celticu, żeby podał mi szacunkową kwotę, zanim rozpoczniemy negocjacje.

Podał kwotę i zaznaczył, że więcej nie będzie.

Zatem Paul Gilroy rozmawiał z Celtikiem. Powiedział mi, że w kontrakcie jest wiele zapisów, które niespecjalnie mu się podobają. I kwota nie była do negocjacji.

Wiedziałem, o co im chodzi, bo już to przerabiałem, kiedy podpisywałem z Celtikiem kontrakt jako zawodnik. Zachowywali się tak samo – to jest cały Celtic. Powinieneś się cieszyć, jeśli przyjmą cię za darmo.

Wyglądało na to, że chcą mnie zatrudnić, ale nie pokazywali jak bardzo.

W sobotę zremisowaliśmy z Włochami 0:0. Niezły wynik. W niedzielę Dermot Desmond nagrał mi wiadomość. Chciał, żebym odpowiedział do poniedziałku.

Tymczasem wróciłem do Dublina. Mieliśmy kilka dni wolnego przed podróżą do USA, gdzie zaplanowane były towarzyskie mecze z Kostaryką i Portugalią. Zostawiłem samochód w Dublinie i promem popłynąłem do Holyhead. Wynająłem kabinę, żeby mieć trochę prywatności.

Myślałem o ofercie Celticu. Nie powalała mnie jakoś specjalnie. Nie przekonali mnie, że to właśnie mnie potrzebują. Dotarłem do domu w Manchesterze w niedzielę wieczorem. Byłem zmęczony. Pojechałem do Paula Gilroya, mieszka pięć minut drogi ode mnie. W kontrakcie były zapisy, które nie podobały mi się. Ale zawsze tak jest – jeśli dokładnie przestudiowałbym każdą umowę, żadnej bym nie podpisał.

Zadzwoniłem w poniedziałek do Dermota Desmonda i powiedziałem mu, że naprawdę czuję się zaszczycony ich propozycją, ale zostanę z Martinem.

Na moją decyzję nie wpłynęły inne oferty – ani obecne, ani potencjalne. Nie bawiłem się w żadne gierki – wszystko było szczere. Gdyby Celtic dał mi jakieś pole do negocjacji, że my możemy zrobić to, a ty tamto – zaoferował wzajemny układ – mógłbym się wahać. Ale ich postępowanie było takie, że nie musiałem się długo zastanawiać. Nie dali mi odczuć, że naprawdę mnie potrzebują, więc wolałem zostać z reprezentacją. Praca z Martinem przywróciła mi miłość do piłki, poza tym mogłem okazać mu lojalność. Zresztą byłem z reprezentacją tak krótko, że nawet nie zdążyłem zasmakować prawdziwej gry.

Żona powiedziała mi, że dawno nie widziała mnie w tak dobrym nastroju. Po co zatem z tego rezygnować?

Świetnie się czułem, mówiąc „nie". To dawało siłę, chociaż i tak zastanawiałem się, czy podjąłem właściwą decyzję.

Odpowiednia praca, nieodpowiedni czas.

Stresy i wyzwania są potrzebne, ale ja przez całe życie szukałem satysfakcji i zadowolenia. Cieszyłem się bardzo, kiedy wygrywałem trofea, ale taki rodzaj satysfakcji nie jest dany na zawsze. Zadowolenie – w znaczeniu odprężenia – to dziwne uczucie. Mam wrażenie, jakby brakowało mi odrobiny chaosu, walki z samym sobą. Nie jestem pewien, czy przez ostatnie dwadzieścia kilka lat czułem się tak spokojny. Może właśnie przyszedł na to czas. Niemniej chciałem oczywiście pracować. Pracować w futbolu.

To będzie pierwszy tydzień w moim życiu, kiedy będę tak spokojny!

Jeśli kiedyś odejdę z tej pracy i zadam sobie pytanie, czy zrobiłem wszystko, co mogłem, dla reprezentacji Irlandii, chciałbym móc powiedzieć „tak".

Przyleciałem z drużyną do Stanów. Było kilka problemów z organizacją podróży, zdarzyło się parę wpadek. Ale ja podchodziłem już do tego inaczej.

Utknęliśmy w pociągu z Filadelfii do Newark. W Filadelfii graliśmy mecz z Kostaryką, zremisowaliśmy 1:1. Mieliśmy wysiąść

w Newark, w New Jersey – zawodnicy i personel. Wysiadaliśmy dwoma wyjściami, ale przedstawiciel FAI uparł się, żebyśmy wyszli jednym.

Drzwi się zamknęły, a ja, Martin, Seamus, Steve Guppy, trzech gości z personelu medycznego i Aiden McGeady utknęliśmy. Pociąg ruszył.

Chłopaki z drużyny sikali ze śmiechu na peronie.

Coś jak szkolna wycieczka.

Stacja panika! Wszyscy się wściekali, Martin też był zły.

Ale ja byłem spokojny. Wysłałem esemesa do jednego kolesia z FAI: „Czy to znowu Saipan?”. To był oczywiście żart.

Jakieś 30 minut później wysiedliśmy na Manhattanie, na Penn Station. Mieliśmy szczęście, że to nie Boston albo Chicago. W końcu wróciliśmy do Newark i wsiedliśmy do naszego autobusu. Zawodnicy siedzieli cicho jak myszy pod miotłą, a dwóch gości, którzy organizowali podróż było bladych jak ściana.

Nikt się nie odezwał. W powietrzu wyczuwało się napięcie.

W końcu jeden z chłopaków włączył muzykę. Kiedy siedzieliśmy w pociągu, chłopcy kupili głośniki. Nie wiem, jak nazywa się ta kapela, ale to była piosenka *Runaway Train*. Wszyscy zaczęli śpiewać:

Runaway train, never going back –

Wrong way on a one way track – [16]

To było wspaniałe.

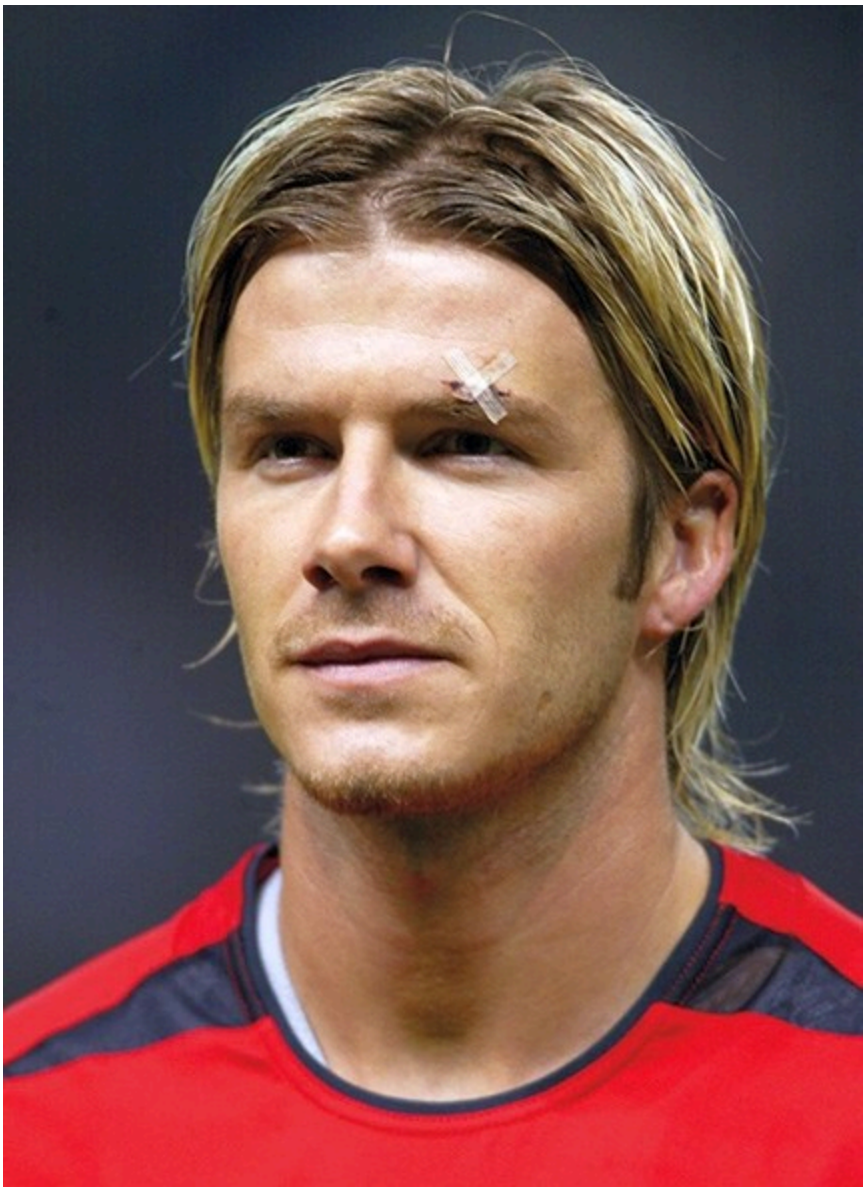
Zdjęcia



Po faulu na Hålandzie w meczu z Manchesterem City. Czy ja całe lata czekałem, żeby go dorwać? Nie. 21 kwietnia 2001 (Mirrorpix)



Manchester United w meczu ze Sportingiem Lizbona. Widziałem, jak dobry był wtedy Ronaldo. 6 sierpnia 2003 (VI/PA)



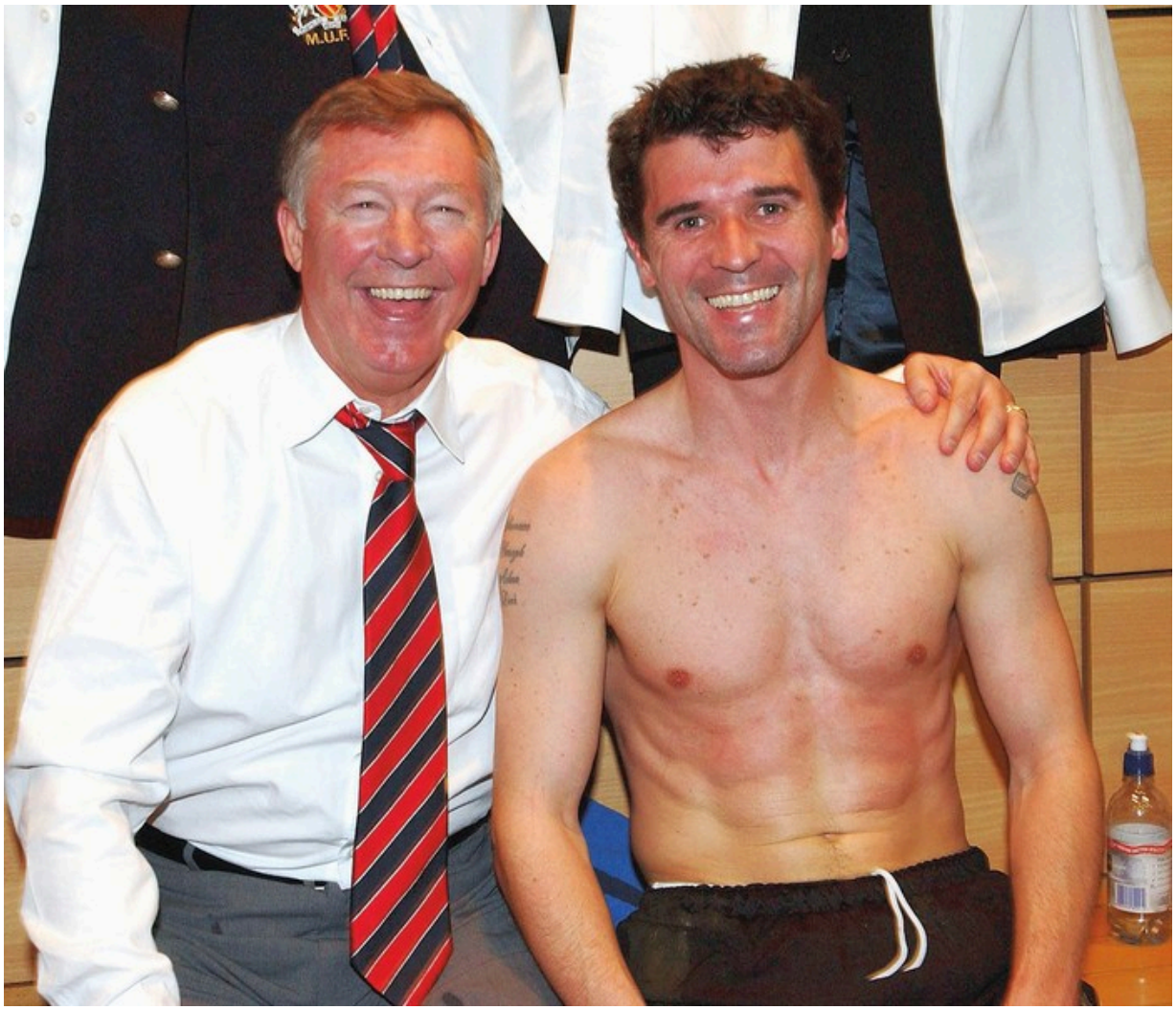
Byłem w szatni, kiedy Ferguson kopnął but. Beckhamowi trzeba było założyć szwy (Martin Rickettt/PA Archive)



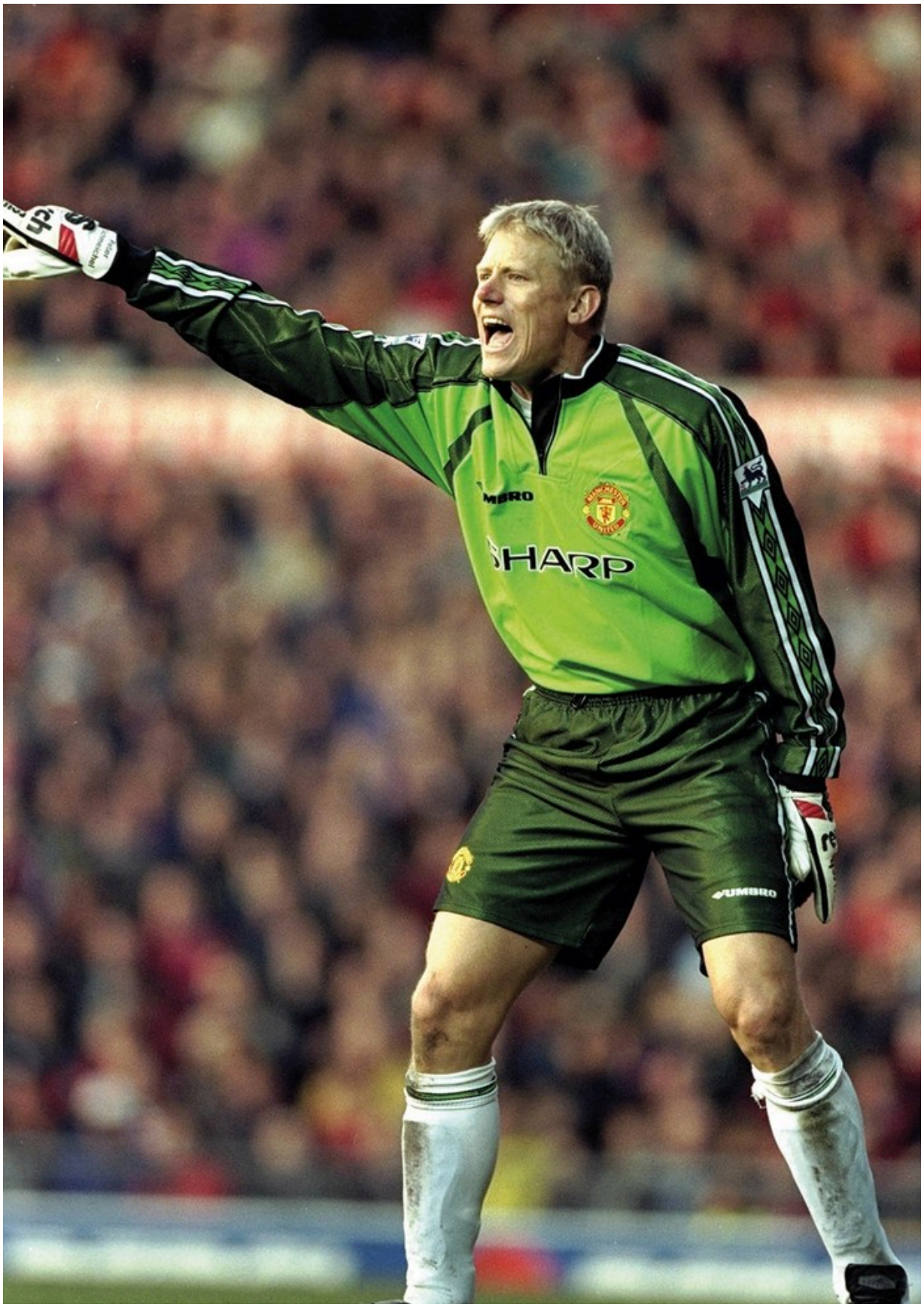
Alex Ferguson pociesza mnie po kontuzji. Mecz Charlton Athletic–Manchester United. 13 września 2003 (Andrew Cowie/Colorsport)



Mecz z Leicester. Nie strzeliłem tylu goli, co zazwyczaj. Zmieniała się moja rola w drużynie. 27 września 2003 (Adrian Dennis/AFP/Getty)

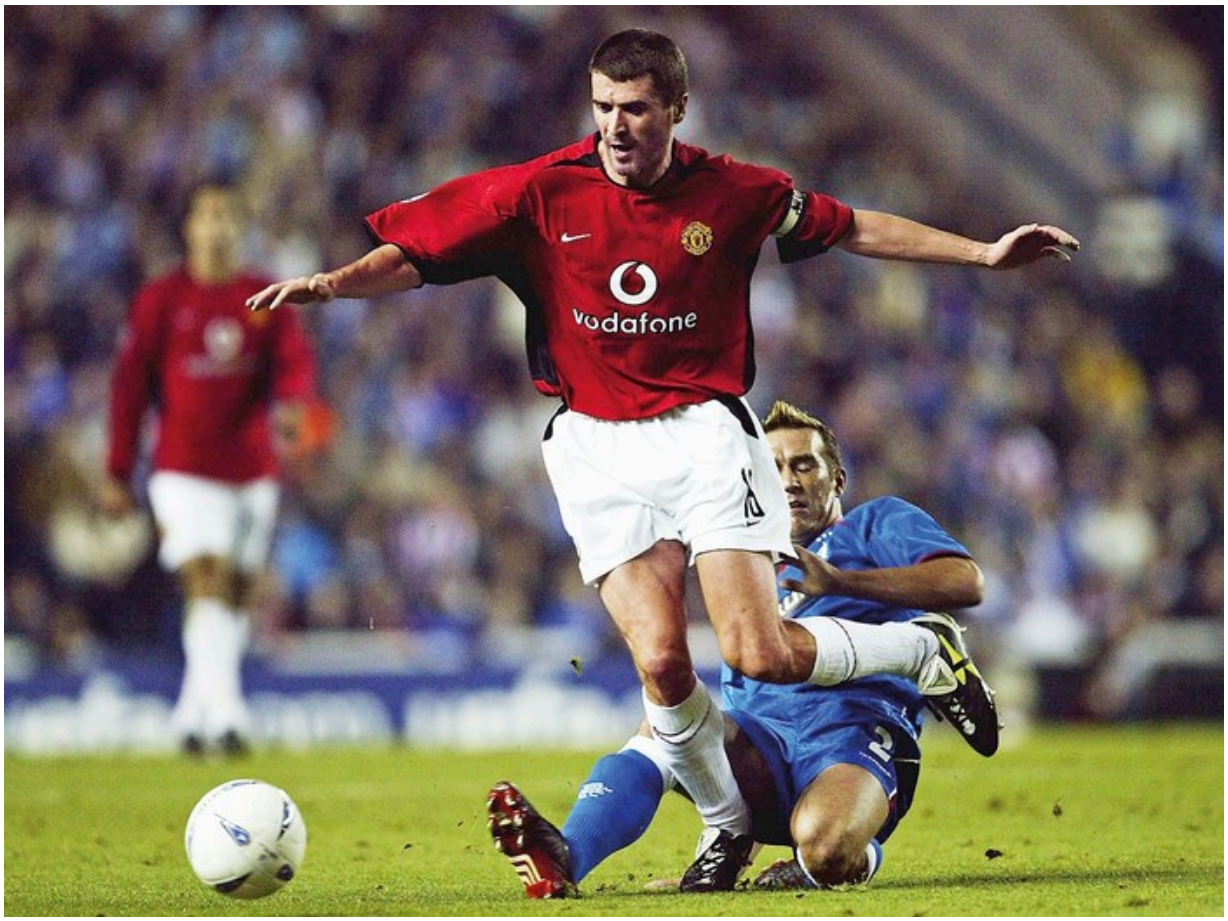


Z Fergusonem, po zdobyciu Pucharu Anglii w zwycięskim meczu z Arsenalem w Villa Park. 3 kwietnia 2004 (John Peters/Manchester United/Getty)

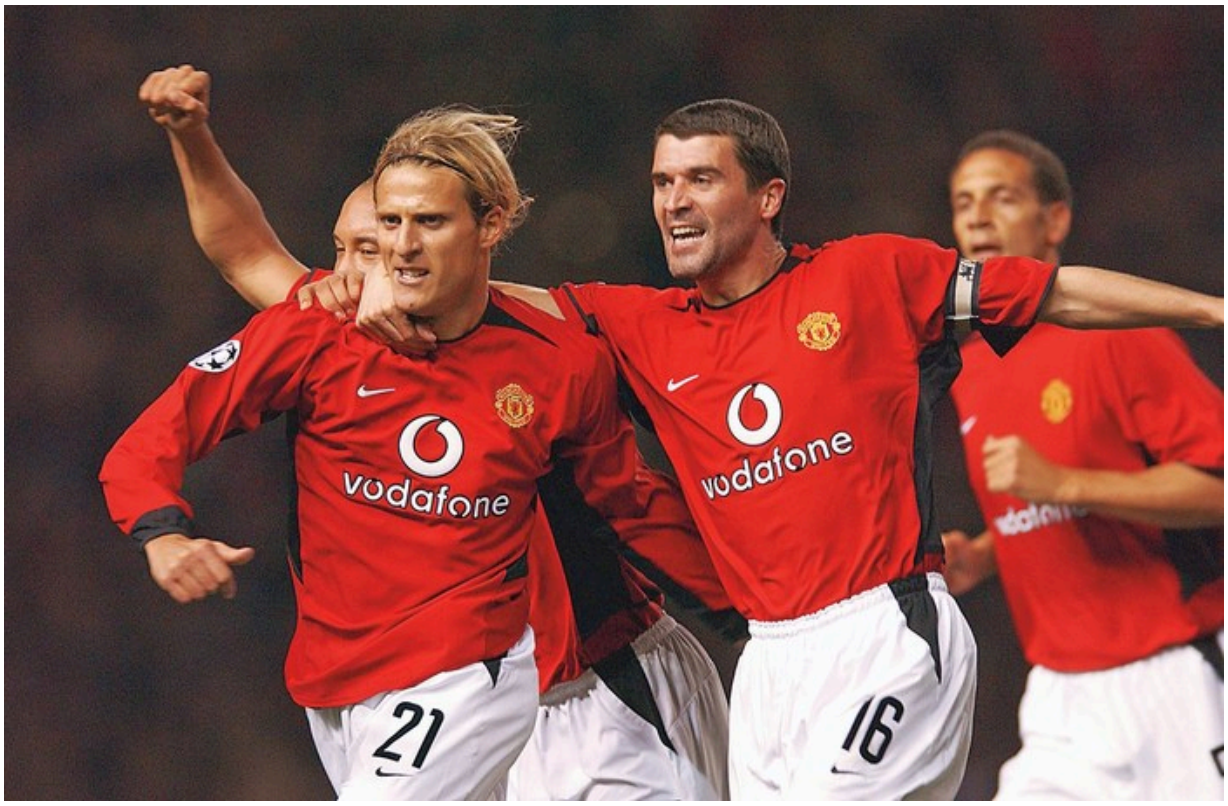

UMBRO
SHARP
UMBRO



Peter Schmeichel. Pewnie wrzeszczy na zawodników. Moim zdaniem pod publiczkę (Mark Thompson/Allsport/Getty)



United gra z Rangersami w Lidze Mistrzów. To było fantastyczne. 22 października 2003 (Alex Livesey/Getty)



Diego Forlán gra w United. Pamiętam, jak przyjechał. Dla niego nie było to wielkie wydarzenie. Jeśli piłkarz się stara, a Diego się starał, drużyna ciągnie go za sobą, pomaga mu (Manchester United/Getty)



Znowu Millwall. To jedyny raz, kiedy grałem w finale i wiedziałem, że wygramy. 22 maja 2004 (John Peters/Manchester United/Getty)



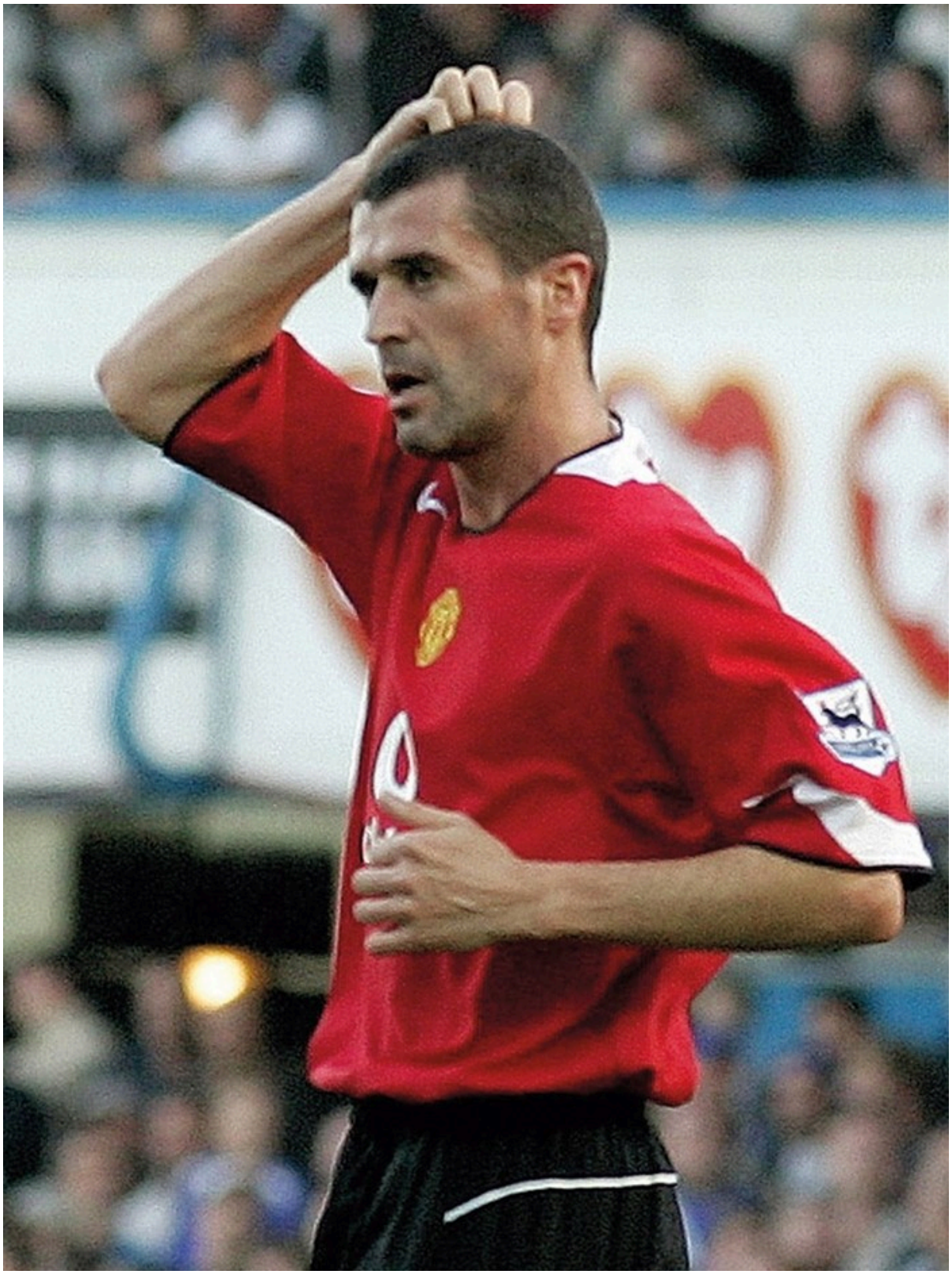
Kiedy odbieraliśmy trofeum i medale, założyliśmy kopie koszulki Jimmy'ego Davisa (Action/Darren Walsh)


6
IRELAND

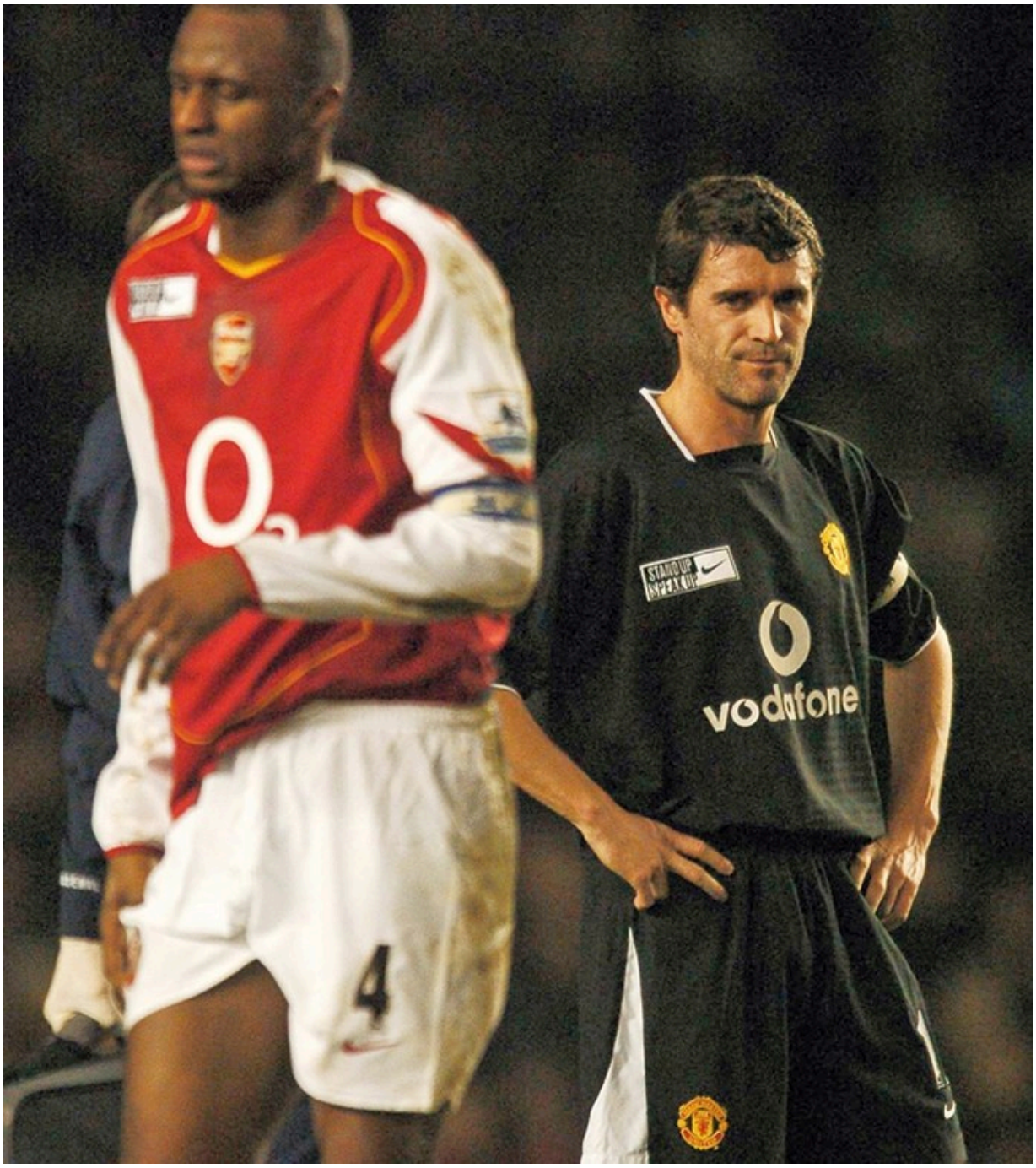
Znów gram dla Irlandii. Mecz z Rumunią. Dobrze być z powrotem (Reuters/Paul McErlane)



Rooney dołączył do Manchesteru United w sierpniu 2004. Kiedy wszedł do szatni, wszystkim od razu poprawił nastrój (John Peters/Manchester United/Getty)



Przeszedłem na dietę. Co dla mnie typowe – przesadziłem. Nie zagrałem z Arsenalem. Czułem się jednak na tyle dobrze, żeby zostać rezerwowym w następnym meczu ligowym, z Portsmouth. 30 października 2004 (Reuters/Kieran Doherty/ND Reyters/Action)



Arsenal w meczu przeciw Manchesterowi United. Kłótnia w tunelu była częścią szopki w telewizji. Straciłem na tym, ale byłem wściekły. 1 lutego 2005 (Rex/Graham Chadwick/Daily Mail)



Drużyna Southampton wypadła z ligi po tym, jak pokonaliśmy ich 2:1. W pobliżu kręciło się kilku fanów Southampton i wyczuwało się napięcie. Wyglądało na to, że oni mogą mnie obrażać, ale ja im nic nie mogę powiedzieć. 15 maja 2005 (Paul Ellis/AP/PA)



Mecz z Liverpoolem, po faulu Gerrarda miałem połamane kości stopy. 18 września 2005 (John Peters/Manchester United/Getty)


16



Trening z Carlosem Queirozem, 2005 (John Peters/Manchester United/Getty)



Odchodzę z Manchesteru United. Listopad 2005 (Chris Coleman/Manchester United/Getty)



Podpisuję kontrakt z Celtikiem. 15 grudnia 2005 (Ian Stewart/AFP/Getty)

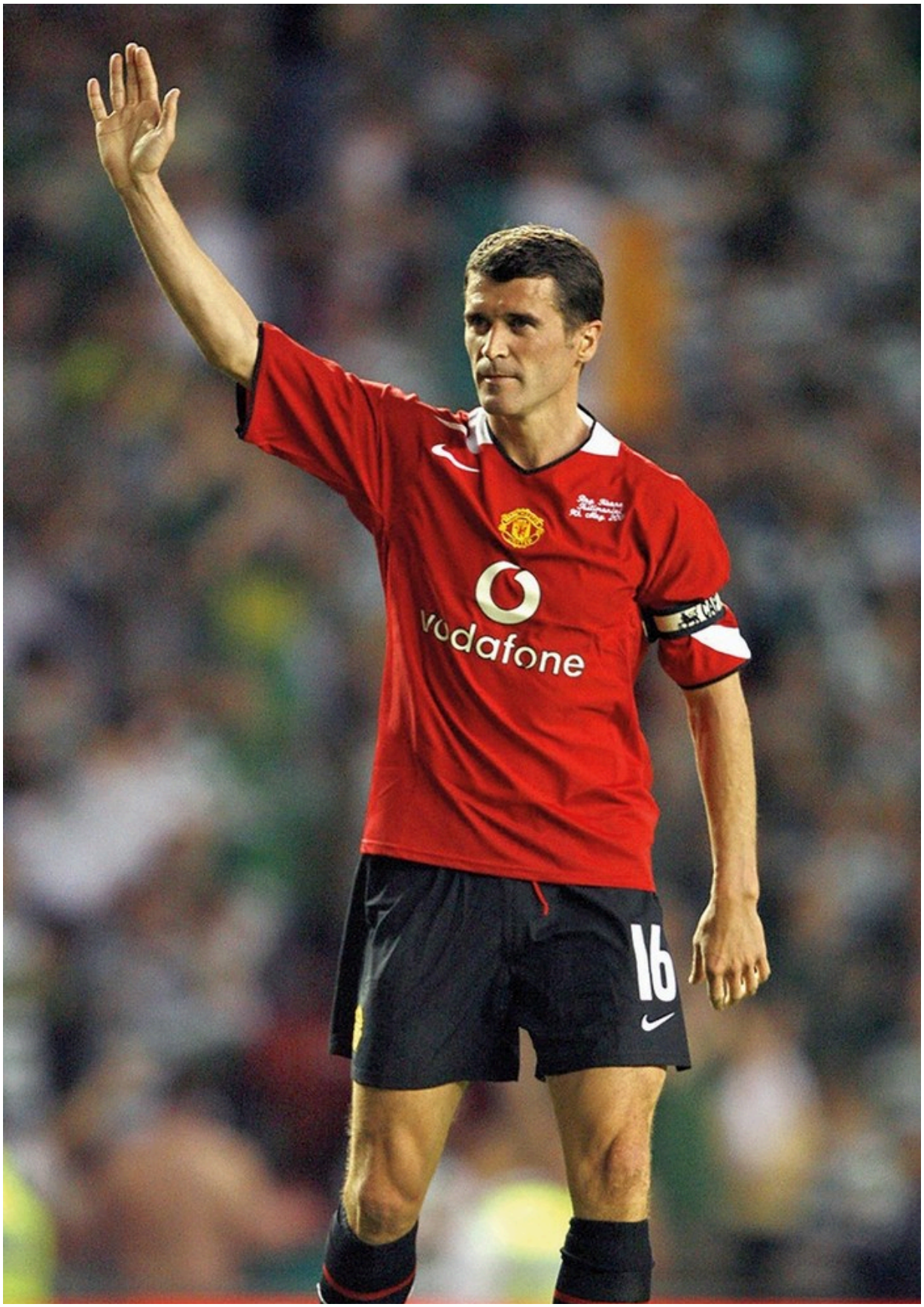


Pierwsza mecz Old Firm – między Glasgow i Celtikiem. Tego oczekiwałem. 12 lutego 2006 (Jeff J. Mitchell/Getty)


CARLING



Mecz na moją cześć na Old Trafford, między United i Celtikiem. 9 maja 2006 (Laurence Griffiths/Getty)

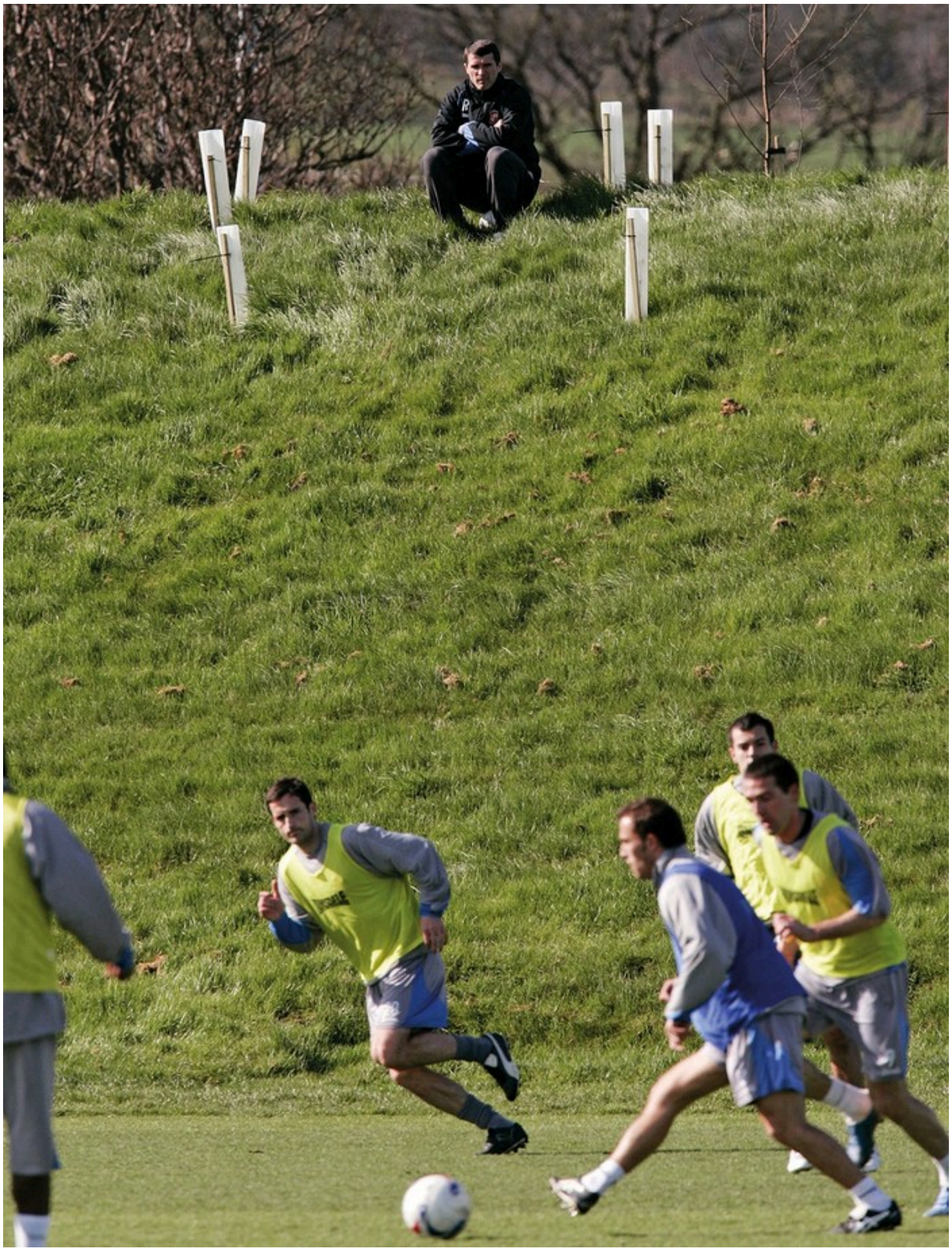

vodafone
16



Po przerwie zmieniam drużyny. Dobrze być z powrotem (Andrew Yates/AFP/Getty)



Z Tonym Laughlanem, mecz Sunderland z West Brom. 28 sierpnia 2006 (Matthew Lewis/Getty)



Trening w Sunderland (Action/Lee Smith)


Fly Emirates
Fly Emirates

Pierwszy mecz dla Sunderland, z Derby, na ich stadionie, 9 września 2006 (Warren Little/Getty)



W ostatnich chwili Dave Connolly strzela wyrównującą bramkę dla Sunderland w meczu z Burnley. To była dla nas przełomowa chwila. 16 grudnia 2006 (Owen Humphreys/PA Archive/PA)



Dwight Yorke w meczu Sunderland, 1 stycznia 2007. Miał w Sydney Harbour apartament, lamborghini i wszystkie kobiety. Zapytałem, czy szarpnie się na powrót do Sunderland (Clive Mason/Getty)



Jonny Evans w meczu Sunderland. Był niewiarygodny. 24 lutego 2007 (Action/Lee Smith)



Świętujemy zwycięstwo Sunderland nad Luton, 6 maja 2007 (Clive Rose/Getty)



Derby z Newcastle. To mój pierwszy mecz derby. Był wspaniały. Ta atmosfera i ulga, że nie zostaliśmy pokonani. Pierwszego gola dla nas strzelił Danny Higginbotham. 10 listopada 2007 (Owen Humphreys/PA Archive/PA)



Uścisk dłoni z Alexem Fergusonem podczas meczu Sunderland z United. Kibice United przyjęli mnie bardzo ciepło. 26 grudnia 2007 (Action/Lee Smith)



Fàbregas strzelił dla Arsenalu wyrównującego gola, 4 października 2008. To był kluczowy moment w mojej karierze (Nigel Roddis/Action/Reuters)





Sunderland pokonuje Newcastle. To był chyba mój najszczęśliwszy dzień w Sunderland. 25 października 2008 (Nigel French/EMPICS Sport)



Uścisk dłoni z Djibrilem Cissé po jego golu w meczu z Blackburn. 15 listopada 2008 (Matthew Lewis/Getty)



Po podpisaniu kontraktu z Ipswich, 22 kwietnia 2009. W dziewięciu przypadkach na dziesięć, kiedy menedżer nie ma pracy, przyjmie wszystkie warunki (Jamie McDonald/Getty)


mitre
mitre
mitre



W Ipswich, w niebieskim stroju treningowym. Patrzyłem na niego i myślałem: „Kurwa jego mać” (Jeremy Durkin/Rex)



Drużyna Ipswich z Siódmym Regimentem Spadochroniarzy Królewskiej Artylerii Konnej, lipiec 2009. Miałem nadzieję, że stworzymy na tych ćwiczeniach więzi albo obudzimy ducha, ale tak się nie stało (Ipswich Town FC)



Mecz Ipswich z Nottingham Forest. Byłem już wtedy na wylocie, więc to mój ostatni mecz w roli menedżera Ipswich. 3 stycznia 2011 (Jamie Mcdonald/Getty)



W studio z Adrianem Chilesem (po prawej) i Lee Dixonem (po lewej). ITV skorzystała z szansy, żeby mnie wciągnąć (ITV/Rex)



Kilku fanów City zaczęło mnie obrażać w bardzo ordynarny sposób. Zastanawiałem się, czy jest mi to potrzebne… Ale później, kiedy kibice United ciosali kołki na głowie Lee Dixonowi powiedziałem, że musimy to znosić (Carl Recine Livepic/Action)





Mecz charytatywny na rzecz UNICEF-u. Old Trafford, 2012 (Dave J. Hogan/Getty)



glądamy z Martinem O’Neillem mój pierwszy mecz, od kiedy zostałem asystentem. To było spotkanie towarzyskie Irlandia–Litwa. Udawałem, że jestem spokojny, ale byłem w euforycznym nastroju. 15 listopada 2013 (Ian Walton/Getty)



Mecz Irlandia–Turcja, 25 maja 2014. Damy radę, chłopaki! (Jed Leicester Livepic/Action)



Sesja treningowa w Villa. Zostałem asystentem ich menedżera, Paula Lamberta (stoi obok). Podobała mi się perspektywa pracy z nim. Lipiec 2014 (Jed Leicester Livepic/Action)

[1] Fenianie – tajne irlandzkie stowarzyszenie niepodległościowe, założone ok. 1858 r. W 1867 zorganizowało powstanie przeciw Wielkiej Brytanii, a swoje działania prowadziło także za granicą (w Kanadzie i USA). Stosowało walkę zbrojną i terror indywidualny. Ruch przetrwał do I wojny światowej (przyp. tłum.).

[2] Irlandzki Stadion Narodowy (przyp. tłum.).

[3] PFA – ang. Professional Footballers' Association (przyp. tłum.).

[4] The League Managers' Association (przyp. tłum.).

[5] Brytyjski tabloid (przyp. tłum.).

[6] Any Given Sunday, reż. Oliver Stone, USA 1999 (przyp. tłum.).

[7] Roy „Chubby" Brown – angielski komik, znany z sarkastycznego, dość niewybrednego humoru. Rzadko pojawia się w telewizji z uwagi na kontrowersyjny charakter jego występów. Przez wielu krytyków uważany jest jednak za najlepszego komika ostatnich 25 lat (przyp. tłum.).

[8] The Damned United, reż. Peter Morgan, Wielka Brytania 2009 (przyp. tłum.).

[9] Parachute Regiment – piechota spadochronowa Armii Brytyjskiej, najbardziej elitarna w siłach lądowych. Słynie z ostrej selekcji i rygorystycznego treningu. Jest przystosowana do walki na tyłach wroga z bardzo małym (lub zerowym) wsparciem własnych wojsk (przyp. tłum.).

[10] Transfer zawodnika pod warunkiem, że sprzedający klub dostanie część wynagrodzenia w przypadku odsprzedaży zawodnika dalej przez kupującego (przyp. tłum.).

[11] League Managers' Association (przyp. tlum.).

[12] Bondi Beach – jedna z największych plaż Sydney (przyp. tłum).

[13] Brytyjski boysband (przyp. tłum).

[14] ITV (Independent Television) – sieć regionalnych stacji telewizyjnych w Wielkiej Brytanii, obejmujących zasięgiem cały kraj (przyp. tłum.).

[15] Football Association of Ireland (przyp. tłum.).

[16] Pociąg w jedną stronę nigdy nie wraca,
Na jednokierunkowym torze wszystko się zatraca.
Piosenka grupy Soul Asylum (przyp. tłum.).